

SERYA LILJOWA
BIBLIOTECZKA DLA MŁODZIEŻY

MALI MEŹCZYŹNI

— *Scop.* —

WARSZAWA
NAKLAD FERDYNANDA HÖSICK

MALI MEŹCZYŹNI

11619 MKD

No. 2. 75 h.

K

Mali Mężczyźni.

Powieść

L. Alcott, *Louisa May*
autorki „Małych kobietek“

tlomaczona z angielskiego

przez

Zofję Grabowską.

WARSZAWA.

NAKŁAD FERDYNANDA HÖSICK.

1877.



Дозволено цензурою.
Варшава, 27. Апрѣля 1876 года.



399501/

820(73)-93

2/356/92

2. Inchoyarske

Treść.

Rozdział		Str.
1.	Alfred	1
2.	Chłopcy	17
3.	Niedziela	26
4.	Stopniowe postępy	47
5.	Niespodzianka	60
6.	Dan	81
7.	Niesforna Audzia	104
8.	Różne figle i zabawy	116
9.	Bal u Stokrotki	128
10.	Powrót	142
11.	Wuj Teoderek	160
12.	Jerzyny	174
13.	Złotowłosa	201
14.	Damon i Pytyas	209
15.	Na wierzbie	232
16.	Poskramianie dzikiego rumaka	251
17.	Wypracowania	262
18.	Zbieranie plonów	276
19.	Jan Brooke	286
20.	Wkoło kominka	300
21.	Dziękczynienie	324

Rozdział pierwszy.

Alfred.

„Proszę pana, czy tu jest Plumfield?“ Zapytał obdarty chłopak mężczyzny, otwierającego bramę przed którą stanął omnibus.

„Tak; kto cię tu przysłał?“

„Pan Laurence; mam list od niego do samej pani.“

„Dobrze, mój zuchu! Jdź na górę, i oddaj go tylko, to już cię Pani z pewnością przyjmie.“ Żartobliwy ton tego człowieka dodał chłopcu otuchy, więc ośmielony jego słowy, poszedł dalej. Mily, wiosenny deszyk skrapiał kielkującą trawkę i rozkwitające drzewa, poza którymi zobaczył Alfred obszerny, czworoboczny dom ze staroświecką bramą, szerokimi wschodami i mnóstwem oświetlonych okien. Ponieważ ani franki ani okiennice nie przysłaniały światła, więc Alfred stanąwszy na chwilę przed pociągnięciem dzwonka, zobaczył dużo małych cieni poruszających się na ścianach, usłyszał miły szmer młodocianych głosów, i zadumał się, czy to rzecz możliwa, by dom w którym jest tyle światła, ciepła i wygod, stał się schronieniem dla takiego sieroty.

Rumiana dziewczyna otworzyła mu drzwi, i uśmiechnęła się odebrawszy list, który jej podał w milczeniu. Widocznie była przyzwyczajona do przyj-

mowania obcych chłopaczków, wskazała mu bowiem krzesło w sieni, i rzekła skinąwszy głową:

„Usiądź tu sobie i obeschnij trochę na słomiance, a ja tymczasem zaniosę list do Pani.“

Różne zajmujące rzeczy skracaly Alfredowi czas wyczekiwania; rozglądał się ciekawie, bo go wszystko bawiło, i rad był że go nikt nie widzi siedzącego w ciemnym kącie, przy drzwiach.

W całym domu roili się chłopey, na różne sposoby uprzyjemniając sobie dżdżyste popołudnie. Wszędzie ich było pełno, i przez otwarte drzwi ukazywały się zewsząd wesole gromadki dużych, małych i średnich chłopaków, znajdujących się w różnych stopniach wieczornego ożywienia, a raczej rozswawolenia. Dwa obszerne pokoje na prawo, służyły widocznie za klasę, gdyż pełno w nich było stolów, map, tablic i książek. Przed ogniem płonącym na kominku, leżało na ziemi kilku próżniaczych chłopców, rozprawiając tak zapalczywie o nowym placu do gry w krykieta, że aż butami wierzgali w powietrzu. — W jednym kącie, słuszny młodzieniec grał na flotrowersie, całkiem obojętny na otaczającą go wrzawę; kilku innych skakało przez stoly, zatrzymując się niekiedy by tchu nabrać i uśmieć się z młodego karykaturzysty, który na tablicy rysował całe zgromadzenie.

W pokoju z lewej strony, ukazywał się długi stół zastawiony do wieczery: były tam wielkie dzbanki ze świeżem mlekiem, stosy czarnego oraz białego chleba i pierniki, które są takim przysmakiem dla dzieci. Rozchodziła się też woń smażonych grzanek i pieczonych jabłek, tworząc prawdziwą męczarnię dla nosków i zgłodniałych żołądków.

Ale sień przedstawiała najpowabniejszy widok, bo wesola gra w cztery kąty szła w najlepsze przy

drzwiach pierwszego piętra. Na jednym przystanku bawiono się w kręgle, na drugim w arcaby, na wschodach zaś jeden chłopiec czytał, dziewczynka śpiewała do snu lalce, dwom pieskom i kotce, a z poręczy bez ustanku zsuwał się szereg małych chłopczyków, pomimo wielkiej krzywdy dla ubrania i niebezpieczeństwa dla członków.

Te wyścigi tak zajęły Alfreda, że się wysuwał coraz bardziej z kącika, i gdy jeden rażny chłopak spadł z poręczy z taką siłą, że głowa mniej zahartowana, roztrzaskałaby się z pewnością, — Alfred zapomniawszy się, poskoczył do nieszczęśliwego jeźdźca, z obawą czy go zastanie żywym; ale chłopak mrugał tylko przez chwilę mocno oczami, poczem leżał sobie spokojnie, i przyglądając się z zadziwieniem nowiej twarzy, zawołał:

„Hola!“

„Hola!“ odparł Alfred; nie wiedział bowiem coby rzec innego, a ta odpowiedź wydała mu się krótką i łatwą.

„Czy ty będziesz nowym uczniem?“ zapytał nieporuszając się, leżący chłopak.

„Jeszcze nie wiem.“

„Jak się nazywasz?“

„Alfred.“

„A ja Tomek; wejdź na górę, to się potem zsuniesz z poręczy, dobrze?“ Odezwał się żywo, jak gdyby mu się nagle przypomniały obowiązki gościnności.

„Nie wejdę, póki się nie dowiem, czy to pozostanę.“ odrzekł Alfred, coraz więcej pragnąc by go przyjęto.

„Słuchaj Adasiu, przybył nam towarzysz nowy, chodź go zobaczyć!“ zawołał wesolo Tomek, i z niezmordowaną energią wziął się na nowo do swjej zabawki.

Na to wezwanie, chłopczyk czytający na wscho-
dach, spojrział wielkiem, ciemnym okiem, i zawahał
się chwilę, jak gdyby przez nieśmiałość; poczem
włożył książkę pod pachę, i zeszedł poważnie na dół,
by powitać nowo przybyłego. Przyjemna twarz jego
i miłe spojrzenie od razu pociągnęły Alfreda.

„Czyś widział Ciocię Ludkę?“ zapytał Adaś
takim tonem, jak gdyby to był jakiś uroczysty
obrzadek.

„Nikogom dotąd nie widział prócz tych chłopców,
i czekam właśnie,“ odparł Alfred.

Czy cię przysłał wuj Artur? pytał dalej Adaś
grzecznie, ale z powagą.

„Pan Laurence mię przysłał.“

„To jest wuj Artur; on nam zawsze przysyła
miłych chłopców.“

Alfred zdawał się uradowany temi słowy i
uśmiech ożywił jego wynędzniałą twarz. Nie wiedział
coby dalej mówić, więc stali obaj patrząc na siebie
w przyjaznym milczeniu, dopóki nie nadeszła owa
dziewczynka z lalką na rękach. Bardzo była podobna
do Adasia, tylko nie tak duża; miała też okrągłęjszą,
różowszą twarzyczkę, i niebieskie oczki.

„To moja siostra, Stokrotka,“ odezwał się Adaś
z takim naciśnięciem, jak gdyby przedstawiał jakiś rzadki
i cenny przedmiot.

Dzieci ukłoniły się sobie, i dziewczynce z radości
porobiły się dolki w twarzy, gdy rzekła uprzej-
mie:

„Mam nadzieję że z nami pozostaniesz. Tak się
tu dobrze bawimy, — prawda Adasiu?“

„Ma się rozumieć że się dobrze bawimy; Ciocia
Ludka umyślnie ma na to Plumfield.“

„Prawda że tu bardzo ładnie,“ zauważył Alfred

czując że musi coś odpowiedzieć tym uprzejmym
osóbkom.

„To najmiłsze miejsce w świecie! prawda Adasiu?“
rzekła Stokrotka, we wszystkim uważając widocznie
braciszka za najwyższą powagę.

„Zdaje mi się że Grenlandja jest ciekawsza, bo
tam są lodniki i cieleta morskie. Ale ja także lubię
Plumfield, bardzo tu przyjemnie mieszkać,“ odparł
Adaś którego zajmowała wówczas książka o Gren-
landji. Chciał w niej pokazać i objaśnić Alfredowi
ryciny, lecz nadeszła służąca, i wskazując głową na
drzwi od bawialnego pokoju, rzekła:

„Dobrze stoi twoja sprawa, kawalerze, — zosta-
niesz.“

„Jak mię to cieszy! chodźmy do cioci Ludki,“
powiedziała Stokrotka i wzięła Alfreda za rękę z
tak opiekuńczą miną, że od razu było mu jak w
domu.

Adaś oddawał się znowu ulubionej książce, pod-
czas gdy siostrzyczka prowadziła nowego przybysza
do jednego z tylnych pokoi, gdzie ogromnej tuszy
mężczyzna swawolił z dwoma chłopcykami na sofie,
a szczupła dama kończyła właśnie list, który znać
było, że odczytuje powtórnie.

„Przyprowadziłam go cioci!“ zawołała Stokrotka.

„Więc to mój nowy chłopiec? miło mi cię widzieć
i mam nadzieję że ci się spodoba u nas,“ rzekła
pani Bhaer przeciągając go do siebie, i delikatnie od-
garnęła mu z czoła włosy, z tak macierzyńskim wy-
razem twarzy, iż od razu pozyskała sieroce ser-
duszko Alfreda.

Nie była ona wcale piękną, ale zachowała w
ożywionej twarzy i w ruchach coś tak komicznie
dzieciniego, że ją to czyniło niezmiernie naturalną,

miłą i łatwą w pożyciu; dla tego też chłopcy nazywali ją „zuchem.“ Gdy poczęła głaskać Alfredowi głowę, zadrgały mu nieco usta, więc bystre jęj oczy przybrały zaraz łagodniejszy wyraz, przyciągnęła bliżej zgnędniałego chłopczykę i rzekła ze śmiechem:

„Ja jestem matka Bhaer, ten pan jest ojciec Bhaer, a to są młode Bhaerątka. Chodźcie chłopcy zapoznać się z Alfredem.“

Trzej zapaśnicy usłuchali natychmiast, i olbrzymi mężczyzna przyszedł powitać nowego ucznia, trzymając po jednem pyzatem dziecku na każdym ramieniu. Robcio i Teodorek wyszczerzyli tylko ząbki, ale pan Bhaer uściśnął się z nim za ręce, i wskazując niski stoleczek przy kominku, rzekł przyjaźnie:

„Jest tu gotowe miejsce dla ciebie, mój synu; usiądź i osusz sobie obówie.“

„Czy mu przemokło? Mój drogi chłopcze, zdéjmij buty, a ja ci znajdę suche w mgnieniu oka!“ zawołała pani Bhaer, i zajęła się Alfredem tak energicznie, że wkrótce siedział na wygodnym krzeselku, w suchych skarpetkach i ciepłych pantoflach. Z taką wdzięcznością podziękował za to, że oczy pani Bhaer znowu złagodniały, i odezwiała się z czémś wesółem, bo zawsze zwykła była to czynić, gdy ją co wzruszyło.

„To są Tomka pantofle, ale ponieważ nigdy nie pamięta ubrać ich w pokoju, więc mu je odbierzemy. Za duże są na ciebie, lecz tém lepiéj, bo trudno byłoby w nich uciec.“

„Ja nie chcę uciekać,“ rzekł Alfred, i z rozkoszném westchnieniem przybliżył posmolone rączeta do ognia.

„Dobrze, dobrze; teraz będę cię odkarmiać, i leczyć z tego szkaradnego kaszlu. Jak dawno masz go, mój

drogi?“ Zapytała pani Bhaer, szukając w koszyku kawałka flaneli.

„Odkąd zima nastala. Zaziębilem się, i nie mogę jakoś przyjść do siebie.“

„Nie dziwnego, kiedy mieszkał w wilgotnej piwnicy, i chodzi w łachmanach,“ rzekła pocichu pani Ludwika do męża, który przyglądał mu się przez pewien czas doświadczoném okiem, i dostrzegł że ma zapadłe skronie, zgorączkowane usta, ochrzypły głos, i uporczywy kaszel.

„Robciu, idź do dozoreczyni po lekarstwo od kaszlu i plaster.“ Rzekł pan Bhaer porozumiawszy się oczami z żoną.

Alfred patrzył z pewnym niepokojem na te przygotowania, lecz zapomniał o strachu, a nawet parsknął serdecznym śmiechem, gdy pani Bhaer szepnęła z komiczną miną:

„Słyszysz jak ten mój ladaco, Teodorek, udaje kaszel? Bierze go chętką na ten syrop, bo jest zrobiony z miodem.“

Gdy przyniesiono lekarstwo, tak się zaczął malec krztusić, że aż mu poczerwieniała twarzyczka; dostał więc łyżeczkę, skoro już Alfred odważnie zażył swoją porcję, i obwiązane miał gardło flanelą.

Po niedługiej chwili, rozległ się potężny dzwon, i głośnie tupanie w sieni oznajmiło wieczere. Nieśmiały Alfred struchlał że się znajdzie wobec tylu nieznanym chłopców, ale pani Bhaer wzięła go za rękę, a Robcio rzekł z opiekuńczą miną: nie bój się, ja będę blisko ciebie.“

Dwunastu chłopców: sześciu po każdej stronie, stało za krzesłami, podskakując z niecierpliwości, by już dano hasło do jedzenia; a ów wysoki młodzieniec który przedtém grał na flotrowersie, poskramiał ich

zapędy. Żaden nie usiadł jednak póki pani Bhaer nie zajęła miejsca za przyrzędem do herbaty, mając obok siebie z lewej strony Teodorka, a z prawej Alfreda.

„To jest nowy nasz wychowaniec, Alfred. Po wieczery będziecie się mogli zapoznać. Zwolna chłopcy, zwolna!”

Wszyscy wpatrzyli się w Alfreda, a potem za częli suwać krzesłami, daremnie chcąc się cicho zachować. Wprawdzie państwo Bhaer usiłowali nauczyć ich przyzwoitego zachowania się przy jedzeniu, i wogóle powodziło im się bardzo dobrze, gdyż przepisy ich były nieliczne i rozsądne, a chłopcy widząc że im chcą je ułatwić i uprościć, starali się być ulegli; lecz są chwile kiedy poskramianie zgłodniałych chłopaków, staje się istotnym okrucieństwem, na przykład w sobotni wieczór po pół wakacjach.

„Niech że się te drogie dzieciśka choć w jeden dzień nakrzyczą, nawrzeszczą, naswawolą do syta. Coż warte święto bez swobody i figli? Trzeba im sprawiać tę uciechę przynajmniej raz w tygodniu.”

Tak zwykła mawiać pani Bhaer gdy się surowe osoby dziwiły, że w tak przyzwoitym niegdyś Plumfield, są dozwolone takie rozrywki jak na przykład: ślizganie się z poręczy, i rzucanie na siebie poduszками.

Czasem się zdawało że się dom zawali; nigdy jednak do tego nie przyszło, bo ojciec Bhaer umiał jednym słowem nakazać ciszę, i chłopcy wiedzieli że nie mogą nadużywać swobody. Tak więc pomimo wielu złowrogich wróżb, szkoła ta kwitła, i w niezmienny sposób uczono dzieci dobrego zachowania się i moralności.

Alfred bardzo był temu rad że go zasłaniają wysokie dzbanki, i że siedzi między Tomkiem a panią Bhaer, która mu napelnia ciągle talerz i kubek.

„Kto jest ten chłopiec, obok dziewczynki, — na drugim końcu stołu?” szepnął Alfred do sąsiada, korzystając z ogólnego śmiechu.

„Adaś Brooke; siostrzeniec pani Bhaer.”

To musi być miły chłopak.”

„O bardzo! dużo umie, i przepada za czytaniem.”

„A ten tłusty, obok niego?”

„To Nadziany; Jerzy mu na imię, aleśmy go tak przezwali z powodu, że dużo je. Ten chłopczyzna siedzący przy ojcu Bhaer, to jego synek, Robcio; a ten wysoki, to Franz jego siostrzeniec. On nas trochę uczy i dozoruje.”

„Wszak ten sam gra na flotrowersie?” Zapytał Alfred, gdy Tomek umilkł, a to z przyczyny że wpakował do ust całe jabłko pieczone.

Tomek skinął głową, prędko przełknął jabłko, a potem rzekł „o gra! czasem tańczymy i gimnastykujemy się, przy jego muzyce. Ja znów lubię grać na bębnie, i chciałbym się tego uczyć.”

„Co do mnie, wolę skrzypce; bo i ja także umiem grać.” Powiedział Alfred, któremu ten ponętny przedmiot rozwiązał usta.

„Umiesz!” zawołał Tomek, i zrobił nań wielkie oczy z ponad Kubka.

„Pan Bhaer kupił właśnie stare skrzypce, i z pewnością pozwoli ci ich, ile razy zechcesz.”

„Doprawdy? ach, jakby to dobrze było! bo widzisz, póki ojciec żył, chodziłem po domach grywać na skrzypcach z nim, i jeszcze z drugim muzykusem.”

Czy to było przyjemne zatrudnienie?” spytał ciekawie Tomek.

„Gdzież tam, okropne! Tak było mroźno w zimie, a tak gorąco w lecie! Bywałem często strasznie zmęczony, a w dodatku trzeba było znosić głód i złe obejście.”

Tu, Alfred umilkł i odgryzł porządny kawał piernika, jak gdyby dla zapewnienia się, że te ciężkie czasy już minęły; potem dodał rzewnie: „Ale ja kochał skrzypki, i tęskno mi do nich. Nikolo zabrał je po śmierci ojca, i nie chciał mię dłużej trzymać, dla tego zem wzięły.“

„Jeżeli dobrze grasz, to będziesz należał do orkiestry, zobaczysz!“

„Czy wy tu macie orkiestrę?“ zapytał Alfred, i oczy mu zabłysły.

„Ma się rozumieć, i jaką ładną! Sami chłopcy ją składają. Urządzamy koncerta i tym podobne rzeczy. Przekonasz się, co się tu dzieć będzie jutro wieczorem.“ Po tych słowach mile lechących ciekawość, Tomek wziął się napowrót do wieczery, Alfred zaś wpadł w błogą zadumę nad pełnym talerzem.

Pani Bhaer słyszała tę ich rozmowę, chociaż się zdawało że cała zajęta nalewaniem w kubki i dozorowaniem Teodorka, który był tak śpiący, że włożył sobie łyżeczkę w oczko, kiwał główką jakby czerwona makówka, i nareszcie usnął na dobre, oparłszy policzek na pulchném ciastku, w miejscu poduszki.

Umyślnie pomieściła pani Bhaer Alfreda przy Tomku, bo jego otwarte i łatwe obćście było zawsze pociągającym dla nieśmiałych chłopców. Alfred widocznie uległ także temu wpływowi, zwierzył mu się bowiem z różnych drobiazgów w czasie wieczery, a pani Bhaer przysłuchując się, lepiej poznała jego charakter, niż gdyby się była wdała sama w rozmowę.

Pan Laurence w liście swoim tak się wyraził o Alfredzie:

„Droga Ludko, posyłam ci chłopca z rzędu tych, co ci najlepiej przypadają do serca: jest on sierotą, chorym, i bez opieki. Dotąd był ulicznym grajkiem,

i napotkałem go w piwnicy, gdzie oplakiwał stratę ojca i skrzypków. Zdaje mi się że w nim jest dobry materyał, i że go możemy wyratować wspólnemi siłami. Skoro ty wyleczysz jego nędzne ciało, a Fritz rozwinię zaniedbany umysł, wówczas ja się nim zajmę i zbadam, czy to geniusz, czy tylko utalentowany chłopiec, który będzie mógł zapracować sobie na chleb. Przyjmijcie go na próbę, przez wzgląd na waszego

„Teodorka.“

„Ma się rozumieć że go przyjmujemy!“ zawołała pani Bhaer, a zobaczywszy Alfreda, pomyślała od razu że czy jest geniuszem lub nie, — jako opuszczony, schorzały chłopiec, potrzebuje tego właśnie co ona dawać lubi: to jest ogniska domowego i macierzyńskiej opieki. Oboje z mężem przyglądali mu się zniechęca, i pomimo obdartej odzieży, niezgrabnego obćścia i brudnej twarzy, z wielu rzeczy im się podobał. Był to szczupły blade, chłopczyk lat dwunastu; miał niebieskie oczy i czoło kształtne pod szorstkim i zaniedbanym włosem. Nieśmiała twarz bywała chwilami tak zaleknioną, jak gdyby się spodziewał ostrych słów lub uderzenia; usta mu drgały jak kto mile spojrział, a oczy patrzyły wdzięcznie, za każde łagodne słowo. „Niech sobie grywa biedaczek, choćby całymi dniami“, pomyślała pani Bhaer, spostrzegłszy radość jego na wzmiankę o orkiestrze.

Po wieczery zatem, gdy się chłopcy rozproszyli, pani Ludwika ukazała się ze skrzypcami w rękach, i porozumiewając się krótko z mężem, przystąpiła do Alfreda który z kącika przyglądał się wszystkiemu, z żywą ciekawością.

„Zagraj co, mój drogi. Potrzebujemy skrzypcy do orkiestry, więc nam się możesz bardzo przydać.“

Zamiast się ociągać przez nieśmiałość, jak się spodziewała, czémprędzej ujął skrzypce, i dotykał się ich z taką ostrożnością, że widać było, jak namiętnie miluje muzykę.

„Będę się starał zagrać jak najlepiej,” rzekł, i natychmiast pociągnął smyczkiem po strunach, jak gdyby mu pilno było usłyszeć znowu drogie sobie tony.

Wielka była wrzawa w pokoju, lecz Alfred jakby głuchy na wszelkie dźwięki, prócz tych jakie sam wydobywa, grał z cicha dla siebie, przejęty rozkosznym uczuciem. Była to tylko jedna z tych prostych murzyńskich pieśni wykonywanych zazwyczaj przez ulicznych grajków; ale tak się podobala chłopcom, że przestali swawolić, wsłuchując się z zadziwieniem. Zwolna przysuwali się coraz bliżej; pan Bhaer przystąpił także i badawczo śledził młodego muzyka, który grał bez końca, zapomniawszy o otoczeniu. Oczy mu błyszczały, twarzyczka pałała, palce drgały, podczas gdy obejmował czule skrzypki, i przemawiał do sere swym ulubionym językiem.

Serdeczny poklask wynagrodził go sowicij, niżby tego dokazał rzesisty deszcz grosików, skoro umilkł i rozejrzał się dokoła, mówiąc niejako:

„Starałem się zagrać jak najlepiej, żeby wam sprawić przyjemność.”

„Prześlicznie grasz!” zawołał Tomek który się uważał za jego opiekuna.

„Będziesz pierwszym skrzypkiem w naszej orkiestrze,” dodał Franz z uśmiechem.

Pani Bhaer szepnęła do męża:

„Teodorek ma słusność; w tém dziecku jest coś niezwykłego.”

Profesor skinął na to głową, i klepiąc Alfreda przyjaźnie poramieniem, rzekł:

„Dobrześ się wywiązał, mój synu. Teraz poprosimy cię o przygrywkę do śpiewu.”

Była to najzaszczytniejsza, najszcześniejsza chwila w życiu biednego chłopca, gdy zaprowadzono go do fortepianu, na honorowe miejsce, poczem dzieci go otoczyły, i bez względu na jego nędzną odzież, patrzyły z poszanowaniem, czekając by zagrał.

Ponieważ znalazła się znana mu pieśń, więc po kilku próbach, zjednoczyły się głosy, a skrzypce, fletowiers i fortepian towarzyszyły tak potężnemu chórowi chłopców, że się aż trząsł stary dach. To wszystko tak wzruszyło biednego Alfreda, że gdy ostatnia nuta ucichła, twarzyczka zaczęła mu drgać, skrzypce wypadły z rąk, i obróciwszy się do ściany, rozplakał się jak dziecko.

„Co ci jest, mój drogi?” zapytała pani Bhaer, która zdążając za innymi w śpiewie, powstrzymywała zarazem Robcia, żeby nie tupał do taktu.

„Wszystcy są dla mnie tacy dobrzy, — i tak tu pięknie, — żem się nie mógł powstrzymać,” odpowiedział Alfred ze łkaniem, i zakaszał się okropnie.

„Chodź zemną, mój drogi; musisz się położyć i wypocząć. Jesteś znużony, więc tu zbyt hałaśliwie dla ciebie,” szepnęła pani Bhaer, i zabrawszy go do swego pokoju, dała się wypłakać w cichości.

Skoro się uspokoił i zaczął zwolna zwierzać jój się z utracień, słuchała ze łzami, chociaż wszystkie były jój już znane.

„Teraz moje dziecko, masz ojca, matkę, i ognisko domowe, więc przestań myśleć o tych smutnych czasach. Staraj się być zdrowym, wesółym, i ufaj, że odtąd będziemy cię zaslaniać wszelkimi siłami od cierpień. Umyślnie otworzyliśmy ten zakład, aby w nim błogo splywało życie chłopcom, i żeby się uczyli ra-

dzić sobie i być pożytecznymi ludziami. Mam nadzieję że dopnę tego celu. Co się tyczy muzyki, to będziesz jej miał dowoli, ale wpierw musisz się wzmocnić. Chodź teraz do dozoreczni żeby cię wykapała, a jutro ułożymy razem jaki ładny plan.“

Alfred mocno ścisnął jej rękę, i niemogąc zdobyć się na słowa, dziękował spojrzeniem. Wprowadziła go do obszernego pokoju, gdzie się krzątała gruba niemka z twarzą tak okrągłą i wesołą, że wyglądała jak słońce, którego promienie wyobrażała szeroka falbanka u czepka:

„To Humlowa, dozoreczni; dobrą ci kąpiel przyrządzi, obetnie włosy i posłuży we wszystkim. Łazienka jest tam oto. Co sobotę w wieczór, kąpiemy najpierw małych chłopców i pakujemy ich do łóżek, a tymczasem starsi kończą śpiewać. No, Robein, wskakuj.“

Mówiąc to wszystko, rozebrała pani Bhaer synka, i zanurzyła go w długiej wanience, w pokoiku przyległym do dziecięcej sypialni.

Były tam dwie wanny prócz miednic, tusz i szafliczków do moczenia nóg. Alfred rozkoszując się w wodzie, patrzył na te dwie kobiety jak myły kilku małych chłopaków, ubierały ich w nocną bieliznę i kładły do łóżek. Ma się rozumieć że się nie obeszło bez psot, któremi wszystkich rozbawiali, póki ich sen nie zmorzył. Alfreda również dozoreczni umyła, następnie obwinawszy w kodrę, posadziła przy kominku, i obeinała mu właśnie włosy, kiedy nowi chłopcy wpadli do łazienki, robiąc wrzawę i plusk, jakby gromada rozswywołanych wielorybów.

„Alfred będzie tu dziś spał, bo jak się zakaszle w nocy, to mu się dasz napić ziółek z siemienia lnia-

nego,“ rzekła pani Bhaer, krzątająca się jak kokosz, pośród licznych stada ruchliwych kacząt.

Dozoreczni chętnie ubrała zaraz Alfreda we flanelowy kaftanik, podała mu jakiś napój ciepły i słodki, a potem umieściła w przyległym pokoju, gdzie stały cztery łóżka. Leżał tam sobie spokojnie jak mumja, czując że mu już nie nie brakuje do przyjemności i wygod. Ochędóztwo sprawiało na nim nowe i rokoszne wrażenie: flanelowy kaftanik był ubraniem nieznanem w jego świecie; ziółka ciepłe tak mile łagodziły kaszel, jak serdeczne słowa rozgrzewały osierocone serce; a uczucie że obchodzi kogoś, czyniło z tego skromnego pokoju, prawdziwe niebo. Przymykał często oczy, żeby się przekonać, czy to nie jest uludny sen, który się rozwieje, skoro je otworzy i przejęty miłemi wrażeniami, nie mógł usnąć, — témbardziej że niezadługo pewien miejscowy zwyczaj uderzył jego zdumiony, lecz trzeźwy wzrok.

Gdy się uciszyło pluskanie, nagle zaczęły poduszki fruwać na wszystkie strony, a podrzucały je białe szatanki, wyskakując hałaśliwie z łóżek. Bitwa toczyła się w kilku pokojach, w sieni, a nawet niekiedy dostawała się do sypialni dziecięcej, gdzie się chronił niejeden pokrzywdzony rycerz. Nikt nie zwracał jednak uwagi na te wybryki, nikt się im nie dziwił, ani ich zakazywał. Dozoreczni rozwieszała ręczniki, a pani Bhaer przeglądała czystą bieliznę, tak spokojnie, jak gdyby zupełny panował porządek. Co więcej, wypędziła nawet jednego zuchwalca z pokoju poduszka, którą zniemacka cisnął na nią.

„Czy oni sobie nie zrobią krzywdy?“ zapytał Alfred, zanosząc się od śmiechu.

„Bądź spokojny; co sobotę w wieczór, wolno im bić się poduszkami. Powłoczki w każdym razie od-

mieniłyby się jutro, więc mię to bynajmniej nie gniewa, bo się chłopcy rozgrzewają po kąpieli.“ Rzekła pani Bhaer dobierając skarpetki.

„Jakaż — to miła szkoła!“ Zawołał Alfred. „Dziwaczna,“ odparła pani Bhaer ze śmiechem, „ale jak widzisz, nie męczy się tu dzieci surowością, ani zbyteczną nauką. Z początku zakazywałam tego figlowania w nocnych koszulach; ale gdy się to na nic zdało, weszliśmy w taki układ: co sobotę w wieczór wolno im ciskać na siebie poduszkami, ale za to w inne dni muszą kłaść się spokojnie. Zrobiłam próbę, i powiodła się; jak nie do trzymają kiedy słowa, nie ma swawoli; w przeciwnym razie, odwracam zwierciadła, stawiam lampy w bezpiecznych miejscach, poczem mogą figlować dowoli.“

„To śliczny pomysł!“ rzekł Alfred. Brała go chęć należeć także do tej bitwy, ale nieśmiejąc się z tém oświecać pierwszego wieczoru, zdaleka się tylko przyglądał ożywionej zabawie.

Tomek stanął na czele napastników, Adaś znów bronił swego pokoju z szaloną odwagą, i szybko za sobą układał poduszki, w miarę jak były ciskane; więc nareszcie pozbawieni municyi, rzucili się chłopcy, by ją odebrać. Nie obeszło się bez kilku drobnych wypadków, ale nikt nie zwracał uwagi na to; każdy dawał i odbierał głośne razy z niezamąconą wesołością, a poduszki latały jakby grube płyty śniegu. Nakoniec pani Bhaer spojrzawszy na zegarek, zawołała:

„Dosyć tego! dalej, do łóżek! który z was nie usłucha, będzie skazany na karę!“

„Jakoż to kara?“ zapytał Alfred, zaciekawiony, co się stanie z przestępcą, który nie ulegnie tej ochmistrzyni dziwacznej wprawdzie, ale przejętej dobrem powszechném.

„Nie będzie należał do zabawy, na przyszły raz,“

odpowiedziała pani Bhaer. „Daję pięć minut czasu do uspokojenia się, poczem gaszę światło i wymagam porządku. To są honorowe chłopcy, więc dotrzymują słowa.“

Rzeczywiście: jak się nagle zaczęła bitwa, tak się skończyła. Nastąpiło już tylko parę pożegnalnych strzałów i okrzyków, Adaś rzucił siódmą poduszkę na uciekającego nieprzyjaciela, poczem ład został przywrócony. Po tej sobotniej swawoli nastąpiła już cisza, którą przerywał tylko gdzieś chichot lub szepot przytłumiony, a matka Bhaer po ucałowaniu nowego wychowanka, zostawiła go błogim snem o życiu w Plumfield.

Rozdział drugi.

Chłopcy.

Korzystając z długiego snu Alfreda, opiszę moim młodym czytelnikom chłopców, wśród których znalazł się nazajutrz.

Zacznijmy od dawnych znajomych.

Szesnastoletni już Franz, wysoki młodzian, jako prawdziwy Niemiec, miał grubą tuszę i jasnoblonde włosy. Zamiłowany był w książkach i w domowym życiu, przytém towarzyski i muzykalny. Wuj sposobił go do kolegium, a ciotka do szczęśliwej przyszłości, przy własnym ognisku. Pilnie rozbudzała zatem łagodność, przywiązanie do dzieci, poszanowanie dla kobiet tak starych jak i młodych, oraz praktyczność. Był jej prawą ręką i kochał tę wesołą ciotkę, jakby rodzoną matkę, którą starała mu się zastąpić.

Mali mężczyźni.

Emil we wszystkiém różniąc się od niego, był żywy, obrotny i przedsiębiorczy. Marzył o życiu na morzu, i wuj obiecał, że zostanie marynarzem po skończeniu lat szesnastu; nakłaniał go więc do studyi nad żegluga, dawał książki o sławnych admirałach i bohaterach, a po lekcyach pozwalał, by jak żaba przesiadywał w rzece, w stawie, albo w strumyku. Jego pokój był podobny do żołnierskiej kajuty, bo wszystko przypominało w nim żegluga, wojnę i okręt, a ulubioną rozrywką było przebierać się za marynarza, i o ile wuj nie wzbraniał, naśladować marynarski taniec, chód, a nawet i sposób mówienia. Chłopcy nazywali go „komandorem“.

Adaś należał do rzędu tych dzieci, które są dowodem, co może rozumne przywiązanie i pieczołowitość rodziców, bo dusza jego zostawała w cudownej harmonii z ciałem. Skutkiem delikatności, jaką jedynie domowy wpływ zdoła zaszcześcić, miał obejście mile i proste. Matka pielegnowała w nim niewinne i kochające serce; ojciec wzmacniał siły fizyczne za pomocą zdrowych pokarmów, ruchu i snu; a dziadus March uprawiał młody umysł, z tkliwą mądrością nowożytnego Pytagoresa. Zamiast go męczyć długimi lekcyami, którychby się uczył na pamięć jak papuga, dopomagał do rozwijania się tak naturalnie i pięknie, jak słońce i rosa pomagają różom, by zakwitły. Adaś bynajmniej nie był doskonałym, ale miał wady z lepszego gatunku. Nauczony zawczasu panować nad sobą, nie stawał się pastwą żądz i namiętności, jak się to przytrafia niejednemu dziecku, które otrzymuje karę za nleganie pokusom, chociaż go nikt przeciw nim nie uzbroid. Był to chłopiec spokojny, cichy, poważny, lecz zawsze pogodny. Nieświadomy własnej piękności i inteligencyi, bystre miał oko na urodę i zdolności

innych dzieci. Rodzice starali się oddziaływać pożytecznymi wiadomościami i zbawienném towarzystwem na zbyt wielkie zamilowanie w książkach, bujną wyobraźnię i gorącą naturę, — obawiając się, żeby się nie stał jedném z tych bladych, nad wiek rozwiniętych dzieci, które wprawdzie radują i zdumiewają rodzinę, lecz jak cieplarniane kwiatki wędna, dla tego że ich młoda dusza rozkwitła zbyt wczesnie, i nie ma na posługi krzepkiego ciała, aby mocno wrosnąć w zdrowy grunt tego świata.

Adaś został więc oddany do Plumfield, co się tak korzystném okazało w skutkach, że rodzice i dziadus nacieszyć się nie mogli swym pomysłem. Obcowanie z chłopcami uczyniło go praktyczniejszym, ożywiło umysł i zagłuszyło piękne tkanki pajęczce, które przedtém lubiła snuć jego młoda główka. Wprawdzie gdy ztamtąd przybył pierwszy raz do domu, raziło matkę, że trzaska drzwiami, klnie się na Jowisza i żąda grubych butów, aby tak głośnie stąpać, jak „papa“. Ale Jana cieszyło to; uśmieł się z dosadnych wyrazów, kupił mu buty i rzekł z zadowoleniem: „Kiedy okazuje tyle ważnych zalet, pozwól mu być trochę rubasznym. Chciałbym, żeby mój syn miał męzkie usposobienie, i ta chwilowa szorstkość nie wyjdzie mu na złe. Polor nada mu się zwolna, co się zaś tyczy nank, będzie ich tak spragniony, jak kania deszczu, więc go nie zmaglaj.“

Stokrotka zawsze równie promienna i uroczą, zapowiadała różne kobiece przymioty, gdyż podobną była do swój miłochnej mateczki i zamilowaną w domowych zajęciach. Miała całe grono lalek, które były wzorowo prowadzone. Zawsze nosiła z sobą koszyczek do robót i wykonywała je tak starannie, że Adaś często wydobywał z kieszeni chusteczkę, żeby się po-

pisać jej równym ściegiem. Małej Józii pięknie także uszyła już fanelową sukienkę. Lubiła krzątać się koło kredensu z porcelaną, ustawiać na stole solniczki, układać prosto łyżki, i codzień obchodziła bawialny pokój z miotłką, okurzając krzesła i stoły. Adaś ją trochę za to prześladował, ale bardzo był rad, że mu utrzymuje rzeczy w porządku, obdarza go ładnymi robotkami i dopomaga mu w lekeyach, — stali bowiem zawsze na równi, bez obawy współzawodnictwa.

Kochali się ciągle z jedną siłą, i nikomu nie wolno było wyśmiewać Adasia, że się tak tkliwie obchodzi ze Stokrotką. Walecznie staczał za nią bitwy i nie mógł zrozumieć, czemu by się chłopcy nie mieli przyznawać do tego, że kochają swe siostry. Stokrotka uwielbiała go: „Mój brat!“ i wydawał jej się najznakomitszym młodzieńcem na świecie. Co rano biegła w szlafrocжку zapukać do jego drzwi i mówiła z macierzyńską troskliwością: „Wstań, już czas na śniadanie; przyniosłam ci świeży kołnierzyk.“

Robcio, energiczny malec, musiał odkryć tajemnicze perpetuum mobile, bo nieustannie był w ruchu. Szczęściem nie odznaczał się zbyt wielką odwagą i to go chroniło od szkodliwych wypadków. Bujał między ojcem a matką, jakby kochające wahadło, z przyjemnością dla ucha „tik tak“, bo wielkim był gadułą.

Teodorek był za młody, żeby brać wielki udział w sprawach Plumfieldu, ale miał swoje sferę i pięknie ją wypełniał. Naprzykład ile razy wzięła kogo chęćka do pieszczot „bobo“ przepadając za całusami i uściskiem, zawsze się znajdowało na pogotowiu. Ponieważ nie odstępował prawie nigdy od matki, umoczył paluszek w każdej potrawie, jaką przysposabiała, ale to dodawało lepszego smaku.

Fryderyk i Adolf, czyli Dick i Dolo, mieli po ośm lat. Z początku Dolo bardzo się jękał; ale się z tego wyleczył stopniowo, bo niewolno było szydzić zeń, a przysięgał pan Bhaer odzwyczajając go, przymuszając do powolnej mowy. Byłto sobie dobry chłopaczek, wcale niezajmujący i pospolity, ale rozwijał się tam pomyślnie, oddając się tak obowiązkom jak przyjemnościom, ze spokojnym zadowoleniem i z pewną powagą.

Biedny Dick miał garb na plecach, lecz tak wesoło znosił to kalectwo, że Adaś z właściwą sobie oryginalnością zapytał pewnego razu: „Czy garb wyrabia w ludziach dobry humor? Jeżeli tak jest, to chciałbym także być garbatym.“ Dick był zawsze pogodny i starał się podążać we wszystkim za innymi chłopcami, bo dzielną miał duszę, pomimo wątłego ciała. Przybywszy do Plumfield, bardzo był drażliwy na swe kalectwo, ale wkrótce zapomniał o nim, gdyż nikt się nie ważył wytykać go, z powodu, że pani Bhaer ukarała jednego z chłopców, gdy się roześmiał raz z tego biédaka.

„Bóg nie uważa na to, bo chociaż mam plecy garbate, to dusza moja jest prostą,“ rzekł ze lkaniem do swego prześladowcy. Państwo Bhaer przy pomocy tej idei zdołali rozbudzić w nim wkrótce wiarę, że ludzie także milują duszę jego i o tyle tylko zwracają uwagę na ciało, by się litować i dopomagać mu w znoszeniu tej niedoli.

Pewnego razu, gdy chłopcy bawili się w menażeryę, jeden z nich zapytał: „Dick, jakim ty będziesz zwierzęciem?“

„Dromaderem; alboż nie widzisz garbu na plecach?“ odparł z uśmiechem.

„Dobrze, mój drogi, ale zamiast dźwigać ciężary,

będziesz tylko postępował zaraz za słoniem, w czasie pochodu," odezwał się Adaś urządzający widowisko.

"Mam nadzieję, że kiedyś ludzie będą tak dobrzy dla tego biedaka, jak teraz moi chłopcy," powiedziała pani Bhaer, zadowolona ze skutku swych nauk, gdy Dick przesunął się koło niej z miną bardzo uszczęśliwionego, choć wątego dromadera, obok wspaniałego słoniu, którego przedstawiał gruby Nadziany.

Jakubek byłto chłopak bystry, ale i chytry razem, którego oddano do tej szkoły z powodu jej taniości. Niejeden nazwałby go sprytnym, lecz ten rodzaj sprytu nie podobał się pannu Bhaer. W jego oczach ta chytryść nad wiek i żądza pieniędzy, były zarówno kalektwami, jak jąkanie się Dola i garb Dicka.

Czternastoletni Antos takim był, jakich się napotyka tysiące. Nienstawał nigdy w ruchu, w figlach, w psotach. Domowi nazywali go „huraganem“ i w ciągłej obawie, żeby nie spadł z krzesła, nie uderzył się o stół, lub nie upuścił czego na ziemię. Przechwalał się z różnych umiejętności, ale mało co potrafił zrobić. Względem małych chłopców odgrywał fanfaronę, a dużym pochlebiał się znowu. Niebędąc zupełnie złym, należał jednak do rzędu tych dzieci, które łatwo sprowadzić z dobrej drogi.

Jerzy był zepsuty przez zbyt pobłażliwą matkę, która go tak karmiła słodyczami, że aż stracił zdrowie, a wówczas wydawał jej się znów zbyt wątłym do nauki. Doszedłszy w ten sposób do lat dwunastu, stał się blady, obrzmiały, ocieżały, cierpki i leniwy. Ktoś ze znajomych namówił więc matkę, żeby go wysłała do Plumfield, i tam przyszedł wkrótce do siebie, gdyż dawano mu rzadko łakocie, zmuszano do częstego ruchu, a naukę udzielano w tak przyjemny sposób, że odzyskał zdrowie duszy i ciała. Zdumiona nim matka,

nabrała przekonania, że w Plumfield panuje szczególnie skuteczne powietrze.

Karolek był idyotą, czyli „niewiniątkiem“ według rzewnego wyrażenia Szkotów i pomimo lat trzynastu, wyglądał na sześcioletnie dziecko. Niegdyś odznaczał się rzadką inteligencją, ale go ojciec nadto rozwinął zbyt trudnymi wykładami i trzymaniem przy książkach po sześć godzin dziennie, w nadziei, że tak pochlaniać będzie nauki, jak strasburska gęś łyka pokarmy wkładane jej w gardziel. Zdawało mu się, że dopełnia w ten sposób obowiązku, tymczasem o mało go nie zabił, wpędziwszy w gorączkową chorobę. Gdy biedne dziecko przyszło nieco do siebie po tych przymusowych i smutnych wakacjach, wysilony jego mózg podobny był do tablicy zmityj gąbką.

Była to strasznie ciężka nauka dla ambitnego ojca. Niemogąc znosić widoku tak obiecującego niegdyś dziecka, które wyszło na niedołężnego idyotę, wysłał go do Plumfield. Nie miał wprawdzie nadziei, żeby mu coś jeszcze pomogło, ale przynajmniej był pewien, że się tam z nim dobrze obchodzić będą. Karolek był potulny i łagodny; litość brała patrzeć, z jakim trudem stara się czegoś nauczyć, jak szuka niejako poomacku utraconych wiadomości, które tak drogo przypłacił. Dzień za dniem śleczął nad abecadłem, z dumą wymawiając: A, B, w przekonaniu, że zna te litery; lecz nazajutrz rano już ich nie pamiętał i całą pracę rozpoczynał na nowo. Pan Bhaer był dlań nieograniczenie cierpliwym i nie ustawał w wysiłkach, chociaż się zdawały bezskuteczne. Niebiorąc się do książek, powoli starał się tylko usuwać mgłę z zaciemnionego umysłu i przywrócić mu tyle przynajmniej inteligencji, żeby nie był ciężarem i niedołęgą.

Pani Ludwika na wszelkie sposoby wzmacniała

jego zdrowie, chłopcy zaś przez litość okazywali mu wiele życzliwości. Nie lubiąc ich ruchliwych zabaw, wołał godzinami przyglądać się gołąbkom, kopać dolki dla Teodorka, tego niezmordowanego pracownika, lub chodzić krok w krok za Silasem, który był bardzo dobrym dla niego, — Karolek zaś, chociaż zapominał liter, przyjazne twarze zawsze chował w pamięci.

Tomek, najgorsze ladaco z całego zakładu, psotny był jak malpa; ale miał tak dobre serce, że mu wszystko chętnie wybaczano. Chociaż prędki jak żywe srebro, tak był pokorny, jak co zbroił, tak uroczyście przysięgał poprawę, lub obmyślał tak komiczne kary na siebie, że niepodobna było obchodzić się z nim surowo. Państwo Bhaer żyli w ciągłym oczekiwaniu jakiego wypadku, poczawszy od tego, żeby karku nie skrzył, skończywszy na wysadzeniu prochem całego domu. Dozorczyń trzymała zawsze w osobnej szufladce bandaż, plastry i balsamy na jego wyłączny użytek, bo go często przynoszono na w pół żywym; ale nic ważnego nie przytrafiło mu się nigdy, a po każdym wybryku przybywało mu więcej sił.

Przybywszy do Plumfield, zaraz pierwszego dnia wsunął koniec palca w kosiarkę, a w ciągu tygodnia spadł raz z dachu, o mało nie stracił oczu, bo mu je chciała wydziobać kura, rozszkożona za to, że zaglądał do jej pisklat; i uszy miał w niebezpieczeństwie, gdyż kucharka Azya porwała się na nie, zastawszy go raz wyjadającego śmietanę z garczka. Niezwalczony żadnem niepowodzeniem, obmyślał coraz nowe figle, nie dając nikomu pokoju. Gdy nie umiał lekeyi, zawsze znalazł jaką zabawną wymówkę, a ponieważ był zazwyczaj pilny i tak bystry, że w lot ułożył odpowiedź, więc w szkole dobrze mu się wiodło; ale czegoż ten chłopiec nie dokazywał po za szkołą!

Pewnego poniedziałku, kiedy najwięcej było do roboty, przywiązał tłustą Azyę do słupa i przez pół godziny skazał ją tam na gniewne szarpanie się. To znów rzucił raz pieniądź rozpalony na plecy Maryi-Annie, gdy ta ładna dziewczyna posługiwała do stołu przy gościach, skutkiem czego biedaczka wylała zupę i zawstydzona wybiegła z pokoju, a wszyscy myśleli, że chyba oszalała. Innego dnia postawił konewkę z wodą na drzewie i wstążeczką przewiązał ucho; skoro Stokrotka zwabiona tym jaskrawym sztandarem, spróbowała go pociągnąć, niechcący wzięła kroplistą kąpiel, zniszczyła świeżą sukienkę i obraziła się bardzo. To znów wysypał do cukierniczki ostrych białych kamyków, gdy babka jego przyszła raz na herbatę, i biedna staruszka dziwiła się w cichości, czemu cukier nie rozpuszcza się w filiżance. Pewnej niedzieli poczęstował kolegów w kościele tabaką i pięciu tak się rozkiechało, że musieli wyjść na dwór. W ziemię skopywał ścieżki i pokryjomu polewał wodą, żeby ludzie musieli upadać. Biédnego Silasa doprowadzał niemal do szalu, zawieszając jego ogromne buty w widzialnych miejscach, bo miał olbrzymią nogę i bardzo wstydział się tego. Namówił raz Dola, żeby sobie dał przywiązać nitkę do ruszającego się zęba i nibyto miał mu go wyrwać bez bólu; ale ząb nie dał się wydobyć za pierwszym szarpnięciem; biédny Dolo przebudził się więc z wielkim przestraszem i odtąd już mu nigdy nie ufał. Nareszcie dopuścił się i téj psoty, że dał kurom chleba zmazanego arakiem i tak się upili, że całe ptastwo było tém zgorszone, iż szanowne kokosze chwiewają się dziobiąc ziarno, i gdaczą nieprzytomnie. Wszyscy zanosili się ze śmiechu na ten komiczny widok, ale Stokrotka zdjeta litością, zamknęła je w kurniku, by się tam otrzeźwiły.

Wszyscy ci chłopcy, żyjąc w zgodzie, uczyli się, pracowali, figlowali, dopuszczali się błędów i pełnili enoty, zupełnie po staroświecku.

W innych szkołach pewno się dzieci uczą więcej z książek, ale mniej nabywają tej mądrości, która wyrabia na zacnych ludzi. Łacina, greczyzna i matematyka, nie były tam zaniedbywane, ale ponieważ profesor Bhaer wyżej stawiał znajomość samego siebie, pomoc własną i panowanie nad sobą, — pilnie się starał uczyć ich tego. Ludzie kręcili niekiedy głowami na jego pojęcia, chociaż każdy rad nie rad przyznawał, że chłopcy wiele zyskują pod względem obojęsćia i moralności. Podobno pani Bhaer słusznie powiedziała do Alfreda, że to było „dziwaczna“ szkoła.

Rozdział trzeci.

Niedziela.

Gdy następnego ranka odezwał się dzwonek, Alfred wyskoczył z łóżka i z żywą przyjemnością wziął na siebie odzież leżącą na krześle. Nie była wprawdzie nową, bo ją nosił już jeden z zamożniejszych chłopców, ale pani Bhaer przechowywała zwykle odrzucone pióra dla obnażonych ptaszków, chroniących się do jej gniazda. Załedwie się Alfred ubrał, wszedł Tomek wystrojony w świeży kołnierzyk i zaprowadził kolegę na śniadanie.

Słońce oświecało stół zastawiony w jadalnym pokoju i grono zgłodniałych a różnych chłopaków, którzy go otaczali. Alfred zauważył między nimi daleko

więcej ładu, niż poprzedniego wieczoru; każdy stał w milezeniu za swoim krzesłem, a Robcio znajdujący się obok ojca na głównym miejscu, złożył ręczki, z pokorą schylił główkę, i dźwięcznym głosikiem wypowiedział krótką modlitwę, na pobożny niemiecki sposób, który pan Bhaer lubił i kazał synkowi szanować.

Nareszcie wszyscy zasiedli do śniadania, składającego się przy niedzieli z kawy, kotletów wieprzowych i pieczonych kartofli, zamiast codziennego mleka z chlebem. Gawęda szła spiesźnie, noże i widelce nie ustawały na chwilę, bo się trzeba było jeszcze nauczyć niektórych niedzielnych zadań, obmyśleć miejsce przechadzki i rozstrząsnąć plany na cały tydzień.

„Dalej, chłopcy! weźcie się do rannych obowiązków, żebyście byli gotowi jechać do kościoła, jak się pokaże omnibus,“ rzekł ojciec Bhaer, i dla przykładu poszedł do klasy, przysposobić książki na dzień następny.

Wszyscy wzięli się do roboty, bo każdy miał jakieś codzienne zatrudnienie, które musiał wiernie spełnić. Jedni nosili wodę i drzewo, drudzy zamiatali wschody, inni byli na posługach u pani Bhaer, karmili ulubione zwierzęta, lub z Franzem urządzali chóry około stodoly. Stokrotka zmywała naczynia, a braciszek je obcierał, gdyż jako bliźnięta lubili pracować wspólnie; przytém w rodzicielskim jeszcze domu przyuczano Adasia, by się starał być pożytecznym. — Nawet maleńki Teodorek miał swoje drobne zajęcia: biegał tu i owdzie, zdejmując ze stołu serwety i ustawiając krzesła na właściwem miejscu. Przez półgodziny panował szmer jak w ulu; nareszcie omnibus nadszedł, i ośmiu ze starszych chłopców pod opieką ojca Bhaer i Franza, pojechało do kościoła.

Z powodu męczącego kaszlu, Alfred wolął zostać w domu, z czterema młodszymi chłopczykami, i przy-

jemnie spędził ranek w pokoju pani Bhaer, która czytała mu powieści, uczyła go hymnu, a potem dała mu obrazki do przeglądania.

„To mój niedzielny gabinet,“ rzekła pokazując mu półki, na których leżały książki z rycinami, pudełka pełne farb, lamigłówki architektoniczne i materiały do pisania listów. „Chcę, żeby moi chłopcy lubili niedzielę i żeby to był cichy, przyjemny dzień, w którym wypoczywając po zwykłych pracach i głośnych zabawach, mogą jednak używać spokojnych rozrywek, i w prosty sposób uczyć się daleko ważniejszych rzeczy od tych, jakie bywają wykładane w szkole. Rozumiesz mnie?“ zapytała, śledząc uważną twarz Alfreda.

„To zapewne znaczy, że się uczą być dobrymi,“ rzekł po chwili namysłu.

„Tak, i mieć w tym zamiłowanie. Przyznaję, że czasami bywa to ciężką pracą, ale wzajemnie pomagamy i radzimy sobie. Oto jeden z moich sposobów,“ rzekła, pokazując mu grubą księgę na wpół zapisaną i otworzyła na stronicę, gdzie u góry był jeden wyraz tylko.

„Jakto, moje imię?“ zawołał Alfred ze zdumieniem i z ciekawością.

„Tak, dla każdego z chłopców mam stronicę, zapisuję cały tydzień jak postępował, a w niedzielę wieczorem pokazuję mu sprawozdanie. Jeżeli zły, jestem smutna i zawiedziona; jeżeli dobre, tom uradowana i dumna; ale w każdym razie chłopcy wiedzą, że pragnę im dopomóc, i usiłują jak najlepiej zachowywać się, przez wzgląd na mnie i na ojca Bhaer.“

„Spodziewam się!“ zawołał Alfred, i zdjęty ciekawością, rzucił okiem na imię Tomka, naprzeciwko swego.

Pani Bhaer potrząsnęła głową i odwróciwszy kartę, rzekła:

„Tylko temu pokazuję sprawozdanie, kogo się ono dotyczy. Nazywam to „księgą sumienia“ i jedynie nas dwoje będzie wiedziało, co zostanie napisanem pod twém imieniem. Od ciebie zależy, czy będziesz rad lub upokorzony, czytając to w przyszłą niedzielę. Bądź co bądź, będę się starała ułatwiać ci wszystko w téj nowéj siedzibie, i tego tylko wymagam, żebyś spełniał nasze nieliczne przepisy, żył zgodnie z chłopcami i nauczył się czegoś.“

„Będę się starał,“ rzekł Alfred, i wychudła jego twarzyczka zarumienila się pod wpływem silnego pragnienia, by matka Bhaer była z jego powodu „uradowana i dumna“, a nie „smutna i zawiedziona“.

„Jaka to musi być kłopotliwa rzecz, pisać o tylu chłopcach,“ dodał, gdy po zamknięciu książki przyjaźnie poklepała go po ramieniu.

„Mnie to bynajmniej nie utrudza, bo nie wiem doprawdy, co mi droższe: chłopcy czy pisanie,“ rzekła śmiejąc się ze zdumionej twarzy Alfreda. „Wielu osobom chłopcy wydają się plagą, ale to dla tego, że ich nie rozumieją. Ja zaś rozumiem ich, i nie spotkałam dotąd takiego, z którym nie mogłabym sobie doskonale poradzić, gdy mu trafię do serca. Zdaje mi się, że nie umiałabym już żyć bez tych moich drogich, hałaśliwych, psotnych, rozpustnych chłopaków. — Cóż ty na to, Teodorku?“ zapytała, ściskając lotrzyka w sam czas, gdyż właśnie zabierał się włożyć sobie do kieszonki, odetkany kałamarz z atramentem.

Alfred słysząc pierwszy raz w życiu coś podobnego, sam nie wiedział, czy mieć matkę Bhaer za kobietę niezupełnie zdrowych zmysłów, czy też za najmiłą w świecie. Pomimo jój dziwacznych upodobań, skłaniał

się jednak więcej ku temu ostatniemu sądowi, bo go to bardzo ośmielało, gdy mu napelniała talerz, nie czekając żeby czego zażądał, gdy śmiała się z jego żartów, ciągnęła delikatnie za ucho, lub klepała po ramieniu.

„Możebyś chciał teraz pójść do klasy, ćwiczyć się w hymnach, które mamy śpiewać wieczorem?“ zapylała, odgadując trafnie to, na co właśnie miał ochotę.

Spędził więc kilka godzin sam na sam ze skrzypcami, przy słonecznym oknie ukazującym świat pełen powabów wiosennych, ucząc się wśród ciszy starych hymnów, i zapomniawszy o ciężkiej przeszłości w obec uciech teraźniejszej chwili.

Gdy pobożne grono wróciło z kościoła i wszyscy razem zjedli obiad, każdy się czémś zajął: jeden czytał, drugi pisał list do domu, trzeci uczył się niedzielnych lekcji, inni rozmawiali spokojnie z kolegami, tworząc małe gromadki, rozrzucone tu i owdzie.

O trzeci, wszyscy się wybrali na przechadzkę, bo młode ciało potrzebuje ruchu; a w czasie wycieczki pan Bhaer uczył wrażliwe umysły widzieć i miłować Opatrzność Boską w cudach przyrody. Zawsze im towarzyszył i prostym ojcowskim sposobem potrafił tak nakierować rozmowę, że znajdowali moralną naukę w kamieniu, książkę w szemrzącym strumyku, a dobro we wszystkim.

Pani Bhaer ze Stokrotką i z synkami pojechała do miasta, żeby odwiedzić babunię, gdyż to było jedynym jej świętem i największą przyjemnością, na jaką sobie pozwalała raz w tygodniu. Alfred niemając dosyć sił do dalekiej przechadzki, wołał zostać z Tomkiem, który obiecał oprowadzać go po całym Plumfield. — „Jużś widział dom, więc teraz chodź zobaczyć ogród,

szope i menażeryę,“ rzekł tenże, gdy zostali sam na sam z Azyą, która miała pilnować żeby sobie nie wyrządzili krzywdy, gdyż pocziwemu Tomkowi zdarzały się zawsze jakieś dziwaczne i do pojęcia trudne wypadki.

„Jaką tu menażeryę macie?“ spytał Alfred, gdy wyszli z domu.

„Każdy z nas ma jakie ulubione zwierzę, trzymamy je w szopie i to nazywa się menażeryą. Oto ją masz przed sobą. Może nie piękna moja świnia indyjska?“ rzekł, pokazując szkaradne stworzenie.

„Jeden z moich znajomych posiada ich dwanaście i obiecał mi jedną w czarne plamy, alem jej nie miał gdzie podziąć. Jeżeli sobie życzysz, to może ją teraz będę mógł dostać,“ odezwał się Alfred, chcąc się delikatnie odwdziżyć za jego grzeczności.

„I owszem, bardzobyś mi tćm ucieszył. Ja ci za to moją dam i będą mogły mieścić się razem, jeżeli się nie pobiją. Te białe myszki dostał Robcio od Emila, króliki należą do Antosia, a te indory, co tam chodzą po podwórku, to własność Nadzianego. Żółwie są Adasia; przeszłego roku miał ich sześćdziesiąt dwa. Na jednym wyrzł swoje nazwisko i bieżący rok, poczem puścił go na wolność. Może kiedyś go odnajdzie i pozna. Czytał on o jednym żółwiu, z napisem świadczącym że żyje od paru set lat. Jaki to dziwny chłopiec z tego Adasia!“

„A tutaj co się przechowuje?“ zapytał Alfred, zatrzymując się przy głębokiej skrzyni, do połowy napelnionej ziemią.

„Robaki Jakubka; zbiera ich dużo, trzyma tutaj i sprzedaje nam potem do łowienia ryb. Wprawdzie oszczędza nam to wiele trudu, ale je zbyt drogo ceni.

Ostatnią razą musiałem zapłacić dwa centy za tuzin, a jednak dał mi sam drobiazg. Jakubek jest szkaradnie chciwy, zapowiedziałem mu więc, że je myślę sam zbierać, jeżeli się tak będzie drożył. Ja mam dwie piękne kury, ot te szare z czubkami; jajka ich sprzedaje pani Bhaer, ale nigdy drożej, jak dwadzieścia pięć centów za tuzin. Wstydziłbym się wziąć więcej!“ zawołał, ze wzgardą spoglądając na skład robaków.

„A te psy do kogo należą?“ zapytał Alfred, którego to wszystko bardzo zajmowało.

„Ten duży jest Emila; pani Bhaer nazwała go „Krzysztofem Kolumbem“,“ odpowiedział Tomek tonem przewodnika po menażeryi. „Ten biały piesek jest Robcia, a żółty Teodorka. Jakiś człowiek miał je właśnie wrzucić do naszego stawu, kiedy pan Bhaer nadszedł i powstrzymał go. Dla takich malców ujął, ale w moich oczach nic nie są warte. Nazywają się Kastor i Pollux.“

„Jabym najchętniej lubił mieć tego osiołka Tobiaszka; taki maleńki, dobry, i tak miło na nim jechać!“ rzekł Alfred, pomnąc jak go bolały nogi, gdy się musiał pieszo włóczyć po świecie.

„Pan Artur Laurence przysłał go dla pani Bhaer, żeby nie potrzebowała dźwigać Teodorka na przechadze. Wszyscy lubimy Tobiaszka, bo to śliczny osiołek, mój panie.“ — Gołąbki są własnością całej gromadki; każdy ma swego ulubieńca, i gdy się młode wylęgają, dzielimy je pomiędzy siebie. To bardzo zabawne stworzonko; tutaj ich nie ma, ale idź je zobaczyć pod strychem, a ja tymczasem zajrzę do kur, czy nie zniosły jajek.“

Alfred wdrapał się po drabinie, wściбіł głowę przez okienko i przypatrywał się ładnym gołąbkom,

które gruchały i muskały się dziobkiem na obszerném poddaszu. Dużo ich siedziało w gniazdach, inne skakały tu i owdzie, albo zlatywały ze słonecznego dachu na folwarczne podwórko, gdzie sześć polyskujących krówek spokojnie przeżuwało trawę.

„Ja jeden nie nie mam! Chciałbym dostać przynajmniej gołębia, kurę, albo nawet żółwia, — ale na wyłączną własność,“ myślał Alfred, bolejąc nad swém ubóstwem, na widok tylu cudzych skarbów.

„Zkąd wy to bierzecie?“ zapytał Tomka, skoro się znów zeszli w szopie.

„Czasem się coś znajdzie, czasem się kupi, albo się dostanie od kogo. Te kury przysłał mi ojciec, a jak tylko zbiorę dosyć pieniędzy za jajka, nabędę zaraz parę kaczek. Jest tu ładny staw za stodołą, przytém za jaja kaczki dobrze ludzie plać, i młode kaczęta takie są ładniutkie, że zabawnie patrzeć, jak pływają,“ rzekł Tomek, strojąc minę milionera.

Alfred westchnął, gdyż biedak nie miał ani ojca, ani pieniędzy, ani zgola nic na całym świecie, prócz pustego pugilaresu i dziesięciu uzdolnionych palców.

Tomek widocznie zrozumiał, dla czego pytał o to i czemu westchnął po jego odpowiedzi, bo zadumawszy się chwilę, rzekł żywo:

„Słuchajno, co ci powiem: jeżeli zechcesz wyszukiwać jajka, czego ja nie lubię robić, to ci dam jedno za każdy tuzin. Będziesz utrzymywał rachunek, a gdy matka Bhaer zapłaci dwadzieścia pięć centów, to będziesz sobie mógł kupić, co ci się spodoba, — rozumiesz?“

„Doskonała myśl! Jakiś ty dobry, Tomku!“ zawołał Alfred, olśniony tak świetnymi nadziejami.

Mali mężczyźni.

„Niema o czém mówić; weź się zaraz do dzieła i przeszukaj w szopie, a ja tu poczekam na ciebie. Jedna z moich kurek gdacze, więc z pewnością zniosła jajko,” rzekł Tomek i rzucił się na siano z wewnętrznym zadowoleniem, że nie tylko zawarł korzystną ugodę, ale i przyjacielowi oddał przysługę.

Uradowany Alfred zaczął natychmiast poszukiwania i znalazł dwa jajka: jedno pod belką, a drugie w półkorcówce, którą sobie czubata kurka przywłaszczyła.

„Jedno możesz sobie zachować, a drugie dopełni mi właśnie ostatni tuzin; jutro zaś rozpoczniemy znówu. Zapisuj kredą rachunki obok moich, to będziemy zawsze w porządku,” powiedział Tomek, ukazując szereg niezrozumiałych cyfr na gładkiej stronie starej wialni.

Ucieszony świetnymi nadziejami, przejęty zdobytym dostojenstwem, dumny posiadacz jednego jajka, otworzył rachunek z przyjacielem, który śmiejąc się, napisał nad cyframi te wspaniałe słowa:

Tomasz i Spółka.

Biednemu Alfredowi wydało się to czémś tak wielkiem, że z trudnością dał się namówić do złożenia w spiżarni Azyi, téj pierwszej własności swojej. Wyszedłszy ztamtąd, zaznajomił się z dwoma kołmi, sześciu krowami, trzema świniami i jednym cielęciem, — poczem zaprowadził go Tomek do starej wierzy, oceniającej szemrzący strumyk. Z płotu łatwo było wskoczyć do dużej kryjówki pośród trzech grubych konarów, które tworzyły zielone sklepienie. W téj kryjówce przymocowali chłopcy ławeczkę, a głębiej jeszczełożyli parę książek, łódkę rozebraną i kilka niewykończonych fujaek.

„To Adasia i moje schronienie; samiśmy je sobie urządzili i bez naszej wiedzy nikomu niewolno ko-

rzystać z niego, — z wyjątkiem jednej Stokrotki, bo o nią nam nie chodzi.“

Podczas gdy Tomek mówił, Alfred wodził okiem od szemrzącej brunatnej wody w dole, do zielonego sklepienia w górze, gdzie pszczoły dźwięcznie brzęczały, racząc się długim, żółtym kwiatem, który napawał powietrze słodką wonią.

„Ach, jak tu pięknie!“ zawołał nareszcie. „Spodziewam się, że mi będzie wolno przychodzić czasem. Jak żyje, nie widziałem tak ładnego miejsca! Chciałbym ptakiem być, i tu zawsze przesiadywać!“

„Prawda, że tu bardzo ładnie i będziesz mógł przychodzić, jeżeli Adaś nie sprzeciwi się; ale — nie przypuszczam tego, bo mówił onegdaj w wieczór, że mu się podobasz.“

„Doprawdy?“ zapytał Alfred i uśmiechnął się radośnie, gdyż uznanie Adasia miało widoczną cenę u kolegów: w części dla tego, że był siostrzeńcem pani Bhaer, ale także z powodu, iż mimo młodego wieku, bardzo był poważny i sumienny.

„Tak, Adaś lubi cichych chłopców i pewno się zbliżycie z sobą, jeżeli masz także upodobanie w książkach.“

Biędny Alfred zarumienił się znówu, ale tym razem nie z radości, lecz ze wstydu, i odrzekł jękając się:

„Nie umiem dobrze czytać, bom nigdy nie miał na to czasu, koczując bezustanku ze skrzypcami.“

„Ja też nie lubię czytania, ale jak dokładam starań, to mi idzie dosyć gładko,“ odrzekł Tomek i rzucił nań zdumione spojrzenie, które znaczyło: „dwunastoletni chłopak nie umie czytać!“

„Ale za to potrafię czytać nuty,“ dodał Alfred zmieszany trochę wyznaniem, że taki z niego nieuk.

„Ja znów tego nie umiem,” odrzekł tamten z takim poszanowaniem, że się Alfred odważył powiedzieć:

„Pierwszy raz w życiu zdarza mi się teraz sposobność uczenia się, więc szczerze oddam się pracy i będę się starał skorzystać jak najwięcej. Czy pan Bhaer jest surowym przy lekcjach?”

„Ale gdzież tam! dopomaga nam i objaśnia trudniejsze miejsca; a nie wszyscy tak robią! Naprzykład mój dawny nauczyciel: skoro się kto omylił w jakim wyrazie, zaraz mu dawał po czuprynie,” rzekł Tomek i rozcierał sobie głowę biedaczek, jak gdyby dopiero co dostał razy.

„Zdaje mi się, że jabym to umiał czytać,” rzekł Alfred, przeglądając książkę.

„Spróbuj, ja ci pomogę,” odezwał się Tomek, przejęty swą wyższością, i gdy Alfred przebrnął jako tako przez jedną stronicę, zapewnił go, że wkrótce będzie niegorzej czytał od innych. Następnie gawędzili po koleżeńsku, siedząc w tak zwanym „gnieździe” na wierzbie.

„To nasze gospodarstwo,” rzekł Tomek, wskazując na zasiane lany, po drugiej stronie strumyka. Dostajemy po kawałku gruntu i obrabiamy go według woli. Różne są rzeczy do wyboru, ale zmieniać nie można, póki ziemia nie wyda plonów.”

„Cóżes ty wybrał na ten rok?”

„Fasolę, bo najłatwiejsza do hodowania.

Alfred nie mógł się wstrzymać od śmiechu, gdy Tomek zsunął kapelusz na tył głowy, ręce włożył do kieszeni i żywcem naśladował parobka Silasa.

„Nie masz się z czego śmiać: fasola jest dużo łatwiejsza, niż pszenica lub kartofle. Przeszłego roku odważyłem się na melony, ale i uprawa ziemi bardzo

była kłopotliwa i owoce nie chciały dojrzewać, aż do samych mrozów. Wszystkiego miałem tylko jednego melona i dwa arbuzy,” rzekł Tomek.

„Pszenica ładnie wygląda, jak rośnie,” odezwał się Alfred.

„Prawda, ale trzeba ją często skopywać; tymczasem fasolę skopiesz raz lub dwa, a jednak prędko dojrzewa. Wyprobuję ją w tym roku; pierwszy się z tém odezwałem, więc mi służyło prawo. Nadziany miał także ochotę na fasolę, ale po namyśle wybrał zwyczajny groch, gdyż trzeba go tylko obrywać. Niechaj obrywa, kiedy go tak dużo jé.”

„Ciekawym, czy ja także dostanę kawałek gruntu?” rzekł Alfred, któremu nawet najcięższa praca kolo uprawy ziemi, sprawiałaby żywą uciechę.

„Ma się rozumieć, że dostaniesz,” zawołał z dołu pan Bhaer, który wracając z przechadzki, poszedł ich tam poszukać: miał bowiem zwyczaj, co niedzielę pogawędzić z każdym z chłopców, żeby mu dać podniętę do pracy na następujący tydzień.

Sympatya jest dobrą rzeczą i w Plumfield dokonywała cudów: ponieważ chłopcy mieli przekonanie, że ojca Bhaer szczerze obchodzą, otwierali przed nim skorzej serca, niż przed kobietą. Starsi bardzo lubili rozmawiać z nim o swych nadziejach i zamysłach, jak mężczyźni z mężczyzną, — zwracając się instynktownie w razie choroby lub zmartwienia do pani Ludwika, — której znów malcy spowiadali się z wszystkiego, jak przed matką.

Tomek spuszczaając się z gniazda, wpadł w strumyk, ale przyzwyczajony do tego, podniósł się z zimną krwią i poszedł do domu, by obeschnąć. Alfred pozostał więc sam na sam z panem Bhaer, który ujął go sobie zupełnie, gdyż darował mu kawałek gruntu do

uprawy i tak poważnie mówił o spodziewanych plonach, jak gdyby utrzymanie całego domu od nich zależało. Z tego przedmiotu przeszł do wielu innych, i Alfredowi dużo nowych i pożytecznych myśli przybyło do główki, a przyjmował je z taką skwapliwością, jak spragniona ziemia pochłania ciepły deszczyk wiosenny. Przez cały czas wieczery rozważał słowa zannego profesora, wpatrując się weń często, jak gdyby chciał powiedzieć: „Podobała mi się ta rozmowa i chciałbym więcej takich.“ Nie wiem, czy pan Bhaer zrozumiał tę niemą prośbę dziecka, lecz gdy się wszyscy zebraли wieczorem na niedzielną gawędę do pokoju pani Ludwika, wybrał przedmiot, który widocznie nasunęła mu przechadzka wśród łąnów, nad strumykiem.

Rozglądając się do koła, mogło się zdawać Alfredowi, że jest raczej wśród licznej rodziny, aniżeli w zakładzie naukowym. Chłopcy umieścili się szerokiemi półkolem przy kominku: niektórzy na krzesłach, inni na dywanie. Stokrotka i Adaś siedzieli na kolanach u wuja Fritza, a Robcio schował się cichutko za matkę na fotelu, gdzie mógł drzémać pokryjomy, skoro się rozmowa stawiała niezrozumiałą. Każdy zdawał się zadowolony z miejsca i słuchał uważnie, gdyż daleka przechadzka czyniła wypoczynek pożądanym; zresztą, trzeba było być trzeźwym i przygotowanym na zapytania.

„Dawno, dawno już temu, pewien doświadczony ogrodnik miał taki duży i piękny ogród, jakiego nikt nie widział. Pracował też nad nim pilnie i uprawiał różne doskonale i pożyteczne rzeczy. Ale chwast zakradł się nawet tam; grunt był zły miejscami i dobre ziarna nie chciały kiełkować. — Miał on dużo ogrodników do pomocy, niektórzy wiernie pełniąc

obowiązki, zasługiwali na hojne wynagrodzenie, jakie im dawał, lecz inni zaniedbywali części wyznaczone im do uprawy. Chociaż był z nich niezadowolony, nieustając jednak w cierpliwości, pracował on tysiące lat, i wyczekiwał obfitego plonu.“

„Musiał być bardzo stary,“ odezwał się Adaś, wpatrując się bacznie w wuja, żeby nie stracić ani słowa.

„Cicho, Adasin, to czarodziejska bajka,“ szepnęła Stokrotka.

„Mnie się zdaje, że to arregorya,“ odrzekł Adaś.

„Co to jest arregorya?“ zapytał badawczy Tomek.

„Odpowiedz mu, Adasiu, jeżeli potrafisz, i nie używaj wyrazów, których znaczenia nie jesteś pewien,“ odezwał się pan Bhaer.

„Ja wiem, bo mi dziadunio powiedział. Arregorya to bajka lub opowieść, mająca jakieś przenośne znaczenie. Moja „Powieść bez końca“ jest z rzędu takich, dla tego, że dziecko wyraża w niej duszę. Prawda, ciociu?“ wykrzyknął Adaś, chcąc koniecznie dowieść, że dobrze mówi.

„Tak, mój drogi, opowieść wuja także jest allegoryą, pewna tego jestem; wsłuchuj się więc pilnie i staraj się odgadnąć jej znaczenie,“ odparła pani Ludwika, biorąca we wszystkiem niemniej żywy udział, jak chłopcy.

Adaś uciszył się, a pan Bhaer mówił dalej poprawną angielszczyzną, gdyż od lat pięciu zrobił wielkie postępy i przypisywał je swym wychowawcom.

„Pewnego razu, ów ogrodnik dał kilkanaście kwater jednemu ze swych pomocników z zaleceniem, aby próbował bacznie, co się da na nich najkorzystniej uprawiać. Sluga ten nie był ani bogaty, ani mądry,

ani nawet bardzo dobry, ale ponieważ chciał być użytecznym, żeby się odwdziżyć zacnemu ogrodnikowi za różne dowody życzliwości, chętnie wziął się zatem do pracy. Kwaterki były rozmaitego kształtu i rozległości: jedne miały dobrą ziemię, inne nieco kamienistą, — a wszystkie potrzebowały wielkich starań, bo w żyznym gruncie chwast rozrastał się szybko, a w jałowym dużo było kamieni.“

„Co tam rosło prócz chwastu i kamieni?“ zapytał Alfred tak rozeźkowany, że się najpierwszy odezwał, pomimo zwykłej nieśmiałości.

„Kwiaty,“ odrzekł pan Bhaer, mile nań spoglądając. „Nawet najbardziej zaniedbana grządka wydawała choć trochę bratków i gwoździków. Na jednej z nich rosły róże, groszek pachnący i stokrotki.“ Tu uszczypał pulchne policzki dziewczynki, opartej o jego ramię. „Na drugiej były rzadkie krzewy, wino pnące się i różne nasiona poczynające kielkować, bo widzącie tę grządkę uprawiał doświadczony ogrodnik, który całe życie pracował nad podobnymi ogrodami.“

Posłyszawszy ten ustęp arregoryi, Adaś przechylił główkę, jakby ciekawy ptaszek, i widocznie coś podejrzuwając, miał się odtąd na baczności; ale pan Bhaer nie zdradził się z niczem, wodził tylko okiem po młodych słuchaczach, a poważny i głęboki wyraz jego twarzy bardzo był znaczący dla żony, która wiedziała, jak on gorąco pragnie uprawić należycie te grządki.

„Jakem już wyżej powiedział, niektóre z owych grządek łatwe były do uprawienia, czyli do pielegnowania, moja Stokrotko, a inne kosztowały wiele trudu. Jedna z nich była bardzo słoneczna i mogła wydawać mnóstwo owoców, jarzyn i kwiatów, byleby kto nad nią popracował. Gdy ów ogrodnik zasiał na niej,

przypuśmy — melony, obróciły się w niwecz, dla tego, że ogrodniczek nie czuwał nad nimi, tłumacząc się zawsze tém, że „zapomniał.“

Tu powstał ogólny śmiech i wszyscy spojrzeli na Tomka, który na wzmiankę o melonach wyteżył słuch, ale usłyszawszy swą ulubioną wymówkę, spuścił głowę ze wstydem.

„Wiedziałem, że to o nas mowa!“ zawołał Adaś klaszcząc w ręce. „Prawda, wuju, że ty jesteś tym ogrodnikiem, a my ogrodnikami?“

„Zgadłeś! A teraz każdy mi powie, jakie ziarno, w nim zasiać téj wiosny, żeby mieć obfite plony jesienią, z moich dwunastu, — a raczej trzynastu, — lanów,“ rzekł pan Bhaer, spoglądając na Alfreda.

„Grochu ani fasoli nie można w nas siać, chyba że pan chce, byśmy dużo jedli i utyli,“ odezwał się Nadziany, i ta rozkoszna myśl ożywiła nagle jego martwą, okrągłą twarz.

„Wuj nie o takich mówi nasionach, tylko o rzeczach, które mogą nas doskonalić; a chwast znaczy wady,“ zawołał Adaś, zabierający zwykle głos w podobnych rozmowach, miał w nich bowiem wprawę i upodobanie.

„Zastanówcie się, czego wam najbardziej trzeba, a potem każdy mi powie swoje życzenia, ja zaś dopomogę, żeby się przyjęło ziarno; ale musicie także sami dokładać starań, bo inaczej stanie się z wami to, co z melonami Tomka: — będą same liście, bez owocu. Zaczynając od starszych, zapytam się matki, co pragnie mieć na swój grządce, bo wszyscy stanowimy części tego ogrodu i możemy być obfitem żniwem dla naszego Pana, jeżeli go będziemy dostatecznie kochali,“ rzekł ojciec Bhaer.

„Jabym poświęciła cały swój grunt uprawie cierpliwości, bo mi jój najbardziej potrzeba,“ rzekła pani Ludwika tak poważnie, iż chłopcy zamysłili się nad tém szerze, co powiedzą, skoro na nich przyjdzie kolej. Niektórzy doznali wyrzutów sumienia, że z ich powodu wyczerpał się tak prędko jój zapas téj enoty.

Franz pragnął hodować wytrwałość, Tomek stanowczość, Antos dobry temperament, Stokrotka pracowitość, Adaś taką mądrość, jak dziadunia, Alfred zaś nieśmiało odezwał się, że mu brakuje tylu rzeczy, iż prosi, żeby pan Bhaer uczynił zań wybór. — Imni prawie tych samych zalet pragnęli, a cierpliwość, dobry temperament i szlachetność, zdawały się ulubionymi ich płodami. — Jeden z chłopców życzył sobie polubić ranne wstawanie, ale nie wiedział, jakby nazwać ten gatunek ziarna, a biedny Nadziany rzekł z westchnieniem:

„Jabym chciał, żeby mi lekeje tak przypadały do smaku, jak obiady; ale to jest niemożliwe.“

„Zasiejemy wyrzeczenie się siebie i gdy je będziesz obkopywał i polewał, tak ładnie wyrośnie, że na przyszłe święta Bożego narodzenia, już nie zachorujesz na niestrawność. Pracuj nad umysłem, mój Jerzy, to się stanie tak łakomym jak ciało i może nie-mniej polubisz kiedyś książki, jak ten mój filozof,“ rzekł pan Bhaer i odgarniając Adasiowi z pięknego czola włosy, dodał: „I tyś łakomy, mój synu, bo tak napelniasz sobie głowę czarodziejskimi bajkami, jak Jerzy nadziewa żołądek ciastem lub cukierkami. Jedno i drugie jest złem, i chciałbym, żebyście sprbowali czegoś lepszego. Arytmetyka jest o połowę mniej przyjemną, jak „Noce arabskie“, ale to bardzo pożyteczna rzecz i radzę ci uczyć się jój, żebyś potem nie potrzebował wstydić się i żałować.“

„Wszakże powieść „Henryk i Lucyja“ nie jest czarodziejską bajką, i pełno w niej wzmianek o barometrach, o cegle, o kuciu koni i o różnych pożytecznych rzeczach, a jednak mnie zajmuje; — prawda, Stokrotko?“ zapytał Adaś, przejęty swoją obroną.

„Może być; ale cię częściej zastaję nad czarodziejską bajką, niż nad książką tego rodzaju. — Zrobię dziś umowę z wami dwoma: Jerzy będzie jadł tylko trzy razy dziennie, ty przeczytasz nie więcej, jak jedną książkę tygodniowo, a ja wam daruję nowy plac do krykieta; tylko mi przyrzeczcie, że będzie grywać,“ rzekł wuj Fritz nalegająco, gdyż Nadziany miał wstręt do ruchu, Adaś znowu spędzał na czytaniu wszystkie wolne godziny.

„Kiedy nie lubimy krykieta,“ rzekł Adaś.

„Może teraz, bo wam ta gra jeszcze nieznana. Zresztą, wszakże miło wam będzie używać tego placu innym chłopcom.“

W ten sposób trafił im do przekonania i zgodzili się na układ, ku uciechu całej gromadki.

Jeszcze gawędzili trochę o swych robotach ogrodniczych, poczem nastąpił chorałny śpiew. Pani Bhaer przygrywała im na fortepianie, Franz na fletrowersie, professor na wiolonczeli, Alfred zaś na skrzypcach. Był to bardzo skromny koncert, ale sprawiał wielką przyjemność całemu gronu, i nawet stara Azya, siedząca w kącie, odzywała się czasem najśłodszy głosem ze wszystkich, — bo w tym domu pan i sługa, stary i młody, murzyn i biały, brali udział w niedzielnym śpiewie, wznoszącym się do Ojca powszechnego.

Gdy chór umilkł, pan Bhaer uściślił wszystkim ręce, a pani Ludwika pocałowała każdego: od szesnastoletniego Franza, aż do małego Robcia, który

zwykł ją całować w koniec nosa, — poczem rozeszli się na spoczynek.

W dziecięcej sypialni przytłumione światło lampy padało na obraz wiszący nad łóżkiem Alfreda. Było ich więcej na ścianach, ale mu się zdawało, że ten musi mieć jakieś szczególne znaczenie, bo go okalała śliczna rama z mehu i szyszek, a u spodu, na haczyku wisiała doniczka, pełna leśnych kwiatów. Obraz ów był najpiękniejszy ze wszystkich, i Alfred wpatrywał się weni z wielką ciekawością.

„To moja własność,“ odezwał się miłym głosem Adaś, który właśnie w nocnej koszulce, chodził do cioci Ludki, po plasterek do skaleczonego palca.

„Co on robi tym dzieciom?“ zapytał Alfred.

„To Chrystus, Bóg - Człowiek: błogosławi dzieci. Czy nie o nim nie wiesz?“ zapytał Adaś z zdziwieniem.

„Niewiele; ale chciałbym wiedzieć coś więcej, bo ma taką miłą twarz,“ odpowiedział Alfred, który dotąd słyszał prawie w ten czas tylko o Bogu-Człowieku, skoro kto wzywał imienia Jego nadaremno.

„Ja wszystko o nim wiem i bardzo mi się ta historia podoba, bo jest prawdziwa,“ rzekł Adaś.

„Kto ci ją opowiedział?“

„Dziadunio; on wie wszystko i opowiada najpiękniejsze rzeczy w świecie. Jak byłem małym, to m się bawił zwykle jego wielkimi księgami i robiłem z nich mosty, koleje żelazne i domy.“

„Ile masz teraz lat?“ zapytał Alfred z poszanowaniem.

„Skończę niedługo dziesięć.“

„Musisz umieć dużo rzeczy, prawda?“

„Tak; sam widzisz, że mam wielką głowę i dziadunio mówi, że trzeba dużo wiadomości żeby ją napelnić, więc zbieram je skrzętnie,“ odparł Adaś swym spokojnym tonem.

Alfred roześmiał się, ale po chwili rzekł poważnie:

„Proszę cię, opowiedz mi co.“

Idąc za jego prośbą, Adaś z przyjemnością zaczął opowiadać, bez przecinków ani punktów: „Znalazłem raz ładną książkę, którą chciałem się pobawić, ale dziadunio zabronił i sam pokazywał mi obrazki, opowiadając o nich. Bardzo mi się podobały te historie: o Józefie i jego złych braciach, o żabach, co się wydobyły z morza, o Mojżeszku puszczoneym na wodę, i o wielu innych pięknych rzeczach, ale ze wszystkich najlepiej przypadła mi do smaku historia o Bogu-Człowieku. Dziadunio tyle razy mi ją opowiadał, że ją umiem na pamięć i dał mi ten obraz, żeby m jój nie zapomniał. Jakem raz bardzo chorował, powieszono mi go tutaj, i odtąd pozostał dla innych chorych chłopców, żeby mu się przyglądali.“

„Dla czego on błogosławił te dzieci?“

„Bo je kochał.“

„Czy były biedne?“ spytał Alfred, wpadając w zadumę.

„Tak mi się zdaje: patrz, niektóre są prawie nagie i matki ich nie wyglądają na wielkie panie. On kochał ubogich i bardzo był dla nich dobrym. Wyświadczał im wiele dobrego, wspomagał ich i nauczał bogaczy, żeby się nie obchodzili z nimi srogo. Oni go też kochali bardzo a bardzo!“ zawołał Adaś z zapalem.

„Czy on sam był bogaty?“

„O nie! Urodził się w stajence i tak był biedny, że gdy dorósł, nie miał domu, gdzieby mógł mieszkać i czasami nie miał co jeść, póki go kto nie wspomógł. Chodził po świecie głosząc nauki, nawracając na dobrą drogę, aż go wreszcie źli ludzie umęczyli na śmierć.“

„Za co?“ spytał Alfred i usiadł na łóżku, aby lepiej widzieć i słyszeć, tak go zajął Bóg-Człowiek, który dbał o biednych.

„Opowiem ci to wszystko: ciocia Ludka nie będzie się gniewać,“ rzekł Adaś i usiadł na przeciwległym łóżku, rad że może opowiadać swą ulubioną historię.

Dozorczyni zajrzała, czy Alfred usnął, ale zobaczywszy co się dzieje, wymknęła się po cichu do pani Bhaer i z macierzyńskim wzruszeniem na pocziw jej twarzy, powiedziała:

„Czy droga pani zechce zobaczyć coś pięknego? Oto Alfred wsłuchany całą duszą w Adasia, który jak prawdziwy aniołek opowiada mu historię o dzieciątku Jezus.“

Pani Bhaer umyśliła pójść i pomówić chwilę z Alfredem, zanim uśnie, bo się już nieraz przekonała, że poważne słowo powiedziane w takiej chwili, często sprawia dużo dobrego. Ale gdy zobaczyła, zakradłszy się do drzwi, jak Alfred cheiwie polyka wyrazy przyjaciela, podczas kiedy tenże stłumionym głosem opowiada słodką i wzniosłą historię, jak go jój nauczono, i piękne oczy wlepia w luby wizerunek wiszący na ścianie, poczuła lzy i po cichu odeszła, mówiąc sobie:

„Adaś bezwiednie będzie pomocniejszy temu biednemu chłopcu, aniżeli ja, nie chcę więc psuć jego dzieła, ani jednym słówkiem.“

Szept dziecięcych głosów przeciągał się długo: jedno niewinne serce udzielało drugiemu ważnej nauki

i nikt im nie przerywał. Gdy po ucieszeniu się wreszcie tej rozmowy, pani Bhaer weszła żeby zabrać lampę, Adasia już nie było, Alfred zaś usnął z twarzą zwróconą ku obrazowi, jak gdyby się już nauczył kochać Boga-człowieka który miłował dzieci, i był wiernym przyjacielem ubogich. Twarzyczka chłopca była bardzo spokojna, i pani Ludwika pomyślała, że jeżeli takie skutki pozostawił jeden dzień starań i serdeczności, to rok cierpliwej uprawy z pewnością może przynieść bogate plony na tej zaniedbaniej grządce, w której już zasiał najlepsze ze wszystkich ziarn, ten mały apostoł, w nocnej koszulce.

Rozdział czwarty.

Stopniowe postępy.

W poniedziałek rano Alfred wszedł zalekniony do klasy, przewidując że się będzie musiał zdradzić przed kolegami ze swą ciemnotą; ale pan Bhaer wyznaczył, mu miejsce we framudze od okna, gdzie się mógł odwrócić od chłopców, i Franz wysłuchał go tam lekezy; nikt więc nie słyszał jego mylnych odpowiedzi, i nie widział kleksów na kajecie. Szczerze był wdzięczny Alfred za to i pracował tak pilnie, że profesor zobaczywszy jego rozpaloną twarzyczkę i palce pomazane atramentem, powiedział uśmiechając się:

„Nie pracuj tak ciężko, chłopcze, bo się zmęczysz, a czasu jest dosyć przed tobą.“

„Muszę ciężko pracować, żeby dogonić kolegów. bo oni umieją dużo, a ja zgola nic,“ rzekł Alfred.

„Owszem, umiesz bardzo wiele rzeczy, całkiem im

nieznanych," powiedział pan Bhaer siadając obok niego, podczas gdy Franz uczył młodszą dżiwę, tabliczki mnożenia.

"Doprawdy?" spytał Alfred z niedowierzaniem. "Tak, mój chłopcze; umiesz na przykład opanować swój temperament, a Jakubek który w prawdzie biegłym jest w rachunkach, tego znów nie potrafi. Jest to ważna umiejętność, i zdaje mi się że ją gruntownie posiadasz. Dalej, potrafisz grać na skrzypcach, tego również żaden z twoich kolegów nie umie — a co najważniejsze: szczerze pragniesz nauczyć się czegoś, co jest połową wygranej. Z początku życie wyda ci się tutaj trudnym, doznasz nieraz zniechęcenia, — lecz jeżeli wytrwasz w pracy, będzie się stawało coraz łatwiejszym."

Alfredowi twarz pałała, gdy słuchał wyliczania swych umiejętności; bo chociaż szereg był krótki, niezmiernie go to ucieszyło, że już coś ma na początek. "Prawda, że umiem opanować temperament, bo mnie ojciec biciem tego nauczył; prawda i to, że potrafię grać na skrzypcach, chociaż nie wiem gdzie jest zatoka Biskajska," pomyślał z uciechą, trudną do opisanja. Potem rzekł uroczyście i tak głośno, że aż Adaś usłyszał:

"Chcę się uczyć i będę dokładał starań. Nigdy nie chodził do szkoły, ale nie moja w tym wina; i jeżeli chłopcy nie będą mnie wyśmiewać, to mi tu będzie doskonale, boście tacy dobrzy dla mnie, ty i pani Bhaer."

"Nie będą się wyśmiewać, ale gdyby sobie który pozwolił, tobym... tobym... zakazał!" wykrzyknął Adaś, zapominając gdzie się znajduje.

Gdy około południa nauki zostały przerwane

wszyscy pobiegli na górę, dowiedzieć się, co tam słychać.

Pan Bhaer, mając przekonanie, że pożyteczniej będzie wskazać owego dnia, chłopcom, jak wzajemnie dopomagać sobie, niżeli im wykladać arytmetykę, — opowiedział przygody Alfreda, w sposób tak rzewny i zajmujący, że pocziwie dzieci obiecały mu być pomocą, mając sobie za zaszczyt udzielanie jój, młodzieńcowi tak pięknie grającemu na skrzypcach. To odwołanie się do nich, przyniosło pożądane owoce, i Alfred miał niewiele trudności do zwalczania, bo mu każdy ułatwiał pracę.

Ale póki nie nabrał więcej sił, wzbraniano mu wielkiego mozolu, i pani Ludwika obmyślała różne domowe rozrywki na czas, kiedy inni byli zajęci książkami. Najlepszym jednak lekarstwem było pielegnowanie ogródka; pracował też pilnie: najpierw uprawił ziemię, potem zasiał groch i pilnie śledząc jego wzrost, cieszył się każdym zielonym listkiem, każdą łodyżką. Żaden w świecie ogród nie był tak starannie skopywany, i pan Bhaer szczerze się obawiając, czy nasiona będą mogły kielkować z tego powodu, wyznaczał mu lekkie zajęcia przy kwiatkach lub truskawkach, gdzie się Alfred z takim przejęciem krzątał, jak rojące się wkoło niego pszczoły.

"Ze wszystkich twych nowych zdobyczy, najładniejszą mi się te podobają," mówiła pani Ludwika szczypiąc mu czerstwe policzki, niegdyś tak blade, — i klepiąc poplecach, dawniej przygarbionych, — a teraz już prostych prawie, skutkiem zdrowego zajęcia, dobrego pożywienia, i wydobycia się z biedy, która tak gnębi i przygniata.

W Adasiu miał Alfred przyjaciela, w Tomku opiekuna, a w Stokrotce osłodę w każdym strapieniu: bo

Mali mężczyźni.

choć te dzieci młodsze, były odeń, przez nieśmiałość lubił ich niewinne towarzystwo, a unikał głośniejszych zabaw starszych chłopców. Pan Artur Laurence nie zapominał o nim, i przysyłał mu ubranie, książki, nuty, serdeczne pozdrowienia, a od czasu do czasu przyjeżdżał zobaczyć jak mu się powodzi, albo go brał do miasta, na jakiś koncert. W takich razach, zdawało się Alfredowi, że jest w siódmym niebie: mieszkał bowiem w jego wspaniałym domu, obcował z jego piękną żoną i uroczą córeczką, zjadał smaczny obiad, i tyle zawsze zaznał uciech, że dniami i nocami marzył o nich i mówił.

Tak jest łatwo uszczęśliwić dziecko, że się żałoby, iż w świecie tak pełnym słonecznych promieni i powabnych rzeczy, mogą istnieć smutne twarzyczki, próżne rączki lub tęskne serduszka. Pod wpływem takiego to uczucia, państwo Bhaer zbierali każdą okruszynę, aby nią nakarmić gromadkę swych zgłodniałych wróbelków, — sami będąc bogaci, tylko w miłosierdzie. Wiele przyjaciółek pani Ludwiki, przysyłało jej odrzucone już swych dzieci zabawki, których naprawą zajmował się Alfred, bardzo zręcznym będąc do tego. Niejedno dżdżyste popołudnie spędził więc z flaszeczką gumy, z pudełkiem farb, i z nożem, — naprawiając meble, zwierzęta i różne gry, podczas kiedy Stokrotka stroiła poszarpane lalki. W miarę jak cacka zostawały przyprowadzone do kwitnącego stanu, chowano je w szufladzie przeznaczonej do ubierania choinki na Boże Narodzenie, dla biednych dzieci z okolicy; w taki bowiem sposób obchodzili chłopcy z Plumfield Narodzenie się Tego, który miłował ubogich i błogosławił małuczkich.

Adaś niezmordowanie czytywał i objaśniał Alfredowi swe ulubione książki, i niejedną miłą godzinę spędzili na stariej wierzbie, rozmawiając o Robinsonie kru-

zo, o nocach arabskich, lub o powieściach pani Edgeworth. To mu otworzyło nowy świat: zaciękawiony powieściami, prędko nauczył się czytać, a tak był dumny z tej umiejętności, że się obawiano, aby jak Adaś, nie wyszedł na móla.

W niespodziany zupełnie sposób pozyskał, Alfred jeszcze jedną pomoc: oto wielu chłopców zajmowało się tam handlem; państwo Bhaer wiedząc bowiem że jako ubodzy, będą kiedyś musieli pracą torować sobie drogę na świecie, pomagali im w zapewnianiu sobie niezależności. Tomek sprzedawał jajka swych kur; Jakubek spekulował na dostawie żywności; Franz pomagał panu Bhaer uczyć; Antoś wykonywał tokarskie roboty; Adaś budował młyny wodne lub maszyny własnego pomysłu, i obdarzał nimi chłopców, chociaż jako zbyt zawikłane, nie mogły się na nic przydać.

„Niechaj będzie mechanikiem, jeżeli zechce,“ mówił pan Bhaer. „Jak chłopiec ma rzemiosło w rękę, to już może być pewien niezależnego bytu. Praca jest rzeczą zbawienną, i jakiegokolwiek zdolności okażą moi chłopcy: do poezji czy do pługa, będą je uprawiać i pożytkować, o ile się tylko da.“

Gdy Alfred przybiegł zatem pewnego dnia, z rozognioną twarzą, i zapytał pana Bhaer:

„Czy mogę grać towarzystwu, które dziś urządza piknik w naszym lesie? Zapłacono by mi, a ja choćbym chciał zarabiać pieniądze, jak tamci chłopcy, nie mam innego sposobu, prócz grania na skrzypcach.“

Profesor odpowiedział chętnie: „Jdź, życzę ci dobrego powodzenia. To przyjemna, lekka praca, i rad jestem że ci się nadarzyła.“

Alfred skorzystał z pozwolenia i tak mu się powiodło, że przyniósł do domu dwa dollary, które pokazał z wielkim zadzwoleniem, opowiadając z zapalem

że mu bardzo wesoło czas przeszedł, że goście byli dlań łaskawi i obiecali często go wzywać.

„To daleko milsze zajęcie, niż grywanie na ulicach, bo wtedy nie dostawałem wcale pieniędzy, a teraz wszystkie przechodzą do moich rąk, i prócz tego bawię się doskonale. Wszedłem już w interesa, jak Tomek i Jakubek, co mię bardzo cieszy,“ rzekł Alfred, z dumą klepiąc stary pugilares, jak gdyby już był milionerem. Istotnie, wszedł „w interesa“, bo gdy lato nastąpiło, częste odbywały się pikniki, i był rozrywany. Pan Bhaer pozwalał mu korzystać z tego, ale z warunkiem żeby nie zaniedbywał lekcyi, i żeby towarzystwo było przyzwoite; tłumaczył mu bowiem, że każdemu jest potrzebna edukacya, chociażby skromna, i że pieniądze nie powinny go tam nigdy wabić, gdzie by znalazł pokusę do złego. Alfred w zupełności odpowiadał jego życzeniom, i przyjemnie było widzieć tego niewinnego chłopca, gdy odjeżdżał z wesołym orszakiem lub wracał do domu, wygrywając sobie, — zmęczony lecz wesoły, z uczciwie zarobionym groszem w jednej kieszeni, a z łakociami w drugiej, bo o Stokrotce i Teodorku nigdy nie zapominał.

„Będę póty składał pieniądze, póki nie kupię skrzypcy, a potem będę się już mógł sam utrzymywać, — nieprawda?“ rzekł pewnego razu, oddając panu Bhaeru dollary do schowania.

„Tak się spodziewam, mój Alfredzie; ale wpierw musisz wzmocnić zdrowie i przyuczyć się muzyki; wówczas pan Laurence obmyśli ci jaką posadę, a za kilka lat, wszyscy się zjedziemy, żeby cię usłyszeć grającego publicznie.“

Dzięki doznawanej zachęce i nadziejom jakie starano się w nim rozbudzić, życie splotało mu coraz łatwiej, miłej, i w muzyce robił takie postępy, że

profesor wybaczał mu nieco mniejsze przykładanie się do innych nauk; zwłaszcza iż wiedział, że każdy najlepiej to wykonywa, w czem ma upodobanie. Gdy zaniedbał jaką ważną lekcję, odbierano mu na jeden dzień, skrzypce i smyczek, — co dlań było największą karą.

Stokrotka miała wielki pociąg do muzyki, i szczególnie poszanowanie dla każdego co grał. Często ją więc zastawano siedzącą na wschodach pod drzwiami Alfreda, podczas gdy się oddawał ćwiczeniom. Sprawiało mu to wielką przyjemność i starał się grać jak najlepiej dla swęj niewidzialnej słuchaczki, która niechęć nigdy wejść do pokoiku, szyla na progu, lub bawiła się lalką, z wyrazem rozmarzenia na twarzy. Ciocia Ludwika zobaczywszy ją w tym stanie, myślała zazwyczaj „jakaż ona podobna do mojej Elżbietki!“ i odchodziła po cichu, by jej nawet swoją obecnością, nie zatruwać błogięj chwili. Alfred bardzo był przywiązany do pani Bhaer, ale jeszcze więcej do zacnego profesora, który z ojcowską troskliwością czuwał nad tym nieśmiałym, wątłym chłopcem, cudem wyratowanym z łódki, przez dwanaście lat niemiłosiernie miotanej na wzburzonym morzu życia. Anioł stróż musiał rozciągać opiekę nad biedakiem, bo chociaż ciało ucierpiało, dusza zdawała się nieuszkodzoną, i wydobyła się na ląd w stanie takiej niewinności, jak dziecię wyrwane z toni. Pewno zamilowanie w muzyce utrzymywało w nim błogi spokój, mimo otaczającej go dysharmonii, — przynajmniej tak dowodził pan Artur Laurence, a musiał być doświadczony w tym względzie. Bądź co bądź, ojciec Bhaer miał prawdziwą przyjemność w rozwijaniu przymiotów Alfreda i leczeniu go z wad, a nowy ten wychowanek okazywał się tak uległym

i kochającym, jak dziewczynka. Profesor nazywał go swoją „córką“ w rozmowach z żoną, która wyśmiewała go trochę za tę słabość, woląc chłopców z usposobieniem mężkiem, a nie słabem i lękliwem; ale mimo to pieściła go nienmiej niż Stokrotkę, i Alfred uważał ją za kobietę wyjątkowej dobroci.

Jedną tylko wadą niepokoił państwa Bhaer, chociaż wiedzieli że się musiała zrodzić z lękliwości i ciemnoty: oto kłamał niekiedy. Nie były to czarne kłamstwa, rzadko przechodziły kolor szary, a nawet często bywały bieluchnym żarciem, ale bądź co bądź kłamstwo jest zawsze kłamstwem, i chociaż wszyscy prawiny grzeczne nieprawdy na tym dziwacznym świecie, jest to rzecz naganna i każdy wie o tém.

„Nie możesz być nigdy dosyć uważający w tym względzie; czuwaj nad językiem, nad wzrokiem, nad ręką, bo łatwo jest dopuścić się nieprawdy mową, spojrzeniem i czynem,“ rzekł mu pewnego razu, pan Bhaer.

„Wiem że to rzecz naganna i nie chciałbym kłamać, ale zauważyłem, że daleko jest łatwiej radzić sobie w życiu nierachując się bardzo ściśle z prawdą. Dawniej dla tego kłamałem że się bałem ojca i jego towarzysza, a dziś kłamię, gdy się lękam, żeby mi chłopcy z czego nie wysmiali. Wiem że to jest złe, ale się zapominam,“ rzekł Alfred mocno zawstydzony.

„Ja także kłamałem będąc bardzo małym chłopczykiem, i jakem jeszcze kłamał! ale mię wyleczyła babunia. Zgadnij jakim też sposobem? Rodzice mię przestrzegali, lajali, karali, ale ja się ciągle zapomniałem, zupełnie tak samo jak ty; wówczas kochana babunia powiedziała „ja dopomogę twojej pamięci i poskromię cię grzeszny język.“ Mówiąc to, kazała

mi go wywieść, i koniuszeczki przycięła nożyczkami, aż do krwi. Możesz sobie łatwo wyobrazić jakie to było okropne; ale mi wyszło na dobre, bo czuł ból przez kilka dni, i każde słowo tak powoli wychodziło z ust, że ja mogłem należycie rozważyć. Odtąd byłem ostrożniejszy i z czasem poprawiłem się, bo mi się obawiał ogromnych nożyc. Jednak droga babunia była dla mnie najlepszą w świecie, i umierając daleko ztąd, w Norymberdze, — modliła się o to, żeby jej mały Fritz mógł kochać Boga i być prawdopodobnym.“

„Ja nie znalazłem swojej babki, ale jeżeli pan myślisz że toby mię wyleczyło, pozwól sobie przyciąć język,“ rzekł Alfred z bohaterską odwagą, bał się bowiem bólu, ale z drugiej strony, szczerze pragnął pozbyć się szkaradnej wady.

Pan Bhaer z uśmiechem potrząsnął głową i rzekł:

„Mam jeszcze lepszy i wypróbowany sposób: jak skłamiesz, to nie ja ciebie ukarzę, lecz ty mnie.“

„A to jak?“ zawołał Alfred przestraszony tym pomysłem.“

„Wyćwiczysz mię porządnie. Ja sam wprawdzie rzadko biję, ale może ci lepiej utkwi w pamięci ból zadany mnie, aniżeli samemu sobie.“

„Ja, miałbym wybić pana! to niepodobna!“ wykrzyknął Alfred.

„Ha, to pamiętaj o swym grzesznym języku, bo choć nie mam ochoty na ból, gotówem go przecierpieć, jeżeli cię to wyleczy.“

Mowa jego uczyniła takie wrażenie na chłopcu, że przez długi czas stał na straży swego języka, i ściśle pilnował się prawdy, gdyż pan Bhaer trafnie osądził, że więcej uczyni z przywiązania, niż z obawy o siebie. Ale niestety! pewnego dnia zapomniał się znowu, i skoro Emil gniewnie zagroził, że go zbije, jeżeli

się przekona że, to on mu stratował najpiękniejsze zboże, Alfred zapewniał, że nie był na jego gruncie, a potem ze wstydem musiał przyznać, że istotnie umykał tamtędy, przed goniącym go Jakubkiem.

Alfred miał nadzieję, że się o tém nikt nie dowie; ale przypadek zdarzył, że go zobaczył Tomek i wydał, w parę dni później, gdy Emil wspomniał o swém podejrzeniu. Lekcyje już były wówczas skończone, i wszyscy uczniowie stali w sieni, a pan Bhaer usiadł na wyplatanej krzeselku, żeby pogłować z Teodorkiem. Skoro usłyszał jednak te słowa i dostrzegł zarumienioną i przestraszoną twarz Tomka, spuścił malca z kolan, mówiąc: Jdź do matki; ja także tam niezadługo nadejdę,“ poczem wzięwszy Alfreda za rękę, poprowadził do klasy, i zamknął drzwi.

Chłopcy przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu; potem Tomek wymknął się, i zajrzał tam przez szparę od okiennicy; wówczas uderzył go taki widok, że o mało nie stracił przytomności: oto pan Bhaer zdejmował z nad biurka długą dyscyplinę, tak rzadko używaną, że porosła kurzem.

„Boże mój! on się porwie na Alfreda! ach, żałuję żem to powiedział!“ myślał pocziwy Tomek, bo dyscyplina była największą karą w tym zakładzie.

„Pamiętasz com ci wówczas mówił?“ rzekł profesor bez gniewu, lecz smutno.

„Pamiętam, ale przez litość nie zmuszaj mię pan, bo nie mógłbym się nigdy na to zdobyć!“ zawołał Alfred, cofając się ku drzwiom zprzestrachem na twarzy i schował obie ręce za siebie.

„Ach czemuż on nie przecierpi mężnie téj kary! jabyłem zupełnie inaczej postąpił,“ pomyślał znów Tomek, chociaż mu serce mocno biło.

„Ja, — muszę dotrzymać; a ty, — musisz się stać

prawdomównym; usłuchaj więc, weź dyscyplinę i uderz silnie, sześć razy.“

Tomek był tak zalekniony, że o mało nie padł na ziemię; ale się mocno uczeplił ramy od okna i patrzył dalej zprzerażeniem. Gdy się pan Bhaer odezwał takim tonem, każdy rad nie rad, musiał usłuchać; Alfred wziął zatem dyscyplinę, i z twarzą tak zaleknioną i skruszoną, jak gdyby go miał zasztyletować, słabo uderzył dwa razy w szeroką dłoń, poczem spojrział zamglonemi od łez oczami; lecz pan Bhaer rzekł stanowczo: „

„Bij jeszcze, a mocniej.“

Widząc że niema rady i że lepiej rzecz tę przedko zakończyć, Alfred przetarł rękawem oczy, i uderzył dwa mocne razy, od których wprawdzie ręka poczerwieniała, ale on sam poczuł daleko większy ból.

„Czy już dosyć?“ zapytał ze łzami w głosie.

„Jeszcze dwa razy,“ odparł pan Bhaer. Uderzył go zatem dwukrotnie, prawie niewidząc gdzie pada dyscyplina; potem uściskał zaciętą rękę, oparł na niej twarz i łkał, porwany miłością, wstydem i skruczą.

„Nie zapomnę tego nigdy, nigdy!“ zawołał. Pan Bhaer położywszy wówczas rękę na jego ramieniu, rzekł już nie surowo, lecz ze współczuciem:

„Wierzę temu: — Proś miłosiernego Boga żeby ci dopomógł i staraj się, byśmy już obaj nie zaznali nic podobnego.“

Tomek już nie więcéj nie zobaczył, bo się wymknął do sieni, gdzie wpadł z tak rozognioną i wylekłą twarzą, że go chłopcy otoczyli wypytując, co się stało z Alfredem? Gdy opowiedział po cichutku to wszystkim, oniemieli na chwilę z zadziwienia.

„On i mnie zmusił raz do tego,“ odezwał się na-

reszcie Emil takim tonem, jak gdyby się spowiadał z najczarniejszej zbrodni.

„Wybilesz go? pocziwy ojciec Bhaer! chciałbym widzieć żebyś się teraz dopuścił tego!“ odezwał się Antoś i uniesiony słusznym gniewem, porwał go za kołnierz.

„To już takie dawne rzeczy! Teraz dalbym sobie raczej głowę uciąć, niżelibym to uczynił,“ odpowiedział Emil i wziął go przyjaźnie na barki, zamiast zbić, co byłby sobie poczytał za obowiązek, w każdym innym razie.

„Jakoś ty mógł to zrobić?“ odezwał się Adaś zprzestrachem.

„Obłąd mię ogarnął; zdawało mi się że to nietylko przykrém nie będzie, ale mi nawet przyjemność sprawi; lecz skorom raz mocno uderzył, przyszło mi na myśl wszystko co uczynił kiedykolwiek dla mnie i nie mogłem bić dłużej. Gdyby mię był nawet rzucił o ziemię i deptał nogami, nie byłbym miał żalu, tak się czułem niegodziwym.“ Mówiąc to, uderzył się Emil mocno w piersi, na znak skruchy za przeszłość.

„Nie wspominajmy już Alfredowi ani słowa o tém zajściu, bo szłocha i nie może się utulić z żalu,“ odezwał się pocziwy Tomek.

„Ma się rozumieć że tak zrobimy; ale czy kłamstwo nie jest okropną rzeczą?“ rzekł Adaś, któremu ten występki wydawał się tém strasznější, że nie winowajca, lecz ukochany wuj Fritz, wycierpiał karę.

„Rozejdźmy się ztąd, żeby Alfred mógł swobodnie pójść na górę, jak zechce,“ rzekł Franz, i najpierwszy zmierzzył ku szopie, gdzie się zwykle chronili w burzliwych chwilach.

Alfred nie zszedł na obiad, ale mu go zaniósł

na górę pani Ludwika, i powiedziała parę życzliwych słów, które sprawiły mu ulgę, chociaż nie śmiał nawet spojrzeć na nią.

Usłyszawszy po niejakić chwili skrzypce, mówili chłopcy między sobą: „Już się uspokoił,“ wprawdzie przyszedł już nieco do siebie, ale nie miał odwagi zejść nadół. — Gdy go nareszcie opanowała ochota wymknąć się do lasu, zastał za drzwiami od swego pokoju Stokrotkę, siedzącą bez robótki i bez lalki, tylko z chusteczką w ręczce, jak gdyby płakała nad losem ukochanego jeńca.

„Czy wybierzesz się ze mną na przechadzkę?“ zapytał z taką miną, jak gdyby nie nie zaszło, ale w duchu wdzięczny za nieme współczucie, gdyż wyobrażał sobie, że wszyscy będą nań patrzeć jak na zbrodniarza.

„Chętnie! zawołała Stokrotka; poczem pobiegła po kapelusz, dumna że jeden ze starszych chłopców wybrał ją na towarzyszkę.

Gromadka bawiąca się na dole widziała gdy wyszli, ale nikt nie przystąpił, bo chłopcy mają daleko więcej delikatności, niż się im powszechnie przypisuje. Przytém czuli oni instynktownie, że w złej chwili, stokrotka dla każdego z nich byłaby najpożądanszą przyjaciółką.

Przechadzka sprawiła wielką ulgę Alfredowi i wrócił do domu wprawdzie cichszy niż zwykle, ale z rozpodgoną już twarzą, i obwieszony wieńcami ze Stokrotek, które mu wila mała towarzyszka, podczas gdy jój opowiadał historie.

Nikt się nie odezwał ani jedném słowem o ranném zajściu, lez może z téj przyczyny właśnie, skutek był trwalszy. Alfred czynił z siebie co mógł i znajdował wielką pomoc nietylko w szczerój modlitwie zanoszonej do Niebieskiego Przyjaciela, ale i w cierpliwej

pieczy ziemskiego opiekuna, którego zaczęj ręki nigdy nie dotknął, bez przypomnienia sobie, że dobrowolnie przecierpiała ból dla jego dobra.

Rozdział piąty.

Niespodzianka.

„Co ci to, Stokrotko?“

„Chłopcy nie chcą, żebym się z nimi bawiła.“

„Dla czego?“

„Mówią, że dziewczynka nie może grać w piłkę.“

„Może, kiedym ja dawniej grywała!“ odrzekła pani Bhaer śmiejąc się na wspomnienie swych młodocianych psot.

„Ja wiem że umiałabym, bom grywała dawniej z Adasiem, i szło nam wybornie; ale teraz wzbrania mi tego, żeby się chłopcy nie wysmiewali!“ powiedziała Stokrotka, zasmucona nielitościwem sercem brata.

„Kto wie czy nie ma słuszności, moja droga? Gdyby was było tylko dwoje, toby uszło; ale grać z dwunastu chłopakami, wcale niestosowne dla ciebie. Obmyślę ci za to inną, ładną grę.“

„Już mi się tak znudziło bawić się samą,“ żałośnie odrzekła Stokrotka.

„Pobawię się z tobą później, ale teraz muszę przygotować różne rzeczy, bo się wybieram do miasta. Zabiorę cię z sobą, więc zobaczysz Mamę, a nawet będziesz mogła zostać uniej.“

„Chętnie pojedę zobaczyć Mamę i maleńką Józję, alebym wolała wrócić z ciocią, bo Adaś tęskniłby, i zresztą mnie tu jest dobrze.“

„Nie mogłabyś żyć bez swego Adasia, prawda?“ rzekła ciotka, i znać było, że doskonale pojmuje to przywiązanie do jedyne go braciszka.

„Ma się rozumieć; jesteśmy bliźniętami, więc się kochamy bardziej, niż inni ludzie,“ odparła Stokrotka z rozjaśnioną twarzyczką, gdyż zdawało jej się, że nie ma większego zaszczytu, jak być od bliźniąt.

„Cóż ty będziesz robiła ze swoją osóbką, podczas gdy ja krzątać się będę?“ spytała pani Bhaer, spieszenie przerzucając starą bieliznę w garderobie.

„Nie wiem; lalki tak mi się już znudziły! chciałabym żeby mi ciocia wynalazła inną zabawkę,“ odrzekła Stokrotka, bujając machinalnie drzwiami.

„Obmyślę nowinutkę, ale mi to zajmie dosyć czasu, więc idź teraz zobaczyć, co Azya przyniosła na śniadanie,“ rzekła pani Bhaer w nadziei, że to zatrudni chwilowo przynajmniej, tę małą zawadę.

„Dobrze, chciałabym tam posiedzieć, jeżeli się nie będzie gniewać.“ Odpowiedziała dziewczynka i z wolna podążyła do kuchni, gdzie murzynka Azya panowała samowładnie. W pięć minut, wróciła z kawałkiem zrobionego ciasta wręczce i z pomączonym noskiem.

„Ach ciociu! czy mogę robić imbiérowe i rozmaite inne ciastka? Azya się nie gniewa i nie wzbrania mi, a toby takie zabawne było! pozwól ciociu!“ szczebiotała Stokrotka jednym tchem.

„I owszem idź, rób co ci się podoba, i siedź póki zechcesz,“ odparła pani Ludwika z wielkiem zadowoleniem, gdyż nieraz trudniej było zabawić tę jedną panienkę, niż wszystkich dwunastu chłopców. Stokrotka pobiegła i podczas gdy się krzątała w kuchni, pani Bhaer suszyła sobie głowę nad jaką nową zabawką. Nagle, błysnęła jej widać pożądana myśl, bo uśmiechnąwszy się do siebie, zamknęła garderobę

i spiesznie wyszła, mówiąc: zrobię to, jeżeli się tylko da.“

Coby to było, nikt się tego dnia nie dowiedział; ale ciocia Ludce tak błyszczały oczy, gdy oznajmiła Stokrotce, że obmyśliła nową zabawką i zamierza ją kupić, że przejęta ciekawością, zarzucała ją pytaniami całą drogę do miasta, nieotrzymując jednak dokładnych odpowiedzi. Została w domu, żeby się nacieszyć matką i małą Józją, a ciocia Ludka wybrała się do sklepów i wróciła tak obładowana jakimiś dziwnymi paczkami, że Stokrotka, zdjeta jeszcze większą ciekawością, chciała czémprędzej jechać do Plumfield, żeby się przekonać, co się w nich znajduje. Cioci nie było jednak pilno, i bawiła długo w Mamy pokoju, a siedząc na podłodze z niemowlęciem na kolanach, rozśmieszała ją opowiadaniem różnych figli swych chłopców.

Stokrotka nie mogła pojąć kiedy ciocia wyjawiała tajemnicę przed jej Mamą, która jednak widocznie ją wiedziała, bo zawiązując kapelusz córeczce, pocałowała jej różową twarzyczkę, i rzekła: „bądź grzeczną moja Stokrotko i naucz się nowej i pożytecznej zabawki którą ciocia kupiła dla ciebie. Bardzo jest zajmująca, i tylko przez wielką dobroć będzie się ciocia nią bawić z tobą, gdyż jej sama nie lubi.“

Po tych słowach, obie panie serdecznie się rozśmiały, wzmagając tym jeszcze bardziej ciekawość Stokrotki. — Gdy konie ruszyły, w tyle koryolki zabrzęczało coś głośno.

„Co tam jest?“ zapytała Stokrotka, natężając słuch.

„Nowa zabawka,“ odrzekła poważnie ciocia Ludka.

„Z czego się ona składa?“

„Z żelaza, blachy, drzewa, miedzi, cukru, soli, węgla, i tysiąca innych rzeczy.“

„To dziwne; a jaką ma barwę?“

„Rozmaite.“

„Czy duża?“

„Częścią duża, częścią mała.“

„Czy widziałam już coś podobnego?“

„Nieraz, ale było — to mniej ładne.“

„Cóż to być może? Nie mogę już dłużej czekać! Ach kiedyż zobaczę!“ wołała Stokrotka, podskakując z niecierpliwości.

„Jutro rano, po lekcyach.“

„Czy to będzie także dla chłopców?“

„Nie, tylko dla ciebie i dla Beci; chłopcy będą jednak lubili widzieć to, i przyjmować pewien udział; ale przypuszczanie ich do tej zabawy, zależeć będzie od twój woli.“

„Jeżeli Adaś zechce, to się z nim podzielę.“

„Bądź pewna że wszyscy zechcą, a szczególnie też Nadziany,“ rzekła pani Bhaer, i ze śmiejącymi się oczami poklepała jakąś dziwną i dużą paczkę, którą trzymała na kolanach.

„Niechże i ja się dotknę, choćby jeden raz!“ zawołała błagalnie Stokrotka.

„Ani razu; zgadłabyś co to jest, i cała przyjemność obróciłaby się w niwecz.“

Stokrotka żałośnie westchnęła, lecz po chwili uśmiech rozjaśnił jej twarzyczkę, gdyż przez małą otwór w papierze, zobaczyła coś błyszczącego.

„Jakże ja mogę czekać tak długo! czy się to w żaden sposób nie da zrobić, żebym zobaczyła dzisiaj?“

„O nie; trzeba tę rzecz urządzić i poustawić różne przedmioty. Zresztą, obiecałam wujowi Teodorowi, że ci nie pokażę tego, aż będzie w należyтым porządku.“

„Kiedy wuj o tym wie, to musi być coś wspa-

niałego!“ zawołała Stokrotka klaszcząc w ręczki, bo ten śliczny wujaszek był tak dobry, jakby jaka chrześna matka z czarodziejskiej bajki i zawsze obmyślał wesołe niespodzianki, ładne dary i komiczne zabawy.

„Tak, wuj Teodorek kupował to zemną i takeśmy się ubawili w sklepie, dobiierając różne przedmioty! Ponieważ chciał, żeby wszystko było piękne i duże, mój planik przybrał wspaniałą postać, przy jego pomocy. Musisz go serdecznie ucałować, jak przyjedzie, bo to najlepszy wujaszek jaki istniał kiedykolwiek, i kupował K. o małym się nie wygadała!“ krzyknęła pani Bhaer niekończąc tego zajmującego wyrazu; poczem zaczęła przeglądać rachunki, jak gdyby z obawy, żeby niepowiedzieć więcej, niż potrzeba. Stokrotka załamała ręczki z cierpliwym poddaniem się i cichutko siedziała rozmyślając nad tem, jakiej zabawki nazwa, może się zaczynać od litery: K?

Zajechawszy przed dom, śledziła każdą paczkę wynoszoną z karyolki; jedna zwłaszcza, duża i ciężka, którą Franz prosto zabrał do swego pokoju, napęliła ją zdumieniem i ciekawością. Coś bardzo tajemniczego działo się popołudniu, bo Franz kuł młotem, Azya biegła z góry na dół, ciotka krzątała się, przynosząc różne rzeczy pod fartuszkami, podczas kiedy mały Theoderek, jedyny z dzieci którego tam przypuszczano, gdyż nie umiał jeszcze wyraźnie mówić, — szczebiotał, śmiał się i usiłował powiedzieć, że widział coś „piętnedo.“ To wszystko pozbawiało niemal przytomności Stokrotkę, a zgorączkowanie jej udzieliło się nawet chłopcom, którzy zamęczali matkę Bhaer narzucaniem swęj pomocy; ale im odpowiadała własnymi słowy ich do Stokrotki:

„Dziewczeta nie mogą się bawić z chłopcami.

To cacko jest dla Stokrotki, dla Beci i dla mnie, — a was wcale nie potrzebujemy.“

Musiła więc nareszcie ustąpić młoda kawalerya z pokorą, i prosiła Stokrotkę do zabawy w konie, w kregle, w piłkę, w co tylko zechce, — a to z tak nagłą serdecznością, z takiem ugrzeczniczeniem, że się jej niewinna duszyczka wydziwić nie mogła.

Dzięki téj uprzejmości, przetrwała jako tako popołudnie, weześnie poszła spać, a nazajutrz rano odrabiała lekye tak skwapliwie, że wuj Fritz byłby chciał, żeby jej codzień wymyślano jaką nową zabawkę. Cała gromadka doznała silnego wrażenia, gdy o jedenastój godzinie, Stokrotka została uwolnioną: bo wszyscy wiedzieli, że teraz otrzyma tę nową i tajemniczą zabawkę.

Dużo oczu śledziło ją, gdy schodziła na dół; Adasia zaś ogarnęło takie roztargnienie, że gdy Franz zapytał: „gdzie jest pustynia Sahara?“ żałośnie odrzekł: „w dzieciennym pokoju,“ i cała klasa wybuchnęła śmiechem.

„Ciociu, skończyłam już wszystkie lekye, i ani chwili dłużej nie mogę czekać!“ zawołała Stokrotka, wpadając do pokoju pani Bhaer.

„Wszystko już gotowe, możesz wejść,“ odrzekła ciotka, i wzięwszy Teodorka pod jedną pachę, a koszyk z robotą pod drugą, spiesźnie zaprowadziła ją na górę.

„Nie nie widzę!“ rzekła Stokrotka oglądając się dokoła, gdy się otworzyły drzwi od dzieciennego pokoju.

„A słyszysz co?“ spytała ciocia Ludka, przytrzymując za sukienkę Teodorka, który się wyrwał w jedną stronę pokoju.

Jakiś dziwny szczeł i jakby syczenie w kotle, wychodziły z poza firanki zawieszonęj przed głęboko wymalę mężczyźni.

wystającym oknem; Stokrotka odsunęła ją więc, wydała radosne „ach!“ a potem stała, z rozkosznym zdumieniem przypatrując się ... czemu? jak się wam zdaje?”

Pod oknem umieszczoną była duża podstawa na której, z jednej strony wisiało istota, mnóstwo różnych garnuszków, rynek, patelni i radelek, z drugiej mały serwis porcelanowy do obiadu i herbaty, w środku zaś był piec do gotowania; ale nie blaszany, bo na nie by się nie zdał — tylko z prawdziwego żelaza, i dosyć duży, aby wyprawić ucztę dla licznej gromady zgłodniałych lalek. Najlepsze ze wszystkiego było to, że się palił rzeczywisty ogień, że istotna para wychodziła z dziobka od maszyny do herbaty, i że przykrywa aż odskakiwała w górę, tak się gotowała woda. W miejscu jednej szyby szklanej, wprawiono blaszaną, z otworem na mały komin, i prawdziwy dym wychodził na dwór tak naturalnie, że przyjemnie było patrzeć. Skrzynka, z drzewem, i szaflik z węglami stały na boku, w górze wisiały ściereczka, szczotka i miotła; koszyczek do miasta stał na stoliku, służącym zazwyczaj Stokrotce do zabawy, a na poręczu jej krzeselka, wisiał biały fartuszek, i śliczny czépeczek. Słońce zaglądało ciekawie, jak gdyby je bawił ten widok, piecyk szumiał aż miło, kociołek wypuszczał parę, nowe blaszane naczynia błyszczały na ścianach, ładny serwis porcelanowy stał szeregiem: jednym słowem, była to tak ładna kuchenka, jakiej tylko mogło dziecko zapragnąć.

Po pierwszym wykrzyku, Stokrotka stała cichutko, ale oczki jej, żywo przenosząc się z jednego przedmiotu na drugi, błyszczały coraz bardziej; a gdy nareszcie spoczęły na uradowanej twarzy ciotki Ludki, uścisnęła ją, mówiąc:

„Ach ciotciu, jakaż to wspaniała zabawka! czy naprawdę będę mogła gotować w tym ślicznym piecyku, wydawać obiady, bale, i palić prawdziwy ogień? Jakże mi się to wszystko podoba! Co ciotci nasunęło tę myśl.“

„Twoja chęć do robienia ciasteczek, z Azją,“ odrzekła pani Bhaer, przytrzymując Stokrotkę, tak podskakującą, jak gdyby miała frunąć w górę. „Wiedziałam że ci Azja nie pozwoli gospodarować często w kuchni — i to byłoby nawet niebezpiecznym przy dużym ogniu — więcem sobie postanowiła wyszukać małą kuchenkę i nauczyć cię gotowania, żeby ta zabawka była połączoną z pożytkiem. Przeglądałam pilnie sklepy, ale wszystkie duże sztuki były drogie, i sądziłam już że mi wypadnie wyrzec się tej przyjemności, kiedy spotkałam wujka Teodorka. Dowiedziawszy się czego szukam, obiecał swą pomoc, i nie dał pokoju, pókim nie nabyła największej ze wszystkich kuchenek. Łajałam go za to, ale śmiało się i prześladował obiadem, którym ugotowała na jego przyjęcie, gdyśmy oboje byli bardzo jeszcze młodzi. Nareszcie, gdy poprosił, bym nie tylko ciebie, ale i Becię uczyła gotować — uległam i poszliśmy razem po różne smaczne rzeczy do moich „wykładów kuchennych,“ jak się wyraził.“

„To najładniejsza, najśliczniejsza kuchenka w świecie, i będę wolą uczyć się gotowania, niżeli innych lekcji. — Czy będę mogła robić torciki, ciasteczka, i makaroniki?“ wołała Stokrotka tańcząc w kółko pokoju, z nową patelnią w jednej ręce, i z obciążkami w drugiej.

„Wszystko nastąpi we właściwym czasie; ale ponieważ ta zabawka ma służyć do pożytku, więc ci muszę mówić, co i jak masz robić. Będziemy się zaopatry-

wać w wiktualy, i nauczysz się gotować, na małą skalę. Nazwę cię Salusią, bo niby-to będziesz nowo przybyłą służącą," dodała pani Ludwika, poczem wzięła się do roboty, Teodorek zaś siedział na ziemi z paluszkami w buzi, i z takim zajęciem wpatrywał się w Kuchenkę, jak gdyby to był żyjący przedmiot.

"Ach! jakże to będzie miło! Od czego mam zacząć?" zapytała Salusia, z tak uradowaną twarzą i gorliwą miną, że ciocia Ludka zapragnęła, że by wszystkie nowe kucharki były choć o połowę tak ładne i miłe.

"Przedewszystkiē ubierz się w czépeczek i w fartuszek. Trochę staroświecka ze mnie gospodyni, więc lubię, żeby kucharka była bardzo schludna."

Salusia ukryła loczki pod czépeczkiem, i fartuszek przypasała bez szemrania, chociaż zazwyczaj buntowała się przeciw bawetowi.

"Teraz, możesz wszystko poustawiać porządkie, i umyć nową porcelanę. Stary serwis także należy oczyścić, bo dawna służąca miała zwyczaj zostawiać go w smutnym stanie, po gościach."

Chociaż ciocia Ludka powiedziała to z wielką powagą, roześmiała się Salusia, wiedząc, że ona sama jest ową niedbałą dziewczyną. Potē zawięła rękawy i z rozkosznym uczuciem zaczęła się krzątać koło kuchni, unosząc się od czasu do czasu, to nad „mieluchnym wałeczkiem do ciasta," to nad „ślicznym szafliczkiem do zmywania naczyń," to nad „zgrabniutką pieprzniczką."

"Teraz moja Salusiu, weź koszyk i pójdz na targ; oto masz spis, czego mi potrzeba do obiadu," rzekła pani Ludwika, oddając jēj kawałek papieru, gdy nauczynia zostały uporządkowane.

"A gdzie jest targ?" zapytała Stokrotka, którēj ta

nowa zabawka wydawała się coraz bardziej zajmującą.

"U Azji."

W całej klasie doznano powtórnego wrażenia, gdy Salusia, pokazawszy się w nowym stroju, szepnęła do Adasia: „To przewyborna zabawka!"

Starą Azję bardzo to wszystko bawiło, i roześmiała się wesoło, gdy dziewczynka wpadła do pokoju w czépkę przekrzywionym na bakier i z koszyczkiem w ręce, trzepoczącym przykrywką, jak by kastanietami.

Moja pani, ciocia Ludka, żąda tych oto rzeczy: i muszę je dostać," rzekła Stokrotka z powagą.

"Pokaż kochanko, co tam napisane. Dwa funty mięsa, kartofle, groch, jabłka, chléb i masło. Mięsa jeszcze nie przyniesiono: jak je dostawią, to ci przyszlę na górę, a reszta jest tu, pod ręką."

Zapakowała więc Azja jeden kartofel, jedno jabłko, trochę grochu, po kawałku masła i ciasta, i zaleciła Salusi, żeby się pilnowała, bo chłopiec od rzeźnika umić czasami figle płać.

"Któż to jest?" spytała Stokrotka, w nadziei że to będzie Adaś.

"Zobaczysz," odrzekła zwięźle Azja; Salusia zaś odeszła, śpiewając sobie:

*) „Mabel, grzeczna dziewczyna,
Mabel, dziewczynka mała,
Miała butelkę wina,
I smaczne ciastka miała."

"Teraz włóż do spiżarni to wszystko, prócz jabłka," rzekła pani Ludwika, skoro kucharka wróciła do domu.

Pod środkową półką w kuchence, stała szafka;

*) Wiersze przekładu panny Maryi Kamińskiej.

otworzywszy drzwiczki, doznała Stokrotka nowego zachwytu: jedna połowa była widocznie przeznaczoną na piwnicę, bo nagromadzono w niej drzewo, węgle, i lucywa; w drugiej, stało pełno słoików, pudełek, i różnych zabawnych naczyń do maki, cukru, soli i wszelkich domowych zapasów. Były też i konfitury, piernik w blaszanym pudełeczku, sok porzeczkowy we flaszczyce od wody kolońskiej, i herbata w skrzynce; ale największe bogactwo stanowiły dwie miseczki mleka i warząchew do zebrania śmietanki. Stokrotka klasnęła w ręczki na ten widok, i chciała natychmiast wziąć się do roboty, lecz ciocia Ludka powiedziała:

„Jeszcze nie teraz; będziesz potrzebowała śmietanki do torciku przekładanego jabłkiem, który się poda na obiad, więc niech się ustoi do tego czasu.“

„Będzie torcik!“ zawołała Stokrotka, niedowierzając prawie, aby ją taka radość czekała.

„Jeżeli piecyk okaże się dobrym, to będą dwa torciki: jeden z jabłkiem, drugi z poziomkami,“ rzekła pani Ludwika.

„Więc cóż mam teraz robić?“ zapytała Salusia, niecierpliwie wyglądając chwili, kiedy rozpocznie robotę.

„Zamknij niższe drzwiczki u pieca, żeby się rozgrzał, potem umyj ręczki, i wydobądź mąkę, cukier, sól i cynamon. Zobacz też, czy stolniczka jest czysta, i obierz jabłko, bo je włożysz do środka.“

Stokrotka zebrała te wszystkie rzeczy, a ile przy tym narobiła szeregów i brzęku, łatwo się domyslić, kiedy tak młoda była jeszcze ta kuchareczka.

„Doprawdy, nie wiem ile czego wziąć na tak małe torciki. Muszę je zrobić na chybi, trafi, a jak mi się udadzą, to spróbujemy więcej,“ rzekła pani Ludwika trochę zakłopotana, chociaż ją bawiły odrobinki leżące

przed nią. „Weź teraz pełną miseczkę maki, wsyp szczyptę soli, a potem dodaj tyle masła, ile się zmieści. Pamiętaj, że przedewszystkiem trzeba rozciierać suche rzeczy, a potem dodawać płynne: w ten sposób lepiej się wymieszają.“

„Ja to umiem, bom widziała jak Azya robi. Czy wysmarować blachę masłem? ona zawsze od tego zaczyna,“ powiedziała Stokrotka, z wielkim pośpiechem sypiąc mąkę.

„I owszem wysmaruj. — Zdaje mi się że będzie z ciebie dobra kucharka, bo się z ręczkami bierzesz do roboty,“ rzekła ciocia Ludka, dla zachęty.

„Teraz wlej kropelkę wody: tyle tylko żeby zamoczyć; potem nasyp trochę maki na stolniczkę, zagnieć ją i rozwałkuj, oto w ten sposób: — dobrze. Połóż ciasto masłem, i zwij je na nowo. Tylko nie rób zbyt tłustych torcików, żeby się lalki nie pochorowały.“

Stokrotka rozśmieszona tą myślą, hojną rączką rozsmarowała masło, potem zwinęła ciasto, rozwinąwszy je napowrót ślicznym waleczkiem, włożyła na blachę i przykryła jabłkiem; poczem bardzo starannie, położyła znów kawałek ciasta.

„Zawsze miałam ochotę obkrawać torciki dokoła, ale mi Azya nie pozwalała. Jak to miło robić co się nam podoba!“ rzekła Stokrotka, obrzynając ciasto nożykiem.

Nawet i najlepszej kucharce niezawsze się wszystko uda; dla tego też i Salusi przytrafiło się to przykre zdarzenie, że kiedy zbyt szybko przesuwiał się nożyk po cieście, talerzyk wymknął się ję z rączki, i torcik padł na ziemię. Salusia krzyknęła, pani Ludwika roześmiała się, Teoderek zaczął sięgać po zdobywkę, i przez chwilę panował wielki zamęt.

„Takem mocno ścisnęła brzegi, że torcik został

nienaruszony: ani się rozlał, ani przerwał; — wywiercę tylko otwór, i będzie gotowy,” rzekła Salusia. Następnie podniosła swój skarb, i jak zwykle dzieci, nieuważając na to, że leżał na ziemi, doprowadzała go do pierwotnego stanu.

„Moja nowa kucharka ma dobry temperament, jak widzę, a to taka miła rzecz!” powiedziała pani Ludwika. „Otwórz teraz słoik ze smarzonemi truskawkami, napelnij niemi torcik, i połóż na wierzchu kawałek ciasta, tak samo jak Azya robi.”

„Położę literę S na środku, a wkoło dodam zygzaki; to będzie takie zajmujące jak go będę jeść!” rzekła Salusia strojąc torcik floresami. Teraz wstał oba w piec! zawołała, gdy ostatnia kuleczka ciasta została ostrożnie ułożoną na czerwonym tle konfitur, i z tryumfalną minką wsunęła je w piecyk.

„Umyj naczynia; dobra kucharka nigdy tego nie odkłada na później. Następnie, obierzysz kartofle i groch.”

„Jest tylko jeden kartofel,” odpowiedziała Stokrotka ze śmiechem.

„Przekrój go na czworo, żeby się zmieścił w rądelku i trzymaj te kawałki w zimnej wodzie, dopóki się ich nie zacznie gotować.”

„Czy mam namoczyć i groch?”

„Ale gdzież tam! Obluszczone go tylko i pokraj.”

Posłyszawszy w tej chwili drapanie do drzwi, pobiegła Salusia otworzyć, i ukazał się Bukiet, z przykrytym koszykiem w pysku.

„Więc to ty jesteś rzeźniczką!” zawołała wesoło, uwalniając go od ładunku. Pies zaczął się oblizywać i skomleć, myśląc widocznie, że to obiad dla niego, gdyż często zanosił w ten sposób jedzenie swemu panu; a doznawszy zawodu, odszedł szczekając

gniewnie. W koszyku były dwa maleńkie kawałki mięsa, gruszka pieczona, ciasteczko i papier z napisem nagrzmolonym przez Azję: „Śniadanie dla panienki, jeżeli jej się nie uda gotowanie.”

Nie potrzebuje jej szkaradnych gruszek, ani niczego! Uda mi się gotowanie, i przekona się, że będę miała wyborny obiad!” zawołała Stokrotka z oburzeniem.

„Może nam się to przydać, jak goście przyjdą. Zawsze jest dobrze mieć coś w spiżarni,” rzekła ciocia Ludka, nauczona tego własnym doświadczeniem, po wielu gospodarskich niepowodzeniach.

„Teodolet chce jeść,” oznajmił chłopczyną, które mu zdawało się, że jużby czas było coś skosztować. Matka dała mu do uporządkowania swój koszyk od robót, w nadziei że spokojnie posiedzi, póki się nie dokończy obiadu, i na nowo zaczęła gospodarować.

„Wstaw na ogień jarzyny, nakryj stół, a potem rozpal węgle, żeby usmażyć befsstek.”

Jakaż to była przyjemność patrzeć jak kartofle podskakują w garnuszku, zaglądać do grochu czy mięknie, otwierać co pięć minut piecyk, żeby zobaczyć czy się torcik przyrumienia; a nareszcie skoro się już węgle rozpałyły, włożyć na patelnię dwa kawałki mięsa, i ostrożnie obracać je widelcem. Najwpiérw były gotowe kartofle, i nie dziwnego, bo cały czas stały na wielkim ogniu; pogmiotła je małym tłuczkiem, dodała dużo masła, — o soli zapomniała — a potem ułożyła je na czerwonym talérzyku, przyglądała nożykiem, oblała młékiem i wstawiła w piec, żeby się przyrumienily.

Tak ją zajęło to wszystko, że zapomniała o torcikach; dopiero otworzywszy piecyk dla wstawienia

kartofli, wydała żalosny okrzyk, bo się na nie przypaliły!

„Ach moje torciki, moje śliczne torciki! już z nich nie będzie!“ wołała biédaczka, zalamując powalane rączki, na widok zniweczonej pracy. Torcik z konfiturami przedstawiał szczególnie smutny widok, bo floresy i zygzaki spadały z poczerniałej galarety, jakby mury i kominy domu nawiedzonego pożarem.

„Ach mój Boże! zapomniałam powiedzieć żebyś je wyjęła z pieca! ze mną zawsze tak bywa!“ rzekła ciocia Ludka ze skruchą. „Nie płacz moja droga, to moja wina, więc jeszcze raz spróbujemy po obiedzie,“ dodała, widząc że Salusi spada z oka wielka łza, na gorące zgłiszczą toreika.

Byłoby więcej łezek spłynęło, gdyby befstiek nie zasyczał w tej chwili, co tak pochłonięło uwagę kucharki, że wprędce zapomniała o zmarnowanych torcikach.

„Postaw w ciepłe półmisek z befstiekami i talerze, aby się grzały; potem przypraw groch masłem, i posyp go odrobiną pieprzu i soli,“ rzekła pani Ludwika, obiecując sobie, że się obiad obejdzie już bez smutnego wypadku.

„Zgrabna pieprzniczka“ ukoila żal Salusi; obiad został wreszcie podany; sześć lalek zasiadło: po trzy z każdej strony, — Teoderek zajął ostatnie miejsce, a Salusia główne. Gdy wszystko zostało urządzone, zabawny przedstawiał się widok, bo jedna lalka była w balowym ubraniu, druga w nocnej koszulce, Jerzy zachował zimowy strój z ponsowej flaneli, Anabella zaś, miała na sobie tylko własną skórę, a raczej kożłową. Teoderek, jako ojciec rodziny, zachowywał się bardzo przyzwoicie, z uśmiechem pochłaniał co mu tylko dano, i wszystko wydało mu się wysmienitem.

Stokrotka czuwała nad całą gromadką, jak męcząca, natarczywa, lecz uprzejma gospodyni — wszakże się widuje takie i przy większych stołach — i robiła honory z tak niewinnem zadowoleniem na twarzyczce, jakie się rzadko u kogo napotyka.

Beefsteak bardzo był twardy, więc go nożyki nie mogły krajać; kartofle nie przyrumieniły się dookoła, groch zbił się w masę; ale goście przez grzeczność nie uważali na te drobiazgi, a gospodarz i gospodyni zjadali z apetytem, do pozazdrosczenia. Zebrawszy garnuszek śmietanki, tak się ucieszyła Stokrotka, że jęł to wynagrodziło utratę torcików, a wzgardzone wprawem ciastko od Azyi, okazało się szacownym skarbem, gdy je podano na wety.

„Jak żyję, nie jadłam tak wybornego obiadu! czybym nie mogła mieć tej przyjemności codzień?“ zapytała Stokrotka, oblizując talerze i wyskrobując z nich resztki.

„Możesz codziennie gotować po lekcyach, lecz wolę, żebyś zjadała swoje potrawy o zwyczajnych godzinach, a na śniadanie wystarczy ci kawałek piernika. Dziś uszło to, jak na pierwszy raz, ale trzeba się trzymać porządku. Jeżeli masz ochotę, to po południu będziesz mogła co przyrządzić do herbaty,“ rzekła pani Bhaer, którą bardzo ubawił ten obiad, chociaż nie otrzymała nań zaproszenia.

„Pozwól mi ciociu, zrobić sufleciki z jabłek dla Adasia, bo je bardzo lubi, i tak jest przyjemnie odwracać je i posypywać cukrem!“ zawołała Stokrotka, czule wycierając żółtą plamkę na przełamanym nosku Anabelli, która nie chciała jeść grochu, z powodu słabości, łatwo dającej się wytłumaczyć zbyt lekkim strojem.

„Jak poczęstujesz Adasia, to inni będą się także napięrać, a wszystkim nie podolasz.“

„Czy nie mogłabym zaprosić tą razą, samego tylko Adasia na herbatę? Potem, jeżeliby się suflety udały, zrobiłabym więcej dla reszty chłopców,“ zawołała nagle Stokrotka, uradowana tym pomysłem.

„Doskonały plan! Twe przysmaki będą stanowiły nagrodę dla grzecznych chłopców, a każdy z nich, bez wyjątku, będzie wołał zjeść co dobrego, niż otrzymać inny dowód uznania. Jeżeli mali mężczyźni, podobni są do dużych, to dobra kuchnia wzruszy ich serca i cudownie ułagodzi temperamenta,“ dodała ciocia Ludka żartobliwie, wskazując głową na drzwi, skąd pan Bhaer przyglądał się z przyjemnością maleńkiemu gronu.

„Tę ostatnią przymówkę stosowałeś do mnie, złośliwa niewiasto. Przyznaję, że masz w tém słuszość, ale źleby ze mną było, gdybym się był z tobą ożenił, tylko dla zdolności kucharskich,“ odrzekł profesor ze śmiechem i zaczął podrzucać w górę Teodorka, który daremnie usiłował opowiedzieć w swęj dziecinnej mowie, że wspaniałą mieli ucztę.

Stokrotka z dumą pokazała kuchnię i obiecała zrobić wujowi tyle suflętów, ile ich tylko zdoła zjeść. Właśnie opowiadała o nowoobmyślanych nagrodach, kiedy chłopcy z Adasiem na czele, wpadli do pokoju, wietrząc jedzenie, jakby gromada zgłodniałych wilków. Lekkie były skończone, obiad jeszcze niegotów, więc woń beefsteaku prosto ich poprowadziła do właściwego miejsca.

Jak świat światem nie było tak dumnej panny, jak Stokrotka, kiedy pokazywała swe skarby i opowiadała chłopcom, co ma dla nich w zapasie. Niektórzy powątpiewali, żeby można jeść, co ona ugotuje; Nadzianego serce zdobyła jednak od razu, Alfred i Adaś także silnie wierzyli w jej umiejętność, a inni powiedzieli,

że zawyrokują dopiero po wypróbowaniu, — ale wszyscy podziwiali kuchnię, i z wielkiem zajęciem oglądali piecyk. Adaś chciał zaraz odkupić kociołek do maszyny parowej, którą budował; Alfred zaś zauważył, że największy rądelek przydałby mu się do topienia ołowiu na kule, śmigownice i tym podobne fraszki.

Stokrotka tak się tém przestraszyła, że pani Ludwika przykazała, aby żaden z chłopców nie dotykał kuchni, ani się nawet do niej zbliżał, bez pozwolenia właścicielki. Tym sposobem wielce się podniosło znaczenie Stokrotki w oczach paniczów, zwłaszcza, że przekraczający prawo, miał być za karę pozbawiony jej przysmaków.

Po chwili dzwonek się odezwał i całe grono zeszło na obiad. Wiele było szmeru i wrzawy, bo każdy z biesiadników zamawiał sobie u Stokrotki jaką ulubioną potrawę. Wierząc nieograniczenie w swój piecyk, obiecywała ona wszystko, byleby tylko ciocia Ludka wskazywała, jak się brać do rzeczy.

Panią Bhaer zastraszało to nieco, bo niektóre z żądanych lakoci wychodziły z zakresu jej umiejętności — jako to: weselny tort, cukier lodowaty, kapuśniak ze śledziami i z wiśniami, ulubiony przysmak, o jaki prosił profesor, przyprowadzając tém żonę do rozpacz, gdyż niemiecka kuchnia była jej całkiem nieznana.

Stokrotka chciała gotować zaraz po obiedzie, ale jej ciocia zaleciła, żeby umyła wpierw naczyńia, napełniła wodą kociołek do herbaty i uprała fartuszek. Potem miała się bawić do piątej, bo wuj Fritz powiedział, że dla młodego mózgu i ciała, niezdrowo jest czytać się długo, chociażby nawet gotowania; a ciocia Ludka znowu, z doświadczenia wiedziała, jak prędko nowe cacka tracą powab, jeżeli się ich używa nieroztropnie.

Chłopey zachowali się ze szczególną grzecznością względem Stokrotki, owego popołudnia. Tomek obiecał jej pierwsze owoce ze swego ogródka, w którym dotąd rósł tylko chwast; Antoś przyrzekł zaopatrywać ją darmo w drzewo; Nadziany oddawał jej prawdziwą cześć; Adaś z punktualnością, miłą w takim młodziku, ofiarował się towarzyszyć jej do dzieciennego pokoju, skoro tylko uderzyła piąta godzina. Nie była to chwila do przyspasabiania całej biesiady, ale tak usilnie prosił, żeby go wpuściła i przyjęła do usług, że uzyskał przywileje, z jakich goście rzadko korzystają, mianowicie: rozpałił ogień, i pełnił różne rozkazy; przejeżdżając z przejęciem śledził postępy uczy. Pani Ludwika kierowała nimi, krzając się zarazem w innych pokojach, gdyż właśnie zawieszala firanki w całym domu.

„Poproś Azyę o kubek kwaśnej śmietany, to ciastka będą lekkie, chociaż się nie doda wiele sody, czego nie lubię,“ zaleciła najwypierwój.

Adaś zbiegł na dół i powrócił strasznie skrzywiony, gdyż skosztował po drodze śmietany, która okazała się tak kwaśną, że stracił zaufanie do tych ciastek.

Aby skorzystać ze sposobności, stojąc na drabinie, miała pani Ludwika krótki wykład o własnościach sody.

Stokrotka nie zwracała uwagi na jej słowa, ale Adaś słuchał i rozumiał, czego dowiódł zwięzłą lecz jasną odpowiedzią:

„Tak, rozumiem; soda robi z kwaśnych rzeczy słodkie: dajno mi trochę skosztować, Stokrotko.“

„Napelnij ten słoik mąką i dodaj trochę soli,“ mówiła dalej pani Bhaer.

„Że też to sól do wszystkiego potrzebna,“ rzekła

Salusia, której się sprzykrzyło ciągle otwierać pudełko od pigulek, gdzie była wyspana.

„Sól, to jak dobry humor: prawie wszystko nabiera smaku, gdy się jej dosypie szczyptę, moja Stokrotko,“ odezwał się wuj Fritz, który przyszedł, żeby jej przybić kilka gwoździ, do zawieszania rądelków.

„Nie zostałeś zaproszony na herbatę, wujaszku, ale ci dam parę ciastek, które nie będą kwaśne,“ rzekła Stokrotka, wyciągając wiosniane usteczka, żeby mu podziękować całusem.

„Fritz, jak mi będziesz przerywał wykład, to ja także wejdę do klasy, gdy będziesz uczyć łaciny. Czyby ci się to podobało?“ zapytała pani Bhaer.

„I bardzo, spróbuj tylko,“ odrzekł, poczem zaczął śpiewać, chodząc po całym domu, jakby olbrzymi dzieciół.

„Wsyp sody do śmietany, a skoro zakręci się, jak mówi Adaś, wlej ją w mąkę i bij jak będziesz mogła najmocniej. Rozgrzej potem patelnię, wysmaruj dobrze masłem i smaż, dopóki nie przyjdę.“

Stokrotka tak hałaśliwie i mocno biła trzepaczką, że śmietana musiała się zapienić. Gdy jej nalala trochę na patelnię, suflet rósł, jakby czarodziejską laską dotknięty, a Adaś lykał nań słinkę. Pierwszy spalił się naturalnie, bo zapomniała o maśle, ale po tym wypadku, wszystko się już wiodło, i kuchareczka wyłożyła na talérsz sześć ślicznych ciasteczek.

„Zdaje mi się, że wolalbyś to jeść z melasem niż z cukrem,“ odezwał się Adaś z fotelu, na którym zasiadł, nakrywając stół nowym i osobliwym sposobem.

Poproś Azyę, to ci go da trochę,“ odparła Stokrotka, idąc umyć ręczki w łazience.

Przez tę chwilę, kiedy nie było nikogo w dzieciennym pokoju, stała się tam rzecz okropna! Bukiet

czuł cały dzień urazę o to, że przyniósłszy bezpiecznie mięso, nie dostał nic w nagrodę: nie był to zły pies, ale miał drobne wady — jak my wszyscy, — i nie zawsze zdołał się oprzeć pokusie. Wsunąwszy się do pokoju właśnie w ową chwilę, poczuł woń ciastek, zobaczył że leżą niestrzeżone na niskim stoliku i nie rozważając następstw, połknął wszystkie sześć, za jednym zamachem. Ponieważ były bardzo gorące i sparzyły go strasznie, szczeleknął z zadziwienia. Stokrotka posłyszawszy to, wpadła, ujrzała pusty talerzyk i koniec żółtego ogona, znikający pod łóżkiem. Niemówiąc ani słowa, porwała złodzieja za ogon i szarpnęła nim tak, że aż mu się uszy zatrzęsły, potem zepchnęła go na dół i musiał samotnie spędzić wieczór, w skrzyni od węgla.

Czule pocieszana przez Adasia, ubiła drugi kubek śmietany i usmażyła dwanaście jeszcze lepszych ciastek. Wujowi posłała z nich dwa, i powiedział, że mu nie w świecie tak nie smakowało, a chłopcy zazdrościli Adasiowi, że się tak uraczył.

Była to prawdziwie udana biesiada, bo przykrywka od imbryczka spadła nie więcej, jak trzy razy; garnuszek z mlékem tylko raz się przewrócił; ciastka pływały w syropie; grzanki zaś miały ponętny zapach beefsteaku, z powodu, że kuchareczka usmażyła je na téjże saméj patelni. Adaś zapomniawszy o swych filozoficznych poglądach, napychał się, jakby poziomy materyalista; Stokrotka tymczasem obmyślała na przyszłość różne świetne przyjęcia, a lalki spoglądały z uprzejmym uśmiechem.

„A co, drogie dzieci, czyście się dobrze zabawiły?“ zapytała pani Ludwika, wchodząc z Teodorkiem na barkach.

„Bardzo dobrze i wkrótce przyjdę tu znowu,“ odrzekł Adaś z zapalem.

„Boję się, czyś nie jadł za dużo, bo wszystko znikło ze stołu.“

„Wcale nie; spożyłem wprawdzie piętnaście ciastek, ale były bardzo maleńkie,“ odrzekł na swoje obronę.

„Takie były dobre, że mu z pewnością nie zaszkodzą,“ odezwiała się Stokrotka, z tak zabawną mieszaniną macierzyńskiej czułości i dumy gospośi, że ciocia Ludka zdołała się tylko uśmiechnąć i rzekła:

„A więc to dobra zabawka?“

„Mnie się bardzo podoba,“ odparł Adaś, jak gdyby jego pochwała miała starczyć za wszystko.

„Niema lepszéj na całym świecie!“ zawołała Stokrotka, ściskając szafliczek do zmywania filiżanek — i z tkliwém spojrzeniem dodała: „Chciałabym, żeby wszyscy mieli tak ładne Kuchenki.“

Po tych jéj słowach, ciocia Ludka odeszła zadowolona, że się jéj udało tak usłonecznić życie dziewczątka.

Rozdział szósty.

Dan.

„Czy mógłbym z panią pomówić? Idzie mi o rzecz bardzo ważną,“ rzekł pewnego dnia Alfred, wsuwając głowę do pokoju pani Bhaer.

W przeciągu pół godziny, piąta już głowa zjawiała się u niéj, ale będąc do tego przyzwyczajoną, spojrzała tylko, pytając żywo:

„Cóż to takiego, mój chłopcze?“

Wówczas Alfred wszedł, szczerze zamknął drzwi za sobą, i powiedział gorączkowym głosem:

„Dan przyszedł.“

Mali mężczyźni.

„Któż to jest?”

„To chłopiec, z którym znaliśmy się, gdy ja grywał po ulicach, a on sprzedawał gazety. Zawsze był dla mnie bardzo dobry, więc chciałem mu się czem przysłużyć. Kilka dni temu spotkawszy go w mieście, opowiedziałem, jak tu jest dobrze, i dla tego przyszedł.”

„Ależ, mój drogi chłopcze, to są nieco dziwne odwiedziny.”

„To nie odwiedziny, bo onby tu chciał zostać, jeżeli państwo pozwolą,” odparł naiwnie Alfred.

„Tak mnie to niespodzianie zaskoczyło,” rzekła pani Bhaer, zmieszana trochę jego stanowczością.

„Zdawało mi się, że pani lubi przyjmować biednych chłopców pod swój dach, i być dla nich tak dobrą, jak dla mnie,” rzekł znowu Alfred, ze zdumieniem i z przestraczeniem.

„Masz słuszość, ale muszę wpierw zasięgnąć o nim wiadomości. Takie jest mnóstwo biednych dzieci, że trzeba przebieierać. Nie mam miejsca dla wszystkich i bardzo tego żałuję.”

„Myślałem, że mu pani będzie rada: dla tego powiedziałem, żeby przyszedł; ale kiedy brakuje miejsca, to niech sobie pójdzie,” rzekł Alfred smutno.

Ta wiara w jej gościnność, wzruszyła panią Bhaer; rzekła więc, niemając serca zawieść jego nadziei:

„Powiedźże mi co o tym Danie.”

„To tylko wiem: że nie ma nikogo, że jest strasznie biedny i że był bardzo dobrym dla mnie — więc gdybym mógł, chciałbym mu się odwdziżyć.”

„To bardzo słuszne przyczyny; ale doprawdy, mój Alfredzie, nasz dom jest tak przepełniony, że nie wiem, gdzieby go pomieścić,” rzekła pani Bhaer, coraz skłonniejsza do zaopiekowania się tym nowym przybyszem.

„Mógłby zająć moje łóżko, a ja sypiałbym w stodołę. Teraz nie zimno, wreszcie przyzwyczajony jestem do tego, bośmy się z ojcem chronili, gdzie się dało,” odezwał się żywo Alfred.

Coś takiego było w jego twarzy i mowie, że pani Bhaer położywszy mu rękę na ramieniu, rzekła tonem pełnym słodyczy:

„Przyprowadź tu przyjaciela, Alfredzie; sądzę, że się znajdzie dlań miejsce, i że nie będziesz potrzebował mu ustępować.”

Alfred pobiegł z radością i wkrótce wrócił z chłopakiem bynajmniej nie pociągającym, który się ciężko przywłókl za nim i stanął, rozglądając się nawpół nieśmiało i ponuro. Rzuciwszy nań okiem, pani Bhaer pomyślała:

„Boję się, żeby nie było z nim biedy.”

„Oto Dan,” rzekł Alfred przedstawiając go z widocznym przeświadczeniem, że będzie dobrze przyjęty.

„Alfred mówił mi, że chciałbyś u nas zostać,” przyjaźnie odezwała się pani Bhaer.

„Tak,” mruknął Dan.

„Czy nie masz nikogo, coby się tobą zajął?”

„Nie mam.”

„Mów: nie mam, proszę pani,” szepnął Alfred.

„Nie powiem ani tak, ani owak,” mruknął znów tamten.

„Ile masz lat?”

„Czternaście skończę.”

„Wyglądasz na więcej. — Cóż ty potrafisz?”

„Prawie nic.”

„Jeżeli tu zamieszkasz, będziesz musiał tak żyć, jak inni, i nie tylko się bawić: ale uczyć się, pracować. Czy zgodzisz się na to?”

„Próba nie zaszkodzi.”

„Zostanę na kilka dni; zobaczymy, jak nam będzie z sobą. — Zajmij się nim Alfredzie, dopóki pan Bhaer nie przyjdzie do domu i nie rozstrzygnie tej sprawy,” rzekła pani Ludwika, przejęta obawą, czy jej nie będzie zbyt trudno radzić sobie z tym zimnym chłopcem, który wlepił w nią wzrok tak twardy, podejrzliwy i ponury.

„Chodźmy, Alfredzie,” rzekł Dan, i znowu ciężko powlókł się za nim.

„Dziękuję pani,” dodał tenże i wyszedł, niemogąc sobie wytłumaczyć, dla czego sam doznał tak odmiennego przyjęcia.

„Moji koledzy urządzają cyrk w stodole, czy chcesz go zobaczyć?” zapytał, gdy zeszli ze wschodów.

„Duże to chłopcy?”

„Nie, więksi poszli łowić ryby.”

„To mnie zaprowadź.”

Alfred zawiódł go do wielkiej, nawpół opróżnionej stodoły, gdzie swawolilo grono chłopaków — i przedstawił im swego przyjaciela. Duże koło było odznaczone sianem na podłodze, a w środku stał Adaś z długim biczem; Tomek zaś, skacząc na ciepłym osiołku, udawał małpę.

„Proszę zapłacić za wejście, bo inaczej nie zobaczycie przedstawienia,” rzekł Nadziany stojący przy beczkach, w których mieściła się orkiestra, złożona z Antosia grającego na grzebieniu i z Robcia, który co sił, walił w bęben.

„On jest gościem, więc zapłacę za nas obu,” odezwał się grzecznie Alfred, i wrzucił dwie zgięte szpilki w suszony grzyb, służący za skarbonkę.

Ukloniwszy się całemu towarzystwu, usiedli obaj na beczkach, poczem zaczęło się widowisko.

Gdy malpa zeszła ze sceny, Antoś zaczął się popisować zręcznością: to przeskakując przez stare

krzesło, to wspinając się, jakby majtek po drabinie. Potem Adaś wykonał z piękną powagą angielski taniec zwany „jig”. Następnie, Alfred mocował się z Nadzianym, którego wprędce powalił o ziemię. Po nich, Tomek z dumą przewracał koziołki; którą to umiejętność zdobył, póty ćwicząc się na uboczu, póki mu się wątle ciałko nie pokryło sińcami. Wywoławszy grzmot oklasków, już miał odejść, rumiany z radości i od krwi nderzającej do głowy, kiedy dał się słyszeć wzgardliwy głos:

„Nie osobliwego.”

„Ośmiel się to powtórzyć!” zawołał Tomek, i przyskoczył zapierzony, jak indyk.

„Chcesz się bić?” zapytał Dan, szybko zeskakując z beczki i zacisnął pięści z widoczną wprawą.

„Nie chcę!” odparł trwożnie Tomek i zaczął się cofać co prędzej.

„Niewolno się bić!” zawołali żywo inni chłopcy.

„Tchórze,” mruknął szyderezno Dan.

„Jeżeli nie wierzysz, to nie masz tu co robić,” wykrzyknął Antoś, ujmując się za kolegami.

„Chciałbym się jednak przekonać, czy on zręczniejszy odemnie,” odezwał się Tomek z przechwałką.

„Kiedy tak, to się ustąp!” zawołał Dan i przewrócił jednym tchem trzy koziołki, poczem wyprostował się.

„On górą, Tomku, bo ty zawsze chowasz głowę i padasz na płask,” odezwał się Alfred, uradowany powodzeniem przyjaciela.

Zanim zdolał powiedzieć co więcej, Dan znowu przewrócił trzy koziołki wstecz i przeszedł się parę razy na rękach, z głową na dół, a nogami do góry. Wszystkich to ożywiło i nawet Tomek przyłączył się

do okrzyków uwielbienia, a zręczny gimnastyk znający swą wartość, dumnie spoglądał po widzach.

„Jak ci się zdaje — czy mógłbym się tego nauczyć, bez wielkiego bólu?“ zapytał pokornie Tomek, rozcierając sobie łokcie, które go paliły jeszcze, od ostatniej próby.

„Co mi dasz, jeżeli cię nauczę?“ zapytał Dan.

„Mój nowy scyzoryk: jest w nim pięć ostrzy, i tylko jedno złamane.“

„Dawaj go.“

Tomek podał scyzoryk, z lubością spoglądając na błyszczącą oprawę.

Dan obejrzał go uważnie, włożył do kieszeni i odszedł, mówiąc filuternie:

„Zatrzymam go, póki się nie wyuczysz.“

Porwany wściekłym gniewem, krzyknął Tomek, a koledzy ujmując się za nim, narobili wrzawy, która wówczas dopiero ustala, skoro Dan, widząc wszystkich przeciw sobie, zapytał: czy Tomek nie zechce zagrać w cetno i lieho, — a przy kim będzie wygrana, przy tym zostanie i scyzoryk. Tomek przystał i grali wśród zaciekawionych twarzyczek, które się rozradowały, skoro kolega zdobył stawkę i schował ją na dnie głębokiej kieszeni.

„Chodź, pokażę ci cały dom i wszystko do koła,“ rzekł Alfred, chcąc się rozmówić z przyjacielem na osobności.

Co zaszło między nimi, tego się nikt nie dowiedział; ale gdy powrócili, Dan zachowywał się już przyzwyczaję, chociaż nie pozbył się szorstkości. I czegoż się można było spodziewać po biednym chłopaku, który się wałęsał po świecie przez całe swe krótkie życie, niemając nikogo, coby go oświecał.

Chłopcy przyznawszy sobie, że im się nie podobał, pozostawili go Alfredowi, który przez dobroć serca nie chciał go opuścić, chociaż zaczynała mu ciężać przyjęta odpowiedzialność. Tylko jeden Tomek czuł, że mimo zajścia o scyzoryk, łączy ich z sobą sympatya i pragnął wznowić zajmującą rozmowę o koziołkach. Znalazła się wkrótce ku temu sposobność, i Dan widząc jego uwielbienie, stał się przystępniejszym; a w kilka dni, zbliżył się zupełnie do ognistego Tomka.

Gdy pan Bhaer zobaczył Dana i usłyszał jego dawniejsze dzieje, kręcił chwilę głową, ale rzekł potem spokojnie:

„Próba może nas nieco kosztować, lecz ją odbędziemy.“

Może Dan czuł wdzięczność za doznawaną opiekę, ale jęj nie okazywał i nie dziękował za to, co mu świadczone. Nic nieumiejąc, przez dobre chęci, szybko się jednak uczył. — Miał on szczególnie bystre oczy na wszystko, co się w okół niego działo, język uszczypliwy, obejście szorstkie, temperament gniewliwy i chwilami ponury. Względem starszych był zawsze milczący lub opryskliwy, a z kolegami tylko niekiedy okazywał się towarzyskim. Mało który lubił go prawdziwie, ale za to w każdym budził podziw odwagą i siłą, bo go nic nie odstraszało. Z taką łatwością powalił raz na ziemię dużego Franza, że inni trzymali się odtąd z daleka. — Pan Bhaer śledził go w milczeniu i robił, co mógł, aby przyswoić dzikiego chłopca, jak go tam nazywano; potajemnie kręcił jednak głową, mówiąc do żony:

„Mam nadzieję, że się ta próba powiedzie; ale czy nas tylko nie będzie kosztować zbyt drogo?“

Panią Ludwikę doprowadzał Dan do ostatecznego znecierpliwienia się, po kilka razy dziennie; ale się go nie chciała wyrzec i powtarzała ciągle, że w nim jest dobry materiał, bo chociaż dla ludzi jest przykrym, to przynajmniej zwierzęta lubi, — a co najważniejsza: ujął sobie serduszek Teodorka. Cały dom nie mógł się wydziwić, dla czego malec tak przylgnął doń od razu; ile razy go zobaczył — szczebiotał, wyciągając rączki; wołał jeździć na jego barkach, niż na innych, i sam z siebie, nazywał go „mój Dancio”. Teodorek był jedyną istotą, której Dan okazywał także pewną życzliwość; ale ją objawiał tylko wtenczas, kiedy nikt nie patrzył. Ponieważ jednak matki mają bystre oczy i odgadują osoby kochające ich dzieci, pani Bhaer spostrzegła, że Dan mimo szorstkości, ma dobry kącik w sercu, i postanowiła zjednać go sobie. Niespodziany i okropny wypadek wygnał go atoli z Plumfield i zniweczył jej plany.

Z początku Tomek, Alfred i Adaś widząc, że inni unikają tego chłopca, wzięli go w opiekę; ale po jakimś czasie, jąc wywierać jakieś czary i wszyscy zamiast spoglądać z góry, zaczęli go podziwiać: każdy z innej przyczyny. Tomkowi podobała się jego zręczność i odwaga, Alfred był wdzięczny za dawne przysługi, Adaś widział w nim uosobienie ciekawej książki z historyami — Dan umiał bowiem w bardzo zajmujący opowiadać swoje przygody. Ponieważ mu to pochlebiali, że ci trzej ulubieńcy całego zakładu garną się doń, starał się im przypodobać, i w tém zawierała się tajemnica jego czarów.

Państwo Bhaer byli zdumieni nowym wychowaniem i nietracąc nadziei, że chłopcy dobrze nań wpłyną, z pewnym niepokojem wyglądali jednak następstw tej próby.

Czując, że mu niezupełnie ufają, nigdy im się Dan nie przedstawiał z lepszej strony swego charakteru: jakąś w tém miał dziką przyjemność, żeby ich niecierpliwie i niweczył ich nadzieje.

Pan Bhaer nie lubił bójek i nie widział w tém dowodu męstwa, gdy się dwóch chłopców potykało, dla zabawienia innych. Zachęcał do wszelkich śmiałych gier i ćwiczeń, wymagał żeby chłopcy umieli znosić guzy i sińce bez kwilenia; ale najsurowiej zakazywał podbijać sobie oczy lub krwawić nosy, dla cudzej przyjemności.

Dan śmiał się z tego zakazu i opowiadał tak ciekawe rzeczy o swój waleczności i o różnych potyczkach, że chłopcom pozawracał głowy — koniecznie chcieli zatem spróbować się na pięści.

„Nie mówcie nikomu, to was nauczę tego,” rzekł Dan pewnego razu i zaprowadziwszy ich za stodołę, dał lekcję boksowania się, która prawie wszystkich wyleczyła z zapalu. Tylko odważny Emil niechęć uznać jego wyższości, wyzwiał go: natychmiast stanęli więc do walki, a reszta chłopców przyglądała się z najwyższém zajęciem.

Niewiadomo, jaki ptaszek zaniósł tę wiadomość do domu, ale wśród najgorętszej bójki, kiedy Dan z Emilem pasowali się z sobą, jakby dwa młode buldogi, a inni wydawali gorączkowe okrzyki, pan Bhaer zjawił się wśród nich, silną ręką rozłączył szermierzy i rzekł głosem, jaki rzadko u niego słyszano:

„Niewolno bić się, chłopcy! przestańcie natychmiast, i żebym tego więcej nie widział! Mój zakład jest dla dzieci, nie dla dzikich zwierząt. — Spójrzcie jeden na drugiego i wstydźcie się za siebie.”

„Niechno mnie pan tylko puści, to go jeszcze raz

powalę!“ zawołał Dan, wyrывая się z ręki trzymającej go za kołnierz.

„Zbliź się, zbliź — jeszcze nie pobity!“ krzyknął Emil, chociaż pięć razy został rzucony o ziemię.

„Oni się bawią w gląd... jakże się to nazywało u Rzymian, wuju?“ zawołał Adaś, ogromnie przejęty tą nową zabawą.

„To byli bydłęta, a myśmy się już ucywilizowali — i nie pozwolę, byście z mojej stodoły robili koloseum. Czyjto był pomysł?“ zapytał pan Bhaer.

„Dana,“ odpowiedziało kilka głosów.

„Czyś nie wiedział, że to zakazane?“

„Wiedziałem,“ mruknął opryskliwie.

„Więc dla czegoś przekroczył przepis?“

„Bo z nich będą niewieściuchy, jak się nie nauczą bić.“

„Czy Emil, jak niewieściuch, zachował się przed chwilą? Niehardzo na to wygląda,“ rzekł pan Bhaer, stawiając ich naprzeciw siebie. Dan podbił sobie oko i poszarpał odzież; Emil zboczony był krwią, gdyż przyciął sobie wargi i skaleczył nos, a na czole miał guz czerwony i duży, jak śliwka; jednak mimo ran, pozerzał wzrokiem nieprzyjaciela i widocznie aż drżał do bójk.

„Emil bilby się doskonale, gdyby go kto poduczył,“ rzekł Dan, niemogąc odmówić pochwały chłopcu, który go zmusił do natężenia wszystkich sił.

„Później będzie się uczył szermierki i bokswania, ale nim to nastąpi, lekce kaleczenia się będą zupełnie zbyteczne. Idźcie obmyć twarze; a ty, Danie, pamiętaj, że jeżeli raz jeszcze przekroczysz przepisy, to cię natychmiast wydalę. Taka była ugoda: gdy sam będziesz czynił, co do ciebie należy — to i my spełnimy przyjęte obowiązki.“

Pan Bhaer powiedział jeszcze krótką naukę obecnym tam dzieciom, poczem rozeszły się; on zaś udał się za gladyatorami, żeby im rany opatrzyć. Emil musiał położyć się w łóżko, a Dan przerażająco wyglądał przez cały tydzień.

Knąbrny ten chłopak nie myślał jednak być posłusznym i wkrótce znowu coś zbroił.

Pewnej soboty po południu, gdy część chłopców wyszła bawić się na dworze, Tomek rzekł:

„Idźmy nad rzekę, uciąć sobie nowych tyk, do łowienia ryb.“

„Trzeba wziąć osła, żeby je przydzwigał z powrotem, a tymczasem jeden z nas może nań wsiąść,“ powiedział Nadziany, nie lubiący chodzić.

„Ma się rozumieć, że ty sam zaraz to uczynisz. No, dalejże, leniuchu!“ zawołał Dan.

Gdy zaopatrzeni już, mieli wracać do domu, na nieszczęście Adaś odezwał się do Tomka, siedzącego na osle, z długą tyką w ręku:

„Podobny jesteś do tego człowieka, co jest na obrazku przedstawiającym walkę byków, tylko ci brak czerwonej, albo innej jaskrawej szaty.“

„Chciałbym kiedy widzieć taką walkę — a ty?“ zapytał Tomek, potrząsając tyką.

„Urządzmy ją sobie. Oto tam na Dużém Pastwisku stara Czerwotka się pasie: podjedź ku niej, Tomku, to zobaczysz, jak się rzuci na ciebie,“ odezwał się Dan, który przepadał za złośliwym figlem.

„Nie rób tego,“ powiedział Adaś, tracąc już z wolna zaufanie do pomysłów Dana.

„Dla czego, ty mały krzykacz?“ zapytał tenże.

„Zdaje mi się, że wuj Fritz nie byłby rad z tego.“

„Czy powiedział kiedy, żebyśmy się nie bawili w walkę byków?“

„Nie przypominam sobie,” odparł Adaś.

„To trzymajże język za zębami! A ty ruszaj, Tomku, i weź tę szmatę czerwoną, żeby nią powiewać przed staruchą; ja ci ją pomogę jątrzyć.” To rzekłszy Dan, ożywiony nową zabawką, przeskoczył plot, a reszta jak trzoda baranów za nim podążyła: nawet Adaś, siedząc na tykach, przyglądał się ciekawie.

Biędna Czerwotka nie była dobrze usposobiona, bo niedawno pozbawiona cielątka, bardzo za niem tęskniła i w każdym człowieku widziała nieprzyjaciela — czego jęj wcale nie mam za złe. Gdy nasz matador przyskoczył z czerwoną chustką, wiszącą u długiej tyki — zaryczała, podniósłszy łeb do góry. Tomek rzucił się skwapliwie ku niej, a osioł widząc starą znajomą, chętnie się także garnął; ale gdy tyka spadła jęj ciężko na grzbiet, tak krowa jak osioł, doznali przykrego zadziwienia i Tobiaszek zaryczał złowrogo, bo Czerwotka gniewnie nadstawiła rogi.

„Jeszcze raz, Tomku! patrz, wścieka się ze złości, — doskonale!” wołał Dan, nadchodząc z drugą tyką. — Jakubek i Antoś poszli także za jego przykładem.

Widząc, że ją tak obkoczyli i obchodzą się z nią lekceważąco, Czerwotka biegła w koło łąki coraz bardziej odurzona i wściekła, bo w którąkolwiek stronę obróciła kroki, stał straszny chłopiec, grożący jakimś osobliwym i bolącym biczem. Ta ich wesoła zabawka, była dla niej prawdziwem nieszczęściem, i zniecierpliwiona, niespodzianie poradziła sobie z nimi. Zakręciwszy się do koła, napadła na Tobiaszka, gdyż znalezienie się tego starego przyjaciela, bardzo ją ubodło. Biędny osiołek, powolny z natury, tak się jednak szybko cofał, że aż uderzył o kamień i padł na ziemię wraz z matadorem, co

utworzyło komiczną piramidę. Tymczasem uradowana Czerwotka, jednym sussem przeskoczyła plot i hyżo biegnąc, znikła na gościńcu.

„Złapać ją, zatrzymać, zaskoczyć jęj drogę! Dalejże, chłopcy, dalej!” wołał Dan, dążąc za nią, ile mu tylko siły starczyło; była to bowiem ulubienica pana Bhaer, i gdyby jęj się co stało, Dan przypłaciłby to może wydaleniem. Co się też nabiegali, nakrzyczeli, zanim się ją udało schwytać! Tyki zostały porzucone w drodze, osiołek o mało nóg nie stracił w tęg goniwie, a chłopcy byli czerwieni, zdyszani i zalekli. Nareszcie znaleźli nieszczęsną krowkę w kwiatowym ogrodzie, gdzie się schroniła, żeby wypocząć.

Pożyczwszy postronka, Dan prowadził ją do domu, a za nim szła gromadka bardzo zaspionych młodzieńców, bo krowa znajdowała się w smutnym stanie: skutkiem wielkiego nateżenia nóg, okulaowała — oczy jęj patrzyły dziko, a błyszcząca zwykle skóra, była mokra i zabłocona.

„Dostaniesz ty, Danie!” rzekł Tomek, prowadząc zdyszanego osła, obok znękanęj krowy.

„I ty także, boś dopomagał.”

„Wszyscyśmy zawinili, prócz Adasia,” dodał Jakubek.

„On nam podał tę myśl,” odezwał się Antoś.

„Mówilem, żebyście tego nie robili!” zawołał Adaś, którego bardzo zgnębił smutny stan Czerwotki.

„Niezawodnie wypędzi mię stary Bhaer, ale mniejsza o to,” mruknął Dan, który mimo tych słów, niewesołą miał jednak minę.

„Wszyscy wstawimy się za tobą,” rzekł Adaś, a inni mu wtórowali. Jeden Nadziany tylko milczał, pragnąc, by cała kara spadła na głównego winowajcę.

Dan odrzekł krótko:

„Nie troszczcie się o mnie,” ale nigdy tego nie zapomniał, chociaż nieraz jeszcze sprowadził ich na złą drogę.

Gdy pan Bhaer zobaczył biedne bydło i wysłuchał całej historyi, nie powiedział ani słowa prawie, bojąc się widocznie, żeby w pierwszej chwili rozdrażnienia, nie rzec za wiele. Czerwonka została wygodnie umieszczona w oborze, a chłopcy odesłani do swych pokojów, póki nie nastąpi wieczera. Ta krótka odwłoka dała im sposobność rozważyć całą rzecz, odgadywać ciekawie, jaka ich kara spotka i czy Dan będzie wydany. On tymczasem gwizdał wesoło u siebie, żeby nikt nie mógł przypuszczać, że go to choć trochę obchodzi; ale oczekując wyroku, coraz silniej pragnął pozostać, i nasuwały mu się na pamięć zaznane tam wygody, przyjemności, a zarazem dawna niedola i zaniedbanie. Wiedział, że państwo Bhaer chcą jego dobra i w głębi serca był wdzięczny, ale skutkiem ciężkiego życia, stał się twardym, obojętnym, podejrzliwym i samowolnym; dla tego nie znosił żadnego przymusu, i opierał mu się, jak nieokiełznane zwierzę, chociaż czuł, że korzyść i poprawa jego, jest na celu. Gdy mu się przypomniało, że znowu będzie może musiał włóczyć się i pukać do cudzych domów, czarne brwi ściągnął i tak smutno rozglądał się po swym pokoiku, że zmięknęłyby na ten widok daleko twardsze serce, aniżeli pana Bhaer. Ale skoro wszedł ten zacy człowiek, Dan przybrał w mgnieniu oka zwykłą minę, — on zaś rzekł:

„Wiem o wszystkim, lecz na prośbę matki Bhaer, zostawię ci jeszcze czas do poprawy, chociaż znowu przekroczyłeś mój przepis.”

Słyszając te niespodziane słowa, zarumienił się chłopiec po uszy, ale odrzekł ze zwykłą opryskliwością:

„Nie wiedziałem, że tu istnieje prawo dotyczące się walki byków.”

„Ponieważ nie spodziewałem się tego igrzyska w Plumfield, prawo takie nie zostało wydane,” powiedział pan Bhaer, uśmiechając się mimowoli z tłumaczenia się Dana, poczem dodał poważnie: „Ale u nas pierwszym i najważniejszym prawem jest to, aby miłosiernym być względem niemych istot; chcę bowiem, aby tak ludzie, jak zwierzęta, znajdowali tu szczęście, kochali nas, ufali nam i służyli — jak my się staramy kochać ich, ufać i służyć im wiernie i chętnie. Nieraz mówiłem, żeś lepszy dla zwierząt, niż dla ludzi, i pani Bhaer bardzo się podobała ta mniemana oznaka dobrego serca, aleś nas zawiódł i zasmucił, bośmy się spodziewali, że z czasem zupełnie przystaniesz do naszej gromadki. Czy będziemy jeszcze próbować?”

Dan spuścił oczy ku ziemi, a rękami nerwowo obdziierał korę z drzewa, które strugał właśnie, gdy wszedł pan Bhaer; ale usłyszawszy to zapytanie uczynione przyjaznym głosem, podniósł żywo wzrok i powiedział z takim poszanowaniem, jakiego nigdy jeszcze nie okazał:

„I owszem, jeżeli łaska.”

„Bardzo dobrze, a więc nie mówmy już o tém, tylko zamiast pójść jutro na przechadzkę, będziecie musieli, ty i koledzy, doglądać biedną Czerwonkę, póki nie wyzdrowieje.”

„Dobrze.”

„Teraz idź na wieczrę i staraj się pięknie postępować, nie tyle przez wzgląd na nas, jak na siebie samego.”

To rzekłszy, uściśnął się z nim pan Bhaer za rękę, a Dan odszedł tak upokorzony jego dobrocią,

że nigdyby tego nie dokazało porządne oćwiczenie, według surowej rady Azji.

Przez kilka dni robił Dan wielkie wysilenia, lecz nieprzyzwyczajony będąc do tego, znudził się i wrócił nareszcie do dawnych psot. Pewnego razu, wypadło panu Bhaer wyjechać do miasta na cały dzień, chłopcy nie mieli zatem lekcji. Zadowoleni z tego, bawili się aż do późnego wieczora; nareszcie, kiedy wielu z nich usnęło już twardo, w głowie Dana powstał plan, z którego zwierzył się Alfredowi, gdy pozostali sami.

„Patrzno,“ rzekł, wyjmując z pod łóżka butelkę, cygaro i talie kart. „Zabawię się trochę, jak dawniej bywało, z koleżkami, w mieście. Przyniosłem piwa i cygaro od tego starego, z placu; możecie zapłacić: ty albo Tomek, bo co ja, to nic nie mam. Pójdę zaprosić Tomka — albo ty idź lepiej, bo ci to ujdzie bezkarnie.“

„Boję się rozgniewać państwa Bhaer,“ rzekł Alfred.

„Nie będą wiedzieli; starego Bhaera niema w domu, a pani Ludwika zajęta Teodorkiem, który dostał krupę, czy tam czegoś — nie może go zatem odejść. Nie będziemy długo siedzieć ani hałasować, więc cóż w tém złego?“

„Ażya pozna, że się lampa długo paliła; ona to zaraz miarkuje.“

„Nie bój się, przyniosłem ślepą latarkę; niedużo daje światła, i jak tylko usłyszymy, że ktoś idzie, będzie ją można prędko zgasić,“ rzekł Dan.

Ten pomysł podobał się Alfredowi jako romantyczny, wybrał się więc po Tomka, ale raz jeszcze wsunawszy głowę, zapytał:

„Czy chcesz także Adasia?“

„Nie; zarazby oczy przewracał i prawil kazanie.

Zresztą on już będzie spał, więc mrugnij tylko na Tomka i wracaj prędko.“

Alfred usłuchał i po chwili przyszli obaj z Tomkiem, któremu, chociaż się już rozbiierał i bardzo był śpiący, nie chciało się wyrzec psoty.

„Siedźcież teraz spokojnie, to was nauczę wybornej gry,“ rzekł Dan, gdy się we trzech skupili w około stołu, na którym umieścił butelkę, cygaro i karty. „Najpierw każdy się napije, potem pociągnie parę razy, a następnie weźmiemy się do gry. Tak robią dorośli mężczyźni i to jest doskonała zabawa.“

Piwo zaczęło krążyć w kufelku i wszyscy trzej umaczali w niem usta, lecz Alfredowi i Tomkowi nie zasmakował ten gorzki napój. Jeszcze gorzej było z cygarem, ale nie śmieli przyznać się do tego i wtenczas dopiero przestali palić, gdy jeden dostał zawrotu głowy, a drugi zakrztusił się. Dla Dana były to same przyjemności, przypominające dziecińne lata, kiedy mu się zdarzała czasem sposobność, naśladować swe gminne otoczenie. Pil wówczas, palił i kłął, żeby nadażyć innym, więc przejmując się duchem przeszłości, zaczął i tym razem kłąć pod nosem, z obawy, żeby kto nie usłyszał.

„Dajże pokój, to brzydko mówić: a bodaj cię!...“ zawołał Tomek, który jednak wszedł w jego ślady.

„Bodajesz wisiał! Nie praw mi nauk, tylko kładź kartę, bo zabawa nie nie warta bez tego dodatku.“

„Jużbym wołał mówić, niech cię zółw ukąsi, odezwał się tamten, dumny że mu się udało wymyśleć tę zajmującą kłatwę.

„A ja będę mówił, do djabła!“, bo to dobrze brzmi,“ dodał Alfred, w którym męskie wzięcie się kolegi budziło poszanowanie.

Mali mężczyźni.

Dan wyśmiał kolegów i kłął dalej po swojemu, usiłując ich nauczyć gry.

Ale Tomek był bardzo śpiący, Alfreda głowa rozbolała od piwa i dymu, więc nie byli zbyt pojętni, i karty szły leniwo.

W pokoju było bardzo ciemno, bo się latarnia słabo paliła, nie mogli śmiać się głośno, ani się bardzo ruszać, gdyż Silas spał obok w szopie, było im więc nudno. Rozdając karty, Dan wstrzymał się nagle, zawołał z przerażeniem: „kto tam!” i zgasił światło w tejże chwili. Wśród ciemności, drżący głos rzekł: „Nie mogę znaleźć Tomka,” a potem usłyszeli szybkie stąpanie bosych nóg, w kierunku dolnych drzwi, prowadzących ze skrzydła, do głównego budynku.

„To Adaś! Poszedł kogo zawołać, więc pakuj się do łóżka, Tomku, i nie mów!” zawołał Dan, usuwając wszelkie ślady swjej psoty, i wraz z Alfredem zaczęli zrzucać z siebie ubranie.

Tomek pobiegł do swego pokoiku i wskoczył do łóżka, dusząc się ze śmiechu; lecz nagle uczuł, że go coś parzy w rękę. Był to koniuszerek cygara, które zapomniał rzucić. Już było prawie dopalone, więc chciał je dobrze przygasić, kiedy się dał słyszeć głos dozorczyńni: bojąc się zatem, żeby go cygaro nie zdradziło, rzucił je pod łóżko, ale w pierwszej chwili raz jeszcze i do reszty wypalił — tak mu się przynajmniej zdawało.

Dozorczyńni weszła z Adasiem, który zdumiał, ujrawszy na poduszce rozczzerwioną twarz Tomka.

„Przed chwilą nie było go, bo jakim się obudził, tom go tu nigdzie nie mógł znaleźć,” rzekł, biegnąc ku niemu.

„Coś ty znów zbroił, niegodziwy chłopcze?” spytała dozorczyńni żartobliwie, potrząsając Tomkiem.

On zaś otworzył oczy i rzekł z pokorą:

„Pobiegłem tylko do Alfreda, żeby go o coś zapytać. Proszę mi dać pokój, bom strasznie śpiący.”

Hummłowa otuliwszy Adasia w łóżku, poszła na wiadzy do tamtych chłopców, lecz obaj spokojnie spali w pokoiku Dana.

„To musiała być jaka niewinna psota,” pomyślała kobięcina, i widząc, że się nie stało nic złego, nie poszła ostrzedz pani Bhaer, która była już bardzo zmęczona doglądaniem Teodorka.

Tomkowi chciało się spać, rzekł więc tylko do Adasia: „Myśl o własnych sprawach, o cudze nie pytaj!” a w dziesięć minut chrapał już doskonale, nieodgadując nawet, co się pod nim dzieje. Cygaro nie zgasło i póty się tliło na słomiance, póki nie powstał zupełny ogień. Powoli płomień zaczął ogarniać siennik, prześciéradło, a nakoniec i łóżko. Tomek po napięciu się piwa miał twardy sen, Adaś zaś był odurzony dymem; spali więc, chociaż ich ogień już parzył i groziła im okropna śmierć.

Franz, który pracował w klasie, wyszedłszy z tamtąd, poczuł dym, pobiegł więc na górę i ujrzał cały ślup wydobywający się z lewego skrzydła domu. Nie wołając nikogo, wpadł dla spieszniejszego ratunku do pokoju, ściągnął chłopców z palącego się łóżka i wylał tyle wody na płomień, ile tylko znalazło się pod ręką. Wprawdzie powstrzymał tym nieco ogień, ale go nie stłumił, i dzieci wybiegły przestraszone do zimnej sieni, krzycząc z całych sił. Pani Bhaer natychmiast się ukazała, Silas także wypadł ze swjej stancyjki, wołając tak silnie „gore!”, że rozbudził cały dom. Gromada białych duchów z zaleknionemi twarzyczkami wybiegła też do sieni, i przez chwilę panował ogólny popłoch.

Pani Bhaer odzyskawszy pierwszą przytomność, zaleciła dozorczyńni opatrzyć poparzonych chłopców. Następnie posłała na dół Franza i Silasa po kilka waniek z mokrą bielizną, którą rozpostarła na łóżku, dywanie i palących się już na dobre firankach — co groziło już ścianom.

Większa część chłopców przyglądała się w milczeniu; ale Dan i Emil pracowali dzielnie, nosząc wodę z łazienki i obdzierając firanki.

Wkrótce ogień ustał, więc pani Bhaer rozkazała chłopcom, żeby się położyli, zostawiwszy Silasa, od wypadku gdyby się pożar wznowił, a z Franzem poszła zajrzeć do uszkodzonych dzieci. Adaś, prócz jednej tylko rany i wielkiego przestachu wyszedł cało, ale Tomkowi nie tylko spalili się wszystkie włosy na głowie, lecz okropnie poparzył ramię i szalony ból cierpiał. Gdy Adasia opatrzono, wziął go Franz do swego pokoju, gdzie uspakajał go i tulił do snu z kołącą kłiwością. Dozorczyńni czuwała nad biednym Tomkiem, a pani Bhaer biegła na przemiany do niego i do Teodorka z oliwą, watą lub anodynami, — powtarzając ciągle, jak gdyby ją ta myśl bawiła: „Wiedziałam, że Tomek podpali kiedy dom — i podpalił!”

Gdy pan Bhaer przyjechał nazajutrz rano, zastał taki stan rzeczy: Tomek nie mógł wstać z łóżka, Teodorek sapał jak miech, pani Ludwika nie czuła już nóg, a chłopcy tak byli zgorączkowani, że wszyscy na raz mówili i gwałtem pociągali go do zgłiszcz. Pod jego spokojnym kierunkiem wróciło wszystko do ładu, bo czując, że on podola choćby i dwunastu pożarom, każdy spełniał jego polecenia.

Rano nie było lekeży, lecz po południu uszko-

dzony pokój wrócił do porządku, chorzy mieli się lepiej, i przestępcy zostali wysłuchani. Alfred i Tomek szczerze przyznali się do winy i ubolewali nad niebezpieczeństwem, jakie groziło ukochanemu przez nich domowi, ale Dan z miną zatwardziałego grzesznika utrzymywał, że się nie stało nic złego.

Pan Bhaer nieczem się tak nie brzydził, jak kiedy ktoś pił, grał w karty i kłął; nawet tytoń przestał palić, żeby chłopcy nie mieli złego przykładu. Bardzo się więc zasmucił i rozgniewał, że Dan, który ze wszystkich dzieci najwięcej kosztował go trudu, skorzystawszy z jego nieobecności, dał początek tym surowo wzbronionym przewinieniom i nauczał jego niewinnych wychowanków, że to są męskie rozrywki, na które można sobie pozwolić. Przemawiał długo i poważnie do zgromadzonej dziatwy, a na zakończenie rzekł tonem stanowczym, lecz smutnym:

„Sądzę, że Tomek jest dostatecznie ukarany, i że zranione ramię długo mu przypominać będzie popełnioną winę; Alfreda także wyleczy przestach, bo szczerze winy żałuje i stara się, być mi posłusznym; ale tobie, Danie, jużem nieraz przebaczył, a jednak nie to nie pomaga. Nie mogę pozwolić, żebyś psuł chłopców złym przykładem, nie chcę też rzucić grochu o ścianę, możesz się więc pożegnać ze wszystkimi i poprosić dozorczynię, o upakowanie ci rzeczy w mój czarny worek.”

„Ach, panie, dokądże on pójdzie?” zawołał Alfred.

„Do bardzo ładnej wsi, gdzie posłałam czasem chłopców, gdy się tu nie chcą dobrze sprawować. Tamtejszy przełożony, pan Page, jest uczciwym człowiekiem i Danowi będzie doskonale, jeżeli na to zasłuży.”

„A kiedy powróci tutaj?” zapytał Adaś.

„To od niego zależeć będzie, — przynajmniej tak się spodziewam.“

Co rzekłszy, pan Bhaer wyszedł z pokoju, by napisać list do pana Page, a chłopcy otoczyli Dana, jak to zwykle bywa, gdy się ktoś wybiera w podróż, do nieznanych krajin.

„Ciekawym, czy ci się tam spodoba?“ odezwał się Jakubek.

„Jak mi będzie źle, to sobie pójdę,“ odrzekł Dan z zimną krwią.

„Dąkać?“ zapytał Alfred.

„Na morze, na zachód, albo do Kalifornii,“ odparł Dan tak obojętnie, że po malcach mrowie przeszło.

„Ach nie rób tego! Posiedź jakiś czas u pana Page, a potem wróć tutaj, proszę cię, Danie!“ mówił błagalnie Alfred, bardzo zasmucony tą całą sprawą.

„Wszystko mi jedno gdzie pójdę, jak długo tam pozostanę, i niech mię powieszą, jeżeli tu wrócę kiedy,“ wyrzekłszy te gniewne słowa, poszedł pozbierać swe rzeczy, będące wszystkie darem pana Bhaer.

To było jedyne pożegnanie Dana z chłopcami, gdyż podczas kiedy rozmawiali w stodole o tém co zaszło, zeszedł na dół, i spotkawszy Alfreda przykazał, żeby ich nie wołał.

Kiedy karyolka stanęła przed domem, pan Bhaer ukazał się z tak smutnym wyrazem twarzy, że Danowi serce zmiękło, i rzekł z cicha:

„Czy mogę pożegnać się z Teodorkiem?“

„Dobrze, mój drogi, idź go pocałować; będzie bardzo tęsknił do swego Dancja.“

„Z jakim wyrazem twarzy pochylił się Dan nad kolebką dziecięcia, rozradowanego jego przybyciem, tego nikt nie widział. — Po chwili doszły jego uszu błagalne słowa pani Bhaer:

„Fritz, czy nie moglibyśmy jeszcze jeden raz przebaczyć temu chłopcu?“ a mąż odpowiedział stanowczym tonem:

„Nie zdałoby się to na nic, niech się więc lepij tam uda, gdzie nie zdoła szkodzić tym, co pragną jego dobra. Później będzie mógł jednak powrócić; to ci obiecuję, moja droga.“

„Z nim jednym tylko nam się nie powiodło, i tak mię to martwi, bom się spodziewała, że pomimo dziejszych wad, wyjdzie na dzielnego człowieka.“

Dan usłyszał westchnienie pani Ludwiki i byłby chciał uprosić jeszcze jedną zwłokę, ale mu duma nie pozwoliła, i z twardym wyrazem twarzy, w zupełnym milczeniu, uściśnął tylko ręce państwu Bhaer, poczem odjechał z profesorem, — Alfred zaś i pani Ludwika ścigali go zalawionemi oczyma.

W kilka dni potem, nadeszła wiadomość od pana Page, iż Dan dobrze się sprawuje — co wszystkich niezmiernie ucieszyło; ale w trzy tygodnie później, napisał drugi raz, że Dan uciekł i zginął bez wieści. Całe grono zasępiło się wówczas, a pan Bhaer powiedział:

„Może należało zostawić mu jeszcze czas do poprawy?“

Ale pani Ludwika kręcąc głową, odrzekła roztropnie:

„Nie turbuj się tém, Fritz; on wróci do nas, jestem pewna.“

Jednakże czas upływał, a Dana nie było widać.

Rozdział siódmy.

Niesforna Andzia.

„Słuchaj Fritz, przyszła mi nowa myśl do głowy!“ zawołała pani Bhaer, spotkawszy się raz z mężem, po ukończonych lekeyach.

„Cóż to takiego, moja droga?“ zapytał, czekając ciekawie nowego planu, bo niektóre pomysły pani Ludwiki były tak zabawne, że się nie mógł wstrzymać od śmiechu, chociaż w ogóle bywały bardzo rozsądne, i lubił je wprowadzać w czyn.

„Stokrotce trzeba towarzyszek, i dla chłopców byłoby korzystniej mieć drugą dziewczynkę pomiędzy sobą. Wszakże równie ty jak ja, wierzymy w skuteczność wspólnego wychowania dla młodzieży obojg płci, i wielki już czas wprowadzić w życie tę ideę. Raz zbyt często dogadzają chłopaki Stokrotce, raz ją znowu dręczą, i gotowi zepsuć ją na nic. Zresztą, muszą się nauczyć grzeczności i przyzwoitego obejścia, a najlepiej na to podziała obcowanie z panienkami.“

„Masz słusność — jak zwykle. A więc kogóż przyjmujemy?“ zapytał pan Bhaer, widząc z oczu żony, że już ma gotowy plan.

„Andzię.“

„Co? „niesforną Andzię“ jak ją chłopcy nazywają!“ zawołał, rozweselony tym pomysłem.

„Tak; odkąd ją matka odumarała, biega ciągle bez dozoru: byłaby szkoda żeby ją służące zepsuły. Od pewnego czasu, mam na nią oko, i parę dni temu spotkawszy jej ojca w mieście, zapytałam czemu jej nie posła do szkoły; odpowiedział że chętnieby to uczynił, gdyby znalazł taki zakład dla dziewcząt, jakim nasz jest dla chłopców. Wiem że byłby zadowolony

gdyby się do nas dostała, więc możeby po nią pojechać po południu?“

„Czy mało masz kłopotów, moja Ludko, żeby się jeszcze frasować o tę cyganeckę?“ zapytał pan Bhaer głaszcząc rękę, którą mu oparła na ramieniu.

„Mnie to sprawia przyjemność, i nigdy nie byłam tak szczęśliwą jak teraz, wśród tej zgrai chłopców. Widzisz mój Fritzu, ja sama byłam tak niesfornym dzieckiem jak Andzia, więc mam do niej pociąg, i będę umiała obchodzić się z nią. Dużo ma wrodzonych zdolności, które trzeba tylko dobrze spożytkować, żeby wyszła na tak miłą dziewczynkę, jak Stokrotka. Żywość temperamentu ułatwiałaby naukę, i wkrótce z tego trzpiota zrobiłoby się wesołe, ale pracowite dziecko. Będę umiała nią kierować, gdyż pamiętam jak mnie droga matka prowadziła i . . .“

Jeżeli ci się w połowie tak powiedzie jak jej, to dokonasz wspaniałego dzieła,“ przerwał pan Bhaer, gdyż był głęboko przekonany, że jego żona jest najlepszą i najpoważniejszą w świecie kobietą.

„Jak sobie pozwolisz kpić z mego pomysłu, przez cały tydzień będę ci dawała niesmaczną kawę, — a co się z tobą stanie, w takim razie, mój panie?“ zawołała pani Ludwika.

„Czy tylko Stokrotce nie będą włosy stawać na głowie z oburzenia, jak Andzia popuści tu sobie engli?“ zapytał pan Bhaer. — W ciągu tej rozmowy, Teodorek gramolił mu się po kamizelce, a Robcio po plecach, bo zazwyczaj biegli do ojca, skoro się tylko skończyły lekey.

„Może być, z początku; ale toby jej wyszło na dobre, bo się robi sztywna, i koniecznie trzeba ją rozruszać. Ponieważ z Andzią zawsze doskonale się bawi, mogą sobie być nawzajem pomocne. Połowa umiejętności

prowadzenia dzieci polega na tém, żeby wiedzieć jak wiele sobie przysług wzajemnie oddają, i kiedy je łaczyć należy.

„Żeby nas tylko nie podpałiła znowu!“

„Biedny Dan! Nie mogę sobie darować, żem go puściła,“ odrzekła z westchnieniem. — Teodrek, który nie zapomniał swego przyjaciela, posłyszawszy to imię wyrwał się z objąć ojca, pobiegł do drzwi, wyrzał z zasępioną twarzą na trawnik oblany słońcem, i przydreptał napowrót, mówiąc, jak po każdym zawodzie:

„Mój Dancio przyjdzie niezadługo.“

„Doprawdy, zdaje mi się że go należało zatrzymać — chociażby tylko przez wzgląd na Teodorka. On go tak kochał! Może przywiązanie tego dziecka do kazałoby więcej, niż nasze trudy.“

„Ja sam nieraz to myślałem; ale ponieważ buntował chłopców, i o mało nie spalił domu, zdawało mi się bezpieczniej usunąć go, — choćby czasowo,“ rzekł pan Bhaer.

„Obiad już gotów, zadzwonię!“ odezwał się Robcio, i rozpoczął taki koncert, że już niemożna było rozmawiać.

„Mogę zatem wziąć Andzię?“ zapytała pani Ludwika.

Nawet dwanaście, jeżeli ci się spodoba, moja droga,“ odparł profesor, który miał miejsce w swém ojcowskiem sercu, dla wszystkich swawolnych i opuszczonych dzieci.

„Gdy pani Bhaer wróciła z przejażdżki owego popołudnia, jeszcze nie zdołała wydobyć gromadki mniejszych chłopców, bez których rzadko wyruszała się z domu, kiedy dziesięcioletnia dziewczynka wyskoczyła z tyłu karyolki i wpadła do sieni, wołając:

„Héj Stokrotko, gdzie jesteś?“

Stokrotka przyszła, i zdawała się rada z przybycia gościa, ale zrobiła nieco zaleknioną minę, skoro Andzia rzekła, skacząc ciągle, jak gdyby nie mogła ustać w miejscu:

„Ja tu na zawsze zostanę! Papa pozwolił, i kuferek z rzeczami nadejdzie jutro. Trzeba było wszystko prać i naprawiać, a twoja ciocia, jak tylko przyjechała, zaraz mię wzięła z sobą. Powiedz, czy się nie dobrze stało?“

„I owszem; a przywiozłaś tę dużą lalkę?“ zapytała Stokrotka, bardzo tego pragnąc, bo za ostatniej bytności, zburzyła Andzia domek lalki, i zniszczyła delikatną pleć Matyldy, obmywszy wodą, jej gipsową twarz.

„Musisz tu gdzieś być bom ją wzięła z sobą,“ odparła Andzia, zbyt obojętnie, jak na matkę.

Zrobiłam ci w drodze pierścioneł z włosia wyciągniętego koniowi z ogona, — chcesz go?“ zapytała, podając Stokrotce ten zadatek przyjaźni, gdyż po ostatniem widzeniu się, przysięgli, że już nigdy nie będą do siebie mówić.“

Stokrotka ujęta pięknym podarkiem, stała się serdeczniejszą, i zapraszała gościa do dzieciennego pokoju, ale Andzia rzekła:

„Chciałabym zaraz pójść do chłopców i do szopy.“

Po tych słowach, puściła się pędem, tak prędko obracając w ręce kapelusz, że się wstążka odeń oberwała, i padł na ziemię, gdzie pozostał na lasce losów.

„Hurra! Andzia!“ zawołali chłopcy, gdy wpadła pomiędzy nich, wołając:

„Ja tu już zostanę!“

„Hurra!“ wykrzyknął Tomek, siedzący na płocie.

Uspodobienia ich były pokrewne, przewidywał zatem wyborne figle w przyszłości.

„Będę z wami grała w piłkę, bo ja to umiem!“ rzekła Andzia; lubiła bowiem przyłożyć rączki do wszystkiego, i nie bała się bólu.

„Nie gramy teraz; zresztą nasza strona umiała zwyciężyć i bez ciebie.“

„W każdym razie mogę was zwyciężyć w bieganii,“ powiedziała znów Andzia, licząc wiele na tę umiejętność.

„Czy ona potrafi biegać?“ zapytał Alfred, Jakubka.

„Bardzo dobrze — jak na dziewczynę,“ odrzekł tenże, z góry spoglądając na nią.

„Chcesz spróbować?“ zapytała, gdyż jej było pilno popisać się.

„Nie, bo jest za gorąco,“ odezwał się Tomek i ociężale wsparł głowę o płot.

„Co się dzieje z Nadzianym?“ zapytała znów Andzia, której bystre oczki latały na wszystkie strony.

„Uderzył się w rękę piłką, więc się zaraz rozbecztał według zwyczaju,“ rzekł Jakubek wzgardliwie.

„Ja nigdy nie beczę, chociażbym się najbardziej skaleczyła, bo tylko dzieci mażą się o byle co.“ Powiedziała Andzia z dumą.

„Jednakże doprowadziłbym cię do płaczu — we dwie minuty,“ odrzekł zapierzając się, Nadziany.

„Spróbuj.“

„Idźże urwać tę pokrzywę,“ rzekł.

Urwawszy ją natychmiast, z tryumfem trzymała Andzia w rączce, chociaż ją strasznie parzyła.

„Brawo!“ zawołali chłopcy, chętnie przyznając odwagę, nawet płci słabszej.

Nadziany, gorzej jeszcze sparzony, postanowił, bądź co bądź, zmusić ją do płaczu; rzekł zatem żeby ją

rozdrażnić: Jesteś przyzwyczajoną dotykać się ręką wszystkiego, więc cię to nie nie kosztuje, ale uderzno głową o stodołę, tylko z całej siły! Zobaczmy, czy nie wrzańniesz.“

„Nie rób tego!“ rzekł Alfred nienawidzący wszelkiego okrucieństwa.

Ale Andzia rozpędziła się, i biegnąc prosto ku stodołę, tak uderzyła głową, że padła na wznak. Odurzona, lecz niezwalczona bynajmniej, podniosła się i rzekła pewnym głosem, chociaż cierpienie malowało się na twarzyczce:

„Boli mię, ale nie płaczę.“

„Zrób to jeszcze raz!“ odezwał się Nadziany gniewnie i Andzia byłaby go zadowolniła, lecz ją Alfred powstrzymał; Tomek zaś zapomniawszy o upale, jak kogut, rzucił się na Nadzianego, krzycząc:

„Daj jej pokój, bo cię przerzucę przez stodołę!“ i tak go trząsał i szarpał, że przez chwilę nie wiedział bićdaka na którym jest świecie. Skoro go już wreszcie puścił Tomek, rzekł na swoją obronę, te tylko słowa:

„Ona sama tego chciała.“

„To wstyd, w każdym razie, że dręczysz dziewczynkę mniejszą od siebie,“ rzekł Adaś z wyrzutem.

„E! ja na to nie uważam; zresztą, nie jestem małą dziewczynką, bom starsza od ciebie i od Stokrotki!“ zawołała niewdzięczna Andzia.

„Nie praw nam kazań, kiedy niema dnia, żebyś sam nie dokuczał Stokrotce!“ zawołał komandor, ukazawszy się w tej chwili.

„Ja jej nie kaleczę, prawda Stokrotko?“ rzekł Adaś do siostry, która głaszcząc oparzone rączki Andzi, zalecała przykładac zimną wodę, do guza na czole.

„Na całym świecie niema lepszego chłopca od

ciebie!" żywo odparła Stokrotka i dodała przez zamyślenie prawdy „czasem sprawiasz mi przykrość, ale nie przez złe chęci.“

„Porzućcie pilki, i naradźmy się co teraz robić. Tylko proszę pamiętać że bić się niewolno na tym okręcie!“ Odezwał się Emil dowodzący, jak zwykle, całym gronem.

„Jak się masz, iskro?“ rzekł pan Bhaer, gdy Andzia przyszła do wieczery. „Podaj prawą rączkę, córeczko, i pilnuj się z tém na drugi raz,“ dodał, gdy wyciągnęła na powitanie lewą rękę.

„Tamta mię boli.“

„Biedna rączyna! z kądże się wzięły te bąble?“ zapytał, przemocą biorąc rękę, którą chowała w tył, z taką miną, że podejrzewał jaką psotę.

Zanim Andzia zdążyła wytłumaczyć się, już Stokrotka opowiedziała całą historję, podczas której Nadziany starał się ukryć twarz w kubku z młkiem. Gdy skończyła, pan Bhaer spojrzał na żonę, siedzącą w drugim końcu stołu, i rzekł ze śmiejącemi się oczami:

„To podobno należy do twego wydziału, więc się nie będę mieszał, moja droga.“

Pani Ludwika zrozumiała go, i pokochawszy dziewczynkę jeszcze bardziej za odwagę, rzekła:

„Czy wiecie, dla czegom tu sprowadziła Andzię?“

„Żeby mnie dręczyła,“ mruknął Nadziany, z pełnemi ustami.

„Żeby mi pomogła uczynić z was grzecznych młodzieńców, i podobno się okazało, że jednemu z was jest to potrzebne.“

Słyszając te słowa, Nadziany znów ukrył twarz w kubku, i nie wydobył jęć, póki Stokrotka nie po-

budziła wszystkich do śmiechu, gdy rzekła swym powolnym, pytającym tonem.

„Jakżeby to mogło być, kiedy z niej taki chłopak?“

„Prawda, ona zarówno jak wy powinna się poprawić, i mam nadzieję że jęć dacie przykład ładnego ułożenia.“

„Czy ona także będzie grzecznym młodzieńcem?“ zapytał Robcio.

„Bardzoby tego pragnęła; prawda, Andziu?“ rzekł Tomek.

„Wcale nie, bo nienawidzę chłopców!“ zawołała gniewnie, gdyż ją rączka jeszcze paliła, i czuła już po trosze, że można było dowieść odwagi, w mądrzejszy sposób.

„Przykro mi że nienawidzisz moich chłopców, bo oni umieją być mili, jak chcą. Uprzejmość w spojrzeniu, w słowie i w obejściu, — oto prawdziwa grzeczność, i każdy ją może osiąść, kto tak wychodzi z ludźmi, jakby chciał, żeby z nim wychodzili.“

Pani Bhaer zwracała te słowa do Andzi, ale chłopcy mrugali na siebie, widocznie rozumiejąc przy-mówkę, — a więc przez cały ciąg wieczery, podawali masło, z niezwykłą wytwornością i poszanowaniem mówili „proszę,“ „dziękuję,“ „tak, panie,“ „nie, pani.“ Andzia milczała, ale ją brała wielka chęć rozśmieszyć czém Adasia, żeby nie stroił tak uroczystej miny. Widać że już zapomniła o swęć nienawiści do chłopców, bawiła się bowiem z nimi, aż do zmroku. Zauważano, że Nadziany często jęć pozwalal obliżywać swój cukier lodowaty, czém widocznie ulagodził jęć temperament, gdyż idąc spać, powiedziała:

„Jak nadejdą moje rakiety i wolant, to się wam wszystkim pozwolę nimi bawić.“

Obudziwszy się rano, zaraz zapytała „czy nadszedł mój kuferek?“ a gdy opowiedziano, że go odbierze w ciągu dnia, tak się niecierpliwiła i dąsała, że się to aż skrupiło na lalce, ku wielkiemu oburzeniu Stokrotki. Jednakże jako tako wytrzymałszy do piątej, wówczas dopiero znikła, lecz nikt tego nie zauważył aż do wieczery, myślano bowiem że się wybrała na przechadzkę z Tomkiem i z Adasiem.

„Widziałam jak sama jedna biegła co sił, aleą,“ rzekła Marya — Anna, wnosząc placek z mąki kukuryzaniej, — gdy się wszyscy zaczęli pytać „gdzie Andzia?“

„Musiała ta cyganeeczka pobiedz do domu!“ zawołała matka Bhaer, z niepokojem.

„Może poszła na stację, zapytać o swoje rzeczy?“ odezwał się Franz.

„To niepodobna; nie zna drogi, a gdyby nawet trafiła, nie mogłaby dźwigać kuferka całą milę,“ rzekła znów pani Bhaer, miarkując że ten jej „nowy pomysł“ będzie twardym orzechem do zgryzienia.

„To byłoby na nią podobne,“ powiedział profesor, i wzięwszy kapelusz, zamierzał szukać dziecka, kiedy Jakubek stojący przy oknie, wydał okrzyki, i wszyscy zmierzili ku drzwiom.

Była to Andzia w swojej osobce, i wlokła za sobą spory kuferek ręczny, w płóciennym pokrowcu. Była zgrzana, zakurzona i zmęczona, ale stawiała pewne kroki. Sapiąc weszła na wschody; rzuciła tam swój ciężar, odetchnęła głęboko, usiadła na kuferku, i zakładając zboliałe rączkę, rzekła:

„Nie mogłam czekać dłużej, więcem poszła i zabrała rzeczy.“

Jakim sposobem trafiłaś?“ zapytał Tomek, i cała gromadka ją otoczyła, rozciekawiona tym jej wybrykiem.

„Nie zablądziłam ani razu.“

„I uszłaś milę drogi?“

„Prawda że to porządny kawał, ale często wypoczywała.“

„A kuferek nie bardzo był ciężki?“

„Owszem; w dodatku jest okrągły, więc go trudno było trzymać; myślałam też, że mi ręce poodpadają.“

„Dziwię się, że ci go wydał zawiadowca stacji,“ powiedział Tomek.

„Wcale się nie udawałam do niego i nie widział gdyś zdjęła rzeczy z platformy, bo zajęty był sprzedając bilety.“

„Pobiegij Franz, i powiedz mu, że wszystko jest wporządku, bo stary gotów myśleć że go okradziono,“ rzekł pan Bhaer, śmiejąc się wraz z innymi, z zimnej krwi Andzi.

„Wszakże ci mówiłam że jeżeli rzeczy nie nadejdą, to po nie poszlemy. Na drugi raz musisz czekać, bo nie łatwiejszego, jak sobie narobić biędy, takiem bieganiem. Przrzeknij że usłuchasz, gdyż inaczej nie pozwolę ci odchodzić samą, ani na krok,“ rzekła pani Bhaer, obciążając ją z kurzu twarzyczkę.

„Dobrze, nie z robię już tego; ale ponieważ mnie papa uczył, żebym się nie ociążała z żadnem zajęciem, więcem poszła.“

„Podobno jej nie przegadamy, daj jej zatem spokojnie zjeść wieczkę, a potem dopiero wylajesz ją na cztery oczy,“ powiedział pan Bhaer; tak go bowiem zabawiła ta wyprawa dziewczynki, że nie był w stanie jej gromić.

„Przez cały czas wieczery, opisywała Andzia swe przygody, i tak: jakiś duży pies szczekał na nią, jakiś Mali mężczyźni.

człowiek śmiał się z niej, jakaś kobieta dała jej kawałek placka i kapelusik wpadł jej do strumyka, skoro chciała się napić dla ochłody.

„Zdaje mi się, że będziesz miała ciężkie zadanie, moja droga, — bo takie dzieci, jak Tomek i Andzia, prawie że przechodzą siły kobiece,“ rzekł pan Bhaer w półgodziny potem.

„Wiem, że upłynie dosyć czasu, zanim się przyswoi ta dziewczynka; ale ma tak szlachetne i gorące serduszek, że chociażby jeszcze dwa razy rozpustniejszą była, to-bym ją musiała jednak kochać,“ odparła pani Bhaer wskazując na wesołą gromadkę, pośród której stała Andzia, tak szczodrze rozdając swoje rzeczy, na lewo i na prawo, jak gdyby jej kuferek był bezdenny.

Przez dobroć serca „Iskra“ stała się ulubienicą całego domu: Stokrotka przestała narzekać na nudy i osamotnienie, bo jej obmyślała doskonałe zabawy; z Tomkiem wyścigała się w psotach, i całą szkołę rozweselała. Pewnego razu pogrzebała swą dużą lalkę, i dopiero po upływie tygodnia, przypomniawszy sobie, wydobyla ją zbutwiałą od wilgoci. Stokrotka oddała się rozpacz; ona zaś poniosła lalkę do malarza, który tam właśnie miał zajęcie, kazała mu ją pomalować czerwoną farbą i dorobić jej świecące oczki, potem ubrała ją w pióra i w szatę z ponsowej flaneli, uzbroidła w ołowianą siekierkę, roboty Antosia, i lalka ta, jako wódz indyjski, ścinała głowy swym dawnym koleżankom. Innego dnia, oddała swe trzewiczki zebracze, w nadziei, że jej będzie wolno chodzić boso; ale się przekonała, że nie można łączyć miłosierdzia z wygodą; przytém zakazano jej rozdawać swe rzeczy, bez wiedzy starszych. To znów zrobiła chłopcom z kawałka gontu łódź z dwoma wielkimi żaglami, które umoczywszy w terpentynie zapaliła, a następnie,

o zmroku puściła na wodę. Raz znowu zaprzęгла starego indyka do słomianego wózka, i musiał gniewnym krokiem oblecieć dom do koła. Innego dnia darowała naszyjnik koralowy czterem nieszczęśliwym kocietom, udręczonym przez chłopców, i kilka dni pielęgnowała je z macierzyńską troskliwością, goiła rany Cold-creamem, karmiła łyżeczką lalczyną, i opłakiwała, gdy życie przestały, póki jej nie pocieszył najpiękniejszy z żółwi Adasia. Jeździła na wszystkich zwierzętach, jakie się tam znajdowały: od rosłego konia, aż do srożącej się świni, od której z trudnością obroniono ją, pewnego dnia. Co tylko chłopcom przyszło do głowy, natychmiast wprowadzała w czyn, chociażby to była rzecz niebezpieczna — oni zaś, bez ustanku wystawiali jej odwagę na próbę.

Gdy pan Bhaer nasunął myśl, żeby się wyścigali w naukach, Andzia z równą przyjemnością ćwiczyła władze umysłowe i bystrą pamięć, z jaką wprawiała w ruch zwinne nóżki i gadatliwy języczek. Chłopcy musieli się dobrze pilnować, żeby ich nie wyprzedziła, widząc, że niektóre rzeczy równie dobrze, a nawet i lepiej od nich, potrafi. W zakładzie tym nie dawano nagród, ale pochwała pana Bhaer lub pochlebne sprawozdanie w książce jego żony, uczyły ich miłować obowiązki bezinteresownie, i pełnić je wiernie, z tą ufnością, że prędzej czy później, otrzymają zapłatę.

Andzia wkrótce zaczęła się przejmować tą nową atmosferą, polubiła ją, a że jej była potrzebna, dowodziło to, iż ogródek jej duszy, pełen kwiatków wprawdzie, lecz przygłuszonych chwastem, dostawszy się w umiejętną ręce, ukazywał już zielone kielki, obiecując pięknie się rozwinąć w cieple miłości i opieki, które stanowią najlepszy w świecie klimat, dla młodych serc i dusz.

Rozdział ósmy. Różne figle i zabawy.

Ponieważ jedynym zadaniem tej powieści, jest opis niektórych scen, wziętych z życia w Plumfield, dla rozrywki pewnych osóbek — opowiemy w tym rozdziale, w jaki sposób bawili się chłopcy pani Ludwika. Wierząc mi, szanowni czytelnicy, że te zdarzenia są po większej części wzięte z rzeczywistości, i że najdziwniejsze, są najprawdziwszymi — bo dorosła osoba, chociażby oddarzona była najżywszą wyobraźnią, nigdy nie zdoła wymyślić tak zabawnych psot, jak te, co się zrodzą w twórczych mózgownicach dzieci.

Stokrotka i Adaś, niewyczerpani w tym względzie, żyli we własnym świecie, pełnym uroczych i komicznych istot, którym dawali najdziwniejsze nazwy, i bawili się niemi w najosobliwsze sposoby. Między innemi, wymyślili sobie niewidzialnego ducha pod nazwą „kot-myszki“ w którego wierzyli przez pewien czas, bojąc się go, i służąc mu. W największej tajemnicy odbywali obrządki, rzadko wspominając o nim komu bądź. Nawet jedno przed drugim, nie próbowali go opisywać, co stanowiło szczególny urok, zwłaszcza dla Adasia, przepadającego za elfami i szatankami. Ta psotna kot — myszka, była bardzo kapryśna i wymagająca; Stokrotka służyła jej z lekliwą przyjemnością i ślepo słuchała, choćby przykrego żądania, które zazwyczaj wygłaszały usta Adasia, oddarzonego wielką pomysłowością. Robcio i Teodorek bywali niekiedy przypuszczani do tych obrzędów, i bawili ich one bardzo, chociaż nie rozumieli ani połowy.

Pewnego dnia, po skończonych lekcjach, Adaś szepnął do siostrzyczki, złowrogo kręcąc główką:

„Kot-myszka wzywa, byśmy się stawili dziś popołudniu.“

„Po co?“ zapytała niespokojnie.

„Na składanie ofiar,“ odrzekł uroczyście. „Musi być zrobiony ogień za dużą skalą, o drugiej godzinie, i wszyscy zanieśmy na spalenie, co tylko mamy najlepszego!“ dodał, groźnie naciskając na ostatnie słowa.

„Ach, mój Boże! ja lubię najlepiej te papierowe lalki, co ciocia Amelka wymalowała, czy także mam je spalić?“ wykrzyknęła Stokrotka, nieśmiając nigdy oprzec się wymaganiom niewidzialnego ducha.

„Co do jednej! Ja spalę okręt, najładniejsze album, i wszystkich żołnierzy,“ rzekł stanowczym tonem.

„Dobrze; ale to bardzo brzydko, żeby kot-myszka żądała od nas najpiękniejszych rzeczy,“ odparła z westchnieniem Stokrotka.

„Składać ofiary, znaczy: oddawać to, co się najlepiej lubi, — więc musimy to zrobić.“ Tłumaczył Adaś, któremu zabłysł ten nowy pomysł, gdy wuj Fritz opisywał dużym chłopcom zwyczaj Greków.

„Czy Robcio także pójdzie?“ zapytała Stokrotka.

„Pójdzie i zabierze swoją wieś: będzie się doskonale palić, bo zrobiona z drzewa. Rozniecimy wielki ogień i będziemy się przypatrywać, jak to płonąć będzie, dobrze?“

Ta świetna nadzieja pocieszyła Stokrotkę i jadła obiad z szeregiem papierowych lalek przed sobą, uważając go za pożegnalną ucztę.

Ofiarnicze grono wybrało się o naznaczonej godzinie i każde z dzieci zabrało z sobą skarby, żądane przez kot-myszkę. Teodorek naparł się pójść także, a widząc u wszystkich cacka, włożył pod jedną pachę beczące jagnię, pod drugą starą Anabellę, które to bóstwo nabawiło ich wielkiego strachu.

„Gdzie idziecie, wiskłeta?“ zapytała pani Ludwika gromadki, przechodzącej koło drzwi.

„Za dużą skałę; czy można?“

„I owszem, tylko nie chodźcie blisko stawu i uważajcie na małego.“

„Ja mam zawsze na niego oko,“ rzekła Stokrotka, prowadząc Teodorka z opiekuńczą minką.

„Usiądźcie wszyscy do koła i nie ruszajcie się, póki nie pozwolę. Ten płaski kamień jest ołtarzem, na którym roznieć ogień,“ rzekł Adaś i rozżarzył płomyk, przyjrawszy się na piknikach, jak się chłopcy do tego biorą. Gdy się już wszczął ogień, kazal chłopczyńna całemu gronu obejść skałę trzy razy, a potem stanąć kołem.

„Ja zacznę, a jak się tylko moje rzeczy spalą, musicie przynieść swoje.“

Rzekłszy to, uroczyście położył najwpierw album z obrazkami, które sam malował, potem okręt rozbiérany, a w końcu nieszczęśliwych żołnierzy ołowianych. Żaden z nich nie zawahał się, ani się cofnął: począwszy od wspaniałego kapitana w czerwonożółtym mundurze, aż do małego dobosza, pozbawionego nóg. Wszyscy znikli w płomieniach i utworzyli kałużę z roztopionego ołowiu.

„Teraz twoja kolej, Stokrotko,“ zawołał wielki kapłan kot-myszki, gdy jego ofiary spłonęły, ku żywemu zadowoleniu dzieci.

„Moje drogie laleczki! jakże ja mogę je oddać!“ odezwiała się płaczliwie Stokrotka, ściskając cały tuzin z macierzyńskim żalem.

„Musisz!“ rozkazał Adaś, a dziewczynka ucałowała każdą na pożegnanie, położyła rumiane lalki na żarzących się węglach.

„Pozwól mi zachować choć jedną, tę błękitną; — taka miłuchna!“ rzekła błagalnie biedna mateczka, ściskając rozpaczliwie pozostały skarb.

Poszła jednak na ofiarę piękna, błękitna lalka w sukience z falbanami, w różowym kapeluszu — i pozostało z niej tylko parę czarnych płatków.

„Ponstawiaj drzewa i domy dookoła, i niech się same zajmą, to będzie prawdziwy pożar,“ rzekł Adaś, lubiący urozmaicenie w swych „ofiarach“.

Dzieci uszczęśliwione tym pomysłem, ustawiły wieś, ułożyły węgle na głównej ulicy, a potem usiadły, żeby patrzeć, jak się palić będzie. Z powodu farby, zwolna obejmował ją ogień, lecz nareszcie zajęła się jedna chatka i podpałiła drzewo palmowe, które padło na dach obszernego domu; a w kilka minut, z całej osady pozostały tylko zgłiszczą.

Drewniana ludność stała, przyglądając się zniszczeniu, jakby gromada pieńków, czém też była istotnie; aż nareszcie i ona spaliła się, nie wydawszy głosu. Dosyć czasu upłynęło, zanim się miasto obróciło w popiół; widzowie doskonale się tém bawili, krzycząc i tańcząc za każdym walącym się domem, jakby dzieci Indyanie, zwłaszcza też gdy dzwonnica spadła, i gdy szamocącą się damę, sami wrzucili w płomień. Ta ostatnia ofiara tak rozgorączkowała Teodorka, że zaraz rzucił w ogień baranka, a zanim się tenże zdołał upiec, posadził biedną Anabellę na gorejącym stosie. Ma się rozumieć, że jej się to nie podobało, i objawiła żal w sposób, który przestraszył małego niszczyciela. Będąc obszyta w skórę, nie zapaliła się, lecz co gorsza skwierczała. Najwpierw wykręciła jej się jedna noga, potem druga, zupełnie jak u żywej osoby, później ręce podniosła w górę — jak gdyby z wielkiego bólu — głowa obróciła się na ramionach, oczy powy-

padaly, i skrećiwszy się jeszcze raz cała — padła czarną masą, na zgłiszczą miasta. Ten niespodziewany stan rzeczy przeraził wszystkich, a Teoderek ze strachu odszedł prawie od przytomności, i zaczął biedz ku domowi, wołając na całe gardło: „Mamusiu!“

Pani Bhaer usłyszawszy krzyk, pospieszyła na ratunek, ale maleńki zdołał tylko tulić się do niej i bakał niewyraźnie, urywanym głosem: „Biędną Belle boli,“ „duży odień“ i „wsystie lalti wzucone“. Obawiając się jakiego nieszczęścia, porwała go matka na ręce, i podażyła ku skale, gdzie zastała wszystkich czcicieli kot-myszki, płaczących nad zwęglonymi szczątkami ulubienicy.

„Coście wy zrobili? opowiedzcie mi wszystko,“ rzekła pani Ludwika, postanawiając sobie wysłuchać ich bez gniewu: mieli bowiem tak skruszone minki, że im z góry wybaczyła.

Adaś objaśnił ją z pewnem pomięszaniem, a ciocia Ludka uśmieła się do łez, tak dzieci były uroczyste a ich zabawa niedorzeczna.

„Myślałam, żeście zbyt rozsądni, żeby się bawić tak głupio. Gdybym ja miała kot-myszkę, musiałaby dobrą być i żądać, żeby wasze gry były bezpieczne, zamiast być tak szkodliwemi. Patrzcie, co się narobiło przez to krzywd: Stokrotka już nie ma swych pięknych laleczek, Adaś żołnierzy, Robcio nowój wsi, a biędny Teoderek ulubionego baranka i ukochanój Anabelli.“

„Już tego nigdy nie zrobimy! doprawdy! doprawdy!“ wolali ze skrucłą mali grzesznicy, bardzo zawstydzeni tą wymówką.

„Adaś nam to rozbić kazal,“ rzekł Robcio.

„Słyszałem jak wuj Fritz opowiadał o Grekach, którzy stawiali ołtarze, więc chciałem ich naśladować;

tylko niemając żywych istot na ofiarę, popaliliśmy cacka.“

„To zupełnie historia z grochem,“ rzekła ciocia Ludka, śmiejąc się znowu serdecznie.

„Proszę ją nam opowiedzieć!“ odezwiała się Stokrotka, żeby nadać inny obrót rozmowie.

„Bardzo dawno już temu, jedna biędna kobieta miała troje czy téż czworo dzieci, i zamykała je zwykle na klucz, wychodząc na robotę, — a to dla tego, żeby im się co złego nie stało. Pewnego dnia, rzekła na odchodném: nważajcie, drogie dziatki, żeby maleńki nie wypadł oknem; nie bawcie się zapalkami i nie kładźcie grochu do nosków. Nigdyby dzieciom na myśl nie przyszło, zrobić coś podobnego, gdyby im sama tego nie nasunęła; więc téż zaledwie wyszła z domu, napakowali sobie pełne nosy grochu, żeby się przekonać, jak z tém będzie — i matka wróciwszy, zastała całą dziatwę płaczącą.“

„Czy to bolało?“ zapytał Robcio z tak żywą ciekawością, że pani Bhaer co prędzej opowiedziała drugą powiastkę, z obawy, żeby się u niej podobna rzecz nie powtórzyła.

„O bardzo bolało! wiem to dobrze, bo gdy moja matka opowiedziała mi tę historję, tak byłam niedorzeczna, że na sobie sprobowała. Niemając grochu, włożyłam w nos kilka kamyczków: wcale mi z tém nie było przyjemnie, i byłabym chciała zaraz je wyjąć, ale jeden ugrzął głęboko, a tak się wstydziłam przyznać, jaka ze mnie gaska, że pomimo wielkiego cierpienia, chodziłam z nim kilka godzin. Nareszcie jak mi już bardzo ból dokuczył, powiedziałam mamie, która niemogąc sama wyjąć kamyczka, posłała po doktora. Posadzono mnie na krześle i trzymano mocno, mój Robciu, on zaś póty obracał szkaradnymi cęgami,

póki kamyczek nie wypadł. Ach, jakże mnie ten biedny nosek bolal! Jak się ze mnie ludzie śmieli!“ rzekła pani Ludwika, kręcąc głowę z przerażeniem.

Robcio widocznie doznał silnego wrażenia i wziął tę przestrożę do serduszka; Adaś uczynił wniosek, żeby pochować biedną Anabelle; Teoderek tak się przejął tym zamiarem, że zapomniał o przestraszu; Stokrotka wkrótce się także pocieszyła nową gromadką lalek, od cioci Amelki; a kot-myszkę musiała, zaspokoić ostatnia ofiara, bo ich przestała już dręczyć.

Następnie Tomek wymyślił nową zabawę, pod nazwą „brops“. Ponieważ to zajmujące zwierzę nie znajduje się w żadnym ogrodzie zoologicznym, — dla wiadomości ciekawych czytelników, wspomnę o niektórych jego cechach i obyczajach. Brops jest zwierzęciem czworonożnym i skrzydlatym, z twarzą ludzką; młodą i wesołą. Gdy idzie, ziemia pod nim się trzęsie; gdy się wznosi w powietrze, wydaje przeraźliwy krzyk, podobnie jak sowa; niekiedy chodzi jednak prosto, i mówi poprawnym językiem. Zazwyczaj ma ciało przykryte czemś podobnym do szala czerwonego, błękitnego lub też pledu; a co dziwna, bropsy zamieniają się na skóry między sobą. Na głowie mają róg z brunatnego i twardego papieru; gdy fruują, trzepoczą im u ramion skrzydła, z tegoż samego materiału. Nigdy nie odlatują daleko od ziemi, gdyż w takim razie, następuje zaraz gwałtowny upadek. Żują pokarm na czworakach, schyleni ku ziemi, ale umieją siedzieć prosto i jeść prędko, jak wiewiórki. Ich ulubionym pożywieniem są ciasteczka, jabłuszka, lub surowa marchew, w braku czegoś lepszego. Żyją po jaskiniach i w gniazdach bardzo podobnych do kosza od bielizny, w których małe bropsy figlują, póki im nie urosną skrzydła. Te osobliwe zwierzęta, kłócą się czasami

między sobą, i w takim razie mówią ludzkim językiem, przezywają się, płaczą, a niekiedy zdzierają z siebie rogi i skórę, wołając gniewnie, że się nie będą bawić. Szczupła garstka wybranych, którzy ich oglądali, mniema, że to być musi mięszanina małpy i sfinkska.

Dzieci bardzo lubiły tę zabawę, i młodsze skracaly sobie dżdżyste popołudnia trzepocząc się i czolgając, w swoim pokoju. Wyglądały wówczas, jak mali waryaci, a ruchliwe były, jak węgorze. Prawda, że odzież pokutowała na tém, zwłaszcza spodnie na kolanach i łokcie u kurtek; ale pani Bhaer, naprawiając i cerując, mówiła tylko: „I my robimy rzeczy również nierozsądne, a szkodliwsze. Gdyby mię to tak bawiło, jak tę drogą dziatwę, sama gotowabym zostać bropsem.“

Alfred lubił najlepiej uprawiać ogródek i siedząc na wierzbie, grać na skrzypcach. To wielkie gniazdo stanowiło dlań świat czarów, w którym przesiadywał, jakby swobodny ptaszek. Chłopcy nazywali go „Świergotkiem“, bo ciągle nucił, gwizdał, lub grał na skrzypcach, — i często przerywali zajęcie lub zabawę, żeby słuchać jego słodkich tonów, które się zdawały wtórować okieścieżce powietrznej. Ptaki, uważając go za jednego z pomiędzy siebie, siedziały śmiało na płocie albo na gałęzi, i wpatrywały się weń bystreimi oczkami. Gile śpiewające na jabłoni, śnać upatrywały w nim przyjaciela, gdyż najstarszy samiec łowił owady obok niego, a samica tak spokojnie wysiadywała błękitne jajeczka, jak gdyby stanowił tylko nową odmianę kosa i śpiewem rozweselał jęć cierpliwą pokutę. Ciemny strumyk szemrał i polyskał u nóg jego; pszczoły nawiedzały łąki zasiane koniczyną; przyjazne twarze przechodni zwracały się ku niemu

i stary dom gościnnie wyciągał ramiona, — więc z błogiem uczuciem spokoju i szczęścia, marzył godzinami w tém ustroniu, nieświadomy zbawiennych zmian, jakie się w nim odbywały.

Miał on chciwego słuchacza, dla którego był czémś więcej, niż prostym kolegą: biedny idyota, Karolek, lubił leżeć nad strumykiem, wpatrywać się w liście i w pianę uderzającą o brzegi, i słuchać z rozmarzeniem muzyki, odzywającej się na wierzbie. Zdawało się, że widzi w Alfredzie anioła, który śpiewa na wysokościach, bo wspomnienia z najmłodszych lat, tkwiące jeszcze w jego głowie, odzywały się w takich razach. Zauważywszy to, pan Bhaer prosił Alfreda, żeby mu dopomagał, w usuwaniu mgły z tego wąskiego mózgu. Ile razy Karolek dążył za nim, by się wsłuchiwać w muzykę, Alfred uśmiechał się, rad że może czém okazać wdzięczność profesorowi, a zarazem przemawiać do biednego dziecka językiem, jedynie dlań zrozumiałym. W Plumfield, ulubioném motto było: „pomagajcie sobie wzajemnie,” i Alfred przekonywał się, ile uroku dodaje życiu, ta zasada wprowadzona w czyn.

Jakubek, największe miał upodobanie w ciągłych sprzedażach i kupnachs. Widoczném było, że wejdzie w ślady swego wuja, wioskowego handlarza, który wszystkiem po trosze kupczył, i prędko dorabiał się pieniędzy. Widział chłopak, jak on dodaje piasek do cukru, wodę do melasu, szmalce do masła i tym podobnie, i był przekonany, że to jest w porządku rzeczy. Przedmiot jego handlu był zupełnie inny, ale ile tylko mógł, wyzyskiwał każdego robaczka i zawsze dobrze wychodził na targu, zamieniając się z chłopcami na postronki, nożyki, wędki, oraz inne rzeczy. Koledzy nazywali go „łapięgrosem”; ale nie dbał o to,

bo worek, w którym składał pieniądze, stawał się coraz cięższym.

Od czasu do czasu urządzał licytację, żeby wyprzedać wszystkie zapasy, lub pośredniczył chłopcom we wzajemnej zamianie na różne przedmioty. Na przykład, tanio nabywszy wolanty, piłki, bicze — odświeżał je i następnie odprzedawał drożej. Niekiedy nawet puszczał się poza granice Plumfieldu, chociaż to było surowo zakazane. Pan Bhaer nie pozwalał na niektóre jego spekulacje i starał się go oświecić, że w handlu potrzebne są inne, wyższe umiejętności, nie tylko zręczność w wyzyskiwaniu. Jego księga rachunkowa była prawdziwą osobliwością, taki miał dar do cyfr. Profesor chwalił go za to, i usiłował rozbudzić poczucie rzetelności i honoru; przyszła też chwila, kiedy Jakubek przyznał mu słuszność, przekonawszy się, że trudno obejść się bez tych przymiotów.

Emil spędzał wolne chwile na rzece lub stawie; albo też podzegał starszych kolegów do ścigania miejskich chłopaków, wracających czasem na ich grunta. Ponieważ jednak te gonitwy kończyły się zwykle porażką, nie wspomniano o nich publicznie. Komandora ogarnęła skutkiem tego, taka niechęć do ludzi, że na seryo myślał usunąć się na jaką wyspę samotną, ale ponieważ jój nie było w pobliżu, musiał zostać w miejscu i pocieszać się budowaniem szopy do statków morskich.

Dziewczęta miały odpowiednie swym latom rozrywki, upiększane żywą wyobraźnią. Najulubieńszą ze wszystkich, była zabawa w „panią Smith”: nazwisko to nadała ciocia Ludka, a przygody tej biednej damy były wiele oryginalne. Stokrotka odgrywała ją samą, Andzia zaś jój córkę lub niekiedy sąsiadkę,

„Zawieruchę“. Żadne w świecie pióro nie zdoła opisać dziejów tych dwóch pań, bo w ciągu jednego popołudnia, zdarzały się narodziny, śluby, śmierci, wylewy wód, trzęsienia ziemi, herbaty proszone i napowietrzne podróże. Te przedsięwzięcia niewiasty odbywały miliony mil, ubrane w takie suknie i kapelusze, jakich na całym świecie nie widziano. Siedząc na łóżeczkach, rozpędzały się, jak ogniste rumaki, i podskakiwały, aż do zawrotu głowy. Napaści i pożary były ulubionymi wypadkami, a nawet dla odmiany urządzały niekiedy ogólną rzecz. — Andzia była niewyczerpaną w nowych pomysłach, Stokrotka zaś, stosowała się do niej, ze ślepym uwielbieniem. Biędny Teoderek często padał ofiarą i nieraz trzeba go było bronić od prawdziwego niebezpieczeństwa, gdyż rozgorączkowane damy zapomniały, że nie jest zrobiony z tego materiału, co ich lalki, aż nazbyt cierpliwe. Pewnego razu zamknęły go w więzieniu, to jest w szafie, i wybiegłszy bawić się na podwórzu, całkiem o nim zapomniały. Inną razą o mało nie utonął w wannie, udając „ładniutkie ciętłatko morskie“, a co gorsza: pewnego dnia odejęto go w sam czas, gdy został powieszony jako złodziej.

Ale najulubieńszą instytucją był klub; nie potrzebował on żadnej nazwy, bo drugiego nie było w okolicy. Starsi chłopcy założyli go sobie, a młodzi bywali tylko niekiedy doń przypuszczani za dobre sprawowanie. Tomek i Adaś zostali mianowani honorowymi członkami, ale ich zawsze jakoś musiano skłonić do wczesnego usunięcia się. Zwyczaj w tym klubie był osobliwy, gdyż oznaczano sobie rozmaite miejsca i godziny, na schadzki. Obrzędy i zabawy bywały dziwaczne, i od czasu do czasu burzono cały porządek, aby go znowu przywrócić, na trwalszych podstawach.

W dżdżyste wieczory, zbierali się członkowie

w klasie, żeby grać w szachy, w tryktrak, lub urządzać bójki, deklamacje, rozprawy, i tragiczne przedstawienia. W lecie schodzili się w stodole, lub w lekkich strojach siadali przy strumyku. Można powiedzieć, że mowy płynęły wówczas, bo skoro mówca nie podobał się, słuchacze zimną wodą gasili jego zapal. Franz jako przewodniczący, sprężyście strzegł porządku. — Pan Bhaer nie mieszał się nigdy w ich sprawy, a w nagrodę za tę roztropną wstrzeźliwość, zapraszali go niekiedy, by się przyjrzał ich tajemnicom, które go bardzo bawiły.

Przybywszy do Plumfield, Andzia także zapragnęła należeć do klubu, co spowodowało wielkie wzburzenie i rozterki między członkami. Bezustanku podawała im prośby ustne lub pisane, przerywała uroczyste posiedzenia, lżyła ich przez dziurkę od klucza, bębniła we drzwi, albo pisała szydercze uwagi na murach i plotach, zaliczała się bowiem do „irrépressibles“. Ponieważ te nalegania okazały się bezowocnymi, dziewczęta, za radą pani Ludwika, ustanowiły własną instytucję, nazwaną „Grzecznym klubem“. Gościnnie zaprosiwszy młodzież wyłączonej z klubu nieprzyjacielskiego, przysposabiała tak smaczne kolacyjki i zajmujące rozrywki, że starsi chłopcy, jeden po drugim, objawiali chęć uczestniczenia w ich wykwintnych zebraniach. Wskutek wielu narad, uczynili nawet wniosek za wymianą objawów życzliwości. Odtąd członkowie „Grzecznego klubu“ bywali do nich zapraszani ku ozdobie zgromadzenia; damy zaś uprzejmie odpowiadały na ich pojednawcze kroki, i obie instytucje kwitły długo i szczęśliwie.

Rozdział dziewiąty.

Bal u Stokrotki.

„Pani Smith prosi na bal, w dniu dzisiejszym, o godzinie trzeciej, panów: Adama, Tomasza i Alfreda.

P. S. Pan Alfred niechaj przyniesie skrzypce, żebyśmy tańczyć mogli; i niech wszyscy chłopcy sprawują się grzecznie, bo inaczej nie dostaną przysmaków, przez nas przygotowanych.“

Kto wie, czyby to uroczyste zaproszenie odrzuceniem nie zostało, gdyby nie ostatnie słowa przypisku?

„Idźmy, bo mię naprawdę załatwyła woń różnych dobrych rzeczy,“ odezwał się Tomek.

„Nie potrzebujemy tam siedzieć po traktamencie, to się samo przez się rozumie,“ odezwał się Adaś.

„Powiedzcie mi, co będziemy tam robić, — bo jak żyję, nie byłem na balu,“ rzekł Alfred.

„Będziemy udawać dorosłych, siedząc sztywno i w milczeniu, jak prawdziwi kawalerowie. Wypadnie też trochę potańczyć, dla sprawienia przyjemności panienkom; następnie, uraczywszy się lakociami, wymknijemy się coby prędzej.“

„Jeżeli tylko o to chodzi, to pójdę,“ powiedział Alfred po chwili namysłu.

„Trzeba odpisać, że się stawimy,“ rzekł Adaś i wyprawił następującą karteczkę:

„Wszyscy przyjdziemy: proszę przygotować dużo jedzenia.

A. B. Eskir.“

Damy wielce były przejęte tym balem, gdyż w razie, gdyby się powiódł, zamierzały wydać obiad, dla małej garstki wybranych.

„Ciocia Ludka rada jest, jak się chłopcy z nami bawią, byleby się tylko nie zachowywali bardzo grubiańsko,“ rzekła Stokrotka, nakrywając stół.

„Adaś i Alfred będą grzeczni, ale Tomek z pewnością coś zbroi,“ odpowiedziała Andzia i potrząsała główką, układając ciastka w koszyczku.

„Zarazbym go wyprosiła,“ odezwała się Andzia stanowczym tonem.

„Tak się nie robi na proszonej zabawie; to byłoby nieprzystojne.“

„Doskonała myśl! Byłoby mu bardzo przykro nie przyjść na nasz obiad, prawda?“

„Spodzielam się! Dałybyśmy takie wyborne rzeczy: prawdziwą zupę w wazie z łyżką, ptaszka w miejsce indyka, sos i różne smaczne jarzynki.“

„Już blisko trzecia, musimy się ubrać,“ rzekła Andzia, która przysposobiła piękny strój na tę okoliczność, i pilno jej było włożyć go na siebie.

„Ja jestem matką, więc się nie potrzebuję bardzo stroić,“ odezwała się Stokrotka, kładąc czépek nocny, przybrany ponsową kokardą, długą suknię cioci Ludwiki i szal; gdy okulary i duża chustka do nosa dopełniły resztę jej stroju, wyglądała na tłuściutką, rumianą jéjmościulkę.

Andzia miała wieniec ze sztucznych kwiatów, stare różowe trzewiczki, żółtą szarfę, zieloną muslinową suknię i wachlarz z piór od okurzenia; a na domiar elegancyi, flakonik bez pachnidła.

„Ja jestem córką, więc się bardzo wystroję. Muszę też więcej tańczyć, śpiewać i rozmawiać, niżeli ty. Do matki należy tylko zająć się herbatą i być przyzwoitą.“

W téj chwili zapukano bardzo głośno, skutkiem czego miss Smith padła na krzesło i gwałtownie za-

Mali mężczyźni.

częła się chłodzić wachlarzem; mama zaś sztywno siedziała na sofie, strojąc minkę spokojną i „przyzwoitą“. Mała Becia, będąca tam w odwiedzinach, odgrywała rolę pokojówki, — otworzywszy zatem drzwi, rzekła z uśmiechem:

„Wejście, panowie, już wszystko gotowe!“

Dla uczczenia tej uroczystości, chłopcy się ubrali w stojące papierowe kolnierzyki, w wysokie czarne kapelusze i rękawiczki różnych barw i z różnych materyałów.

„Dzień dobry paniom,“ odezwał się Adaś, tak zgrubiając głos, że się przez to musiał ograniczyć na tém krótkim powitaniu.

Wszyscy uścisnęli się z sobą za ręce i zasiedli, strojąc tak zabawne miny, że kawalerowie zapomniawszy o przyzwoitości, zaczęli się pokładać ze śmiechu.

„O bardzo proszę!“ odezwała się z urazą pani Smith.

„Już tu nigdy żaden z was nie przyjdzie, jeżeli się macie tak zachowywać,“ dodała panna Smith, rzucając fiaszeczką w pana Tomasza, który śmiał się najgłośniej.

„Trudno się wstrzymać, bo wyglądacie, jak czarownice,“ odparł Tomek z niegrzeczną otwartością.

„I ty także, ale ci tego nie powiedziała, bo nie jestem grubianką. — Nie zaprosimy go na obiad, prawda, Stokrotko?“ zawołała Andzia z oburzeniem.

„Zdaje mi się, że należałoby teraz potańczyć. Czyś pan przyniósł skrzypce?“ zapytała pani Smith, usiłując być ciągle spokojną i „przyzwoitą“.

„Są za drzwiami,“ odrzekł Alfred i poszedł po nie.

„Wypijmy lepiej herbatę,“ odezwał się zuchwały Tomek, mrugając na Adasia, żeby mu przypomnieć,

że im prędzej podadzą przekąski, tém wcześniej oni umkną.

„Bal nigdy się nie zaczyna od wieczery, i jeżeli nie będziesz ładnie tańczył, to nie dostaniesz ani kawalka!“ odezwała się pani Smith tak surowo, że ci niecywilizowani goście miarkując, iż niema żartów, natychmiast zaczęli być uniżenie grzeczni.

„Ja nauczę pana Tomasza polki, bo ją nieznosnie tańczy,“ dodała gospodyni ze spojrzeniem pełnem wyrzutu, — skutkiem czego Tomek nastroił się na powagę.

Alfred pociągnął smyczkiem i zaczął się bal we dwie pary; wprawdzie obie wykonywały pas sumienie, ale trzeba przyznać, że się w wyborze tańca różniły. Damy wywiązywały się z tego zadania dla przyjemności, lecz panowie mieli samolubniejsze przyczyny, wiedzieli bowiem, że muszą zapracować na wieczere.

Gdy się już wszyscy zmęczyli, nastąpił wypoczynek; pani Smith potrzebowała go najwięcej, potykając się ciągle w tańcu przez swę długą suknię. Mała pokojówka obnosiła potem wodę z melasem, w tak maleńkich filiżaneczkach, że jeden z gości wypił ich dziewięć, a nawet ostatnią włożył w usta wraz z napojem i zakrztusił się w obec całego towarzystwa.

„Poproś teraz Andzię, żeby grała i śpiewała,“ rzekła Stokrotka do brata, który siedząc osowiały, z szyją uwieszoną w zbyt wysokim kolnierzyku, przyglądał się tej zabawnej scenie.

„Prosimy panią o jaką pieśń,“ odezwał się gość, zaciekawiony, gdzie też jest fortepian.

Panna Smith przystąpiła poważnie do sekretarzyka, i wtórowała sobie z taką siłą, że stary gruchot trząsł się cały, gdy śpiewała tę nową i miłą piosenkę, zaczynającą się od słów:

„Kiedy trubadur do domu wracał,
Aby odpocząć po wojny gwarze,
Muzyką długą drogę ukracał,
Wesołe piosnki grał na gitarze.“

Ponieważ kawalerowie z zapalem klaskali w dłonie, tak ich długo darzyła różnemi aryami, że w końcu dali do poznania, iż nie pragną ich więcej. Pani Smith, wdzięczna za pochwały oddawane córce, odezwała się wówczas laskawie:

„Teraz wypijemy herbatę. Zasiądźcie państwo spokojnie, i nie dotykajcie się niczego.“

Przyjemnie było patrzeć, z jaką godnością ta dama robiła honory i jak mężnie znosiła drobne niepowodzenia, mianowicie: gdy najładniejszy placuszek, krajany zbyt tępym nożem, upadł na ziemię; gdy chleb z masłem znikł tak prędko, że jako gospodyni musiała się zawstydić; a co gorsza, gdy śmietankowe ciastka nadto się rozplynęły i trzeba je było pić, zamiast elegancko jeść, nową łyżeczką cynową.

Przykro mi wyznać, że panna Smith z pokojówką wydzięrały sobie najsmaczniejsze kąski, skutkiem czego ta ostatnia rzuciła ze wzdargą cały taléř w powietrze i rozplakała się, a przed nią upadł deszcz z ciasteczek. Pocieszyła się jednak, skoro posadziwszy ją przy stole, poczęstowano szklaneczką wody z melasem.

Wśród tego zamętu, znikł duży taléř z ciastkami, i nie można go było odnaleść. Ponieważ stanowił główną ozdobę uczyty, pani Smith mocno się zmartwiła, zwłaszcza że się sama zajmowała pieczywem, które się jęć ślicznie udało. Każda z dam przyzna, że mogło jęć być przykro, gdy naraz sprzątnięto dwanaście ciastek, zrobionych z maki, soli, wody, cukru, i ubranych rodzeńkami na wierzchu.

„Tomku, pewna jestem, żeś ty je wziął,“ zawołała

znieważona gospodyni, zamierzając się garnuszkiem śmietanki, na gościa.

„Nie wziąłem.“

„Wziąłeś!“

„To nieladnie zapięrać się!“ wykrzyknęła Andzia, żwawo zjadająca galaretę w czasie tego sporu.

„Oddaj, Adasiu!“ odezwał się Tomek.

„Czemu kłamiesz, kiedyś je sam włożył do kieszeni?“ zawołał tenże, oburzony niesprawiedliwém oskarżeniem.

„Odbierzcie mu ciastka! Nie godzi się pobudzać Stokrotki do płaczu,“ powiedział Alfred, dla którego ten pierwszy bal okazał się nadszpieściwaniem bogatym we wrażenia.

Stokrotka zalała się łzami, Becia zaś jako wierna służa, poszła za jęć przykładem i nazwała cały ród męski „plagą“. Tymczasem między młodzieńcami toczyła się bitwa, bo skoro dwóch obrońców niewinności rzuciło się na nieprzyjaciela, ten zuchwały chłopak oszańcował się stolikiem i rzucał w nich skradzione ciastka, które okazały się dobrym nabojem, gdyż prawie tak były twarde, jak kule. Póki starczyło tęg amunicji, napastnicy trzymali się tęg, ale gdy ostatnia sztuka padła z poza stołu, schwyтали złoczyńcę, z wrzawą wyciągnęli z pokoju i rzucili na ziemię, jakby kupę śmieci. Zwycięscy wrócili rozgrzani odniesionym tryumfem, i podczas gdy Adaś pocieszał biędną panią Smith, Alfred i Andzia zbierali porozrzucane placuszki, kładli rodzenki na właściwe miejsca, i tak ustroili taléř, że wyglądał, jak przedtęm, tylko że znikł z wierzchu cukier, największa ozdoba; nikt jednak nie chciał jeść tych ponętnych niegdys ciastek, po zadanęj im zniewadze.

„Podobno już czas ztąd odejść,” odezwał się nagle Adaś, usłyszawszy na wschodach głos ciotki Ludki.

„I ja tak sądzę,” odrzekł Alfred, spieszenie porwawszy ciastko.

Lecz zanim zdolali skutecznie odwrót, już pani Ludwika znajdowała się pośród nich, i panienki zwieryły jej swe żale.

„Nie zapraszajcie już tych szkaradnych chłopców, póki wam tego nie wynagrodzą jaką grzecznością,” rzekła, kręcąc głową na trzech winowajców.

„Myśmy tylko żartowali,” odezwał się Adaś.

„Nie lubię żartów, które kogoś zasmucają.”

„Zawiodłeś mię, Adasiu, bom się spodziewała, że nigdy nie będziesz dokuczał Stokrotce, która jest dla ciebie tak dobrą siostrzyczką.”

„Tomek powiada, że chłopcy zawsze dokuczają swym siostrom,” mruknął Adaś.

„Moim chłopcom niewolno dopuszczać się tego, i jeżeli nie będziecie bawić się grzecznie, to odeszłę Stokrotkę do domu,” rzekła pani Bhaer surowo.

Usłyszawszy tę straszną groźbę, Adaś przysunął się żywo do siostrzyczki; ona zaś, coby prędzej osuszyła łzy, bo nie mogło być nic okropniejszego dla tych bliźniąt, jak żyć w rozłączeniu.

„Alfred był także niedobry, a Tomek najgorszy ze wszystkich,” odezwała się Andzia, z obawy, żeby ci dwaj grzesznicy nie uniknęli zasłużonej kary.

„Żałuję tego,” powiedział Alfred, bardzo zawstydzony.

„A ja — nie!” krzyknął Tomek przez dziurkę od klucza, gdzie podслуchiwał.

Panią Ludwikę brała chętka do śmiechu, ale się powstrzymała, i wskazując na drzwi, rzekła z naciskiem:

„Możecie już odejść, chłopcy; ale pamiętajcie, że wam niewolno ani rozmawiać, ani się bawić z dziewczynkami, póki ja nie pozwolę. Ponieważ nie zasługujecie na tę przyjemność, więc ją wam odbieram.”

Niegrzeczni paniczki oddalili się spieszenie, a ztwardziały Tomek przyjął ich szyderczo za drzwiami, i z jaki kwadrans nie chciał się z nimi zadawać.

Stokrotka wkrótce pocieszyła się po nieudanym balu, ale żałowała wyroku rozłączającego ją z bratem, i w głębi tkliwego serduszka, ubolewała nad jego przekroczeniem.

Andzie zabawiło całe to zdarzenie, i z góry spoglądała na grzeszną trójkę, a zwłaszcza na Tomka, który udając, że go to nic nie obchodzi, przechwalał się, iż bardzo rad, że się pozbył „tych głupich dziewcząt”. W duszy pożałował jednak nierozważnego postępu, bo coraz mocniej tęsknił do ich miłego towarzystwa.

Reszta chłopców także pragnęła zgody: Stokrotka bowiem dogadzała im we wszystkim i częstowała przysmaczkami, Andzia bawiła ich i gromiła zarazem, a pani Ludwika uprzyjemniała i ułatwiała życie. Jak na złość — ta ostatnia, widocznie brała stronę obrażonych dziewczynek, bo się prawie nie odzywała do winowajców, udawała, że ich nie widzi, i na każde żądanie odpowiadała brakiem czasu. Ta nagła utrata łask, rzuciła pomrok na ich dusze, bo gdy ich matka Bhaer odstępiała, słońce nie świeciło nawet w południe, i nie mieli już do kogo się uciec.

Ten nienaturalny stan rzeczy trwał przez trzy dni; poczem nie mogąc znieść go dłużej, i obawiając się, by zaćmienie słońca nie stało się całkowitem, udali się do pana Bhaer, po radę i pomoc.

Jestem przekonana, że otrzymał wskazówki jak się znaleźć w takim razie, ale chłopcy nie zmiarkowali tego, i z wdzięcznością przyjąwszy niektóre rady, w następujący sposób wprowadzili je w czyn: Pewnego dnia, zamknęli się na poddaszu i kilka godzin przeznaczonych zabawie, poświęcili wyrabianiu jakiegoś tajemniczego przedmiotu, do którego było im trzeba tyle mąki na klój, że aż się Azya gniwała, a dziewczynki nie mogły sobie dać rady z ciekawości. Andzia bezustanku podpatrywała przez dziurkę od klucza, a Stokrotka głośno ubolewała nad tem, że się nie mogą bawić wszyscy razem, i że chłopcy jakieś okropne tajemnice mają. W pewne wtorkowe popołudnie, po długich naradach o stanie powietrza, Antos z Tomkiem wyruszyli z domu, niosąc ogromną, płaską pakę, przykrytą gazetami. Andzia umierała z powściąganą ciekawości, Stokrotka płakała prawie z rozdrażnienia, i obie zadrżały, gdy Adaś wszedł do pokoju pani Bhaer z kapeluszem w ręce, i rzekł, o ile umieć najgrzeczniej, chłopiec w jego wieku:

„Ciociu Ludko, czy będziesz łaskawą wybrać się wraz z dziewczynkami na wycieczkę z niespodzianką, którąśmy dla pań przysposobili? Prosimy ślicznie, bo to będzie coś bardzo ładnego.“

„I owszem, wybierzemy się chętnie, ale muszę ze sobą wziąć i Teodorka,“ odrzekła pani Bhaer z uśmiechem, który się tak miłym wydał Adasiowi, jak promień słońca po deszczu.

„Będzie nam bardzo przyjemnie mieć go z sobą. Dla dziewczynek przygotowaliśmy wózek, a i ciocia może zechce wybrać się na pagórek?“

„Poszłabym chętnie, — tylko czy wam nie będę przeszkadzać?“

„O bynajmniej, ślicznie prosimy! Zepsuje się cała zabawa, jeżeli ciocia odmówi,“ zawołał Adaś.

„Dziękuję ci uprzejmie, mój panie,“ odrzekła, oddając mu głęboki ukłon; niemniej bowiem była figlarną, jak jej młodzi wychowawcy.

„Panienki, nie dajmy na siebie czekać! Kapelusze na głowy — i ruszajmy. Usycham z ciekawości, jaka to będzie niespodzianka.“

Podczas, gdy pani Bhaer mówiła te słowa, wszyscy się krzątali, i w pięć minut trzy dziewczątka i Teodorek zostali usadowieni w „koszu od bielizny“, tak się bowiem nazywał wózek wyplatany, do którego zaprzężono Tobiaszka. Adaś postępował na czele orszaku, a pani Ludwika zamykała pochód, — wraz z Bukietem. Była to bardzo świetna wyprawa, bo osiołek miał na łbie czerwone piórka od kurzu; przy wózku powiewały dwie jaskrawe flagi; psu zawiązano w miejscu obroży, wstążeczkę niebieską, od czego wściekał się prawie; Adaś zatknął bukiet w dziurce od guzika; a pani Bhaer wzięła komiczną, japońską parasolkę.

Dziewczęta całą drogę były zgorączkowane; Teodorek z wielką radością upuszczał ciągle kapelusik na ziemię; a gdy mu go odebrano, chciał sam wypaść, czując widocznie, że należy coś uczynić, dla zabawienia całego towarzystwa.

Gdy przybyli do Pagórka, nie było nic widać, i dzieci zaczęły stroić zawiedzione minki; ale Adaś odezwał się uroczyście:

„Wysiądźcie teraz i stojcie spokojnie; niespodzianka wkrótce się ukaże.“ To rzekłszy, usunął się za skalę, gdzie przez pół godziny małe główki zaglądały od czasu do czasu.

Jeszcze upłynęła chwila żywój ciekawości, aż nareszcie Alfred, Adaś i Tomek wysunęli się z poza

skąły: każdy niósł nowego latawca i podał go jednej z panienek. Wówczas powstały okrzyki radości, powstrzymane jednak przez chłopców, którzy zawołali radośnie: „To jeszcze nie wszystko!“ i znowu pobiegłszy wynieśli czwartego, ogromnych rozmiarów latawca, z napisem drukowanym żółtymi literami: „Dla matki Bhaer.“

„Sądziłyśmy, że i pani sprawi to przyjemność, kiedyś zarówno z dziewczynkami gniewała się na nas!“ wolali wszyscy trzej, zanosząc się od śmiechu, gdyż ta część niespodzianki była nią i dla pani Ludwika. Rozweselona ich figlami, zaczęła klaskać w ręce, śmiejąc się serdecznie.

„To śliczna rzecz, moje chłopcy; a czyjego jest pomysłu?“ zapytała, przyjmując olbrzymi dar z żywą przyjemnością.

„Wuj Fritz doradził nam zbudować tego potwora, bo mu się zdawało, że się to cioci spodoba!“ zawołał Adaś, rozpromieniony udanym spiskiem.

„Wuj Fritz wie, czym mi przyjemność sprawić. Jakieżto wspaniałe latawce! Szkoda, żeśmy ich nie miały, gdyście puszczały swoje, — prawda dziewczęta?“

„Dla tegośmy je też zrobili!“ odezwał się Tomek, stając na głowie, jak gdyby to był najwłaściwszy sposób objawiania wrażeń.

„Pusćmy je wgórę,“ rzekła rzutka, jak zawsze, Andzia.

„Ja nie umiem,“ odparła Stokrotka.

„To cię nauczymy!“ zawołali chłopcy, którzy tego dnia gotowi byli do wszelkich poświęceń.

Adaś wziął latawca Stokrotki, Tomek Andzi, Alfred zaś, choć z trudnością, nakłonił jednak Becię, aby mu powierzyła swój niebieski.

„Jeżeli chwilę zaczekasz, ciociu, to pusćmy i twój,“ odezwał się Adaś, nie chcąc stracić łask pani Bhaer.

„Ja sama potrafię, mój drogi, i oto nadchodzi chłopaczek, który mnie pewno zechce wyręczyć,“ dodała pani Ludwika, skoro profesor wychylił się z figlarną miną, z poza skały.

Wyszedłszy stamtąd, podrzucił zaraz ogromnego latawca w górę; pani Ludwika biegła z nim bardzo zrećźnie, a dzieci jej się przyglądały. Jeden po drugim, wszystkie latawce wzbily się i fruwały, jak różnobarwne ptaki, kołysane lekkim wietrzykiem. Dopierożto się ubawili! Krzyczeli, biegali, podrzucali i chwyтали, śledzili je w powietrzu; one zaś wyrwały się z rąk, jakby żyjące istoty. Andzia szalała, Stokrotka ta nowa zabawka wydawała się prawie tak zajmującą, jak lalki, a Becia zachwycona swym maleńkim latawcem, nie chcąc go puszczać wysoko, wolała trzymać na kolanach i przyglądać się ładnym malowidłom śmiałego pędzla, Tomka. Pani Ludwika także bawiła się doskonale, i zdawało się, że jej latawiec wie, do kogo należy, bo całkiem niespodzianie to spadał na głowę, to czepiał się drzewa, to groził, że zatonie w rzece, — nareszcie wzbil się tak wysoko, że wyglądał jak plamka pomiędzy chmurami.

Powoli jednak wszystkim siły ustały i przywiązawszy do drzew sznurki od latawcy, usiedli żeby wypocząć, a pan Bhaer poszedł obejrzyć krowy, z Teodorkiem na barkach.

„Czy się pani bawiła kiedy tak doskonale?“ zapytał Alfred, gdy leżąc na trawie, wyglądali wszyscy jak stado baranów.

„Ani razu, od bardzo dawna, kiedy będąc małą dziewczynką, także puszczałam jednego dnia latawca,“ odrzekła pani Ludwika.

„Żałuję, żeśmy się nie znali wówczas, bo pani musiała być bardzo wesoła.“

„Wyznaję ze wstydem, że byłam niezmiernie rozpustną.“

„Lubię takie dziewczynki,“ rzekł Tomek, spoglądając na Andzię, która odwodziła się szkaradą miną za ten komplement.

„Dla czego ja nie pamiętam cioci, — czym był za młody?“ spytał Adaś.

„Cokolwiek, mój drogi.“

„Może nie miałem jeszcze pamięci? Dziadunio powiada, że rozmaite części naszego mózgu rozwijają się w miarę jak rośniemy, więc pamięć moja nie rozwinęła się jeszcze, gdyś ty była małą, ciociu, i dla tego nie mogę sobie przypomnieć, jakeś wyglądała,“ tłumaczył Adaś.

„Mój ty mały Sokratesie, zachowaj lepiej te pytania dla dziadunia, gdyż przechodzą moje siły.“

„Dobrze; on wie wszystko o takich rzeczach, a ty, ciociu, nic nie wiesz,“ rzekł Adaś, myśląc sobie, że latawce są widać najodpowiedniejsze do pojęć obecnego tam grona.

„Opowiedz nam, pani, co to było, gdyś puszczała ostatni raz latawca!“ rzekł Alfred, miarkując z jej śmiechu, że to musi być coś ciekawego.

„Ach, to śmieszna historia! Będąc już wtenczas piętnastoletnią dziewczyną, wstydziłam się dziecinnych gier; ale pewnego razu, pokryjomu zrobiliśmy z wujem Teodorkiem latawce, i ubawiwszy się nimi w polu, odpoczywaliśmy, jak teraz oto. Wtém, dają się słyszeć jakieś głosy, i ukazuje się grono panien i młodzieńców, wracających z pikniku. Teodorek nie sobie z tego nie robił, chociaż także był za duży na latawca, ale ja bardzom się zmieszala, bo wtenczas tak mię nielitościwie wyśmiewano i prześladowano za żywość, jak my teraz Andzię.

„Co tu robić?“ szepnęłam do Teodorka, gdy się głosy coraz bardziej zbliżały.

„Zaraz ci pokażę,“ odpowiedział, i wyjąwszy z kieszeni nożyk, odciął sznurki; latawce wzbily się w górę, a gdy owe towarzystwo nadeszło, zrywaliśmy niewinnie kwiatki. Nikt nie odgadł, co się przedtém działo, myśmy się zaś uśmieśli ze swego figla.“

„Czy latawce przepadły, ciociu?“ zapytała Stokrotka.

„Ma się rozumieć; ale mnie to nie obeszło, bom postanowiła odłożyć tę zabawę do czasu, gdy będę niemłoda, i jak widzicie, doczekałam się tego,“ rzekła pani Ludwika, biorąc się do zwijania swego podarku, bo się już spieszyła do zajęć.

„Czy już musimy wracać do domu?“

„Ja muszę, bo inaczej nie miałibyście wiecezry, a taka niespodzianka byłaby przykrą; — prawda, moje pisklęta?“

„A co, czy dzisiejsza wycieczka nie była przyjemna?“ zapytał Tomek z zadowoleniem.

„Wspaniała!“ odrzekli wszyscy.

„Wiecie dla czego? oto wasi goście dobrze się zachowali i przez to wszystko szło, jak z płatką. Rozumięcie co chce przez to powiedzieć?“

„Rozumiemy!“ Tyle tylko odrzekli chłopcy, ale ze wstydem spoglądając na siebie, zwinęli latawce i poszli ku domowi, z myślą zajętą inném zebraniem, które się nie powiodło, bo się goście nie zachowali dobrze.

Rozdział dziesiąty.

Powrót.

Gdy lipiec nastał, zaczęło się zbieranie plonów: ogródki śliczne kwitły, i długie letnie dni rozkosznie schodzily. Dom stał otworem od rana do nocy, i chłopaki przebywały ciągle na wolnym powietrzu, z wyjątkiem tylko szkolnych godzin. Lekeye bywały krótkie, a wakacje liczne, gdyż państwo Bhaer częstym ruchem, chcieli wyrobić w dzieciach siły. Jakże ci chłopcy byli rumiani, opaleni, żwawi! jaki mieli apetyt, jak tyli, jak wyrastali z majtek i kurtek! Co było śmiechu, gonitw, co figlów, w domu i w szopie, co przygód na dalekich wycieczkach! A jakie zadowolenie panowało w zacnych sercach państwa Bhaer, gdy widzieli, że ich gromadka rozwija się na duchu i ciele! Jednej tylko rzeczy brakowało do szczęścia, i ta nastąpiła w chwili, kiedy się najmniej spodziewano.

Pewnego wieczora, gdy się już mali chłopcy pokładli, starsi kąpali się w strumieniu, a pani Bhaer rozbięrała Teodorka w swoim pokoju, malec ten wykrzyknął nagle „Mój Dancio!“ i wskazał na okno, oblane światłem księżyca.

„Nie, kochanku, niema go tutaj; to tylko ładny księżyc,“ rzekła matka.

„Nie, nie; Dancio jest psy otnie, Teodolet widział!“ powiedziało dziecko z uporem.

„Ha, mogłoby to być,“ pomyślała; lecz postać znikła bez śladu. Zaczęła go przyzywać, wybiegła do bramy z Teodorkiem w koszulce, i kazała mu także wołać, z tą myślą, że jego dziecięcy głos odniesie większy skutek; jednakże nikt nie odpo-

wiadał, nikt nie się nie pokazywał, i z wielkim zawodem wrócili do domu. Teodorek upierał się, że to nie był księżyc; leżąc już w łóżeczku, wychylał głowę, i pytał raz poraz „cy Dancio pędto przyjdzie?“

Nareszcie usnął, chłopcy się położyli, w domu zapanaowała cisza przerywana tylko ćwierkaniem świerszczy, a pani Bhaer szyla, myśląc ciągle o zaginionym chłopcu. W przekonaniu, że się Teodorek omylił, nie chciała tém urojeniem zawracać głowy mężowi, gdyż biédak tak mało czasu miał dla siebie, póki się chłopcy nie pokładli, i właśnie zasiadł do pisania listów. O dziesiątej, podniosła się, chcąc do koła pozamykać dom, i skoro stanęła na wschodach, żeby się przyjrzyć urocznemu widokowi, coś białego wpadło jęj w oko za jednym ze stogów siana, rozrzuconych po łące. Dzieci bawily się tam całe popołudnie; sądząc zatem że Andzia, według zwyczaju, zostawiła kapelusz, poszła po niego pani Bhaer. Ale zbliżywszy się, spostrzegła że to ani kapelusz, ani chustka do nosa, tylko rękaw od koszuli i opalona ręka; pospieszyła więc na drugę stronę stogu, i ujrzała śpiącego Dana.

Był on obdarty, brudny, wychudły i znużony: jedną nogę miał bosą, drugę obwinietą w kawałek płócienkowej kurtki, niezgrabnie użytej zamiast bandaża. Widocznie z umysłu skrył się za stogiem, ale go zdradziła przez sen wyciągnięta ręka: wdychał i jęczał, jak gdyby go dręczyły przykre mary; a gdy się raz poruszył stęknął, zapewne z bólu — spał jednak dalej.

„Nie może tu leżeć dłużej,“ pomyślała, i nachyliwszy się, zeicha wymówiła jego imię. Otworzył oczy, i tak spojrzal, jak gdyby jęj obecność wydawała mu się dalszym ciągiem snu, uśmiechnął się bowiem, i rzekł rozespany:

„Matko Bhaer, ja powróciłem.“

To spojrzenie i te słowa bardzo ją wzruszyły, podniosła go więc, i rzekła serdecznie:

„Spodziwałam się że wrócisz mój Danie, i takam uradowana, że cię widzę!“ wówczas rozbudził się zupełnie, z przestachem zaczął sobie przypominać, gdzie jest i niedowierzał tak miłemu powitanu. Zaraz mu się jednak zmienił wyraz twarzy i rzekł szorstko, jak zwykle:

„Miałem ztąd odejść jutro rano i tylko się w przechodzie zatrzymał, żeby zajrzeć co się tu dzieje.“

„Czemuż nie wszedłeś do domu? czyś nie słyszał żeśmy wołali? Teoderek cię zobaczył i płakał za tobą.“

„Nie przypuszczałem żeby mi pani pozwoliła wejść!“ rzekł, i podniósł z ziemi małe zawiniątko, widocznie zabiierając się do odejścia.

„Spróbuj, to się przekonasz,“ odparła pani Bhaer, i wskazała ręką na drzwi, przez które światło wabiło ku sobie.

Dan westchnął głęboko, jak gdyby mu ciężki kamień spadł z serca, — wziął gruby kij, i zaczął dążyć ku domowi; lecz nagle zatrzymał się, pytając:

„Może pan Bhaer nie będzie rad temu, bom ja uciekl od pana Page?“

„On wie o tém, i bardzo się zasmucił; ale możesz wejść. Cóż to, kulejesz?“ zapytała pani Ludwika, gdy zaczął utykać, idąc obok niej.

„Jakem się raz wspinał po murze, spadł mi kamień na nogę i przygniótł ją; ale to fraszka,“ powiedział, starając się ukryć ile go bólu kosztuje każdy krok.

Gdy pani Ludwika wprowadziła go do swego pokoju, rzucił się na krzeszło i głowę zwiesił w tył, blade i bezsilny, z bólu i znużenia.

„Mój biedny Danie, wypij to, a potem zjesz cokolwiek. Jesteś już u siebie w domu, pod opieką matki Bhaer.“

Podniósł tylko oczy z wdzięcznością, pijąc wino które mu przytknęła do ust, a potem z wolna zaczął jeść, co mu przyniosła. Zdawało się, że każdy kęs dodaje mu siły i zaraz począł mówić, jak gdyby mu pilno było zwierzyć się jej ze wszystkiego.

„Gdzieś ty się obracał?“ zapytała, przysposabiając bandaż.

„Miesiąc temu uciekłem od pana Page; był on wprawdzie dosyć dobry, ale nadto ścisły, więcem go nie lubił, i popłynąłem rzeką z rybakiem mającym własną łódkę; dla tego to nie mogli mnie odnaleść. Rozstawszy się z nim, pracowałem parę tygodni u gospodarza wiejskiego; alem zbil raz jego syna, a za to stary mnie znów wygrzmocił, więc odszedłem ztamtąd i przywlokłem się tutaj.“

„Całą drogę piechotą?“

„Tak; ten gospodarz nie zapłacił mi, a ja nie chciałem go o nie prosić, bo wylomotanie chłopaka starczyło mi za nagrodę,“ rzekł Dan ze śmiechem, a jednak zawstydzoną miał minę, spojrzawszy sobie na brudne ręce i obdartą odzież.

„Z czegożeś żył? To była zbyt długa przeprawa, jak na takiego chłopca.“

„Radziłem sobie jako tako, pókim nie skaleczył nogi. Ludzie dawali mi jeść, nocę spędzałem w stodolach, a w dzień włókłem się dalej — i byłbym tu zaszedł przedź, alem zablądził szukając bliższej drogi.“

„Pocóżeś przyszedł, kiedyś niechciał wejść do domu i pozostać u nas?“

„Chciałem zobaczyć Teodorka i panią, a potem pójść do miasta i pracować po dawnemu. Byłem tak Mały mężczyźni.

znużony, że się musiał przespać na sianie; ale gdyby nie to że mnie pani znalazła, byłbym wyruszył o świcie.“

„Czy żalujesz że się stało inaczej?“ zapytała pani Bhaer na wpół żartobliwie i z wyrzutem, przyklekając by obejrzeć zranioną nogę.

Dan zaczerwienił się, wlepił oczy w talerz i rzekł cichym głosem „Nie pani; rad jestem i pragnąłem tu zostać, tyłkom się lękał...“

Nie dokończył mówić, gdyż pani Bhaer przerwała mu okrzykiem litości, zobaczywszy straszną ranę.

„Kiedyś to sobie zrobił?“

„Trzy dni temu.“

„I szedłeś dalej?“

„Włokłem się o kiju i obmywałem nogę w każdym strumieniu; a jakaś kobieta dała mi szmatę żeby ją obwiązać.“

„Pan Bhaer musi cię natychmiast opatrzyć,“ powiedziała pani Ludwika, i pospieszyła do przyległego pokoju. Ponieważ drzwi zostały otwarte, Dan słyszał zatem wszystko, co mówili między sobą.

„Fritz, ten chłopiec wrócił.“

„Kto, Dan?“

„Tak; Teodorek zobaczył go przez okno, więcśmy go wołali, ale odszedł i skrył się za stóg siana, na łące. Znalazłam go tam śpiącego: był na wpół żywy z bólu i znużenia. Uciekł od pana Page przed miesiącem i odtąd ciągle wędrował do nas. Powiada, że nie chciał być widzianym, tylko przyjrawszy się nam chwilę, miał pójść do miasta i pracować jak dawniej. Jednak miarkuje, że szedł z nadzieją iż go przyjmie i czeka niespokojnie wiadomości, czy się z nim zechcesz zobaczyć i czy mu pozwolisz tu zostać.“

„Czy tak powiedział?“

„Oczy jego to mówią, i gdym go obudziła, rzekł jak syn marnotrawny „Matko Bhaer, ja powróciłem.“ Nie miałam serca lajać i przyjąłem go, jakby owieczkę wracającą do stada. Czy go mogę zatrzymać, Fritzu?“

„Ma się rozumieć! widać że się ten chłopiec do nas przywiązał, więc odtąd niepuściłbym go od siebie, tak samo, jak naszego Robcia.“

Dan usłyszał jakiś luby i cichy dźwięk, jak gdyby pani Bhaer dziękowała mężowi bez słów, i w ciągu milczenia jakie potem nastąpiło, dwie duże łzy spłynęły biednemu chłopcu po wychudłych policzkach. Nikt tego nie zobaczył, bo je szybko obtarł; ale zdaje mi się, że w owej chwili, dawna nieufność do państwa Bhaer znikła w nim na zawsze: serce zostało poruszone, i opanowała go żywa chęć okazania się godnym ich przywiązania i litości. Nie zdradził się ani jednym słowem, lecz w duchu postanowił zamienić chęci w czyn i zalał się gorącymi łzami — czego nie dokazały na nim przedtem ani ból, ani znużenie i samotność.

„Chodź zobaczyć jego nogę; zdaje mi się, że jest w bardzo złym stanie, bo chodził przez trzy dni po kurzu i npale. Obmywał ją tylko wodą i obwiązał starą kurtką. Powiadam ci Fritz, że to dzielny chłopak, i jeszcze zeń zrobię porządnego człowieka.“

„Ufam temu droga entuzjastko, bo taka wiara jak twoja, zasługuje na to, by została uwieńczoną pożądany skutkiem. Zaraz pójde zobaczyć twego Spartańczyka; ale gdzie on jest?“

„W moim pokoju. — Tylko mój drogi, bądź do brym, chociażby ci opryskliwie odpowiadał. Jestem pewna, że go tém sobie ujmiesz. On nie znosi surowości, ani wielkich ścieśnień; lecz łagodnym słowem

i nieograniczoną cierpliwością tak nim pokierujesz, jak mną kiedyś kierowano.“

„Albożeś ty była kiedy podobną do tego ladaco?“ zawołał pan Bhaer ze śmiechem wprawdzie, ale na wpół rozgniewany.

„Takie same miałam skłonności, tylko się inaczej objawiały. Dla tego odczuwam niejako instynktem jego wrażenia: odgaduję co go ulagodzi lub wzruszy; pojmuję pokusy i błędy. Bardzo się z tego cieszę, bo mi łatwiej będzie wpływać nań, i jeżeli zdołam z tego dzikiego chłopca uczynić porządnego człowieka, będzie to najpiękniejszym dziełem w mojem życiu.“

„Oby ci Bóg błogosławił, i wspierał cię swą pomocą!“ rzekł pan Bhaer z takim przejęciem, z jakim ona przedtém mówiła.

Gdy poszli następnie do pokoju, gdzie Dan pozostał, zdawało się, że jest pogrążony w głębokim śnie; jednakże natychmiast podniósł żywo głowę i próbował zerwać się, ale pan Bhaer rzekł żartobliwie:

„A więc wolisz Plumfield, niż zakład pana Page? Dobrze: — zobaczmy, czy teraz będzie między nami trwalsza zgoda?“

„Dziękuję panu,“ odezwał się Dan, usiłując nie być opryskliwym, co mu przyszło nadspodziewanie łatwo.

„Teraz weźmiemy się do nogi. Ach! cóż za okropna rana! Trzeba sprowadzić jutro doktora. — Ludko, daj-no ciepłej wody i starego płótna.“

Zacny profesor obmył i obwiązał skaleczoną nogę, a pani Ludwika przysposabiła tymczasem jedyne łóżko, jakie było wolne. Stało ono w pokoju przyległym do bawialnego: skoro chłopiec który zachorował, umieszczano go tam zwykle, bo w ten sposób pani Bhaer nie potrzebowała biegać ciągle po wscho-

dach, a dziecko mogło widzieć co się w domu dzieje. Gdy już pościel była gotową, pan Bhaer wziął Dana na ręce, zaniósł go, rozebrał, położył na czystościnnem posłaniu, i raz jeszcze uściśnawszy mu rękę, rzekł prawdziwie ojcowskim tonem „dobranoc ci, mój synu.“ Dan usnął zaraz i spał mocno przez kilka godzin; poczem noga zaczęła drgać i boleć, rozbudził się więc, ale chociaż nie mógł już nią poruszać, starał się nie jęczeć głośno, żeby kto nie usłyszał, gdyż był dzielny chłopcem i tak mężnie znosił ból, że pan Bhaer słusznie go nazwał „małym Spartańczykiem.“

Pani Ludwika miała zwyczaj obchodzić cały dom w nocy, żeby okna zamknąć, łódeczko Teodorka zasłonić firanką od moskitów, albo zajrzeć do Tomka chodzącego niekiedy przez sen. Budził ją najmniejszy szelest i często rola sobie że słyszy złodziei, kotów, lub nawoływanie do pożaru. Ponieważ drzwi stały otworem, doszły jej ucha ciche jęki Dana i w mgnieniu oka, była na nogach. Właśnie rozpaczliwie zbijał sobie rozgrzaną poduszkę, kiedy światło zabłysło w sieni i pani Ludwika wsunęła się jakby jakie komiczne widmo z włosami zwinętymi w duży węzeł na wierzchu głowy i w długim szarym szlafroku, od którego ogon wlokł się za nią.

„Bardzo cierpisz, Danie?“

„O bardzo; ale niechciał panią rozbudzić.“

„Ja się zawsze kołaczę po nocy, jak sowa. — Noga strasznie rozpalona — trzeba zwilżyć bandaż,“ powiedziała ta sowa o macierzyńskim sefcu, poczem pobiegła po zimny okład i szklankę wody z lodem.

„Ach, jakże mi przyjemnie!“ rzekł z westchnieniem Dan, skoro uczul zwilżone bandaż i odświeżył gardło zimną wodą.

„Staraj się teraz usnąć i nie zlekknij się, jak mię

tu później zobaczysz, bo się zjawię, żeby cię znów orzeźwić.“

Gdy pani Ludwika nachyliła się, żeby poprawić poduszkę i prześcieradło, ku wielkiemu jej zdziwieniu, Dan objął ją za szyję i pocałował. Jedyne słowa, jakie powiedział złamanym głosem, były: „dziękuję pani“ ale to znaczyło „żałuję, i poprawię się.“ Pani Bhaer zrozumiała go i przyjęła niemą spowiedź, bez objawów zadziwienia. Pomnąc na to, że on matki nie ma, ucałowała go serdecznie i na odchodnym rzekła tkliwe wyrazy, które długo zapamiętał. „Jesteś teraz moim dziecięciem, i od ciebie zależeć będzie, żebym to mówiła z radością i dumą.“

O świcie zakradła się drugi raz: tak mocno spał, że go to nie obudziło; nawet gdy odwilżała nogę, nie dał znaku życia, ale z twarzy widać było, że się ból zmniejsza.

Ponieważ nazajutrz przypadła niedziela, tak było cicho, że się rozbudził dopiero koło południa i spostrzegł zaraz ciekawą twarzyczkę, zaglądającą przez drzwi. Wyciągnął ręce, a Teoderek wskoczył na łóżko, wołając: Mój Dancio przysiedl!“ przyczém ścisnął go i tulił z radością. Zaraz ukazała się też pani Bhaer ze śniadaniem, udając że nie widzi jak Dan jest zawstydzony, okazaną jej poprzedniego wieczoru czułością. Teoderek uprosił żeby go mógł karmić, co Dana bawilo, gdyż nie był bardzo głodny.

Następnie przyszedł doktor i biedny Spartańczyk przykrą przeżył chwilę, bo kilka kostek w nodze zostało nadwreżonych i naprostowanie ich sprawiło taki ból, że usta mu zsiniały i pot wystąpił na czoło. Nie krzyknął jednak ani razu, tylko ścisnął tak mocno rękę pani Ludwiki, że długo była czerwona.

„Ten chłopiec nie będzie mógł stapać, przynaj-

mniej przez jaki tydzień, ale trzeba spróbować czy zamiast leżeć, nie mógłby się przechadzać o kuli,“ rzekł doktor, zbierając błyszczące narzędzia, których widok sprawiał na Danie przykre wrażenie.

„Wszakże ja z czasem wydobrzeję, nieprawda?“ zapytał przestraszony wzmianką o kuli.

„Mam nadzieję,“ odparł doktor i odszedł, zostawiając Dana bardzo zgnębionym, — bo utrata nogi jest wielkim nieszczęściem, dla ruchliwego chłopca.

„Nie lękaj się; ja doskonałą jestem lekarką, i za miesiąc będziesz tak biegł, jak dawniej,“ rzekła pani Ludwika, różowo patrząc na rzeczy.

Ale Dana prześladowała trwoga i nie pocieszały go nawet pieszczoty Teodorka; co widząc, pani Ludwika wpadła na myśl, żeby go odwiedziło kilku kolegów; zapytała więc, kogo sobie życzy.

„Alfreda i Adasia — chciałbym tu mieć także mój kapelusz, bo się im może spodoba to, co w nim znajduje. Czy tylko pani nie wyrzuciła mego zawiniątka?“ zapytał z trwogą.

„Przeciwnie, schowałam je, domyślając się że tam muszą być jakieś skarby, kiedy masz o nim takie staranie.“

Po chwili przyniosła mu stary słomiany kapelusz, pełen motyli i chrabąszczy, oraz chustkę w której było mnóstwo osobliwości pozbieranych w drodze, jakoto: ptasie jaja, kamienie, i drobne raki, wielce oburzone niewolą.

„Czy mógłbym dostać jakie naczynie na tych jeńców? chciałbym się im przypatrywać, bo takie śliczne!“ rzekł Dan, i zapominając o nodze, roześmiał się serdecznie, gdy raki zaczęły pelzać po łóżku.

„Dam ci starą klatkę Polly, będzie doskonała na

ten użytek. Pójdę zaraz po nią, a ty, pilnuj tymczasem żeby nie uszczypały Teodorka w paluszek.“

Dan był mocno uradowany, że skarby jego nie zostały wyrzucone, jako śmieci.

Alfred i Adaś przybyli wraz z klatką i raki zostały umieszczone w nowej siedzibie, ku wielkiej uciechę chłopców, którzy przejeżdżali tym widokiem, swobodnie go powitali zbiega.

Dan dokładniej opowiedział swe przygody tym zaciekawionym słuchaczom, aniżeli państwu Bhaer, a następnie rozłożył swe „rupiecie“ i tak je zajmująco opisywał, że pani Ludwika, słuchająca w przyległym pokoju żeby nieprzeszkadzać, była zdumiona i doskonale się bawiła tym dziecięcym wykładem.

„Jak on ma dużo wiadomości i jaki w nich zamiłowany! To wielkie szczęście — zwłaszcza teraz — bo nie lubi książek, więc byłoby go trudno rozrywać, póki leży w łóżku. — Chłopcy mogą mu znosić kamienie i chrabąszcze.

Bardzo rada że odkryła tę pożyteczną skłonność, bo mi ułatwić może kształcenie jego charakteru. Gdyby Dan wyszedł na słynnego naturalistę, a Adaś na znakomitego muzyka, słusznie chlubiłabym się tegorocznymi plonami,“ myślała pani Ludwika, z uśmiechem spoglądając na swę księgę. Zupełnie jak w dzieciństwie, zaczęła budować zamki na lodzie, z tą tylko różnicą, że już ich nie przezuaczała sobie, lecz innym. Może właśnie z tej przyczyny urzeczywistniły się niektóre, bo miłość jest doskonałą podwaliną do wszelkich budowli.

Alfreda najbardziej zaciekawiły Dana przygody; ale Adasiowi więcej przypadły do smaku motylki i chrabąszcze. Z takim przyjęciem słuchał opowiadania o ich życiu króciutkiem i pełnem przemian,

jak gdyby to był nowy rodzaj czarodziejskich bajek. Mimo prostoty słowa, Dan dobrze opowiadał i przyjemnie mu było, że może czegoś nauczyć tego małego filozofa. Tak dalece pochłaniał uwagę swych słuchaczy, że pan Bhaer musiał im przypomnieć, że już czas na przechadzkę. Dan zaczął gonić smutnym okiem za nimi, profesor wpadł więc na myśl, żeby go przenieść na sofę do gabinetu, dla zmiany powietrza i miejsca.

Skoro go usadowiono, i gdy uciszyło się już w domu, pani Ludwika, która w pobliżu pokazywała obrazki Teodorkowi, zapytała ciekawie:

„Gdzieś ty się nauczył tak dużo?“

„Zawszem lubił te rzeczy, ale mało wiedziałem, póki mnie nie oświecił pan Hyde.“

„Któż to jest?“

„On zwiedzał pobliskie lasy, i badał — to — nie wiem jak nazwać — pisał o żabach, rybach, i tym podobnych rzeczach. Mieszkał u pana Page i zazwyczaj brał mnie z sobą do pomocy. Niezmiernie to lubilem, bo opowiadał dużo, a przytém taki jest wesoły i taki rozumny! Mam nadzieję, że go będę widywał czasami.“

„Bardzo tego pragnę,“ odrzekła pani Ludwika, zauważywszy iż mu się twarz rozjaśniła i język rozwiązał, wbrew zwyczajowi.

„Umiał przyzywać do siebie ptaki — a króliki i wiewiórki, tak były doń śmiałe, jakby do drzewiny, na przykład. Nigdy im nie wyrządzał krzywdy, i zdawało się, że go znają. — Czy pani lachotała kiedy słomką, jaszczurki?“ zapytał Dan ciekawie.

„Nie, alebym chciała spróbować.“

„Ja to już robiłem; bardzo jest zabawne jak się kurczą i wyciągają; — one to lubią i pan Hyde często

się tém zajmował. Umiał téż węży przywoływać gwizdaniem; wiedział kiedy jaki kwiat zakwitnie; pszczoły go nie kąsały; o rybach i mchach, o Indjanach i skalach, opowiadał najcudowniejsze rzeczy w świecie.“

„Pewno przez te ulubione przechadzki z panem Hyde, zaniedbywało się pana Page,“ powiedziała figlarnie pani Ludwika.

„Prawda; gniewało mię to, gdym musiał pléć lub kopać motyką, zamiast się waleśać po świecie. Page nazywał takie rzeczy głupimi, a pana Hyde szaleńcem, dla tego że godzinami leżał na ziemi, śledząc pstrąga lub ptaka.“

„Tak,“ rzekła pani Ludwika „Page jest prostym rolnikiem, więc nie mógł tego zrozumieć, że naturalista podejmuje równie zajmującą, a nawet równie ważną pracę, jak on. — Słuchaj co ci powiem, Danie; jeżeli, o ile mi się zdaje i co mię cieszy — prawdziwie lubisz te rzeczy, postaram się, żebyś się ich uczył. Chciałabym jednak, żebyś pracował nad czémś więcej, i to pilnie, bo inaczej pożałujesz kiedyś i przekonasz się, że trzeba wrócić do początków.“

„Usłucham panią,“ rzekł potulnie, zalekniony surowością jéj ostatnich słów, nienawidził bowiem książek, ale widocznie uczynił postanowienie, że wszystko zrobi, co tylko ona zechce.

„Widzisz tę szafę o dwunastu szufladach?“ zapytała niespodzianie.

Dan spojrział na dwa staroświeckie biórka po obu stronach fortepianu: znał je dobrze i często widywał, jak wyjmowano z szuflad postronki, gwoździe, bibule, i tym podobne, pożyteczne przedmioty. Skinął więc głową z uśmiechem, a pani Ludwika mówiła dalej:

„Jakże myślisz, czy z tych szuflad będzie dobre schowanie na ptasie jaja, kamienie, skorupy i mechy?“

„Doskonale, ale pewnie zarówno jak Page, nie pozwoli mi pani zbierać tych rzeczy, prawda?“ zawołał Dan siadając, żeby się lepiej przyjrzyć staroświeckiemu sprzętowi.

„Przeciwnie, lubię takie zbiory. W każdym razie dałabym ci te szuflady, bo zawsze szanuję dziecinne skarby i sądzę, że się powinno mieć na nie wzgląd. Zrobimy układ mój Danie, i mam nadzieję, że go wierznie dotrzymasz: jest tu dwanaście obszernych szuflad, po jednej na każdy miesiąc; jeżeli na to zasłużysz pełnieniem obowiązków, zostaną twoją własnością. Wierzę w skuteczność nagród, zwłaszcza dla młodzieży, bo chociaż z początku może pełnimy dobro tylko dla nagrody, jeżeli jest sprawiedliwie wymierzana, uczy nas miłować je, dla niego samego.“

„Czy pani lubi nagrody?“ zapytał Dan ciekawie.

„Bardzo, i dotychczas nie umiem obchodzić się bez nich; ale moją nagrodą nie są szuflady, podarki, wakacje — lecz dobre postępowanie i szczęście naszych wychowanków — i pracuję na nią tak samo, jak tobie radzę pracować na tę szafę. Gdy będziesz robił nawet to, czego nie lubisz, i o ile zdołasz najlepiej, wówczas zdobędziesz dwie nagrody: szafkę której pragniesz, i zadowolenie z chętnie spełnionego obowiązku. — Rozumiész mię?“

„Rozumiem.“

„Wszyscy ludzie potrzebują tych drobnych pomocy. Będziesz się więc starał odrabiać lekcye, pełnić wszelkie powinności, zgodnie żyć z kolegami i dobrze pożytkować dni świąteczne? Jak mi przyniesiesz dobre sprawozdanie, lub gdy sama spostrzegę twe usiłowania — bo mam na to bystre oko — wówczas dostaniesz

przedziałkę w szufladce. — Patrz, niektóre są już przegrodzone na cztery części, inne każe tak samo urządzić, żeby na każdy tydzień była jedna skrytka. Skoro się szuflada napelni ciekawymi rzeczami, tak będę dumna jak ty; może nawet bardziej, bo w tych chrabąszczach, mechach, i barwnych motylkach, będę widziała: dobre postanowienia spełnione, wady pokonane, i obietnicę wiernie dochowaną. — Cóż Danie, zrobimy to?”

Odpowiedział jej na to spojrzeniem, które wyrażało że czuje i rozumie jej życzenia i słowa, chociaż nie potrafi dziękować. Pani Bhaer widząc z jego zarumienionej twarzy, iż doznał pożądanego wrażenia, wyciągnęła już tylko górną szufladę, wytarła ją z kurzu, i postawiwszy na dwóch krzesłach przy sofie, rzekła wesoło:

„Zaczniemy od poukładania chrząszczy w bezpiecznym miejscu. Jak widzisz, można dużo rzeczy nakłaść w te przedziałki. Motyle przypinam po bokach w okolo; będzie im dobrze i nie zajmą miejsca ciężkim przedmiotom, które ułożymy na dnie. Dam ci waty, czystego papieru i szpilek, żebyś był zaopatrzonym na cały tydzień.”

„Cóż mi z tego, kiedy nie mogę wychodzić po nowe okazy!” rzekł Dan, z żalością patrząc na nogę.

„Prawda; ale na tydzień wystarczą ci te zapasy; a jak poprosisz chłopców, to ci potem naznoszą mnóstwo rzeczy.”

„Oni się na tym nie znają; zresztą póki tu leżę, nie będę mógł ani pracować, ani się uczyć, ani służyć na te szufladki.”

„Dużo jest lekcji, których się możesz uczyć tutaj. Przecież, mógłbyś dla mnie wykonywać różne drobne zadania.”

„Doprawdy?” zawołał Dan z zadziwieniem i radością.

„Ucz się być cierpliwym i pogodnym, mimo bólu i braku rozrywek; baw Teodorka, zwijaj mi bawełnę, czytaj mi głośno, podczas gdy szyję — bo to wszystko nie nadwęży ci nogi; a w ten sposób, nie będziesz się nudził, ani tracił czasu.”

Tu, Adaś wpadł z dużym motylem w jedną rękę, i ze szkaradną ropuchą, w drugiej.

„Patrz Danie, com znalazł! Wróciłem się z przechadzki, żeby ci to oddać. Spodziewam się, że to ładne rzeczy!” wołał zdyszany.

Dan roześmiał się z ropuchy i odrzekł „nie mam jej gdzie podziąć; ale motyl bardzo piękny, i jeżeli pani Bhaer zechce mi dać dużą szpilkę, to go przypnę wysoko w szufladzie.”

„Nie lubię patrzeć na męczarnie tych biednych istotek; jeżeli je trzeba zabić, to skróćmy przynajmniej cierpienia, kroplą kamfory,” rzekła pani Ludwika podając flaszeczkę.

„Ja wiem, jak się to robi: pan Hyde zawsze je zabijał w ten sposób; ale niemając kamfory, musiałem używać szpilki,” rzekł Dan, i ostrożnie nalał kropelkę, na lebek owada. Błado-zielone skrzydła trzepotały się chwilę, a potem ustały znaki życia.

Zaledwie się skończyła ta prosta operacja, Teodorek wykrzyknął z sypialnego pokoju „ach! male lactic uciety, a duży zjadł je wszystko!” Adaś i pani Ludwika pobiegli na pomoc i oto co ujrzeli: Teodorek podskakiwał gorączkowo na krzeselku, a dwa raczki pelzały po podłodze, wymknąwszy się z klatki przez pręciki; trzeci wgramolił się na szczyt téjże, widocznie przejęty trwogą o życie, u dołu bowiem przedstawiał się smutny a jednak komiczny obraz.

Duży rak dostał się do kącika, gdzie zwykle stał kubek Polly, i usiadł tam pożerając z zimną krwią jednego ze swych krewniaków. Wszystkie łapki biedaka zostały już oberwane, on sam był obrócony do góry łebkiem; zwierchnia skorupa spoczywała w łapie dużego raka, pod samym pyszczkiem, jakby taléż — on zaś zajadał i od czasu do czasu spoglądał wypukłymi oczkami tu i owdzie. Wywieszał przytém wązki języczek oblizując się tak komiecznie, że się dzieci zanosily od śmiechu.

Pani Ludwika przyniosła klatkę Danowi, żeby się temu przyjrzał, a Adaś chwytal zbiegów pod miseczkę od mydła, obróconą do góry dnem.

„Będę musiał wypuścić na wolność tych jeńców, bo ich teraz nie upilnuję,” rzekł Dan, z widocznym żalem.

„Podejmuję się czuwać nad nimi, jeżeli mię naucysz jak się brać do tego. Będę je trzymał razem z żółwiami,” powiedział Adaś, któremu raki lepiej podobały się nawet od tych jego powolnych stworzeń. Tak więc dowiedziawszy się od Dana, jakie są ich potrzeby i zwyczaje, zaniósł je do nowéj siedziby.

„Jaki to dobry chłopiec!” rzekł Dan, starannie zawieszając pierwszego motyla; Adaś ujął go sobie bowiem wyrzeczeniem się przechadzki, dla sprawienia mu przyjemności.

„Powinien być dobrym, bo dokładano wielkich starań, aby go uczynić jak najlepszym.”

„On ma kochające osoby, które go oświecają i wspierają radami, a ja nie mam nikogo,” rzekł Dan z westchnieniem, zamyślając się o swém zaniedbaném dzieciństwie, co mu się rzadko zdarzało.

„Wiem mój drogi, i dla tego od ciebie nietyle wymagam co od Adasia, chociaż jest młodszy. Ale

teraz możesz liczyć na naszą pomoc i mam nadzieję, że cię nauczymy radzić sobie w życiu. Czyś zapomniiał, jak cię dawniej uczył ojciec Bhaer, że trzeba być dobrym i prosić Boga o pomoc?”

„Nie, pani,” odrzekł Dan cichutko.

„Probujesz jeszcze tego sposobu?”

„Nie,” odparł jeszcze ciszéj.

„Będiesz to czynił co wieczór, przez wzgląd na mnie?”

„Będę!” odpowiedział uroczyście.

„Liczę na to i zdaje mi się, że poznam, czyś wierny przyrzeczeniu, bo takie rzeczy są widoczne dla osób wierzących w ich skuteczność. — Mam tu powieść o chłopcu, który jeszcze gorzej, niż ty, skaleczył sobie nogę; przeczytaj ją, to się przekonasz, jak dzielnie znosił swój krzyż.”

Dawszy mu do rąk śliczną książkę, zostawiła go z godzinę, wpadając niekiedy, żeby się nie czuł osamotnionym. Dan nie lubił czytać, ale wkrótce tak go ta powieść zajęła, że się zdziwił, gdy chłopcy wrócili już do domu. Stokrotka przyniosła mu bukietik z polnych kwiatów; Andzia napraszała się, żeby jéj pozwolono podać mu wiececzkę; a koledzy siedząc przy stole, uśmiechali się doń przyjaźnie, z poza stołów chleba z masłem.

Pan Bhaer zaniósł go wcześniej do łóżka, a Teodorek przyszedł w nocnej koszulce powiedzieć dobranoc, gdyż wraz z ptaszkami układał się zwykle w swém gniazdku.

„Chciałbym zmówić paciolet psy Danciu, czy może?” zapytał, a gdy matka pozwoliła, ukląkł przy łóżku Dana i złożwszy pulchne rączki, mówił zwolna:

„Płose Boda, żeby błodoslawił wsysttich i żeby mi pozwolił być dobrym.”

Potem pani Bhaer wyniosła go, uśmiechającego się prawie przez sen.

Gdy się skończyła wieczorna gawęda, gdy niechły śpiewy i ustał ruch w domu, Dan leżał w swym miłym pokoiku, oddany nowym myślom, pełen nowych nadziei i życzeń, które się rozbudziły w jego dziecięcym serduszk. Miłość i wdzięczność rozpoczęły dzieło, którego dokonać miały: czas i praca. Ze szczerem postanowieniem dotrzymania pierwszej obietnicy, Dan złożył ręce wśród ciemności i wyszeptał modlitewkę Teodorka: „Boże, błogosław wszystkim i dopomóż mi być dobrym.“

Rozdział dziesiąty.

Wuj Teodorek.

Przez cały tydzień, Dan przenosił się tylko z łóżka na sofę; było to długie, uciążliwe dni, bo noga czasami bardzo bolała i przymusowy spokój męczył ruchliwego chłopca, który byłby chciał używać lata na wolnym powietrzu. Starał się znosić cierpliwie swoje położenie i wszyscy mu to ułatwiali na różne sposoby, więc czas jako tako schodził. Nareszcie w sobotę rano, usłyszał od doktora następujące słowa:

„Stan tego chłopca daleko jest lepszy, niżem się spodziewał, dajcie mu więc kule po południu i niech się pokręci w koło domu.“

„Hurra!“ wykrzyknął Alfred i pobiegł do kolegów z tą dobrą nowiną.

Wszyscy się bardzo uradowali i po obiedzie zebrała się cała gromadka, podczas gdy Dan prze-

chadzał się najwpiérw po sieni, potem zasiadłszy na ganku, urządził lever. Bardzo mu było przyjemnie, że mu okazują tyle zajęcia, życzliwości — i rozpogadzał się coraz bardziej, gdyż chłopcy przychodzili mu składać hołdy, dziewczynki krzątały się, podając to poduszkę, to znów podnózek, a Teodorek czuwał nad nim, jakby nad wątłą istotą, niezdolną sobie radzić. Jedni siedzieli, drudzy stali na wschodach; wtém, jakiś powóz zatrzymał się przed bramą i powiewał zeń kapelusz. Robcio zawołał „wuj Teodorek!“ i pobiegł ku niemu tak prędko, jak mu tylko małe nóżki pozwoliły.

Prócz Dana, wszyscy podążyli za nim, wyścigając się, kto otworzy bramę; a po chwili, wjechał wśród téj rzeszy wuj Teodorek, z córeczką na kolanach.

„Zatrzymajcie ten wóz tryumfalny, niechaj Jowisz wysiadzie!“ rzekł on, i wyskoczywszy, wbiegł na wschody, żeby powitać panią Bhaer, która stała, uśmiechając się i klaszcząc w ręce, z dziecinną radością.

„Co słyhać, Teodorku?“

„Wszystko dobrze.“

Uścisnęli się za ręce i pan Laurence oddał Becię w objęcia ciotki, mówiąc, gdy ją dziecko serdecznie całowało:

„Złotowłosa tak się napięrała odwiedzić was, że ją musiał przywieść; tém bardziej, że i mnie już tęskno było. Chcielibyśmy się pobawić kilka godzin z dziećmi.“

„Jak mię to cieszy! Bawcie się, chłopcy, ale jęj nie zróbcie jakiej krzywdy,“ rzekła, skoro otoczyli ładną dziewczynkę, podziwiając jęj długie, złociste włosy, wykwiłne ubranie, i dumne obejście, — bo tak zwana przez nich „księżniczka“ nie pozwoliła żadnemu pocałować się, tylko usiadła z uśmiechem i łaskawie

Mali mężczyźni.

glaskała ich po głowach małą i białą rączką. Wszyscy ją uwielbiali: zwłaszcza też Robcio, który mając ją za jakiś rodzaj lalki, bał się dotknąć, żeby jej nie złamać. Czeił ją tylko zdaleka, a najłżejsza jej laska uszczęśliwiała go niewymownie. Ponieważ natychmiast zażądała, by jej pokazać kuchnię Stokrotki, zaprowadziła ją tam pani Ludwika, a szereg mniejszych chłopaczków podążał za niemi. Inni, prócz Dana i Adasia, rozbiegli się do menażeryi i do swych ogródków, żeby wszystko uporządkować, gdyż pan Laurence miał zwyczaj wszędzie zajrzeć i objawiał niezadowolenie, gdy coś było w zaniedbanu.

Stojąc na wschodach, obrócił się on do Dana i rzekł, jakby stary znajomy, chociaż go widział tylko parę razy:

„Jak ci jest na nogę?“

„Lepiej; dziękuję panu.“

„Musisz być bardzo znudzony siedzeniem w domu?“

„Ma się rozumieć,“ odparł Dan i powiódł okiem po zielonych wzgórzach i lasach, do których tęskno mu było.

„Możebyśmy się trochę przejechali, zanim tamci powrócą? W tym otwartym powozie zupełnie ci będzie wygodnie i użyjesz świeżego powietrza. — Przynieś poduszkę i szal, Adasiu, a potem wsadzimy Dana.“

Chłopcom ta myśl bardzo się podobała; Dan miał także uradowaną minę, lecz nagle zapytał:

„Czy tylko pan Bhaer nie będzie miał nic przeciw temu?“

„Bądź spokojny, ułożyliśmy to razem przed chwilą.“

„Nie rozumiem jak się to stało, kiedym nie słyszał ani słowa,“ rzekł Adaś, zdjęty ciekawością.

„Umiemy porozumiewać się znakami, czyli wielce ndoskonalonym telegrafem.“

„Już wiem, za pomocą oczu! Widziałem, jak wujaszek podniósł w górę brwi i wskazał na powóz, a pani Bhaer ze śmiechem skinęła głową!“ zawołał Alfred, który był zupełnie śmiałym z dobrym panem Laurence.

„Nieinaczéj. — A teraz dalej w drogę!“ Po chwili Dan siedział już w powozie, nogę miał opartą na przeciwległej poduszce, dobrze okrytą szalem, który tajemniczo spadł z wyższych sfer, właśnie kiedy go zapotrzebowali. Adaś wgramolił się na kozioł, obok woźnicy murzyna, Alfred usiadł przy Danie na honorowym miejscu, a wuj Teodorek umieścił się naprzeciwko, mówiąc że to uczyni dla czuwania nad nogą; ale w istocie chciał patrzeć na ich twarze, obie tak uszczęśliwione, a tak odmienne: Dana była szeroka, brunatna i czerstwa, Alfreda zaś podłużna, jasna i nieco wątła, ale bardzo przyjemna, gdyż miał piękne oczy i czoło.

„O małym nie zapomniał, że mam tu książkę, która cię zajmie,“ rzekł pan Laurence, i wyciągnął z pod poduszki dzieło, na widok którego Dan aż wykrzyknął; potem z zapalem zaczął przeglądać piękne tablice pełne motyli, ptaków i owadów tak barwnych, jak żywe. Uniesiony radością, zapomniał podziękować; ale pan Laurence nie obraził się i zupełnie mu wystarczyła jego uciecha. Alfred przyglądał się, oparty o jego ramię, Adaś chcąc mieć także udział w tej rozrywce, odwrócił się tyłem do koni, a nogi zwiesił w powóz.

Gdy doszli do tablicy z chrabąszczami, pan Laurence wyjął z kieszeni jakiś osobliwy przedmiot i położywszy na stole, rzekł:

„Przyjrzyjcie się chrabąszczowi, który ma tysiąc lat; patrzcie jaki stary i bezbarwny.“

„Został wydobyty z całunu mumii, spoczywającej od wieków, w jakimś sławnym grobie.“

Widząc że ich to zajmuje, opowiadał potem o Egipcjanach i wspaniałych ruinach, jakie zostawili po sobie, o Nilu, — o tém, że przebywał tę rzekę z czarnymi przewoźnikami, że strzelał do krokodyli amerykańskich i widział nadzwyczajne zwierzęta i ptaki, a później przejechał przez pustynię na wielbłądzie, kołysząc się na nim, jakby okręt w czasie burzy.

„Wuj Teoderek prawie tak dobrze opowiada historie, jak dziadunio,“ rzekł Adaś, gdy pan Laurence umilkł, a chłopcy wzrokiem prosili o więcej.

„Dziękuję ci za tę pochwałę, rzekł pan Laurence. Cenil on uznanie Adasia, bo dziecko bywa dobrym sędzią w takim razie i można się chlubić, gdy mu się dogodzi.

„Mam jeszcze w kieszeni parę fraszek, którem znalazł wśród moich zabytków i przywiozłem z sobą, żeby rozerwać Dana,“ rzekł, pokazując ładną strzałkę i wampum.*)

„Proszę nam opowiadać o Indyanach!“ zawołał Adaś, który lubił bawić się w wigwamy, czyli chaty indyjskie.

„Można się dużo o nich dowiedzieć od Dana,“ odezwał się Alfred.

„Zapewne więcej, niż odemnie; a zatem słuchamy,“ rzekł pan Laurence, okazując niemniej ciekawości, jak obaj chłopcy.

„Nasłuchałem się o tym przedmiocie od pana Hyde, który przebywał wśród Indyan, umie mówić ich językiem i bardzo ich lubi,“ odezwał się z gotowością Dan, chociaż pan Laurence krepował go trochę.

*) Naszyjuik z muszli, używany przez Indyan.

„Co to jest wampum?“ zapytał ciekawie Adaś.

Inni zadawali podobne pytania, on zaś sam nie wiedząc kiedy, opowiedział wszystko, co słyszał od pana Hyde, gdy przed kilku tygodniami płynęli razem po rzece.

Artur pilnie słuchał, ale Dan bardziej go zaciekał, niż Indyanie; czuł też pociąg i z tego względu, że równie jak on, miał ochotę uciec będąc młodym chłopczykiem i potem dopiero poskromił się zwolna: cierpliwością i cierpieniem.

„Więcie, chłopcy, co mi przyszło na myśl? Oto byłoby dobrze, gdybyście mieli własne muzeum, to jest miejsce do składania ciekawych rzeczy, jakie wam się zdarzy znaleźć, wykonać lub otrzymać w darze. Pani Ludwika jest zbyt dobra, żeby narzekać; ale to przykro, mieć cały dom wypełniony rupieciami. W najpiękniejszym wazonie leży z półkwarty chrabąszy; nad drzwiami wisi para nieżywych nietoperzy; gniazda os ludziom spadają na głowy; i wszędzie zawadza tyle kamieni, że możnaby wybrukować całą ulicę. Mało która kobieta miałaby na to cierpliwość, nieprawda?“

Pan Laurence mówił z figlarną miną, a chłopcy ze śmiechem mrugali na siebie, miarkując że ktoś rozsięwa plotki poza murami zakładu, bo inaczej zgådźby on wiedział o istnieniu tych drogocennych przedmiotów?

„Więc gdzież mamy chować to wszystko?“ zapytał Adaś, i żeby się lepiej zastanowić, położył się na ziemi.

„W starój wozowni.“

„Tam woda zacieka, i niema ani okien, ani miejsca gdzieby układać te rzeczy; przytém pełno jest kurzu i pajęczyn,“ odezwał się Alfred.

„Jak przyłożymy do tego ręki, obaj z Gibbem, to wam się tam spodoba. W przyszłym tygodniu przyszlę go do roboty, a około niedzieli zjawię się sam; urządzimy wówczas wszystko i damy początek ładnemu muzeum. Każdy będzie mógł mieścić tam swoje okazy, a Dana ustanowimy nadzorczą, bo jest obznajomiony z temi rzeczami. Zresztą, będzie to dlań spokojne, miłe i właściwe zajęcie, kiedy nie może się teraz bardzo ruszać.“

„Jakażto będzie uciecha!“ zawołał Alfred, a Dan uśmiechał się, niemówiąc ani słowa; ścisnął tylko swę książkę i tak patrzył na pana Laurence, jakby na największego dobroczyńcę ludzkości.

„Czy mam jeszcze raz obrócić?“ zapytał Piotr, gdy stanęli przed bramą.

„Nie; trzeba się bardzo ostrożnie zachować, żeby nie zaszkodzić Danowi. Zresztą, zanim odjadę, muszę obejrzeć jeszcze gospodarstwo i starą wozownię, a potem pogawędzić z panią Ludwiką,“ rzekł wuj Teoderek i usadowiwszy na sofie Dana, żeby wypoczął i nacieszył się książką, zaczął figlować z chłopcami, którzy naszukali się go wszędzie. Pani Ludwika zostawiła dziewczynki zajęte balikiem na górze i usiadła obok Dana, słuchając opowiadań o przejażdżce.

Nareszcie wróciła cała gromadka chłopców zakurzonych, zgrzanych i przejętych nowem muzeum, które uważali za najważniejszy pomysł bieżącego stulecia.

„Zawszem pragnął uposażyć jaką instytucję, więc od tej zacznę,“ rzekł pan Laurence, siadając obok pani Ludwiki.

„Jużes jedną ufundował,“ odparła, wskazując na różnych chłopaków, którzy się rozsiedli w koło nich, na ziemi.

„Czy wiecie, że ja byłem najpierwszym wychowankiem pani Bhaer?“ odezwał się Artur, żeby uprzedzić podziękowanie.

„Myślałem, że Franz był najpierwszym,“ odpowiedział Dan, zaciekawiony, co on przez to rozumie.

„Wcale nie; pani Ludwika mnie pierwszego wzięła pod opiekę, i taki byłem ładaco, że pomimo długoletniej pracy, nie zdołała poradzić sobie ze mną.“

„Jaka już musi być stara!“ zawołał Dan prostodusznie.

„Wcześniej ten trud zaczął się dla biedaczki, bo w piętnastym roku życia! Dziwię się, że jeszcze nie znać na niej zmarszczek, siwizny i zupełnej zgrzybiałości,“ rzekł pan Laurence ze śmiechem.

„Dajże pokój, Teodorku; nie pozwolę, żebyś się tak obmawiał. Gdyby nie ty, nie miałabym Plumfieldu, bom tylko w tém czerpała otuchę, że mi się z tobą powiodło. Dla tegoto, chłopcy, przez wdzięczność, nazwą tę nową instytucję: Muzeum Laurence'a!“ powiedziała pani Bhaer, z młodzieńczem ożywieniem.

„Dobrze! dobrze!“ zawołali, podrzucając w górę kapelusze.

„Czy nie mógłbym dostać jakiego ciasteczka, bom głodny jak wilk,“ rzekł pan Artur, gdy ustały okrzyki, za które oddał głęboki ukłon.

„Adasiu, pobiegnij do Azyi po pudełko pierników; chociaż to naruszy zwykły porządek, wszyscy uraczymy się, z powodu tak radosnej okoliczności,“ przemówiła pani Ludwika, i hojną ręką rozdawała potem przysmaki.

Nagle, pan Laurence przestając jeść, wykrzyknął: „Ależ ja zapomniałem o paczce od babuni!“ i pobiegłszy do powozu, wrócił z zawiniątkiem, w którym znajdowały się zwierzęta, ptaki i rozliczne przedmioty z kruchego ciasta.

„Jest tu po jednej sztuce dla każdego: a w liście wyrażono, co się komu należy. Babunia z Azyą same zajmowały się pieczywem i truchleję na myśl, coby się ze mną stało, gdybym tego nie był oddał.“

Wśród śmiechu i żartów zostały rozdane ciasteczka, i tak: Dan otrzymał rybę, Alfred skrzypce, Adaś książkę, Tomek malpkę, Stokrotka kwiatek, Andzia kółko, z którym miała przebiec dwa razy jednym tchem, w koło domu; Emil gwiazdkę: dla tego, że się zajmował astronomią; Franz omnibus, gdyż przepadał za powożeniem; Nadziany tłustą świnie; a dla malców były ptaszki, kotki i króliki, mające czarne oczki z rodzenków.

„Już pora odjechać. Gdzie moja złotowłosa? Mama gotowa tu przybiec po nią, jak nie wrócę wcześniej,“ rzekł wuj Teoderek, skoro znikła ostatnia okruszynka.

Franz poszedł po dziewczynki do ogrodu, a tymczasem Artur z Ludką rozmawiali przed domem.

„Jakże się sprawia Iskra?“ zapytał, bo go bardzo bawiły figle Andzi i prześladował nią panią Ludwikę.

„Doskonale; nabiera ładnego ułożenia i zaczyna się wstydić dawniej dzikości.“

„Czy ję chłopcy tego nie utrudniają?“

„Owszem, przyznaje; ale ja także czuwać i widzę wielkie postępy. Musiałeś zauważyć, jak się ładnie uściśnęła z tobą za rękę i jaka gościnną dla Beci. Stokrotka dobry przykład ję daje i pewna jestem, że za kilka miesięcy zobaczymy cuda.“

Tu, uwagi pani Ludwiki przerwało ukazanie się Andzi, która co tchu popędzała ognisty zaprząg, złożony z czterech chłopców; a za nią, Stokrotka wiozła Becię w taczkach. Kapelusze im pospadały, włoski rozwiały się, bicz trząsał, taczki podskakiwały w górę, a dziatwa biegła wśród tumanów kurzu.

„I to mają być wzorowe dzieci?“ rzekł pan Laurence, śmiejąc się z przechwałki pani Bhaer, że Andzia robi postępy.

„Śmieć się, ja jednak będę robić swoje, i odpowiem ci słowami twego profesora z kolegium: chociażby się nawet praktyka nie powiodła, to zasady zostaną.“

„Obawiam się, czy przykład Andzi nie oddziała raczej na Stokrotkę. Patrzno, moja księżniczka zupełnie zapomniała o swjej godności i wrzeszczy niegorzej od innych. Co to znaczy, moje panny?“ zawołał, ratując córeczkę od niezawodnego wypadku, bo cztery rumaki rwały się i wierzgały, jak szalone, ona zaś siedziała, wywijając dużym biczem.

„Ścigaliśmy się i ja wygrałam!“ zawołała Andzia.

„Ja także byłabym prędzej biegła, tylko się bała o Becię,“ wykrzyknęła Stokrotka.

„Hej, nuże!“ popędzała księżniczka, i tak zakreśliła biczem, że się aż konie puściły cwałem.

„Moje drogie dziecko, uciekaj od tęg zgrai, póki cię nie zepsuje. — Bądź zdrowa, Ludko! Drugą razą spodziewam się zastać chłopców przy cérowanu.“

„Niczem nie dam się zrazić. Mnie się zawsze nie wiedzie z początku i dopiero później, dobry skutek wieńczy me trudy. — Ucałuj Amelkę i kochaną mamę!“ wołała pani Ludwika za odjeżdżającym powozem.

„Wielki był ruch cały tydzień około wozowni, i roboty szybko postępowały, mimo ciągłych zapytań i rad, niecierpliwych chłopców. Stary Gibbs tracił głowę, lecz nie ustawał w pracy i w piątek wieczorem, wszystko było gotowe. Dach został naprawiony, półki porobione, ściany wybielone, z tyłu wybite wielkie okno, przez które wnikało dużo słońca i przedstawiał się piękny widok na strumyk, łąki i dalekie

góry. Nad bramą, uderzał oko napis czerwony: „Muzeum Laurence'a“.

Przez cały sobotni ranek zajęci byli chłopcy obmyślaniem, jak rozłożyć swe zabytki. Radość ich była do nieopisania, gdy pan Laurence wzbogacił ich jeszcze akwaryum, mówiąc że się sprzykrzyło jego żonie. Nad wieczorem, skoro ustało bieganie, krzątanie się i kucie młotem, zaproszono damy, by obejrzały ten nowy zakład.

Było to bardzo ładne miejsce: przestronne, czyste i jasne. Wkoło otwartego okna, zwieszały się zielone dzwonki chmielu; na środku postawiono śliczne akwaryum, a w niem delikatne rośliny wychylały się z wody i złote rybki poruszały się żwawo. Z obu stron okna były szereg półek. Dużą szafą Dana zastawiono główne drzwi, by się posługiwać małemi; a na niej umieszczono bardzo brzydkie, lecz ciekawe bóstwo indyjskie, подарowane przez starego pana Laurence, wraz z lódką chińską. W górze, na haku, wisiała wypchana Tolly, którą złożyła w darze pani Ludwika. Ściany, zdobiły różne rzeczy, jako to: duże gniazdo os, skóra z węża, łódź z kory brzoźowej, wieniec z jaj ptasich, wianek z szarego mehu z południa, nieżywy nietoperz, skorupa żółwia i jaja strusie. Adaś, dumny ofiarodawca tego ostatniego przedmiotu, podjął się objaśniać osoby zwiedzające te rzadkie okazy. — Ponieważ było za dużo kamieni, by wszystkie zachować, kilka piękniejszych znalazło miejsce na półce, obok skorup, resztę zaś miał Dan przejrzeć, w wolnej chwili.

Każdy pragnął złożyć jaką pamiątkę: nawet Silas posłał w rodzinne strony po kota dzikiego, którego ubił za młodu. Chociaż go mole już naruszyły, nie źle wyglądał, skoro go powieszono wysoko, obróciwszy z najlepszej strony. Żółte, szklane oczy błyszczały,

i zęby wyszczerzał tak naturalnie, że Teodorek zadrdzał, wszedłszy z kokonem, swym najcenniejszym skarbem.

„A co, nie pięknie tutaj? Ktoby pomyślał, że mamy tak wiele osobliwości? To mój dar; czy źle wygląda? Moznaby zrobić majątek, gdyby się urządziło płatne wejście,“ odezwał się Jakubek.

„To jest wolne muzeum, i jeżeli zechcecie na niem spekulować, zmażę swe nazwisko z nad bramy,“ rzekł pan Laurence, obracając się tak żywo, że chłopiec pożałował niebacznych słów.

„Prosimy o mowę!“ zawołał pan Bhaer.

„Słuchamy, słuchamy!“ dodała pani Ludwika.

„Jestem zbyt nieśmiały; ale ty przemów, boś wprawna,“ rzekł pan Laurence, cofając się ku drzwiom, by łatwiej uciec.

Pani Ludwika zatrzymała go jednak, i spojrzawszy dokoła siebie na dwanaście par brudnych rąk, rzekła ze śmiechem:

„Jeżeli powiem prelekcyę, to chyba o chemicznych własnościach mydła. Ale doprawdy, że jako założyciel, powinienes przemówić choćby w krótkich słowach. Odwdzięczymy się grzmotem oklasków.“

Widząc, że rad nie rad musi uleść żądaniu, wzniósł oczy w górę, gdzie wisiała Polly, — jak gdyby szukał natchnienia w tym jaskrawym ptaku, i usiadłszy za stołem, odezwał się żartobliwie, jak to było jego zwyczajem:

„Chyba to wam powiem, moje chłopcy, że pragnę, aby to nowe muzeum przynosiło nietylko przyjemność, ale i pożytek. Samo układanie rzadkich okazów, nie stanowi korzyści: trzeba czytywać odpowiednie książki, aby się i samym kształcić i móż objaśniać zwiedzających. Ja to niegdyś bardzo lubilem, i dziś słuchał-

bym chętnie, żeby odświeżyć w pamięci wiadomości, których wprawdzie, jak przyzna pani Bhaer, nigdy nie posiadałem wiele. Ponieważ Dan dużo wie o ptakach, owadach i tym podobnych rzeczach, niechże weźmie to muzeum w opiekę; a od czasu do czasu, każdy z was po kolei przeczyta lub opowie coś o zwierzęciu, mineralu lub roślinie. W ten sposób łączyć się będzie przyjemność z pożytkiem. — Cóż ty na to, profesorze?”

Bardzo mi się ta myśl podoba i dam chłopcom wszelką pomoc; ale podobno mamy niewiele stosownych do tego książek,” rzekł pan Bhaer, którego już brała chęć na ulubione wykłady geologiczne.

„Musicie mieć także bibliotekę przywiązaną do muzeum. — Czy ta książka przyda się na co?” zapytał Artur, wskazując Danowi tom, leżący na szafie.

„O! i bardzo; jest w niej wszystko, co się odnosi do owadów. Wziąłem ją tu umyślnie, żeby się nauczyć przypinania motyli; ale się nie uszkodzi, bo zawinięta w papier,” rzekł Dan, biorąc książkę do ręki — z obawy, by Artur nie posądził go o niedbalstwo.

„Podaj mi ją,” rzekł tenże. Napisał na niej olówkiem imię Dana, i kładąc na półce obok sowy bez ogona, dodał: „Niechaj to stanowi początek biblioteki, którą będę ciągle wzbogacał — Adasiowi zaś poruczam nad nią opiekę. — Ludko, powiedz mi, gdzie są dziełka, któreśmy czytawali razem w dzieciństwie? Pamiętam jakąś „Architekturę owadów” i różne książki opisujące wojny mrówek, królowę pszczoł, świerczy wygryzujących dziury w ubraniu i wykradających mleko.”

„Są u rodziców moich na poddaszu; ale je odbiorę teraz, i zajmę się pilnie historią naturalną,” rzekła pani Bhaer, skora do każdego przedsięwzięcia.

„Czy tylko nie będzie zbyt trudno pisać o takich rzeczach?” zapytał Alfred, gdyż miał wstręt do wypracowań.

„Polubisz to przy wprawie, jestem pewna. Czy wolałbyś, żeby ci zadano taki przedmiot na przykład: „Rozmowa między Temistoklesem, Arystydesem i Perryklosem”? Jednej trzynastoletniej dziewczynce, kazano to niegdyś napisać.”

Chłopców aż dreszcze przeszły, a panowie uśmieli się z niedorzecznego pomysłu.

„I czy ona to napisała?” zapytał Adaś z przeżeniem.

„Ma się rozumieć, ale łatwo sobie wyobrazisz, co ta robota była warta, chociaż owę dziewczynkę nie brakowało bystrości.”

„Byłbym chciał przeczytać jej ćwiczenie,” odezwał się pan Bhaer.

„Możę ci je dostarczyć, gdyż była moją szkolną koleżanką,” odparła pani Ludwika tak figlarnie, że wszyscy odgadli, o kim mówi.

Posłyszawszy o tém potworném zadaniu, pogodzili się chłopcy z myślą pisania o znanych rzeczach, i wtorkowe popołudnia zostały przeznaczone na odczyty publiczne.

Pan Bhaer obiecał dać tekę do wypracowań, a pani Ludwika przyrzekła bywać obecną wykładom.

Następnie chłopcy poszli umyć ręce, i profesor podążył też za nimi, starając się uspokoić Robcia, którego przestraszył Tomek wiadomością, że w wodzie jest mnóstwo niewidzialnych wymoczków.

„Bardzo mi się podoba twój pomysł, ale nie bądź tak hojny,” rzekła pani Bhaer, pozostawszy z Arturem sam na sam. — „Jak ci wiadomo, prawie każdy z tych chłopców po wyjściu od nas, będzie

musiał torować sobie drogę w świecie, o własnych siłach, więc nadto wielkie udogodnienia wcaleby im nie wyszły na dobre.“

„Dobrze, będę umiarkowany; ale pozwól mi się bawić samemu. Gdy mię bardzo znużą interesa, nie mię tak nie rozrywa, jak swawola z waszymi chłopcami. Szczególnie lubię Dana; nie jest okazujący, ale ma oko sokole i skoro przyswoisz go lepiej, to się stanie twą chlubą.“

„Cieszę się, że tak myślisz, i dziękuję za okazwaną mu dobroć, a zwłaszcza za tę całą sprawę z muzeum. Jego to utrzyma w pogodnym usposobieniu przez czas niewoli, a mnie da sposobność zlagodzić, zmiekczyć tego opryskliwego biédaka i przywiązać go do nas wszystkich. — Powiedz mi, Teodorku, co cię natchnęło tak piękną i pożyteczną myślą?“ zapytała pani Bhaer i odchodząc, obejrzała się raz jeszcze, na tę zajmującą salę.

Artur wzięwszy ją za obie ręce, rzekł z takim spojrzeniem, że aż jęj oczy zaszyły błogimi łzami:

„Droga Ludko, ja także zaznałem, co to jest być chłopcem, pozbawionym matki; i nigdy nie zapomnę, ile dobrego zawdzięczam tobie i całej twój rodzinie.“

Rozdział dwunasty.

Jerzyny.

W pewne czerweowe popołudnie, krzatali się i biegali chłopcy z blaszanymi dzbanuszkami, raz wraz prosząc o coś do jedzenia, szli bowiem zbierać jerzyny.

„Wybierzcie się jak najciszej, moje dzieci, póki tu Robcia niema,“ rzekła pani Bhaer, gdy już zawiązała Stokrotkę skrzydlaty kapeluszy i naprostowała Andzi duży, niebieski fartuch.

Nie udał się jednak ten zamiśl, bo usłyszawszy ruch, zmiarkował chłopczyzna o co chodzi i postanowił towarzyszyć całej gromadce, nieprzypuszczając nawet żadnej przeszkody. Właśnie gdy dzieci wymykały się z bramy, ukazał się także ten malec z dzbanuszkami w ręczce i z rozpromienioną twarzą.

„Dopierożto będzie scena!“ rzekła z westchnieniem pani Bhaer, której bywało bardzo trudno poradzić sobie ze starszym synkiem.

„Jużem gotów!“ powiedział Robcio i zajął miejsce w szeregu z taką pewnością siebie, że matce było bardzo przykro odjąć mu to złudzenie.

„To za daleko dla ciebie,“ odezwała się. „Zostań ze mną, żebym nie była sama jedna.“

„Teodorek zostanie z mamą. Jam już duży, więc mogę pójść. Mama powiedziała, że jak urosnę, to będę chodził ze starszymi chłopcami, a już urosłem,“ mówił Robcio nalegając, i twarzyczka zaczynała mu się chmurzyć.

„Idziemy na wielkie pastwisko, to za daleka przechadzka dla ciebie. Zresztą nie chcemy, żebyś się włókł za nami,“ rzekł Jakubek, nieubliżający malców.

„Ja się nie będę włókł, nadążę wam z pewnością. Pozwól mi, mamó, pójść! Chciałbym ci przynieść pełen dzbanuszek jerzyn. Proszę cię, pozwól — będę taki grzeczny!“ błagał, patrząc tak żałośnie i smutno na matkę, że się zawahała.

„Ależ mój najdroższy, tak się zmęczysz i zgrzejesz, że ci to zatruje całą przyjemność. Poczekaj aż ja się

wybiorę; wtenczas zabawimy się cały dzień i nabiéramy jerzyn do woli.“

„Mama się nigdy nie wybierze, bo nie ma na to czasu, a mnie się sprzykrzyło czekać. Wolałbym pójść sam i przynieść do domu jerzyn, bo lubię je zrywać i chciałbym napelnić nowy dzbanuszek,“ mówił Robcio z płaczem.

Wszystkie niewieście serca wzruszył widok lezek spadających w dzbanuszek, zamiast spodziewanego owocu: matka poklepała mazgają po plecach, Stokrotka spytała, czyby z nią pozostał w domu, Andzia zaś, rzekła ze zwykłą stanowczością:

„Niech idzie; wezmę go pod swę opiekę.“

„Gdyby Franz szedł, przystałabym bez obawy; bo jest bardzo rozważny, ale zbiera siano z ojcem — a z pomiędzy was, nikogo nie jestem zupełnie pewna,“ odrzekła pani Bhaer.

„To tak daleko!“ zauważył znowu Jakubek.

„Jabym go niósł, gdyby mi wolno było wybrać się także. Co za szkoda, że to jest niepodobieństwem,“ powiedział Dan, wzdychając.

„Dziękuję ci, mój drogi, ale musisz być ostrożnym ze swoją nogą. Chciałabym pójść z wami sama. — Zatrzymajcie się chwilkę, może mi się uda usunąć trudności!“ Powiedziawszy to, wbiegła na wschody, powiewając fartuszkciem.

Silas właśnie odjeżdżał drabiniastym wozem po siano, ale spostrzegłszy jej znaki, powrócił, i od razu przystał na to, by zawieźć dzieci na wielkie pastwisko i pojechać po nie o piątą godzinie.

„Opóźnisz się trochę z robotą, lecz ci to odpląciemy piérógami z jerzyn,“ powiedziała pani Bhaer, trafiając w jego słabą stronę.

Ożywiła mu się na te słowa gminna i ogorzała twarz; co widząc, pani Ludwika pospieszyła do swęj gro-madki z okrzykiem: „Wybiéracie się prędko, wszyscy pojedziecie.“ Ucieszyło ją to mocno, że sprawi przyjemność wychowankom i nie zasmuci synka: według jęj zdania bowiem, jestto powinnością starszych, szanować dziecięce nadzieje, zamysły i rozrywki, — nie sprzeciwiać im się, chyba z konieczności, i nigdy nie obracać w śmieszność.

„Czy ja także pojedę?“ zapytał Dan.

„Ciebie głównie miałam na myśli; ale zamiast zrywać jerzyny, siedź spokojnie i ciesz się pięknymi rzeczami, które umiesz zawsze znaleźć w koło siebie,“ odrzekła pani Bhaer, przejęta wdzięcznością za jego serdeczne chęci.

„Ja także! ja także!“ wołał Robcio, tańcząc z radości, i brzękał dzbanuszkciem, jakby kastanietami.

„Dobrze; Stokrotka i Andzia wezmą cię w opiekę. Ale stawcie się przy furtce od parkanu o piątą, bo Silas przyjedzie po was.“

Robcio rzucił się matce na szyję, obiecując, że jęj przyniesie wszystkie jerzyny, jakie tylko znajdzie, i nie zje ani jedną. — Potém usadowiła się dziatwa na wozie, i odjechała z wesołą wrzawą. Najbardziej uszczęśliwioną twarzyczkę miał Robcio, pośród swych małych opiekunek; uśmiechał się do całego świata i powiewał swym najładniejszym kapelusikiem, gdyż pobłażliwa matka nie miała serca wzbronić mu tój uciechy, w tak uroczysty dzień.

Jakież rozkoszne było owo popołudnie, mimo wypadków przywiązanych zwykłe do podobnych wycieczek! Ma się rozumieć, że najpierwszy zdarzył się Tomkowi: oto padł na gniazdo os, które pokłuły go

Mali mężczyźni.

żądłami; ale przyzwyczajony do bólu, znosił go cierpliwie, póki Dan nie doradził przyłożyć wilgotnej ziemi. Potém Stokrotka zobaczyła węża, i uciekając przed nim, upuściła prawie wszystkie jeryzyny; lecz Adaś dopomógł napelnić dzbanuszek, opowiadając naucezające rzeczy o gadach. Antos spadł znowu z drzewa, ale sobietylko tę krzywdę zrobił, że musie rozdarła kurtka na plecach. — Emil z Jakubkiem ubiegali się o jeden krzak; a podczas ich szamotania się, Nadziany znie-nacka poobrywał gałęzie i uciekł z niemi pod opiekę Dana, którego to mocno ubawiło. Niepotrzebując już kul, z rozkoszą przechadzał się on po łące, pełnej ciekawych kamieni, żyjatek, i w powietrzu wirujących owadów.

Ale Andzi i Robciowi zdarzyła się najważniejsza przygoda, i na długi czas została im w pamięci. Gdy już obeszła dziewczeczka całą okolicę, rozdarła trzy razy sukienkę, i podrapała twarz krzakiem berberysowym, zaczęła zrywać czarne perełki. Zgrabne paluszki uwijały się żwawo, ale gdy mimo to dzbanuszek nie napelniał się dosyć prędko, chodziła tu i owdzie, szukając lepszych miejsc, zamiast jak Stokrotka, po-przestawać na tém, co ma pod ręką. Robcio wszędzie jęj towarzyszył, bo mu się lepiej podobała jęj ruchliwość, niż cierpliwe szukanie siostrzyczki; przytém chciał także zanieść mamie najpiękniejsze i największe jeryzyny.

„Zbiéram i zbiéram, ale dzbanuszek jeszcze nie pełen, a takem się już zmęczył!“ rzekł biédaczek, przystając na chwilę, żeby mu nóżki wypoczęły. Zaczynał już w mniej powabném świetle widzieć zbieranie jeryzyn, bo słońce dopiekało, Andzia przeskakiwała z miejsca na miejsce, jakby konik polny, a owoce wylatywały z dzbanuszką prawie tak prędko, jak je

wkładał, gdyż przedziérając się przez krzaki, upuszczał go co chwilę.

„Przeszła razą, było tu daleko więcej krzaczków. Patrz, tam jest pieczara, gdzie chłopey rozpalili ogień; napelnijmy prędko dzbanuszki, a potém schowamy się w nią, żeby nas szukano,“ odezwiała się Andzia, zawsze łaknąca przygód.

Gdy Robcio przystał na to chętnie, przeszli na drugą stronę wału, a ztamtąd między skały i krzaki, gdzie napelnili wreszcie dzbanuszki, i otrzeźwili się nieco, wodą ze strumyka.

„Teraz pójdziemy odpocząć w pieczarze i zjemy podwieczorek,“ rzekła Andzia, zadowolona, że jęj się tak udał pomysł.

„Czy tylko trafisz?“ zapytał Robcio.

„Ma się rozumieć; jak tylko jeden raz gdzie jestem, to już nie zapominam drogi. Alboż zbłądziłam wten-czas, idąc po kuferek?“ Te ostatnie słowa przekonały chłopaczką, i odtąd ślepo szedł za Andzią, która po badyłach i kamieniach doprowadziła go wreszcie do małego otworu w skale, gdzie były ślady wypalonego ognia.

„A co, nie ładnie tutaj?“ zapytała, wyjmując z kieszonki kawałek chleba z masłem, nieco uszkodzony bliskiem sąsiedztwem z gwoździemi, wędkami i kamykami.

„I owszem; ale czy myślisz, że nas prędko znajdą?“ zapytał malec, któremu jakoś nudno było w tym zacienionym kąciuku, więc zaczynał tęsknić do leczniejszego towarzystwa.

„Wątpię, bo jak ich tylko usłyszę, zaraz się schowam, żeby się tém ubawić, że daremnie szukają.“

„Może wcale nie przyjdą?“

„Mniejsza o to; mogę sama wrócić do domu.“

„Czy to daleko?“ zapytał Robcio, spoglądając na swe trzewiczki, przemoknięte i zakurzone.

„Musi być ze sześć mil.“ Pojęcia jój o przestrzeni były, jak się okazuje, niepewne, a wiara w swe siły ogromna.

„Możebyśmy zaraz poszli?“ odezwał się znówu biedny chłopaczek.

„Ja nie pójdę, póki nie nazbięram pełnego dzbanuszka.“

„Mówiłaś, że się mną będziesz opiekować,“ rzekł z westchnieniem.

„Przecież się opiekuję, jak umiem najlepiej. Nie zżymaj się moje dziecko, pójdziemy za chwilę,“ odrzekła Andzia, uważająca pięcioletniego Robcia za niemowlę, w porównaniu z sobą.

Biędny chłopczyna siedział, rozglądając się niepokojnie, i czekał cierpliwie, gdyż pomimo częstych zawodów, wielkie miał zaufanie w Andzi.

„Zdaje mi się, że niezadługo będzie noc,“ odezwał się, jakby sam do siebie, gdy komar go uklął, a żaby zaczęły koncert wieczorny, w pobliskim stawie.

„Ach prawda! Chodź prędko, bo gotowi odjechać bez nas!“ zawołała Andzia, podniósłszy bowiem głowę, spostrzegła, że słońce zaszło.

„Słyszałem trąbkę przed godziną, może to nas wzywali?“ rzekł Robcio, drepąc za swą przewodniczką, która wspinała się na górę.

„Gdzieżto było?“

„W tamtej stronie,“ rzekł, i wskazał zawałanym paluszkiem, w zupełnie złym kierunku.

„Idźmyż, to ich spotkamy,“ powiedziała Andzia zawracając, i zaczęła się przedziierać przez krzaki z pewnym niepokojem, było tam bowiem tak wiele ścieżek, że nie mogła rozpoznać, którą przyszli.

Dążyli dalej po kamieniach, stając niekiedy, aby nadsłuchiwać trąbki, która nie odzywała się jednak, — gdyż był to tylko ryk krowy, powracającej do obory.

„Nie przypominam sobie tego stosu kamieni, a ty?“ rzekła Andzia, usiadłszy na wale, żeby odpocząć chwilę i rozejrzeć się do koła.

„Ja nic nie pamiętam; alebym chciał pójść do domu,“ odpowiedział Robcio tak drżącym głosem, że objęła go rączką, sprowadzila ostrożnie na dół, i rzekła, udając pewność siebie:

„Idę, jak mogę najprędzej, mój drogi. Nie płacz, skoro dojdziemy do gościńca, to cię będę niosła.“

„A gdzie gościńiec?“ zapytał biędaczek, i obtarł oczki, żeby go zobaczyć.

„Tam, przy tém dużém drzewie, z którego spadł kiedyś Antos. Nie poznajesz go?“

„Prawda; może oni tam czekają na nas! Chciałbym pojechać do domu, a ty?“ szezebiotał Robcio, ożywiony nadzieją, że już wyjdą z téj łąki.

„Nie, jabym wolala wrócić pieszo,“ odrzekła Andzia, wiedząc, że rada nie rada, będzie musiała na tém skończyć.

Uszedłszy znówu duży kawał drogi, doznali smutnego zawodu; nie było to bowiem drzewo, z którego spadł Antos, i gościńiec się nie ukazywał.

„Czyśmy zabłądzili?“ spytał ze drżeniem chłopczyk, rozpaczliwie ściskając dzbanuszek.

„Niebardzo; ale byłoby lepiej zawołać, bo nie widzę wyraźnie drogi przed sobą.“

Krzyczeli więc oboje, aż do ochrypnięcia; ale tylko żaby odpowiadały chórem.

Znówu spostrzegam jakieś wysokie drzewo,“ rzekła Andzia, tracąc już odwagę, chociaż się z tém nie zdradzała.

„Już podobno dalej iść nie mogę. Trzewiczki zrobiły się takie ciężkie, że trudno je udźwignąć,” odezwał się Robcio, i usiadł ze znużenia na kamieniu.

„Musimy tu chyba zostać całą noc. Niebym sobie z tego nie robiła, choćby węże przyszły.”

„A ja się boję węży, nie mogę tu zostać! Ja nie chcę zabłądzić!” zawołał chłopczyną, i skrzywił już twarzyczkę do płaczu, kiedy mu zabłysła w głowce nagle myśl, i powiedział z zupełną ufnością:

„Mama przyjdzie i odszuka mię. Mama mię wszędzie znajdzie. Już się teraz nie boję.”

„Nie będzie wiedziała, gdzie jesteś.”

„Jakem był zamknięty w lodowni, także nie wiedziała, a jednak mię znalazła. Ja wiem, że tu przyjdzie,” dodał z takim zaufaniem, że Andzi lżej się zrobiło na serduszku, i usiadłszy obok Robcia, rzekła ze skrucą:

„Żałuję, żeśmy się oddalili od nich.”

„Tyś mię do tego namówiła; ale się niebardzo smucę, bo chociaż się tak stało, to mię mama nie przestanie kochać,” odrzekł, tuląc się do swój opiekunki.

„Takam głodna! zjedźmy jerzyny,” odezwiała się Andzia po niejakić chwili, gdy Robcio zaczął drzémac.

„Ja także; ale nie mogę zjeść swoich, bom obiecał mamie, że jój wszystkie oddam.”

„Będiesz musiał je zjeść, jak nikt po nas nie przyjdzie,” rzekła Andzia, czując potrzebę przeczenia. „Jeżeli nam tu przyjdzie spędzić dużo dni, to zjemy wszystkie jerzyny, co tu rosną, a potem umrzemy z głodu,” dodała ponuro.

„Ja będę jadł sasafry: wiem o jednym dużém drzewie. Dan opowiadał mi, że wiewiórki wykopują

sobie korzenie, żeby je zjadać, a ja lubię kopać,” odparł Robcio, niechętnie się głodowej śmierci.

„Prawda; możemy też łapać i gotować żaby. Mój ojciec jadał je kiedyś i mówi, że są bardzo smaczne,” powiedziała Andzia, której się wydawało romantyczném zabłąkanie się, nawet pomiędzy krzakami jerzyn.

„Jakim sposobem moglibyśmy gotować żaby? Przecież nie mamy roznieconego ognia.”

„Nie wiem; na drugi raz wezmę zapalki do kieszeni,” odrzekła Andzia, zniechęcona trochę tą przeskodą.

„Czy nie możnaby rozpalic ognia świecącym robaczkiem?” zapytał Robcio, widząc, że latają tu i owdzie, jakby skrzydlate iskierki.

„Spróbujmy.” Przyjemnie im zeszło kilka chwil, łapali bowiem robaczki, próbując zapalić nimi zielone gałązki. Jednakże gdy się próby okazały daremne, wzgardliwie je uwolnili i zdeptali urwane gałęzie.

„Jakoś mama długo nie przychodzi,” rzekł znowu Robcio po chwili milczenia, w czasie którego przyglądali się gwiazdom, oddychali miłą wonią traw, i wsłuchiwali się w serenadę świerszczy.

„Nie wiem, na co Pan Bóg stworzył noc, kiedy dzień jest daleko przyjemniejszy,” odezwiała się Andzia z zadumą.

„Na to, żeby spać,” rzekł Robcio, ziewając.

„To śpij!” odparła cierpko.

„Do tego trzebaby leżeć w łóeczku. Ach, jakżebym chciał zobaczyć Teodorka!” zawołał biedny chłopaczek, któremu świergotanie ptasząt, bezpiecznie siedzących w gniazdkach, boleśnie przypominało dom. Andzię zaczęła ogarniać rozpacz, bo nienawidziła czekania, — rzekła więc:

„Nie znajdzie nas twoja mama, bo jest tak ciemno, że nie nie widać.“

„W lodowni było zupełnie czarno, i ze strachu już nawet nie wołałem, a znalazła mnie; i teraz mię zobaczy, chociażby jak najciemniej było,“ odparł ufnie Robcio, i stanął, żeby wśród ciemności dojrzyć pomoc, o której nie wątpił.

„Widzę ją! widzę!“ zawołał zaraz, i o ile mu tylko pozwoliły zgnęcone nóżki, pobiegł szybko, ku ciemnej postaci, zbliżającej się powoli. Nagle zatrzymał się jednak, potem się odwrócił, i drżący przybiegł napowrót, krzycząc z przerażeniem:

„To czarny, ogromny niedźwiedź!“ i ukrył twarzyczkę w sukience Andzi.

„Przez chwilę ona także drżała; nawet ją odstąpiła odwaga, na myśl o prawdziwym niedźwiedziu; chciała się już odwrócić i uciekać bez pamięci, kiedy łagodne „uooo!“ przemieniło jej trwogę w uciechę, i rzekła ze śmiechem:

„To krowa, Robciu; ta ładna, pstrokata krowka, którą widzieliśmy po południu.“

„Zdawało się, że i krowa upatrywała coś niezwykłego w spotkaniu dwojga dzieci po ciemku, na swoim pastwisku, i że to łagodne stworzenie zatrzymało się umyślnie, żeby zapytać o przyczynę. Pozwoliła się pogłaskać i patrzyła tak przyjaźnie, że Andzia niebojąc się żadnego zwierzęcia, prócz niedźwiedzia, powzięła myśl wydojenia jej.“

„Silas nauczył mię doić, a jeryny z mléką, będą takie smaczne!“ rzekła wypróżniając dzbanuszek w kapeluszu; poczem śmiało wzięła się do dzieła. Robcio tymczasem deklamował, na jej żądanie, następujący poemat:

„Oddaj mi, krowko z siercią pstrokata,
Mleko swe, nektar drogi,
Ja cię osłonię jedwabną szatą,
Ozłotę twoje rogi.“

Te nieśmiertelne rymy niewiele jednak pomogły, bo krowa będąc wydojoną, dała już tylko odrobinę mléka, spragnionym dzieciom.

„Sio, idź precz! ty, starucho!“ wołała niewdzięczna Andzia, wyrzekając się dalszych prób; a biedna krowka odeszła z wolna, pomrukując gniewnie.

„Dostaniemy po jednym lyku, a potem trzeba będzie chodzić trochę, żebyśmy nie usnęli; bo kto zabłądził, ten nie może spać. Czy nie znasz téj powiastki o Annie Lee, która zasnęła pod śniegiem i umarła?“

„Teraz śniegu nie ma; bardzo jest miło i ciepło,“ rzekł Robcio, obdarzony mniej żywą wyobraźnią.

„Zawsze jednak lepiej przejść się trochę i wołać. Jeżeli nikt nie przyjdzie, to się schowamy pod krzakiem.“

Przechadzka ich bardzo krótko trwała, gdyż Robcio tak był śpiący, że niemogąc ustać, padał ciągle na ziemię; Andzia zaś coraz więcej traciła cierpliwość, i strach ją ogarniał, z powodu przyjętej odpowiedzialności.

„Jeżeli jeszcze raz upadniesz, to cię wybije,“ rzekła podnosząc malca bardzo łagodnie, gdyż jej słowa zawsze były ostrzejsze od czynów.

„Nie bij mię, bo to moje trzewiczki — tak się — ślizgają,“ rzekł Robcio, i mężnie pokonał wydobywające mu się łkanie, dodając tak żałośnie, że się aż serce Andzi wzruszyło: „Gdyby mię komary nie kąsały tak bardzo, tobym mógł spać, póki mama nie przyjdzie.“

„Oprzeź główkę na moich kolanach, zakryję cię fartuszkim. Ja się wcale nie boję nocy,” odrzekła, i usiadła wmawiając w siebie, że ją nie straszą ciemności ani tajemnicze szmery, otaczające ich dokoła.

„Obudź mię, jak Mama przyjdzie,” powiedział Robcio, i w pięć minut zasnął, ukryty pod jej fartuszkim.

Dziewczynka siedziała tak jak kwadrans, rozglądając się strwożonem okiem, a każda sekunda wydawała jej się godziną. Nagle, blade światło księżyca zaczęło polyskiwać na szczycie góry, i pomyślała:

„Już się widać noc skończyła, a rano nastąpi. Lubie patrzeć na wschód słońca, więc nie będę spała; a jak się tylko rozwidni, to już trafimy do domu.”

Ale zanim okragłe oblicze księżyca wypłynęło z poza góry, by zniweczyć jej nadzieję, usnęła wsparta o krzak paproci i śniły jej się robaczki świętojańskie, fartuszki niebieskie, stopy jeryn, i Robcio obciężający lży pstrokatą krowie, która wołała szlochając „do domu! do domu!”

Podeczas gdy dzieci spały, ukolysane jednostajnym szmerem komarów, panował w domu wielki popłoch. Drabiniasty wóz przybył o piątą, i wszyscy się stawili na umówionem miejscu, prócz Jakubka, Emila, Andzi i Robcia. Zamiast Silasa, powoził Franz; a gdy mu chłopcy powiedzieli, że reszta gromadki wróci lasem do domu, rzekł z niezadowolaniem: Trzeba było wsadzić Robcia na wóz, bo się zmęczy.”

„Tamta droga jest krótsza, i będą go nieśli,” rzekł Nadziany, któremu było pilno do wieczery.

„Czyście pewni że Andzia i Robcio poszli z tamtymi?”

„Ma się rozumieć; widziałem jak przechodzili przez

wał i zawołali że już piąta, a Jakubek odpowiedział iż wróci inną drogą,” dorzucił Tomek.

„Kiedy tak, to siadajcież!” Po chwili wyruszył do domu wóz pełen znużonych dzieci i dzbanuszków z jerynami. Pani Ludwika nierada była posłyszawszy o rozdzieleniu się gromadki, i wysłała zaraz Franza na osiołku, by wyszukał młodszą dziatwę. Po wieczery, całe grono domowych siedziało, jak zwykle, w chłodnym przedsionku, kiedy Franz powrócił zgrzany, zapyłony i wylekły.

„Czy przyszli?” spytał zdaleka.

„Nie,” odrzekła pani Bhaer, i zerwała się z tak przerażoną twarzą, że wszyscy skoczyli z miejsc, i otoczyli Franza.

„Nie mogłem ich nigdzie znaleźć!” odezwał się; lecz zaledwie to wymówił, głośnie „hola!” wstrząsnęło wszystkimi, i po chwili ujrano Jakubka i Emila.

„Gdzie Andzia i Robcio?” zawołała pani Ludwika, przyskakując tak gwałtownie do Emila, że myślał iż nagle zmysły straciła.

„Nie wiem. Alboż nie wrócili do domu, razem z tamtymi?” odezwał się żywo.

„Nie; Jerzy i Tomek zapewniali, że są z wami.”

„Wcaleśmy ich nie widzieli, i wróciliśmy stawem i lasem,” rzekł Jakubek z takim przerażeniem, na jakie go tylko stać było.

„Poproście tu pana Bhaer, dajcie latarnię, i powiedzcie Silasowi że go potrzebuje.”

Tyle tylko powiedziała pani Ludwika, lecz zrozumieli co zamysła uczynić, i pobiegli spełnić jej rozkazy. W dziesięć minut, pan Bhaer i Silas wyruszyli do lasu, a Franz inną drogą poszedł ku wielkiemu-pastwisku. Pani Ludwika porwała ze stołu coś do zjedzenia, a z szafy flaszkę wódki — wzięła latarnię,

i nakazawszy Emilowi i Jakubkowi żeby z nią poszli, a reszcie by się nie ruszała, wsiadła na osła, nawet bez szala i kapelusza.

Słyszała że ktoś biegnie za nią, niemówiąc ani słowa; lecz dopiero gdy się raz zatrzymała żeby zawołać i nasłuchiwać odpowiedzi, światło latarni padło na twarz Dana.

„Ty, tutaj! Powiedziałaś żeby się Jakubek wybrał,” rzekła, chcąc go odprawić do domu, chociaż tak bardzo potrzebną jej była pomoc.

„Nie puściłem go, bo jeszcze nie jadł wieczerzy; a przytém, chciałem koniecznie towarzyszyć pani.“ Po tych słowach umilkł, i odebrał od niej latarnię z taką pewnością siebie, iż uczuła, że chociaż to dziecko jeszcze, może na niem polegać.

W mgnieniu oka zeskoczywszy na ziemię, gwałtem kazała mu wsiąść na osła, poczem zwolna posuwali się wśród pustki, przystając niekiedy by zawołać i z zapartym oddechem nasłuchiwać, czy ich nie dojdą dziecięce głosiki.

Skoro przybyli na wielkie-pastwisko, inne światła już migotały tu i owdzie jak błędne ogniki, i słychać było wołanie pana Bhaer „Robciu! Andziu! Robciu! Andziu!“ Silas także krzyczał lub gwizdał. Dan zagłębiał się w tę i w ową stronę na osiołku, który jak by rozumiejąc o co chodzi, z niezwykłą uległością pozwalał się prowadzić w najmniej przystępne miejsca. Pani Ludwika często nakazywała wszystkim milczenie, mówiąc ze łkanem:

„Ten zgiełk może ich przestraszyć; pozwólcie żeby ja zawołała; Robcio pozna mój głos.“ Starala się na różne tklive tony obwoływać to drogie imię, aż je echa łagodnie powtarzały i zefiry roznosiły usłudnie, ale — nie było odpowiedzi.

Niebieskie sklepienie zachmurzyło się, księżyc niekiedy wypływał na chwilę, błyskawice i dalekie odgłosy grzmotu, zapowiadały zbliżającą się burzę.

„Ach mój Robcio! mój Robcio!“ wołała biedna matka, jak blade widmo snując się tu i owdzie; a Dan szedł za nią, świecąc jak robaczek świętojański. „Cóż ja powiem ojcowi Andzi, jeżeli się z nią stanie coś złego? Ach, czemuż puściłam tak daleko te moje pieszczotki! Fritz, czy nie nie słyszysz?“ Odebrawszy smutne „Nie,“ w odpowiedzi, zalała rękę tak rozpaczliwie, że Dan zeskoczył z osła, przywiązał uzdę do plotu, i rzekł:

„Może zeszedł na dół, do źródła.“ Potém tak żywo wydobył się za wał i zbiegł z góry, że mu pani Ludwika prawie nadążyć nie mogła; a gdy wreszcie stanęła na miejscu, zradością pokazał jej, nachyliwszy latarnię, ślady drobnych nówek na miękkim gruncie, wkoło źródła. Co prędzej uklękła żeby się przyjrzeć krokom, i podskoczyła potém, mówiąc:

„Tak, to są trzewiczki mego Robcia! Chodź, musieli pójść w tę stronę.“

Jakież to było męczące poszukiwanie! ale niewytłomaczony instynkt prowadził widać strwożoną matkę, bo Dan wydał wreszcie okrzyk, podnosząc z ziemi jakiś błyszczący przedmiot. Była to pokrywka od blaszanego dzbanuszka, rzucona w pierwszym przestachu, gdy spostrzegli, że są zblakani. Pani Ludwika ścisnęła i całowała ją, jakby żyjącą istotę. Skoro Dan chciał przywołać innych na to miejsce, powstrzymała go i biegła dalej, mówiąc: „Daj pokój, niech ja go znajdę.“ Kiedym pozwoili Robciowi oddalić się, niechże go teraz oddam przynajmniej ojcowi.“

Nieco dalej leżał kapelusik Andzi; następnie, w miejscu koło którego przechodzili już kilka razy,

znaleźli wśród lasu oboje dzieci, śpiące bezpiecznie. Dan nigdy nie zapomniał obrazka, na jaki padło światło jego latarni. Myślał, że pani Ludwika wykrzyknie, ale szepnęła tylko: „cicho!“ i ostrożnie odsłoniwszy fartuszek, zobaczyła pod nim tłuściuchną twarzyczkę Robcia. Usteczka powalane jerynami, były na wpół otwarte, jasne włoski spadały wilgotne na rozpalone czoło, a pulchne rączki, mocno trzymały napelniony dzbanuszek.

Widok jeryn, które dziecko, mimo takich przygód zachowało dla niej, do głębi musiał poruszyć serce pani Ludwika, gdyż porwała nagle chłopczynę i zaczęła płakać nad nim tak rzewnie, tak serdecznie, że się aż obudził. Z początku zdawał się odurzony; po chwili jednak oprzytomniał, uściśnął ją mocno, i rzekł, śmiejąc się z tryumfem:

„Wiedziałem że przyjdiesz, Mamo, i takem cię wyglądał!“

Podczas gdy się całowali i ściskali, Dan wydobył Andzię z pod krzaka, i z łagodnością, jaką dawniej okazywał tylko Teodorkowi, koł jej przetrach po nagłym oknięciu się, i obciął lezki, — bo z radości płakać zaczęła.

Nie dziwnego: przyjemnie jej było widzieć żywą twarz, i czuć opiekę silnego ramienia, po tak długim osamotnieniu i trwodze.

„Nie płacz, biedna dziewczeczko! jesteś już bezpieczna i nikt cię łajać nie będzie“, rzekła pani Ludwika, biorąc Andzię w objęcia; i oboje dzieci tuliła, jakby kokosz zbierająca odzyskane pisklęta, pod swe macierzyńskie skrzydła.

„To moja wina, ale żałuję że tak zrobiła. Opiekowałam się nim, jak mogłam; okryłam go i otuliłam do snu, i nie tknęłam jego jeryn, chociaż tak

mi się chciało jeść! Już tego nie uczynię nigdy a nigdy!“ mówiła Andzia ze łkaniem, pełna skruchy i wdzięczności.

„Przywołaj ich teraz i wróćmy do domu“, powiedziała pani Ludwika, — a Dan wszedłszy na wał, wykrzyknął radośnie, „znaleźliśmy ich!“

Migające światełka zbiegły się ze wszystkich stron, żeby otoczyć gromadkę stojącą wśród krzaków paproci. Co tam było uścisków, całusów, gwaru, płaczu! To wszystko musiało zadziwiać robaczki świętojańskie i radować komary, bo wydawały donośny szmer; ćmy zlatywały się chmarami i żaby skrzeczały, głośno objawiając zadowolenie.

Wszyscy zawrócili nareszcie ku domowi, a komiecznie było to grono: Franz biegł przodem, by pierwszy udzielić wiadomości; Dan, na osiołku wskazywał drogę; potem Silasł niósł Andzię, i ten ciężar wydawał mu się tak lekkim, jak jeszcze żaden w życiu. Idąc, prześladował ją ciągle za ten wybryk nowy. Pan Bhaer nikomu nie dał nieść Robcia, tylko sam wziął go na ręce; a chłopczyna orzeźwiony snem, szczebiotał wesoło, mając się za bohatera. Matka szła obok, chwytając go co chwilę za rączkę lub nóżkę, i nie mogła się nacieszyć, gdy zapewniał „ja wiedziałem że Mama przyjdzie“, albo gdy się nachylał, żeby ją pocałować i włożyć jej do ust jerynę, powtarzając „wszystkie zrywałem dla Mamy.“

Księżyc właśnie zaświecił, gdy w chodzili w aleę prowadzącą do domu, i chłopcy wybiegli hałaśliwie na ich spotkanie. Wprowadzono zbłąkane owieczki z tryumfem do jadalnego pokoju, gdzie jako poziome istotki, zażądały wieczerzy, niepoprzestając na całusach i pieszczotach. Zasiadli oboje do mleka z chlebem, a wszyscy domowi stanęli do koła, żeby im się

przypatrywać. Andzia, wkrótce przyszedłszy do siebie, z rozkoszą zaczęła opowiadać o minionych niebezpieczeństwach; Robcio zaś na pozór zajęty tylko jedzeniem, nagle rzucił łyżeczkę i zaczął żałośnie kwilić.

„Czego płaczesz, najdroższy?“ zapytała, nieodstępująca go matka.

„Tego żem zablądził,“ wyjąkał, daremnie chcąc wydobyć łzę z oka.

„Już się znalazł, przecież. Andzia powiada żeś nie płakał na pastwisku i cieszyłam się, żeś taki odważny.“

„Tam nie miałem czasu, bom się bał; ale teraz chciałbym popłakać,“ odrzekł, walcząc ze snem, z wzruszeniem i z mlekiem, którego miał pełną buzię.

Chłopcy roześmieli się na cały głos z tego wynagradzania sobie przeszłości, a male przestał jeść, spojrzał z zadziwieniem, i tak mu się udzieliła ich wesołość, że się także roześmiał i z wielkiego zadowolenia zaczął brzękać łyżeczką o stół.

„Dzieci, spać! już dziesiąta godzina!“ rzekł pan Bhaer, spojrzawszy na zegarek.

„Ach, Bogu dzięki, że nie będzie pustych łóżeczek tej nocy!“ dodała pani Bhaer, goniąc wzrokiem Robcia na rękach u ojca, i Andzię prowadzoną przez Adasia i Stokrotkę, którym się wydawała bardzo zajmującą bohaterką.

„Biędna ciocia Ludka! Tak jest znużoną, że trzeba by ją także zanieść,“ rzekł Franz, obejmując ją, gdy stała przy wschodach, widocznie wycieńczona trwogą i długą wędrówką.

„Zróbmy fotel,“ odezwał się Tomek.

„Dziękuję wam, moje chłopcy; tego nie chcę, ale niech mię który wesprze ramieniem,“ odrzekła pani Ludwika.

„Ja! ja!“ zawołało półtuzina głosów: wszyscy bylibysie chcieli przysłużyć, bo w tej bladój, macierzyńskiej twarzy było coś takiego, że się wzruszyły ich gorące serduszka.

Widząc że mają to sobie za zaszczyt, pani Ludwika wybrała najbardziej zasłużonego. — Wspierała się na Danie, o co żaden nie szemrał, — i rzekła z takim spojrzeniem, że się aż zarumienił z dumy i z radości:

„On znalazł dzieci, więc niechże i mnie poprowadzi.“

Dan uznał się wówczas hojnie wynagrodzonym za wieczorny trud: nie tylko dla tego, że mu dano lampę do przeniesienia, ale że gdy odchodził odedrzwia, pani Ludwika powiedziała serdecznie „Dobranoc mój chłopcze; niech cię Bóg błogosławi!“

„Żaluję, że nie jestem synem pani,“ odrzekł, czując że niebezpieczeństwo i troska zbliżyły ich z sobą więcej, niż cokolwiekbądź.

„Będziesz odtąd moim najstarszym synem,“ odparła, pieczętując tę obietnicę pocałunkiem, co jęj do reszty zjednało Dana.

Robcio wstał nazajutrz zdrowieutki; ale Andzię główka bolała, i przyszło jęj leżeć na sofie pani Bhaer, z coldcreamem na podrapanej twarzy. Wyrzuty sumienia ucichły w nięj zupełnie, i to zdarzenie zaczęło jęj się wydawać doskonałym figlem. — Pani Ludwika była niezadowolona z tego obrotu rzeczy: nie chcąc, aby ktoś sprowadzał jęj synków na manowce, i żeby dzieci powierzone jęj opiece, błękały się samopas. Surowo przemówiła zatem do Andzi, wskazując różnicę między swobodą a rozpustą, i dla silniejszego wrażenia, dodała kilka przykładów. Jedna z tych historyjek nasunęła jęj na myśl karę, która była wprawdzie dziwaczną, ale jęj się tém lepiej podobala, jako odpowiednia do usposobienia Andzi.

Mali mężczyźni.

„Wszystkie dzieci uciekają,” rzekła dziewczynka na swoje obronę, jak gdyby to była rzecz tak naturalna i konieczna, jak ospa lub koklusz.

„Nie wszystkie; a niektóre jak uciekną, to już się nie odnajdują,” odparła pani Ludwika.

„Czy pani nie uciekała nigdy?” zapytała Andzia, której bystre oczki dopatrzyły się duchowego pokrewieństwa pomiędzy sobą, a damą tak przykładowie szyjącą obok niej.

Pani Ludwika z uśmiechem przyznała się do winy.

„Proszę mi opowiedzieć jak, to było!” zawołała Andzia z tajonym tryumfem, a pani Bhaer odgadując, co się odbywa w jej główce, rzekła z miną poważną i pełną skruchy:

„Nieraz uciekałam, i moja biedna matka wiodła ciężkie życie przez te wybryki, aż mię z nich nareszcie wyleczyła.”

„Jakim sposobem?” zapytała Andzia bardzo ciekawie.

„Pewnego razu, chciałam się popisać nowymi trzewiczkami; więc chociaż mi przykazano niewychodzić z ogrodu, wybiegłam — i wałęsałam się cały dzień. Było to w mieście, i sama nie rozumiem, jakim cudem nie mi się nie stało, bo com ja się też nadokazywała! Figlowałam w parku z psami, pływałam po zatoce z gromadą nieznanym chłopaków, na obiad jadłam rybę soloną i kartofle, z jakąś małą żebrzącą Irlandką, — i gdy mię nareszcie znaleziono, spałam na progu cudzego domu, trzymając za szyję wielkiego psa. Wieczór już był późny, zabrudziłam się jak świnka, i nowe trzewiczki zupełnie zniszczyłam, całodzienną włóczęgą.”

„Jak to musiało być przyjemnie!” wykrzyknęła Andzia, widocznie gotowa uczynić to samo.

„Nazajutrz nie było przyjemnie,” rzekła pani

Ludwika usiłując nie zdradzić oczami, jak ją bawią te wspomnienia.

„Czy matka panią wybiła za to?” spytała ciekawie Andzia.

„Zdarzyło jej się to jeden raz tylko, i później przeprosiła zaraz, bom się tak czuła obrażoną, że inaczej chyba bym nigdy nie wybaczyła.”

„Dla czego panią przeprosiła? Mój ojciec nigdy tego nie robi.”

„Dla tego, że gdy mię wybiła, rzekłam:

„Odeszłaś od rozumu, mam, i zasługujesz, by cię tak wybito, jak ty mnie wybiłaś.”

Patrzyła na mnie przez chwilę z widocznie ustępującym gniewem, a potem powiedziała — o ile mi się zdawało, — mocno zawstydzona:

„Masz słuszność, Ludko: jakże cię mogę karać, kiedy sama uniosłszy się gniewem, dałam ci zły przykład? Daruj, moja droga, i odtąd wzajemnie dopomagajmy sobie.”

Nigdy mi te słowa nie wyszły z pamięci, i były skuteczniejsze, niż kilkanaście różg.”

Andzia siedziała przez chwilę zamyślona, obracając w ręczce słoiczek z coldcreamem; pani Ludwika milczała także, chcąc, żeby ta idea miała czas wsiąknąć w jej młodziutki i wrażliwy umysł.

„Podoba mi się to!” rzekła nareszcie Andzia, i twarzyczka jej stała się mniej podobną do szatanka o bystrych oczkach, ciekawym nosku i figlarnych usteczkach. „A po owiej ucieczce, jak z panią postąpiła matka?”

„Mocnym postronkiem przywiązała mię do łóżka, więcem się nie mogła ruszyć, i stałam cały dzień; a zniszczone trzewiczki wisiały przedemną, dla przypomnienia winy.”

„Toby chyba każdego wyleczyło!“ zawołała Andzia, ceniąca wolność nadewszystko.

„Mnie wyleczyło; sądę, że i ty się wyleczysz, gdy użyję tego sposobu,“ rzekła pani Ludwika, biorąc nie spodzianie ze stołu, kłębek ze sznurkiem.

Andzia siedziała bardzo zgnębiona, patrząc jak przywiązuje wkoło jej stanika jeden koniec, a do poręczy od sofy, drugi.

„Przykro mi krępować cię, jakby szkodliwego pieska; ale kiedy jesteś bezrozumna jak piesek, to się muszę odpowiednio obejść z tobą.“

„Wcale na to nie narzekam, bo lubię udawać psa,“ odrzekła Andzia z obojętną miną; poczem zaczęła szczeleć, i stanęła na czworakach. Pani Ludwika niezwracając na to uwagi, zostawiła parę książek, chusteczkę do obrabiania, i odeszła. Nie było to przyjemne dla Andzi: więc po chwili, spróbowała rozplątać węzeł; ale ponieważ był przymocowany z tyłu do fartuszka, wzięła się do drugiego końca. Dokonawszy tego wkrótce, zwinęła starannie sznurek i właśnie kiedy już miała uciec oknem, dał się słyszeć głos pani Ludwiki, która idąc przez sieni, rzekła do kogoś:

„Nie przypuszczam, żeby umknęła, bo honorowa z niej dziewczynka. Zresztą wie, że to uczyniła dla jej dobra.“

W jednej chwili Andzia wróciła do stolika, przywiązała się sama, i zaczęła szyc zapamiętale. — Gdy Robcio nadszedł, tak był zachwycony tą nową karą, że się przywiązał kawałkiem taśmki do drugiej poręczy od sofy, chcąc w ten sposób dotrzymać Andzi towarzystwa.

„Ja także zablądziłem, więc trzeba mię uwiązać

tak samo, jak Andzię,“ rzekł do matki, skoro ujrzała nowego jeńca.

„Może być, że i ty zasługujesz na małą karę, wiedziałeś bowiem, że się nie należy odłączać od całej gromadki.“

„Andzia zabrała mię z sobą,“ odpowiedział, bo chociaż gotów był podzielić się karą, nagany nie chciał przyjąć.

„Mogłeś niepójść; wprawdzie jesteś jeszcze mały, ale masz sumienie, i powinienes się nauczyć być mu posłusznym.“

„Kiedy sumienie nie nie powiedziało, jak mię Andzia namawiała, żeby przejść na drugą stronę wału.“

„Przysłuchiwałeś się, czy cię ostrzega?“

„Nie.“

„Więc nie możesz wiedzieć.“

„Ono musi być jeszcze takie słabiotkie, że choć się odzywa, to go nie mogę dosłyszec,“ dodał, zamysłwszy się chwilę.

„Musimy je wzmocnić, żeby głośniej przemawiało. — Zostań tutaj do obiadu, i rozmawiajcie o tém z Andzią. Spodzielam się, że póki ja nie pozwolę, to się żadno z was nie odwiąże.“

„O nie, pewnością!“ odrzekli, widząc w tém niej jaką zasługę, że sami dopomagają do ukarania siebie.

Przez godzinę, sprawiali się bardzo dobrze; lecz potem sprzykrzyło się im siedzieć w pokoju, i zateśknili do wolności. Nigdy ich tak jeszcze nie wabił przedsięwzięcie: nawet mała sypialnia nabrała nagle uroku, i chętnie byliby w niej budowali namioty z najładniejszych firanek od łóžeczek. Otwarte okna drażniły ich także, bo się nie mogli do nich zbliżyć, a zewnętrzny świat wydawał się tak pięknym, iż dziwnie im było, że mogą czasem narzekać na nudy.

Andzia miała szaloną ochotę pobiegać w koło trawnika; a Robcio z przykrością przypominał sobie, że psa nie nakarmił rano, i był ciekawy co też robi ten biedny Pollux. Spoglądali ciągle na zegar, i Andzia zrobiła kilka dodawań z minut i sekund, a Robcio tak się dobrze wyuczył nazywać godziny: od ósmej do pierwszej, że ich już nigdy nie zapominał. Jakaż to była męka polykać woń obiadu, wiedzieć że będzie pudding z jerzyn, a nie brać w nim udziału! Gdy Marya-Anna zaczęła podawać półmiski, wychylali główki, żeby zobaczyć jakie przynosi potrawy. Andzia obiecała nawet, że jej pomoże ślać łóżka, jeżeli dopilnuje, żeby jej się dostało dużo sosu do puddingu.

Przybiegłszy ze szkoły, zastali chłopcy te dwoje dzieci szamoczące się na postronkach, jakby żrebięta; i ten dodatek do nocnej przygody, bardzo ich zbudował i zabawił.

„Mamo, proszę mię już odwiązać! Na drugi raz będzie mię sumienie mocno ostrzegało: wiem z pewnością,” rzekł Robcio, gdy się dzwonek odezwał, i Teoderek wbiegłszy, przyglądał się z zadziwieniem bratczkowi.

„Zobaczmy,” odpowiedziała matka, puszczać go na wolność. — Pobiegł zrazu copredziej, do przedsionka; lecz wrócił niebawem przez jadalny pokój, usiadł przy Andzi, z twarzyczką rozpromienioną cnotliwem zadowoleniem, i rzekł:

„Czy mogę jej tu przynieść obiad?“ Żal mu bowiem było towarzyszek niedoli.

„Poczeiwy mój synek! Dobrze; przysuń stolik i postaw krzesło,” rzekła pani Ludwika, i pobiegła poskromić inne dzieci, — jak zwykle, — szalejące z głodu, w południe.

Andzia zjadła zatem obiad samotnie, i spędziła

długie godziny, przywiązana do sofy. Wprawdzie, pani Bhaer tak jej przydłużyła więzy, by mogła wyglądać oknem; widziała przeto jak się chłopcy bawią; jak Stokrotka przyrządza bal dla lalek, umyślnie na trawniku, żeby się mogła przynajmniej widokiem nacieszyć, niemogąc sama brać udziału w tej uczcie. Tomek przewracał najkunsztowniejsze koziołki dla rozerwania jej; Adaś na progu czytał głośno, niby to dla siebie; a Dan przyniósł do pokazania żabę drzewną, by w ten delikatny sposób objawić współczucie.

Jednakże nie jej nie wynagradzało utraty wolności, i niewola nauczyła ją cenić ten skarb. Dużo myśli przeszło przez jej główkę wspartą o ramę od okna, wśród ogólnej ciszy, kiedy dzieci poszły do strumyka, przyjrząc się, jak Emil puszczać będzie nowy okręt na wodę. Ona go miała ochrzcić buteleczką soku porzeczkowego, i dać mu imię: Ludwika, na cześć pani Bhaer! Teraz stracona sposobność, i Stokrotka z pewnością nie wywiąże się tak dobrze z tego zadania! Łzy stanęły jej w oczach, gdy sobie przypominała, że się to wszystko stało z jej winy; głośno przemówiła zatem do wielkiej pszczoły, raczącej się właśnie różą pod oknem:

„Jeżeliś uciekła, to wróć lepiej do domu; powiedz matce, że bardzo żalujesz, i że tego już nigdy nie zrobisz.“

„Cieszę się, że jej dajesz tak dobrą radę, i sędzę, że cię usłucha,” rzekła pani Ludwika, gdy pszczoła odleciała, rozwinąwszy skrzydełka.

Andzia obtarła parę łezek uronionych na okno, i przytuliła się do przyjaciółki, która wzięwszy ją na kolana, łagodnie rzekła:

„Jak ci się zdaje, czy dobre jest mojej matki lekarstwo?”

„O, dobre!” odparła Andzia, pokonana całodzienną samotnością.

„Mam nadzieję, że już nigdy nie będzie potrzebne.”

„I mnie się tak zdaje,” odpowiedziała dziewczynka z taką siłą przekonania, że pani Ludwika poprzestała już na tém, żeby nie psuć moralami wpływu pokuty.

Tu ukazał się Robcio, niosąc z wielką ostrożnością, ciastko upieczone na spodku.

„Patrz, torcik z moich jerzyn: dam ci go połowę na kolację,” rzekł z głębokim ukłonem.

„Dla czego miałbyś go dać, kiedym była niegrzeczna?” zapytała Andzia pokornie.

„Dla tego, żeśmy się razem zabłąkali; zresztą, już dziś nie będziesz niegrzeczną, prawda?”

„Nigdy, już nigdy!” odrzekła stanowczym tonem.

„To dobrze. Teraz pójdę do Maryi-Anny, żeby nam pokrajała ten torcik, bo już wielki czas na herbatę,” powiedział Robcio, i znowu się uklonił.

„Andzia chciała biedz za nim; ale powstrzymał się,” rzekła:

„Zapomniałam, że nie mogę pójść.”

„Spróbuj, przekonaj się,” powiedziała pani Bhaer, która nieznacznie rozwiązała sznurek.

Spostrzegłszy że jest wolną, ucałowała ją dziewczynka z zapalem, i frunęła żywo; jak ptaszek a za nią podążył i Robcio, wylewając w biegu sok z jerzyn.

Rozdział trzynasty.

Złotowłosa.

Po tém ostatniém zajściu, nastąpił w Plumfield spokój, i nieprzerwanie panował przez kilka tygodni. Starsi chłopcy czując, że Andzia i Robcio zabłądzili z ich winy, otaczali ich aż do umęczenia, ojcowską troskliwością; mniejsi zaś, tyle razy słyszeli opowiadanie Andzi o przebytych niebezpieczeństwach, że zabłąkanie, uważali za największe nieszczęście. Prawie nie śmieli wytknąć nosków za bramę, z obawy, żeby ich nie zaskoczyła noc, albo żeby się nie ukazała wśród ciemności, pstrokata krowa.

„Ta cisza nie może trwać długo,” myślała pani Ludwika; gdyż wychowując chłopców od kilku lat, przekonała się, że po tak przykładowym sprawowaniu się, następują zwykle wysoki. Mniej roztropna kobieta sądziłaby, że jej wychowawcy wyszli na świętych, ale ona przygotowana była, iż wulkan domowy nagle wybuchnie.

Jedną z przyczyn tego błogosławnego spokoju był pobyt Beci, którą rodzice zostawili w Plumfield na cały miesiąc, wybraawszy się sami w podróż z niezdrowym dziaduniem. Złotowłosa była dla chłopców: dzieckiem, aniołem i czarodziejką. Miała ona nieznównany urok; złote włosy, odziedziczone po matce, otaczały ją niejako lśniąco zasłoną. W chwilach łaskawości uśmiechała się z po za nich do swych wielbicieli, a gdy ją kto obraził, kryła się za nimi. Ojciec nie pozwalał ich obcinać, spadały więc niżej pasa; a tak były miękkie i błyszczące, że Adaś utrzymywał, że to jedwab, uprzedzony z kokonu.

Wszyscy chwalili „księżniczkę”, ale się zdawało,

że to zamiast ją psuć, wzbudza tylko przekonanie że swą obecnością, sprowadza promienie słoneczne; że uśmiechem, rozpogadza wszystkie twarze; a drobnymi troskami, napelnia serca kłiwém współczuciem.

Sama o tém niewiedząc, czyniła wiele dobrego swym młodym poddanym. Rządy jej były bardzo łagodne; a potęgę raczej czuł każdy, aniżeli widział. Delikatna natura uczyniła ją wybredną we wszystkiém, i to wywierało wielki wpływ na chłopców. Nie pozwałała na przykład, by jej który dotknął brudnymi rękami, i dla tego w czasie jej pobytu wychodziło więcej mydła, niż zazwyczaj; uważali sobie bowiem za największy zaszczyt, nosić na rękach jaśnie panią, a za największą hańbę, gdy wzgardliwie zawołała: „Idź precz, brudny chłopczyku.“

Nie lubiła głośniejszej mowy, klótnie ją przestraszały; odzywali się więc chłopcy do niej łagodniejszym tonem, a zatargi były uciszane przez widzów, jeżeli główni działacze nie zdołali porozumieć się sami. Sprawiało jej to przyjemność, żeby jej posługiwano; więc starsi chłopcy spełniali rozkazy bez szemrania, a mali we wszystkiém byli jej niewolnikami. Prosiłi, żeby im wolno było ciągnąć jej wózek, nosić koszyczek, lub podawać półmiski przy obiedzie. Żadna usługa nie wydawała się zbyt niską: to też Tomek z Antosiem pobili się raz, o zaszczyt wyczyszczenia jej bucików.

Andzia najwięcej jednak skorzystała, na miesięcznem obcowaniu ze starannie wychowaną panienką: Becia patrzyła bowiem z podziwieniem i przestachem w wielkich niebieskich oczach, gdy ta psotnica trzpiotała się, — i zazwyczaj uciekała, jakby od dzikiego zwierza.

Tkliwej Andzi, dolegało to bardzo; z początku

mówiła wprawdzie: „Nie dbam o to,“ ale dbała, — i było jej przykro słyseć: „Wolę siostrzyczkę moję, bo jest miłutką,“ więc pewnego razu, tak silnie wstrząsnęła Stokrotką, że jej aż ząbki szczyknęły; a potem, poszła się wypłakać w szopie. Niewiadomo, z jakiego źródła zaczerpnęła pociechę czy też dobrą radę, — w tém ogólném schronieniu dla strapionych dusz. Może jaskółki, siedząc na górze w ulepionych z ziemi gniazdkach, wyśpiewały jej nauczkę o uroku słodyczy? Bądź co bądź, wyszła ztamtąd zupełnie uspokojona, i pilnie szukała w owocowym ogrodzie, pewnego gatunku wczesnych jabłek, które Becia lubiła dla tego, że były słodkie, małe, i różowe. Uzbrojona w tę gałązkę oliwną, podała ją z pokorą księżniczce, która łaskawie przyjęła dar; a nawet gdy Stokrotka pocałowała Andzię na znak zgody, Becia uczyniła to samo, jak gdyby dla wynagrodzenia zbytnej surowości swojej. Od owego dnia, zgodnie bawiły się razem, i Andzia doznawała królewskich łask. Trzeba przyznać, że z początku tak jej było, jakby dziakiemu ptaszкови w pięknej klatce, i od czasu do czasu, wymykała się, żeby pobiegać swobodnie, lub pośpiewać całym głosem, nieprzeszkadzając ani Stokrotce, pulchniej gołębiczy, — ani Beci, złotemu kanarkowi. Ale jej to na dobre wyszło; widząc bowiem, jak wszyscy kochają małą księżniczkę, za jej drobne zalety i cnoty, zaczęła ją naśladować, gdyż pragnęła miłości, i usilnie starała się ją zdobyć.

Nie było w całym domu ani jednego chłopca, któryby nie doznawał wpływu Beci, i nie poprawił się, sam niewiedząc jak i kiedy, — bo dzieci umieją dokazywać cudów, w kochających je sercach. Idyotyczny Karolek przyglądał jej się z niewypowiedzianą przyjemnością; na co, wbrew zwyczajowi, pozwalała

bez skrzywienia, gdyż jęj wytłumaczono, że on niebędąc takim jak wszyscy, zasługuje na większe względy.

Dick i Dolo zarzucali ją fujarkami, to jedno umiejac wyrabiać; przyjmowała je wprawdzie, lecz nie używała ich nigdy. Robcio jęj służył, jakby mały wielbiciel; a Teodorek chodził za nią, jak piesek. Jakubka nie lubiła, dla tego że był oszpecony brodawkami, i miał krzykliwy głos. Nadziany jęj się nie podobał, z powodu że jadł nieładnie; powstrzymywał się więc od obżarstwa, żeby nie budzić wstrętu w wykwintnej paniencie, siedzącej naprzeciwko. Antos został oddalony z jęj dworu i popadł w niełaskę, gdy spostrzegła pewnego razu, że męczy biędną mysz polną. Złotowłosa nigdy nie mogła zapomnieć tego smutnego widoku; ile razy zbliżył się, chowała twarzyczkę za swę zaslonę, wołając z gniewem i żalem: „Nie mogę do lubić, bo oblywał biędnęj mysee nózti i piscal z bólu.“

Po przybyciu Beci, Stokrotka niebawem złożywszy swe berło, przyjęła skromne stanowisko naczelnęj kucharki; Andzia zaś, była pięrwszą panną honorową. Emil, pełniący obowiązki skarbnika, marnował grosz publiczny na kosztowne przedstawienia. Franz, jako pięrwszy minister, kierował sprawami państwa, urządził wycieczki królówęj po kraju, i utrzymywał obec potęgi w karności. Adaś był jęj nadwornym filozofem, i zachowywał się daleko lepięj, niż to jest w zwyczaju u podobnych indywiduów, w obec osób koronowanych. Dan stanowił straż przyboczną, rycersko broniąc jęj posiadłości. Tomek był jęj blaznem, Alfred zaś artystą.

Wuj Fritz i ciocia Ludka lubowali się tą chwilową ciszą, i zajmowała ich komedia, w której działwa mimowoli naśladowała starszych.

„Oni nas niemnięj uczę żyć, jak my ich,“ odezwał się pewnego razu pan Bhaer.

„Niedomyślając się tego, często wskazują, w jaki sposób najlepiej ich prowadzić,“ rzekła na to pani Ludwika.

„Miałaś słusność, dowodząc, że obcowanie chłopców z dziewczętami, wywięra obustronnie dobry wpływ. Alfred ożywił Stokrotkę, a Becia lepięj od nas cywilizuje tych małych niedźwiedzi.“

W tęg chwili, chłopcy weszli do sieni; i Tomek nietylko sam zdjął kapelusz, ale i Antosiowi zrzucił go z głowy, spostrzegłszy księżniczkę na koniu z biegunami, w orszaku Robcia i Teodorka, którzy pędząc na krzesłach, udawali uslužnych rycerzy.

„Prawda, że nasi chłopcy nabięraję coraz więcięj poloru; ale mam nadzieję, że nie wpadną w ostateczność, i nie stanę się nigdy przesadnie wykwinłni. — Chciałabym, żebyśmy w nich wpoili dobroć przeświecającą w najprostszym czynie, i aby każdy z nich był tak uprzejmy i serdeczny, jak ty, mój najdroższy!“

„Ta, ta, ta! Dajmy pokój komplementom, bo jak ci się zacnę odpłacać, to uciekniesz; a miałbym ochotę używać tęg błogięj godzinki, do końca,“ rzekł pan Bhaer. Jednak widocznie był rad z pochwały, gdyż pochodziła z głębi szczeręgo serca; pani Ludwika zaś czuła, że mąż nie mógł jęj nic lepszęgo powiedzięć, jak to: że obok nięj znajduje najmiłszy wypoczynek i najprawdziwsze szczęście.

„Co się tyczy dzieci, to ci miałam jeszcze powiedzięć, żem niedawno spostrzegła nowy dowód dobrego wpływu Złotowłosęj,“ rzekła pani Ludwika, przysuwając swe krzesło do sofy, na której mąż wypoczywał po całodziennęj pracy. „Andzia niełubiąc szycia, pracowała dziś parę godzin nad jakimś osobliwym

woreczkiem na sześć pomidorów, którymi chce obdarzyć swę boginię na odjeźdném. Skorom ją pochwalila za to, odrzekla żywo, jak zwykle:

„Dla innych lubię szyć, tylko dla siebie wydaje mi się to niedorzeczném.“

„Zapamiętałam te słowa, i dam jój szyć fartuszki i sukienki, dla dzieci jedną z naszych sąsiadek. Tak jest litościwa, że będzie pracować na zabój, a ja nie będę zmuszoną czynić z tego, ciężkiego zadania.

„Robótki ręczne nie są modnym talentem, moja droga.“

„Bardzo żałuję: ale moje dziewczęta będą musiały umieć ich jak najwięcej; nawet gdyby im przyszło wyrzec się przez to algiebry, lacy i półtuzina ologii, któremi dziś zaprzatają mózgi biędnym paniienkom. Amelka chce wykształcić Becię na salonową kobięte, a jednak już ma pokluty paluszek, i matka przechowuje różne robótki, które wyżej ceni, aniżeli tego glinianego ptaszka bez dzioba, chociaż Artur tak był dumny, gdy mu go ulepiła Złotowłosa.“

„Ja także podechwycilem dowód potęgi księżniczki,“ rzekł pan Bhaer, i przyglądając się żonie robiącej dziurkę do guzika, czuł wzgardę dla całego systematu modnej edukacji. „Wystaw sobie, że Jakubek do tego stopnia boi się należeć do jednego rzędu z Nadzianym i Antosiem, którzy budzą wstęet w Beci, że niedawno przyszedł do mnie z prośbą o wypalenie mu brodawki, kamieniem piekielnym. Nieraz chciałem to zrobić, ale daremnie; tymczasem dziś zniósł cierpliwie ból, i pocieszał się nadzieją lask wybrednej paniienki, gdy będzie jój mógł pokazać gładką rękę.“

Gdy się pani Bhaer śmiała serdecznie z tój historyi, wszedł Nadziany, pytając, czy może dać Beci cukierki, przesłane mu przez matkę.

„Ona nie jada słodczy; ale wiem, że się bardzo ucieszy, jeżeli jój darujesz tę różę z cukru, wraz z pudelkiem,“ powiedziała pani Ludwika, by nie zmarnować w „tłuściuchu“ tak rzadkiego wyrzeczenia się siebie.

„Czy jój tylko nie zję, bo nie chciałbym, żeby się przezemnie rozchorowała,“ powiedział, wpatrując się z lubością w różyczkę, — a jednak włożył ją do pudelka.

„Jak ja zakażę, to jój nawet nie dotknie. Umiałaby ją mieć kilka tygodni, i nie skosztować. — A ty, czy zdobyłbyś się na to?“

„Spodzielam się: wszakżem dużo starszy od nięj!“ zawołał z oburzeniem.

„Zróbmy próbę: wsyp cukierki do tego woreczka, i uważaj, jak długo będziesz je mógł przechować. Policzmy: dwa serduszka, cztery czerwone rybki, trzy koniki, dziewięć migdałów i dwanaście kulek czekoladowych. — Cóż, zgadzasz się na ten plan?“ zapytała figlarnie pani Ludwika, wkładając cukierki do woreczka.

„Dobrze,“ odparł Nadziany z westchnieniem, i schowawszy ten zakazany owoc, poszedł obdarzyć Becię, za co pozyskał uśmiech i pozwolenie, by jój towarzyszył do ogrodu.

„W biędnym Nadzianym serce bierze nareszeie górę nad żołądkiem; a względy Beci wynagrodzą go za te wysiłki,“ rzekła pani Ludwika.

„Szczęśliwy, kto może pokasę schować do kieszeni, i uczyć się wyrzeczenia się siebie, od tak miłuchnej mistrzyni,“ dodał pan Bhaer, gdy dzieci te przechodziły pod oknem. Nadziany miał na tłuściej twarzy wyraz spokojnego zadowolenia, a Złotowłosa przy-

glądała się laskawie cukrowej róży, chociaż byłaby wolała prawdziwy kwiatek, „ładnie pachnący“.

Gdy przyjechał po nią ojciec, powstał ogólny płacz, i spadł na nią tak rześisty deszcz pamiątek, że pan Laurence poprosił o duży wóz, żeby je przystawić do miasta. Były to dary bardzo trudne do upakowania, mianowicie: biała mysz, ciastka, żółwie skorupy, królik szamoczący się w worku, duża głowa kapusty dla tegoż, i olbrzymi bukiet. Pożegnanie było bardzo wzruszające: w przedsiönku na stole, siedziała księżniczka, otoczona poddanymi; ucałowała kuzynków, i podała rączkę innym chłopcom; a każdy uściśnięwszy ją ostrożnie, dodał jakie mile słówko, bo ich uczono niewstydzic się swoich wrażeń.

Nareszcie wyrwał ją ojciec z pomiędzy nich, i odjeżdżając, z uśmiechem przesyłała znaki rączkami, a chłopcy pouiadali na płocie, z przeraźliwymi okrzykami: „Przyjedź niezadługo, przyjedź!“ Wszyscy tęsknili, i każdy czuł niewyraźnie, że go ulepszyło poznanie istotki tak miłej, delikatnej i słodkiej, — bo mała Becia rozbudzała w nich tę szlachetną potrzebę, by jakiś przedmiot kochać, wielbić i z tklivém poszanowaniem, opieką osłaniać. Wielu mężczyzn pamięta, że jaka ładna dziecina, czarowną mocą niewinności, zdobyła sobie miejsce w ich sercach, i przechowała się w pamięci. Mali mężczyźni z Plumfield uczyli się właśnie odczuwać tę potęgę, i miłować jej dobry wpływ; uczyli się nie wstydzic, że nimi kieruje mała rączka, i że zawdzięczają swą zachość kobięcie, — chociaż dopiero w pączku była.

Rozdział czternasty.

Damon i Pytyas.

Pani Bhaer miała słusność: owa cisza była tylko chwilową, burza się zbliżała, — i we dwa dni po wyjeździe Beci, moralne trzęsienie ziemi poruszyło Plumfield, aż do głębi.

Powodem zamieszania były kury Tomka: bo gdyby nie znosiły tak wytrwale i dużo jajek, nie byłby ich mógł sprzedawać, i zbierać takich sum. Piędniadz, to przyczyna wszystkiego złego; ale tak jest potrzebnym, że się zarówno bez niego nie można obejść, jak na przykład bez kartofli. Tomek był jednak żywym dowodem, że są wyjątki, bo tak skwapliwie wydawał zarobek, że pan Bhaer założył mu kasę oszczędności we wspaniałej blaszanej budowli, z napisem nad drzwiami, o wysokim kominie do wpuszczania piędniędzy, gdzie miały brząkać kusząco, póki nie przyjdzie pozwolenie otwarcia pewnego spustu w podłodze.

Ów gmach tak szybko nabił wagi, że Tomek wkrótce rad był z pomysłu i obiecywał sobie kupić za ten kapitał niesłychane skarby. Utrzymywał rachunek składanych summ, i z warunkiem, że roztropnie spożytkuje piędniadze, wolno mu było wypróżnić bank, uzbierawszy pięć dolarów. Brakowało już tylko jednego; więc gdy pani Ludwika zapłaciła mu pewnego dnia za cztery tuziny jajek, tak był nradowany, że pobiegł do stodoły pokazać świetny zarobek Alfredowi, który także odkładał piędniadze na upragnione skrzypce.

„Chciałbym mieć te dollary; bo dodawszy je do moich trzech, byłoby dosyć na mój wymarzony sprawnunek,“ rzekł z zadumą.

Mali mężczyźni.

„Może ci pożyczę cokolwiek, bom jeszcze nie namyślił się, co zrobię ze swoim kapitałem,” powiedział Tomek, — to podrzucając swe skarby, to chwytając je w locie.

„Hej, chłopcy! Chodźcie nad strumyk, zobaczycie jakiego dużego i ładnego węża, złapał Dan!” zawołał głos z poza stodoły.

„Chodźmy,” odezwał się Tomek, i włożywszy pieniądze w starą wialnię, wybiegł, a za nim poszedł i Alfred.

Długi czas zajmował ich uwagę wąż, potem nastąpiła gonitwa za kulawą wroną i schwytywanie jej, — więc Tomek zupełnie zapomniał o pieniądzach, i dopiero gdy się położył spać, przyszły mu na pamięć.

„Mniejsza o to; wszakże prócz Alfreda nikt nie wie, gdzie są,” pomyślał, i wkrótce zasnął, spokojny o swe mienie.

Nazajutrz rano, gdy się chłopcy zebrali już w klasie, Tomek wpadł zdyszany między nich, pytając:

„Kto mi zabrał dollara?”

„Co ty pleciesz?” odezwał się Franz.

Wówczas Tomek opowiedział, co zaszło, a Alfred zaświadczył, iż widział te pieniądze.

Wszyscy skwapliwie zapewniali, że nie o tém nie wiedzą, i podejrzliwie zaczęli spoglądać na Alfreda, który coraz bardziej mięszał się i trwożył.

„Jednakże ktoś musiał je wziąć,” odezwał się Franz, gdy Tomek, grożąc pięścią całej gromadce, gniewnie zawołał:

„Niechno ja schwytam złodzieja, to mię popamięta!”

„Uspokój się, Tomku, znajdziemy go; Pan Bóg nigdy nie błogosławi złodziejom,” rzekł Dan, widocznie świadomy tych rzeczy.

„Może jaki włóczęga przenocował w stodole i zabrał je sobie?” powiedział Antoś.

„Nie; Silas na to nie pozwala. Zresztą, włóczęga nie zajrzałby do stariej wialni po pieniądze,” rzekł Emil wzgardliwie.

„Czy się tego nie dopuścił czasem Silas?” rzekł Jakubek.

„Co za myśl! To najuczciwszy w świecie człowiek! Nie ukradłby jednego penny,” odparł Tomek, broniąc od podejrzeń swego wielbiciela.

„Ktokolwiek dopuścił się tej kradzieży, niech się lepiej sam przyzna, zanim go wykryjemy,” rzekł Adaś z taką miną, jak gdyby spadło wielkie nieszczęście, na cały dom.

„Wiem, że macie na mnie podejrzenie,” powiedział Alfred, czerwieniąc się.

„Ty jeden wiedziałeś, gdzie są,” odparł Franz.

„Nie przeczę temu, ale ich nie wziąłem. Powiadam wam, że ich nie wziąłem! nie wziąłem!” wołał Alfred z rozpaczą.

„Ciszéj, ciszéj, mój synu! Co znaczy ta wrzawa?” zapytał pan Bhaer, który właśnie nadszedł.

Tomek opowiedział o swój stracie, a twarz profesora stawała się coraz surowszą, w miarę jak słuchał, gdyż mimo wszelkich przekroczeń i szaleństw, chłopcy byli dotąd uczciwi.

„Zasiądźcie,” rzekł, a gdy zajęli swe miejsca, smutno spojrzął na każdego z osobna, co było ciężéj znieść, niż nawalnięć słów, — i powiedział:

„Zapytam każdego, i będę żądał szczerzej odpowiedzi. Nie chcę wymóżyć prawdy postrachem, sztuką, ani wybiegiem, — bo każdy z was ma sumienie, i wiégo co tu chodzi. Teraz jest właściwa chwila, żeby wynagrodzić Tomkowi krzywdę, i usprawiedliwić

go w obec nas wszystkich. Łatwiej to wybaczę, jeżeli który uległ nagłej pokusie, niż gdyby chciał oszukać. Kto ukradł, niech nie pogorsza winy kłamstwem, i wyzna ją otwarcie; wówczas postaram się dopomóc mu, by odzyskał szacunek.“

Gdy zamilkł na chwilę, taka cisza zapanowała w pokoju, że byłoby można usłyszeć przelatującą muchę; potem zwolna i z naciskiem zadał każdemu jedno pytanie, odbierając tę samą odpowiedź, na rozmaite tony. Wszystkie twarze były rozczzerwienione i wzburzone: nie mógł zatem nie wnosić z rumieńców; a niektórzy z małych chłopczków, tak belkotali ze strachu, że chociaż to było widocznym niepodobieństwem, zupełnie wyglądali na winnych. Gdy przystąpił do Alfreda, głos mu złagodniał, bo ten biédak zdawał się tak zgnębiony, że budził współczucie. Pan Bhaer miał przekonanie, że on jest winowajcą, i chciał go łagodnością ocalić od powtórnego kłamstwa.

„Odpowiedz szczerze, mój synu: czyś ty wziął te pieniądze?“

„Nie, panie!“ odrzekł Alfred, patrząc nań błagalnie.

Gdy te słowa ze drżeniem wyszły z jego ust, ktoś się roześmiał.

„Cicho!“ zawołał profesor, mocno uderzając w stół, i surowo spojrzał w tę stronę, z kąd głos wyszedł.

Siedzieli tam Antoś, Emil i Jakubek; dwaj pierwsi zdawali się zmieszani, a Emil zawołał:

„To nie ja, wuju! Wstydzilibym się sztydzić z kogoś, gdy jest w nieszczęściu.“

„Dobrze mówisz,“ odezwał się Tomek, któremu bardzo było przykro, że jego nieszczęsny dollar narobił tyle kłopotu.

„Cicho!“ rozkazał pan Bhaer; a gdy umilkli, rzekł surowo:

„Bardzo mi boleśnie jest, Alfredzie, — ale dowody są przeciw tobie; i dawne twe kłamstwa do reszty odbierają zaufanie, jakiebyśmy mieli, gdybyś tak był prawdomównym, jak inni chłopcy. Ale uważaj, moje dziecko, — ja cię nie posądzam o tę kradzież, nie ukarzę cię za nią, póki nie będę zupełnie pewnym, i o nie więcéj już nie zapytam. Pozostawię tę sprawę twemu sumieniu: jeżeli jesteś winnym, przyjdź do mnie w jakiegokolwiek chwili dnia lub nocy, — przyznaj się, a ja ci wybaczę, i pomogę wynagrodzić krzywdę. Jeżeliś niewinny, prawda okaże się prędzej lub później; a wówczas ja pierwszy przeproszę za to, żem zwątpił o tobie, i z całego serca będę się starał oczyścić cię w oczach całego domu.“

„Ja tych pieniędzy nie wziąłem, nie wziąłem,“ powtarzał Alfred ze łkaniem, i głowę ukrył w rękach, niemogąc patrzeć na nieufne twarze kolegów.

„Mam nadzieję, że prawdę mówisz,“ rzekł pan Bhaer, i milczał potem chwilę, jak gdyby dla dania przestępcy, ktokolwiekby on był, — jeszcze jednéj sposobności uniewinnienia się. Ale nikt nie przemówił, i tylko było slychać szlochających maleców. Pan Bhaer potrząsnął wreszcie głową, i rzekł:

„Już mi nie więcéj nie pozostaje do uczynienia w téj mierze, i to jedno tylko dodam, że sam nie wspomnę nigdy o tém, co zaszło, i żądam od was, chłopcy, byście poszli za moim przykładem. Nie mogę się spodziewać, żebyście okazywali dawną przyjaźń temu, kogo podejrzewacie; ale pragnę, byście mu nie dokuczali, bo i tak będzie miał co cierpieć. — Teraz idźcie do lekcyi.“

„Ojciec Bhaer zbyt łatwo odpuścił Alfredowi,” mruknął Antos do Emila, gdy wyjmowali książki.

„Milcz!” zawołał tenże surowo, gdyż zdawało mu się, że ten wypadek hańbi jego rodzinę.

Wielu z pomiędzy chłopców zgadzało się w tym względzie z Antosiem; ale znalezienie się profesora było trafne, i Alfredowi byłoby lżej, gdyby natychmiast zrzucił był z serca ten ciężar, — bo nawet najcięższe plagi, niegdyś brane od ojca, łatwiej było mu znieść, niż to zimne obejście, jakiego doznawał. Biedny Alfred cierpiał cały tydzień powolną męczarnię, chociaż nie podniosła się nań ani jedna ręka, nie przemówiły prawie ani jedne usta. To było najgorsze ze wszystkiego; byłby wołał wymówki i prześladowanie, aniżeli tę milczącą nieufność. Nawet w pani Bhaer przebiegało to samo usposobienie, chociaż niewiele się dlań odmieniła. Jednakże najdotkliwiej bolał go smutny i niespokojny wyraz oczu profesora, — kochał go bowiem szczerze i wiedział, że tym podwójnym grzechem zawodzi jego nadzieje.

Jedna tylko Stokrotka nie straciła ufności i broniła go mężnie przeciwko wszystkim. Nieumiejąc wytłumaczyć dla czego mu wierzy, pomimo krzywdzących pozorów, nie mogła wątpić, i gorące współczucie dodawało jej mocy do stawiania w jego obronie. Nie było wolno nikomu źle się o nim odzywać w jej obecności, i nawet ukochanego Adasia uderzyła raz w twarz, gdy jej dowodził, że Alfred musiał wziąć te pieniądze, kiedy on jeden wiedział, gdzie się znajdują.

„Może je kury zjadły, bo takie są łakome,” odrzekła, a gdy się Alfred roześmiał, — uniesiona gniewem, dała policzek zdumionemu chłopcu; poczem rozplakała

się, powtarzając ciągle: „On nie ukradł! nie ukradł! nie ukradł!”

Wujostwo nie próbowało zachwiać jej wiary w przyjaciela; mieli tylko nadzieję, że jej niewinny instynkt okaże się może nieomylnym, i więcej jeszcze przywiązała ich tęp do siebie. Skoro to wszystko minęło, Alfred nieraz mówił, że gdyby nie Stokrotka, nigdyby nie zdołał tego przetrzymać. Podczas kiedy go inni unikali, ona się garnęła bardziej niż kiedykolwiek, stroniąc od jego prześladowców. Zamiast się czaić na wschodach, gdy szukał pociechy w starych skrzypcach, wchodziła do pokoju, i wsłuchiwała się z twarzączką tak ufną i kochającą, że Alfred zapominał chwilowo o strapieniu, i był szczęśliwym. Prosiła, by jej pomagał odrabiać lekcye, gotowała mu na swój kuchence przysmaki, które odważnie zjadał bez względu na ich dobroć, — bo wdzięczność stanowiła doskonałą przypawę. Widząc, że unika kolegów, chciała z nim grywać w krykieta, chociaż tego nie potrafiła; przynosiła mu bukiety ze swego ogródka, i wszelkimi sposobami starała się dowieść, że zamiast być zmienną chorągiewką, pozostanie wierną przyjaźni, pomimo złej sławy, na jaką biedak jest skazany chwilowo. Wkrótce i Andzia, idąc za jej przykładem, hamowała ostry języczek, i nie objawiała już wzdąrdliwą minką nieufności i niechęci, — co było bardzo wiele, ponieważ „Iskra” miała przekonanie, że Alfred wziął owe pieniądze.

Większa część chłopców nie zadawała się z nim; jeden tylko Dan, chociaż mówił, że pogardza tym tehrzorem, osłaniał go jakąś cierpką opieką; i każdy co się ośmielił dręczyć lub straszyć Alfreda, dostawał pięścią od Dana. Miał on tak wysokie wyobrażenie

o przyjaźni, jak Stokrotka, i wprowadzał je w czyn, na swój szorstki sposób.

Pewnego popołudnia, gdy siedząc nad strumykiem, śledził ruchy wodnych pajaków, doszedł go urywek rozmowy z drugiej strony muru. Antoś, który był niezmiernie ciekawy, cierpiał Tantalowe męki, nie mogąc na pewno dowiedzieć się, kto jest winowajcą. Alfred tak bowiem wytrwale zapięrał się winy, tak pokornie znosił oziębłość kolegów, że od niejakiego czasu, niektórzy zaczęli wątpić, żeby się dopuścił kradzieży. Ta niepewność dręczyła Antosia, i będąc sam na sam z Alfredem, już kilka razy pytaniami go zarzucał, mimo wyraźnego zakazu pana Bhaer. Zastawszy Alfreda czytającego po cienistej stronie muru, nie mógł się oprzeć pokusie, by dotknąć zakazanego owocu. Męczył biednego chłopca kilka minut, zanim Dan przyszedł, i pierwsze słowa, jakie usłyszał ten badacz pajaków, powiedziane cierpliwym, żalonym głosem Alfreda, były następujące:

„Daj mi pokój, Antosiu, daj mi pokój! Nie mogę ci odpowiedzieć na to, bo nic nie wiem, i brzydko jest z twojej strony dopytywać się pokryjomu, kiedy ojciec Bhaer zabronił mię dręczyć. Gdyby tu był Dan, nie miałbyś tyle odwagi.“

„Ja się wcale nie boję tego samochwała. Jestem pewien, że on ukradł te pieniądze, — i ty tak myślisz, ale go nie chcesz zdradzić; przyznaj się.“

„Bynajmniej; ale gdyby nawet tak było, stawałbym w jego obronie, bo zawsze okazywał się dobrym dla mnie,“ rzekł Alfred z takiem wzruszeniem, że Dan zapominając o pajakach, podniósł się, żeby mu podziękować; lecz powstrzymały go następne słowa Antosia:

„Ja wiem, że Dan ukradł te pieniądze i oddał je tobie. — Bardzo to być może, iż zanim tu przybył, utrzymywał się z kradzieży, bo oprócz ciebie, nie o nim nikt nie wie,“ rzekł Antoś, próbując w ten podstępny sposób wydobyć zeń prawdę.

Powiodło mu się to w części, gdyż Alfred wykrzyknął gniewnie:

„Jeżeli się raz jeszcze z tém odezwiesz, powiem ojcu Bhaer! Nie lubię siać plotek, ale gotów i na to, skoro Danowi nie dasz spokoju!“

„W takim razie będziesz nietylko złodziejem i kłamcą, ale w dodatku intrygantem,“ odezwał się Antoś szyderczo, bo widząc, jak Alfred cierpliwie znosi własne obelgi, nie przypuszczał, żeby się poskarżył dla obrony Dana.

Może miał jeszcze co powiedzieć; lecz zaledwie wyszły mu z ust te słowa, długie ramię schwyliło go z tyłu za kołnierz, i przerzuciwszy go przez mur, cisnęło z wielkim pluskiem na sam środek strumyka.

„Jak jeszcze raz to powtórzysz, zanurzę cię z głową!“ zawołał Dan, a wyglądał, jakby nowożytny kolos rodyjski, bo rozstawił nogi po obu stronach strumienia, spoglądając z góry na nieszczęsnego chłopca, skąpanego w wodzie.

„Ja tylko żartowałem.“

„Tyś sam podstępny intrygant, kiedy dręczysz ukradkiem Alfreda, pytaniami. Wrzucę cię do rzeki, jak cię raz jeszcze na tém schwytam. Wylaż, i precz ztąd!“ wykrzyknął Dan rozwścieczony.

Antoś uciekł, kapiąc cały, i niespodziana kąpiel musiała mu posłużyć, gdyż odtąd okazywał obu tym chłopcom wielkie uszanowanie i widocznie zostawił ciekawość w strumyku.

Gdy już znikł, Alfred przeskoczył przez mur, i zobaczył że Alfred leży smutny i zębkany.

„Już cię chyba nie będzie mordować, ale gdyby się jeszcze kiedy odważył, powiedz mi tylko, to się z nim rozprawię!“ rzekł Dan, usiłując odzyskać zimną krew.

„Niewiele dbam o to co o mnie samym mówi, bom się już oswoił z prześladowaniem; ale mię to gniewa że się ciebie czepia,“ rzekł Alfred ze smutkiem.

„Zkądże wiesz, czy on nie ma słuszności?“ zapytał Dan odwracając głowę.

„Jako, co do tych pieniędzy?“ zawołał zdumiony Alfred.

„Tak.“

„Nie uwierzyłbym temu! Ciebie nie obchodzi pieniądze, tylko chrapasz, i tym podobne rzeczy,“ odrzekł Alfred ze śmiechem.

„Jak ty pragniesz skrzypców, tak ja siatki na motyle, więc dla czego nie miałbym skraść téj sumki, zarówno jak ty?“ powiedział Dan, i odwróciwszy głowę, zawzięcie wiercił dziury w ziemi.

„To być nie może! Lubisz czasem uderzyć lub pchnąć, ale nigdy nie kłamiesz, i nie wierzę byś kradł,“ odezwał się znowu Alfred, stanowczo przecząc głową.

„Dopuszczałem się już jednego i drugiego. Dawniej kłamałem zapalczywie, — teraz już mi to ciężko wprawdzie przychodzi, — a znowu ucieklszy od pana Page wykradałem z ogrodów, co się tylko nadawało do zjedzenia; widzisz zatem, że niedobry ze mnie chłopiec,“ rzekł Dan swym szorstkim, urywanym tonem, od którego już się zaczął odzwyczajać w ostatnich czasach.

„Ach Danie, nie mów żeś to ty skradł, wołałbym usłyszeć taką rzecz o każdym innym z kolegów!“ za-

wołał Alfred z taką rozpaczą, że tamten obrócił się z jakimś dziwnym i radosnym wyrazem twarzy, ale rzekł tylko:

„Nie powiem ci nic więcej, lecz przestań się dreczyć; zobaczysz że wyjaśnimy tę rzecz.“

Gdy to mówił, coś takiego przebiegało w jego twarzy i całej postaci, że Alfredowi zabłysła nowa myśl, i złożywszy błagalnie ręce, powiedział:

„Zdaje mi się, że wiesz, kto się tego dopuścił; jeżeli tak jest, — prosz, żeby się przyznał; bo to zbyt bolesne, znosić niezastuzenie tę ogólną nienawiść. Nie wiem, czy mógłbym cierpieć to dłużej. Pomimo serdecznego przywiązania do Plumfield, uciekłbym nie zwlekając, gdybym miał jakie schronienie; alem ja nie taki odważny i nie taki duży jak ty, muszę więc pozostać, i czekać, żeby ktoś dowiedział, zem nie skłamał.“

Mówiąc to, Alfred zdawał się tak złamanym na duchu, że Dan nie mógł tego znieść, i mruknąwszy tylko:

„Niedługo będziesz czekał,“ odszedł spiesźnie; poczem, przez kilka godzin nie pokazał się nikomu.

„Co się dzieje z Danem?“ pytali chłopcy jeden drugiego, w następną niedzielę.

Dan często bywał posepny; ale tego dnia, chodził tak smutny i milczący, że niemożna zeń było nic wydobyć. Na przechadzce usuwał się na bok, i późno wrócił do domu. Zamiast wziąć udział w wieczornej rozmowie, usiadł w ciemnym kącie: tak zajęty myślami, że widać było, iż nie wie, co się dzieje w koło niego. Gdy mu pani Ludwika pokazała szczególnie pochlebne sprawozdanie w księdze sumienia, spojrzał bez uśmiechu, i rzekł posepnie:

„Czy pani sądzi, że robię postępy?“

„I wielkie, mój Danie! Takam z tego rada, bom

zawsze była przekonana, że byle tylko trochę pomocy, to wyjdiesz na chłopca, którym się poszczycić będzie można.“

Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem w swych czarnych oczach: była to mieszanina dumy, miłości i smutku. Wówczas nie mogła go zrozumieć pani Bhaer; lecz później, przypomniała to sobie.

„Bodajby się pani tylko nie zawiodła! W każdym razie, będę dokładał wszelkich starań,“ rzekł, zamykając księgę bez żadnych oznak zadowolenia, chociaż zazwyczaj lubił odczytywać i roztrząsać te świadectwa.

„Czyś ty nie słaby, mój drogi?“ zapytała pani Ludwika, kładąc mu rękę na ramieniu.

„Noga mię trochę boli; pójdę się nawet położyć. — Dobranoc matko,“ dodał, i przez chwilę trzymał jej rękę przy swym policzku, a potem odszedł z taką miną, jak gdyby to było pożegnanie.

„Biędny Dan, tak bardzo bierze do serca hańbę Alfreda! Dziwny zeń chłopiec; czy też go zrozumiem kiedy do gruntu?“ pomyślała pani Ludwika, rozważając z prawdziwem zadowoleniem jego postępy.

Alfred doznał i tej jeszcze przykrości, że Tomek przekonawszy się o swęj stracie, rzekł:

„Nie chciałbym cię zasmucać, ale ponieważ boję się o pieniądze, już nie możemy nadal być współnikami.“ Poczém zmazał napis: Tomasz i Spółka.

Pysniąc się z tego dodatku „Spółka,“ Alfred pilnie zbierał dotąd jajka, ściśle utrzymywał rachunki, i sporo pomnożył swe dochody.

„Ach Tomku! Czy to konieczne?“ rzekł więc, czując że jeżeli to nastąpi, straci na zawsze dobre imię, jako handlujący.

„Tak,“ odpowiedział Tomek stanowczo. „Emil mówi, że jak ktoś przywłaszczy sobie kapitał należący

do firmy, wówczas wspólnik wytacza mu proces, albo zamyka go w więzieniu, i zrywa z nim stosunki. Otóż, ponieważ przywłaszczyłeś sobie mój kapitał, nie wytoczę ci wprawdzie procesu, nie wsadzę cię do więzienia, ale muszę rozwiązać spółkę, bo ufać nie mogę, a bankrutować nie chcę.“

„Trudno cię zniewolić do ufności. Pieniędzy nie przyjąłbyś, chociażbym z całego serca oddał, wszystko co posiadam, byleby tylko nie być posądzanym o kradzież. Pozwól przynajmniej, żebym dalej zbierał jajka; zapłaty nie żądam, będę pracował darmo. Znam już wszystkie kryjówki, i zresztą, — lubię to zajęcie,“ rzekł Alfred błagalnie.

Ale Tomek odpowiedział krótko, z twardym i podejrzliwym wyrazem na wesołej, okrągłej twarzy: „Nie mogę na to przystać, i żałuję, że znasz wszystkie kryjówki. Pamiętaj nie zbierać jajek pokryjomu, i nie spekulować niemi.“

Biędny Alfred został tak żywo dotknięty, że się nie mógł uspokoić. Czuł, że nie tylko traci wspólnika, ale bankrutuje na honorze, i staje się wyrzutkiem swego społeczeństwa. Nie ufano już jego słowu, chociaż usiłował wynagradzać dawną kłamliwość. Napis został odrzucony, firma zniesiona, on zaś wyszedł na zrujnowanego człowieka. Szopa w której się chłopcy zbierali na narady, już była dlań zamkniętą; kury daremnie na niego gdakały, i biorąc niejako smutek jego do serca, znosiły mniej jajek, — a niektóre kokoszki chowały się do nowych gniazd, żeby ich Tomek nie mógł znaleźć.

One mi przynajmniej ufają, pomyślał Alfred, dowiedziawszy się o tém, i chociaż koledzy obrócili w śmieszność to spostrzeżenie, dla niego było to po-

ciechą: bo jak ludzie kogoś odstąpią, gotów on czerpać osłode, nawet w kury zaufaniu.

Jednakże nie przyjął Tomek nowego wspólnika, gdyż podejrzliwość zatrula spokój tej duszyczki, tak nigdyś ufnęj. Narzucił się Antos, ale odpowiedział mu, z zaszczytnym poczuciem sprawiedliwości:

„Może się okazać, iż Alfred nie wziął moich pieniędzy, więc będziemy znowu wspólnikami. Chociaż nie przypuszczam, żeby się tak stało, chcę mu dać sposobność usprawiedliwienia się, i zatrzymam jeszcze to miejsce, na pewien czas.“

Ze wszystkich chłopców, tylko jednemu Karolkowi mógł Tomek zaufać swój skład, gdyż wprawny był w zbieraniu jajek, przynosił je w całości, a w nagrodę poprzestawał na jabłku, lub ciasteczku. Nazajutrz rano po niedzieli tak smutno spędzonej przez Dana, — Karolek, pokazując owoce długich poszukiwań, rzekł do swego zwierzchnika:

„Mam tylko dwa.“

„Coraz gorzej idzie; jak żyję, nie widziałem tak niezdolnych kur,“ mruknął Tomek, pomyślając, że ich miał po sześć, w niektóre dni.

„Włóż je w mój kapelusz, i podaj kawałek nową krędy, gdyż muszę je zapisać, w każdym razie.“

Karolek, wszedłszy na półkorecówkę, zajrzał do dna wialni, gdzie Tomek kładł zazwyczaj materiały piśmienne.

„Jak tam dużo pieniędzy!“ rzekł biedny idyota.

„Co ty pleciesz! Albożbym zostawiał tam moje kasę, teraz?“ odparł Tomek.

„Widzę je, — jeden, cztery, dwa dollars,“ upierał się Karolek, nieznający jeszcze dobrze cyfr.

„Jakiż z ciebie głupiec!“ zawołał Tomek, i sam skoczył po krędy; ale o mało nie padł na ziemię,

ujrzawszy cztery błyszczące sztuki ułożone szeregiem, i karteczkę z napisem: „Dla Tomka.“

„Do pioruna!“ zawołał Tomek, i porwawszy je, wpadł do domu, krzycząc przeraźliwie: „Sprawa skończona! odzyskałem pieniądze! Gdzie Alfred?“

Wkrótce go odszukano, i tak się szczerze uradował i zadziwił, że prawie wszyscy uwierzyli jego ponowionym zapewnieniom, że nie wiedział, gdzie się podziały.

„Jakżeby mógł oddawać to, czegom nie wziął? Uwierzeć choć teraz, i wróćcie mi przyjaźń,“ odezwał się tak błagalnie, że Emil poklepując go po ramieniu, zapewnił, iż gotów to zaraz uczynić.

„Ja także, i serdecznie cieszę się, żeś się tego nie dopuścił; ale ktoś to zrobił, u licha?“ powiedział Tomek, uścisnąwszy go za rękę.

„Mniejsza o to, kiedy się pieniądze znalazły,“ rzekł Dan, wpatrując się w uradowaną twarz Alfreda.

„A to dobre! Przecieżbym nie chciał, żeby zniknęły i zjawiały się, jakby czarodziejską sztuką,“ rzekł Tomek, patrząc takim okiem na swój kapitał, jak gdyby podejrzewał, że jest zaczarowany.

„Prędzej czy później odkryjemy sprawę, chociaż tak był chytry, że dla niepoznaki wydrukował adres, zamiast go napisać,“ rzekł Franz przyglądając się kartce.

„To Adasia robota!“ powiedział Robcio, nierozumiejąc dobrze, co to za figiel.

„Nie wmówisz we mnie, że to on zrobił,“ odezwał się Tomek, i wszyscy się roześmieli na samą tę myśl, bo „mały dyakonik“ jak go tam nazywano, był wyższy nad wszelkie podejrzenia.

Alfred zmiarkował jak odmiennie mówiono o nim, a o Adasiu, i byłby chętnie poświęcił wszystko, co

miał, i czego mógł się spodziewać, żeby mu tak wierzone; przekonał się bowiem, że łatwo jest utracić ludzkie zaufanie, a bardzo trudno je odzyskać. Odkąd tyle ucierpiał za lekceważenie prawdy, stała się dlań szacowną rzeczą.

Pan Bhaer, mocno zadowolony że ta sprawa dała znak życia, oczekiwał dalszych wyjaśnień; nastąpiły one nadspodziewanie prędko: a to w sposób, który go wielce zadziwił i zasmucił. Oddano mu raz, w czasie wieczery, paczkę od sąsiadki, pani Bater; podczas kiedy czytał załączony do niej list, Adaś rozwinał ją, i zawołał:

„To książka, którą wuj Teodorek darował Danowi!”

„Tam do diabła!” odezwał się Dan; nie przestał bowiem jeszcze kląć, pomimo szczerych chęci odueczenia się tego.

Pan Bhaer usłyszawszy te słowa, podniósł głowę. Dan chciał mu spojrzeć w oczy, ale nie zdołał; przygryzł wargi, pochylił czoło, i rumienił się coraz bardziej, jak gdyby czegoś zawstydzony.

„Co to jest?” zapytała niespokojnie pani Bhaer.

„Bylbym wolał załatwić tę sprawę na osobności, ale kiedy mi Adaś wszedł na drogę, lepiej zżyć się od razu,” rzekł profesor, przybierając surową minę, jak zwykle, gdy miał wydać wyrok za jaki nie szlachetny, lub podstępny czyn.

„Pani Bater donosi mi, że jej Józio kupił tę książkę od Dana przeszłej soboty; miarkując, że jest daleko więcej warta, niż dollara, — sądzi, że zaszła jaka pomyłka, i dla tego mi ją odsyła. Czyś ją sprzedał, Danie?”

„Sprzedałem,” odrzekł tenże zeicha.

„Dla czego?”

„Potrzeba mi było pieniędzy.”

„Na co?”

„Żeby oddać należność.”

„Komu?”

„Tomkowi.”

„Nigdy w życiu nie pożyczał odemnie!” zawołał Tomek z przerażeniem, gdyż łatwo mu było odgadnąć co dalej nastąpi, a wielbiąc Dana, byłby już wolał czary.

„Może to on ukradł pieniądze?” wykrzyknął Antos, który miał żal do Dana za wyrządzoną mu kłopot, i wzięła go chętka, jako prostego śmiertelnika, odplacić mu się za to.

„Ach Danie!” zawołał Alfred i załamał ręce, nie pominając że trzyma chleb z masłem.

„Przykra to rzecz, ale ja muszę raz załatwić, bo niepodobna żebyście się nawzajem podejrzewali, i żeby cały zakład na tym cierpiał. Czyś ty położył tego dollara, dziś rano, w szopie?” zapytał pan Bhaer.

Dan patrząc mu prosto w oczy, odpowiedział pewnym głosem: „Ja!”

Powstał szmer w koło stołu, Tomek z łoskotem rzucił kubek, Stokrotka zawołała „Wiedziałam że Alfred tego nie zrobił!” Andzia rozplakała się, a pani Ludwika wyszła z pokoju, z twarzą tak strąpioną, smutną, zbolełą, — że Dan niemogąc znieść tego widoku, ukrył na chwilę twarz w rękach, potem podniósł głowę, wyprężył się, jak gdyby miał zarzucić jaki ciężar na plecy, — i rzekł dawnym, opryskliwym tonem:

„Jam to zrobił, ale choćbyś mnie pan niewiedzieć jak męczył, nie powiem ani słowa więcej.”

„Nawet tego że żalujesz swego postępku?” spytał profesor, zmieszany zmianą jaka w nim nastąpiła.

„Nie żaluję.”

Mali mężczyźni.

„Wybaczam mu, chociaż o to nie prosi, odezwał się Tomek, któremu ciężej było patrzeć na zhańbienie się odważnego Dana, niż lekkiego Alfreda.

„Nie chcę przebaczenia,“ odparł Dan mrukliwie.

„Może będziesz inaczej mówił, gdy się zastanowisz spokojnie. Teraz, nie powiem ci do jakiego stopnia jestem zadziwiony i zmartwiony, ale później rozmówimy się w twoim pokoiku.“

„Na nic się to nie zda,“ rzekł Dan wyzywająco; ale zmiękł zobaczywszy strapioną twarz pani Ludwika, i uważając swe słowa za pożegnalne, wyszedł z pokoju, jak gdyby już nie mógł tam dłużej wytrzymać.

Szkoda że nie pozostał dłużej, byłoby mu to ulgę sprawiło: chłopcy rozmawiali bowiem z tak szczerym żalem o tém zdarzeniu, objawiali takie politowanie i zdumienie, że byłby się wzruszył i zażądał przebaczenia. Nikt się nie ucieszył z odkrycia winowajcy nawet Alfred: gdyż mimo licznych wad, lubiony był Dań. za męskie przymioty, kryjące się pod szorstką powłoką. Pani Ludwika, jako główna jego opiekunka i kształcicielka, żywo to wzięła do serca, że ostatni i najbardziej obiecujący z jej wychowanków, tak się źle pokierował. Sama kradzież już była naganna, ale gorszem było to, iż pozwolił innemu cierpieć niewinnie podejrzenie, — a najgorszem, podrzucenie pieniędzy; to bowiem wskazywało nie tylko brak odwagi, ale skłonność do oszustwa. W dodatku, stanowczo nie chciał się ani wytłumaczyć, ani przyznać do żalu. Dni mijały, a Dan chodził na lekcye i do robót polnych: zły, milczący i zacięty. Jak gdyby nauczony losem Alfreda, nie żądał od nikogo współczucia, odpychał dobre chęci kolegów, a w chwilach wolnych od pracy, wałęsał się po lasach i polach, szukając

towarzyszy w drzewach i ptakach, które znał i miłował, jak mało które z dzieci.

„Jeżeli potrwa dłużej, boję się, by nie uciekł znowu, bo jest za młody na takie życie,“ rzekł pan Bhaer, zrażony daremnymi próbami.

„Niedawno jeszcze byłam pewna że go nie nie sprowadzi z dobrej drogi, ale teraz tak się zmienił, że na wszystko przygotowana,“ odpowiedziała biedna pani Ludwika. Ubolewała ona nad swym chłopcem, i nie mogła znaleźć w nim osłody, bo jej najwięcej unikał. Ile razy spróbowała pomówić sam na sam, spoglądał na nią jakoś gniewnie a błagalnie, jakby dziki zwierz w sidła schwytyany.

Alfred ścigał jak cień Dana, który unikając go mniej niż innych, zazwyczaj mówił tylko opryskliwie:

„Tyś już oczyszczony z zarzutów, o mnie zaś nie turbuj się, bo sobie łatwiej poradzę.“

„Przykro mi, żeś tak osamotniony,“ rzekł raz Alfred smutno.

„A mnie bynajmniej —“ odparł Dan, tłumiąc westchnienie, gdyż dolegała mu ta samotność.

Przechodząc pewnego dnia lasem, napotkał gromadkę swych kolegów, którzy dla zabawki, to się wspinali na drzewo, to się zeń zsuwali, po giętkich gałęziach. Dan stanął na chwilę, by się przyjrzyć tym figlom. Gdy przyszła kolej na Jakubka, wybrał, na nieszczęście, zbyt grubą drzewinę, bo skoro zaczął się zsuwać, nachyliła się tylko trochę, i został zawieszony bardzo wysoko.

„Wróć się, bo nie poradzisz sobie!“ zawołał Antoś z dołu.

Jakubek chciał go usłuchać, ale gałąź wymykała mu się z rąk, a nogami nie mógł uchwycić pnia: tak

się więc zmordował daremnym szamotaniem się, że nakoniec zawołał rozpaczliwie:

„Chwytajcie mnie! ratujcie, bo muszę upaść.“

„Ostróżnie! zabijesz się!“ wykrzyknął Antos z przerażeniem.

„Trzymaj się mocno!“ rzekł Dan, poczem wskoczył na drzewo, i wspinał się, póki nie dotarł do Jakubka, który patrzył weń, pełen obawy i nadziei.

Skacząc gorączkowo pod drzewem, wołał Antos: „Zejdźcie obaj razem!“ Alfred zaś wyciągał ręce, żeby ich podtrzymać w locie.

„Właśnie tego chcę,“ odparł Dan z zimną krwią, i gdy to mówił, drzewo się pochyliło o kilka stóp niżej, pod zwiększonym ciężarem.

Jakubek zeskoczył bezpiecznie; ale brzezina uwolniona od połowy ciężaru, tak nagle podniosła się w górę, że Dan spadł na ziemię.

„Nic mi nie będzie; za chwilę przyjdę do siebie,“ rzekł siadając z pobladłą nieco twarzą; a chłopcy otoczyli go przejęci podziwieniem i przestрахem.

„Pocziwy z ciebie chłopak, Danie, takim ci wdzięczny!“ serdecznie przemówił Jakubek.

„Niema za co,“ mruknął tenże, podnosząc się zwolna. I owszem, jest za co, i uścisnę ci rękę, chociaż jesteś,“ — tu, zamiast wymówić nieszczerne słowo, przygryzł sobie Antos język i wyciągnął rękę, z tém przekonaniem, że piękny czyn spełnia.

„Ale ja nie uścisnę ręki oszczercy,“ odrzekł Dan, i odwrócił się wzgardliwie. Antos przypomniałszy sobie zajście przy strumyku, umknął co tchu.

„Chodź do domu kolego, ja cię podniosę,“ powiedział Alfred, i odeszli razem; reszta zaś pozostała jeszcze, by rozprawić o zrzeczności Dana. Bardzo byli ciekawi czy „przystanie już do nich,“ i nie mogli

się odżalować, że owe pieniądze Tomka narobiły tyle frasunku.

Pan Bhaer przyszedł nazajutrz rano do szkoły, z tak uradowaną twarzą, że chłopcy zaciekawieni byli co mu się stało, i zaczęli przypuszczać że oszalał, skoro poszedł prosto do Dana, ujął go za obie ręce, i ściskając serdecznie, rzekł:

„Już wiem wszystko, i przepraszam cię. Ten postępek w pięknym świetle przedstawia twój charakter; ale pamiętaj, że nawet przez przyjaźń nie należy kłamać.“

„Co to znaczy?“ zawołał Alfred, bo Dan nie wyrzekł ani słowa, tylko podniósł głowę, jak gdyby do owęj chwili jakiś ciężar pochyłał ją ku ziemi.

„Dan nie wziął pieniędzy Tomka!“ powiedział pan Bhaer z radością.

„Więc któż je wziął?“ chórem zawołali chłopcy.

Profesor wskazał na jedno puste miejsce: wszystkie oczy poszły w ślad za jego palcem, ale się nikt nie odezwał, takie zdumienie ogarnęło całe grono.

„Jakubek oddał mi się ztąd dziś rano, i oto co zostawił,“ rzekł pan Bhaer; poczem wśród ogólnej ciszy, przeczytał kartkę którą wstawszy z łóżka, znalazł przywiązaną do klamki, u swych drzwi.

„To ja wziąłem Tomkowi dollara; bo zaglądając przez szczelinę, zobaczyłem gdzie chowa pieniądze. Miałem chęć przyznać się przedtę, ale mi się obawiał. O Alfreda nie tyle mi chodziło, ale z Dana taki pocziwy chłopak, że mi już nie mógł wytrzymać. Nie wydałem tych pieniędzy: są w moim pokoju, pod dywanem, za umywalnią. Żałuję, że to zrobił, i ponieważ nie przypuszczam żeby tu jeszcze wrócił, niech sobie Dan zabierze moje rzeczy.“

Jakubek.“

Ta spowiedź bardzo krótka, niewykwićtna, brzydko napisana i kreślona w wielu miejscach, stanowiła jednak ważny dokument dla Dana. Gdy pan Bhaer zamilkł, uradowany chłopak pobiegł ku niemu i rzekł przez łzy, z poszanowaniem, jakiego starano się go tam nauczyć:

Teraz przyznam, że żałuję winy i poproszę o przebaczenie.“

„To było złe kłamstwo, mój Danie, i muszę ci je darować; ale jak widzisz, nie wyszło na dobre,“ powiedział profesor opierając ręce na jego ramionach, z twarzą wyrażającą serdeczne zadowolenie.

„Dla tegom tak postąpił, żeby chłopcy przestali dręczyć Alfreda, bo jemu to bardziej dolegało, niżeli mnie,“ rzekł Dan, z widoczną przyjemnością korzystając z mowy, po tak zaciętym milczeniu.

„Czy podobna żebyś to zrobił! aleś ty był zawsze taki dobry dla mnie!“ rzekł drżącym głosem Alfred. Brała go wielka chęć rozplakać się i uściskać przyjaciela, lecz bał się oburzyć go, tak babskim objawem czułości.

„Wszystko się już wyjaśniło, więc nie szalęj, mój drogi,“ rzekł Dan przelikując łzy, i roześmiał się wesoło, po raz pierwszy od kilku tygodni. „Czy pani Bhaer wie o tym?“ zapytał po chwili.

„Ma się rozumieć, i taka jest uszczęśliwiona!“ odparł profesor. Dalszą mowę przerwali mu chłopcy, bo zaciekawieni i przejęci radością, otoczyli Dana; lecz zanim zdołał odpowiedzieć na ich liczne pytania, nowy głos wykrzyknął:

„Niech żyje Dan!“ i pani Ludwika ukazała się na progu, powiewając serwetą. Zdawało się, iż z radości gotowa tańczyć, jak to było jej zwyczajem w dzieciństwie.

Wszyscy, a na czele pan Bhaer, tak głośno wykrzyknęli „hurra!“, że się aż Azya załękła w kuchni, a przechodzący wówczas koło domu starszek, zaczął kręcić głową i rzekł: „Za moich młodych lat, inne były szkoły.“

„Dan trzymał się tego przez chwilę, ale go zwałała radość pani Ludwiki. Nagle, pobiegł przez sieni do bawialnego pokoju, gdzie ona także podążyła, i przez pół godziny nie pokazali się nikomu.“

Panu Bhaer było bardzo trudno uciszyć zgorączkowaną gromadkę; widząc zatem, że lekeye nie mogą dobrze pójść, zaczął opowiadać tę starą a piękną historię o dwóch przyjaciółach, wslawionych wiernością dla siebie. Chłopcy pilnie słuchali i opowieść ta wraziła im się w pamięć, gdyż serca ich były właśnie wzruszone, skromniejszą parą przyjaciół. Kłamstwo Dana było wprawdzie rzeczą naganną; ale przyjaźń powodująca nim, i męstwo z jakim znosił upokorzenia należące się innemu, podniosły go do godności bohatera. Uczciwość i honorabrały dla nich nowego znaczenia; dobre imię stało się im droższem od złota, gdyż poznali, że straciwszy je, niemożna odzyskać za pieniądze, i odtąd życie spływało im błogo, bo wszyscy nawzajem ufali sobie.

Tomek z chlubą przywrócił dawną firmę; Alfred poświęcał się całkiem Danowi; a inni chłopcy starali się wynagrodzić im obu dawniejsze podejrzenia i oziębłość. Pani Ludwika cieszyła się swą trzódką, profesor zaś niezmordowanie opowiadał o swym Damonie i Pytyasie.

Rozdział piętnasty.

Na wierzbie.

Stara ta drzewina słyszała owego lata dużo zwierzeń, i widziała wiele malowniczych obrazków; wszystkie dzieci polubiły bowiem to schronienie. Szczególnie dużo ich się schodziło pewnej soboty po południu, i jakiś ptaszek opowiedział nam, co się tam działo.

Najpierw przyszły Andzia i Stokrotka z balijkami i z mydłem, — bo od czasu do czasu w napadzie obojętności, prały w strumyku stroje lalek. Azya nie pozwalała krzątać się w kuchni, a do łazienki wzbroniono im przystępu, odkąd Andzia zapomniła przykręcić kurek od wody, skutkiem czego płynęła i płynęła, aż wreszcie, przez podłogę dostała się na niższe piętro. Stokrotka wzięła się z ładem do dzieła: uprała najpierw białe rzeczy, a potem kolorowe; wypłukała je starannie i za pomocą szpilek z wasztatu Antosia, rozwiesiła na sznurze przywiązany do dwóch krzaków berbersowych. — Andzia, wszystkie rzeczy razem włożyła do balijki, a potem zapomniła o nich, zajmawszy się zbieraniem cykoryi, by wypchać nią poduszeczki dla Semiramidy, królowej Babilonu, — tak bowiem nazywała jedną ze swych lalek. Zabrało to nieco czasu, i gdy „Iskra“ wydobyla nareszcie garderobę z wody, ciemnozielone plamy ukazały się na wszystkich: puściła bowiem podszewka u jakiegoś okrycia, z której kolor przeszedł na różowe i niebieskie sukienki, na koszulki i spódnice ze ślicznymi falbankami.

„Cóż to za szkoda!“ rzekła z westchnieniem Andzia.

„Połóż to wszystko na trawie żeby wybielało,“ powiedziała Stokrotka, z doświadczoną miną.

„Dobrze, położę; a tymczasem siedząc sobie w gniazdku, będziemy mogły pilnować, żeby wiatr czego nie porwał.“

Gdy nasze małe praczki rozłożyły na trawie stroje królowej Babyłońskiej i przewróciły balijki dla wysuszenia ich, wgramoliły się potem do gniazdku, gdzie zaczęły szczebiotać, jak zwykły robić panie, w przerwach między domowymi zajęciami.

„Mam zamiar zrobić piernat z mojej poduszki,“ rzekła pani Iskra, i zaczęła przesypywać cykoryę z kieszonki do chustki, skutkiem czego ubyło jej połowę.

„A ja bym nie chciała piernata. Ciocia Ludka mówi, że to niezdrowa rzecz, więc tylko na materacach pozwalam dzieciom sypiać,“ odparła stanowczo pani Smith.

„Moje są tak zdrowe, że często sypiają na gołej podłodze, i wcale im to nie szkodzi. — Nie mogę im sprawić materacy, a przytém lubię sama robić pościel.“

„Czy Tomek nie dostarczyłby ci piérzy?“

„Może i dostarczy, ale nie zapłacę za nie, bo on oto nie dba,“ odpowiedziała pani Iskra, chcąc skorzystać ze znaniej jego uczynności.

„Zdaje mi się, że ta różowa suknia spłowieje, zanim wyjdą z niej zielone plamy,“ zauważyła pani Smith, spoglądając z wysoka. — Chciała ona w ten sposób nakierować ku innemu przedmiotowi rozmowę: różniły się bowiem często w zdaniach, a była bardzo ostrożną osobką.

„Mniejsza o to; sprzykrzyły mi się lalki i pewno je porzucę, a zajmę się wiejskiem gospodarstwem. Wolę to, niż prowadzenie domu,“ rzekła pani Iskra, idąc w tém za przykładem wielu starszych pań, które jednak nie mogą tak swobodnie urządzać się, ze swą działością.

„Jak je porzucisz, gotowe pomrzeć bez matki!“ wykrzyknęła tkliwa pani Smith.

„Niech sobie umierają. Znudziło mi się pielegnować dzieci, i odtąd będę się tylko bawiła z chłopcami, bo się im na co przydam,” odparła znowu ta dama, aż nazbyt obojętnie.

Stokrotka nie wiedząc o prawach kobiety, spokojnie przywłaszczała sobie wszystkie, jakich zapragnęła. Nikt jęj tego nie bronił, bo się porywała na rzeczy, którym poddać mogła, i bezwiednie korzystała tylko z wrodzonego daru czynienia zdobywcy.

Andzia, niezrażona żadnem niepowodzeniem, rzucała się na wszystko, gniewnie upominając się o swobody dozwolane chłopcom. Oni śmieli się, odpędzali ją, łajali że się miesza do cudzych spraw, ale daremnie, miała bowiem silną wolę i skłonność do despotycznego reformatorstwa. Pani Bhaer czując pociąg do jęj natury, starała się jednak poskramiać szaloną żądzę nieograniczonej wolności; uczyła ją czekać, panować nad sobą, i przysposabiać się do umiejętnego korzystania z upragnionej swobody. W lepszych chwilach ulegała Andzia jęj wpływowi; nawet coraz rzadziej obiecywała sobie zostać kowalem lub ślusarzem, całą energię i ruchliwość zwracając ku wiejskiej gospodarce. Ale nie zadowalniało jęj i to zajęcie, bo choć otaczające przedmioty były uległe, łagodne, — lecz jako pozbawione mowy, nie mogły dziękować za opiekę: ona zaś koniecznie potrzebowała kochać i otaczać staraniami. Najszczęśliwszą była, skoro malec który przyszedł do nięj po radę, ze skaleczonym palcem, lub z guzem na czole. — Zauważywszy to, pani Ludwika powzięła myśl, żeby ją dozorczyni nauczyła bandażować, przykładając plastry i smarować maściami. Chłopcy zaczęli ją nazywać „doktorem Iskrą” a to wszystko sprawiało jęj taką przyjemność, że pewnego dnia rzekła pani Bhaer do męża:

„Jużem zmiarkowała, jaki mamy obowiązek względem tęj dziewczynki: ona potrzebuje przejąć się czémś żywo, i jeżeli nie zdobędzie nic takiego, stanie się kobietą suchą, szorstką, niezadowoloną z życia. Zamiast przytłumiać ruchliwą naturę, starajmy się zapewnić jęj odpowiednią pracę, a później naklonimy ojca, by ją pozwolił uczyć medycyny. Będzie doskonałą lekarką, bo ma odwagę, nerwy silne, serce tklive, i litość dla wszelkich cierpień. Pan Bhaer uśmiechał się z początku, ale przystał na wyprobowanie jęj zdolności. Dał w ogrodzie zagon na zioła lecznicze, uczył ich własności, i pozwalał je zażywać dzieciom w lekkich przypadłościach. Andzia tak dobrze pojmowała i pamiętała wszystko, tak była oddana temu zajęciu, że zachęcony profesor, nie zamykał przed nią drzwi, chociaż była tylko małą kobietką.

Siedząc owego dnia na wierzbie, rozmyślała właśnie o tém wszystkiém, a gdy Stokrotka rzekła ze zwykłym spokojem:

„Ja lubię rządzić domem, i chciałabym mieć, ładniutkie gospodarstwo dla Adasia, jak dorośnięm i będziemy razem mieszkać.“

Andzia odparła stanowczym tonem:

„A ja nie mam brata, więc nie będę potrzebowała trudnić się domem. Wolę mieć aptekę pełną flaszek, szufladek, moździerzy i tłuczków; objeżdżać okolice kabrioletem, i leczyć chorych. Jakie to będzie zabawne!“

„Fe! jak ty możesz znosić szkaradną woń tych rozmaitych proszków, olejku rycinowego, senesu, i syropów na miodzie!“ zawołała Stokrotka, otrząsając się.

„Nie myślę ich używać sama, więc mi to będzie obojętne. Zresztą, wszystkie te rzeczy pomagają lu-

dziom, a ja lubię uzdrawiać. Alboż moja szalwja nie odjęła bólu głowy, matce Bhaer? Czy Antoś nie przestał cierpieć na zęby, w pięć minut, od mojego chmielu, — a co?”

„Może będziesz także przystawiać pijawki, obcinać nogi i wrywać zęby?” zapytała Stokrotka, drżąc na samą myśl o tém.

„Ma się rozumieć, wszystko będę robiła; dla mnie to nie jest przykre. Ludzie będą się kaleczyli, a ja ich goić będę. Mój dziadunio był lekarzem, i widziałam, jak komuś zaszywał ogromną ranę na twarzy, a ja trzymałam gąbkę i nie bałam się wcale. Dziadunio też powiedział, że ze mnie zuch dziewczyna.”

„Jak ty mogłaś patrzeć! Mnie także żal słabych osób, i lubię je doglądać, ale tak drżą podemną nóżki, że rada nie rada muszę uciec. Ja wcale nie jestem zuchem!” rzekła Stokrotka z westchnieniem.

„Będziesz mogła być podręczną dozorecznią i pielęgnować moich chorych, jak im przepiszę lekarstwo po obcięciu nóg,” powiedziała Andzia, mająca widoczny popęd do gwałtownych środków.

„Andziu, gdzie ty jesteś?” zawołano z dołu.

„Tutaj!”

„Oj! oj!” odezwał się znowu ten sam głos, i zobaczyły Emila, z twarzą wykrzywioną bólem.

„Przekłeta drzazga wlała mi w palec, i nie mogę jej wydobyć. Może ty spróbujesz, Andziu?”

„Bardzo głęboko utkwiała, a nie mam igły,” rzekła, z ciekawością oglądając zraniony palec.

„Weź szpilkę,” odezwał się nagle Emil.

„Niemożna, bo jest za gruba i nie ma ostrego końca.

Słyszając to, Stokrotka wyjęła z kieszeni ładny igielnik z czterema igłami.

„Ty zawsze masz pod ręką wszystko, czego się potrzebuje,” rzekł Emil; a lekarka jego postanowiła nosić odtąd przy sobie igielnik, gdyż podobne wypadki często się zdarzały w jej praktyce.

Stokrotka zakryła sobie oczy, Andzia zaś klula pewną rączką, idąc za wskazówkami Emila.

„Wyssiej palec,” rzekła Andzia, przyglądając się doświadczoném okiem, po dokonanej operacji.

„Za brudny!” odrzekł pacyent, otrząsając zakrwawioną rękę.

„Czekaj, obwiążę ci go, jeżeli masz chustkę.”

„Nie mam; weź którą z tych szmat, co tam leżą.”

„Ależ to suknie mojej lalki!” zawołała Stokrotka z oburzeniem.

„Weź którą z moich, będzie mi bardzo przyjemnie,” rzekła Andzia, i Emil nachylił się po pierwszą z brzegu. Przypadek zdarzył, że była to właśnie ładna sukienka z falbankami; ale Andzia podarła ją bez skrzywienia, i skoro królewska szata została obróconą na bandażę, odprawiła pacyenta, mówiąc:

„Utrzymuj szmatkę w wilgoci i nie odejmuj jej, to ci się rana zagoi, i nie będziesz cierpiał.”

„Ile żądasz za to?” spytał Emil ze śmiechem.

„Ubogich leczę gratis, darmo, bez opłaty!” odparła, strojąc poważną minę.

„Dziękuję ci, doktorze Iskro; zawsze będę przechodził do ciebie, gdy mi się co stanie,” powiedział Emil, odchodząc.

Panienki szybko zebrały uprane szmatki i położyły do domu, by rozpalić ogień na kuchence i wziąć się do prasowania.

Lekki wietrzyk poruszył starą wierzbą, jak gdyby śmiała się po cichu z dziecinnego szczebiotania, które ponowiło się wkrótce, między drugą parą ptasząt:

„Powiem ci teraz owę tajemnicę,” rzekł Tomek, widocznie przejęty ważnością swęj nowiny.

„Mówże,” odparł Alfred, który żałował, że nie przyniósł ze sobą skrzypcey, taki tam znalazł chlód i spokój.

„Na ostatniem zebraniu w klubie, uczynilem wniosek, żeby Danowi wynagrodzić nasze podejrzenia, jaką piękną pamiątką. Zgadnij, cośmy obmyśli?”

„Siatkę na motyle; on tak dawno pragnie tego,” rzekł Alfred, trochę niezadowolony, gdyż chciał mu ją sam darować.

„Nie, mój panie; oto prawdziwie powiększający mikroskop, żeby za jego pomocą widział te rozmaite żyjątka w wodzie, gwiazdy, jajeczka mrówcze, i tym podobne rzeczy. Nie ładnyż to będzie podarek?” rzekł Tomek, mieszając mikroskop z teleskopem.

„Toś mnie ucieszył! Ale czy taka rzecz nie będzie za droga?” zawołał Alfred, przejęty radością, że jego przyjaciel zaczyna być cenionym.

„Wszyscy się złożymy; ja ofiarowałem moje pięć dolarów, bo jeżeli mamy co dać, to niechże już będzie ładne.

„Jakto, wszystko daleś? Jak żyję, nie widziałem tak szczodrego chłopca!” zawołał Alfred, spoglądając nań ze szczerem uwielbieniem.

„Tak mi się daly pieniądze we znaki, że ich więcej nie chcę zbierać, tylko zaraz będę wydawał. W ten sposób nikt mi ich nie pozazdrości, nikomu nie przyjdzie ochota kraść, a ja nie będę potrzebował podejrzawać kogo i kłopotać się o moję kasę,” odparł Tomek, któremu ciążyły troski i niepokoje, właściwe miljonerom.

„Czy tylko pan Bhaer zezwoli na to?”

„Powiedział, że to wyborny pomysł, i że znał wielu zacnych ludzi, którzy woleli dopomagać potrzebującym, niż gromadzić pieniądze, aby je ktoś zmarnował po ich śmierci.

„Wszakże twój ojciec jest bogaty; czy także w ten sposób postępuje?”

„Nie jestem tego pewny; tyle tylko wiem, że mi daje wszystko, czego mi trzeba. Ale za pierwszą bytnością w domu, przedstawię mu tę rzecz, bo przecież muszę dać dobry przykład,” rzekł Tomek tak seryo, że chociaż Alfreda brała ochota do śmiechu, odezwał się z powagą:

„Ty będziesz umiał robić użytek z pieniędzy, — nieprawda?”

„Tak powiada pan Bhaer, i obiecuje mi nauczyć tęj sztuki. Zacznę od Dana, a jak będę miał znowu dollara, to się czém przysłużę Dickowi, bo dostaje tylko centa na tydzień, a taki dobry z niego chłopczyzna! Ma się rozumieć, że nie może dużo oszczędzać, więc chciałbym się nim trochę zająć,” powiedział poezciwy Tomek, niecierpliwie wyglądając chwili, kiedy będzie mógł wziąć się do tego.

„To bardzo piękny pomysł, i zamiast zbierać pieniądze na skrzypce, sam ofiaruję Danowi siatkę; a jeżeli mi coś jeszcze pozostanie, to sprawię Karolkowi jaką przyjemność. On taki do mnie przywiązany, i chociaż nie jest ubogi, lubi dostać jaką fraszkę, bo ja z wszystkich najlepiej wiem, czego mu trzeba,” rzekł Alfred i zamyslił się nad tém, ile szczęścia będzie mógł dać, za swe trzy dollary.

„Jabym tak samo zrobił. Ale chodźno teraz zapytać się pana Bhaer, czy ci pozwoli pojechać ze mną do miasta, w poniedziałek. Tybyś kupił siatkę, a ja wyszukałbym mikroskop. Franz i Emil wybierają

się także, więc się doskonale zabawimy, koczując po sklepach.“

Poszli pod rękę, rozprawiając o nowych zamiarach, z zabawną powagą i z przedsmakiem słodkiej uciechy, jakiej się doznaje, dopomagając biedniejszym od siebie.

„Wgramolmy się do gniazda i wypoczniemy gatkując liście, bo się tam zdaje tak chłodno i miło,“ rzekł Adaś, gdy wraz z Danem wrócili z dalekiej przechadzki do lasu.

„Dobrze,“ odpowiedział Dan zwięźle, jak zazwyczaj.

„Dla czego brzoza traci prędzej liście, niż inne drzewa?“ spytał ciekawie Adaś, — ufny, że mu Dan zawsze odpowie.

„W odmienny sposób są uwieszone. Czy nie widzisz, że lodyga inaczej trzyma się liścia, a inaczej gałązki? Stądto porusza się, za najmniejszym powiewem wiatru. U wiąz, liść nie jest tak ruchliwy, bo wisi prosto.“

„Jakie to zajmujące! Czy i z tém dzieje się tak samo?“ zapytał Adaś, trzymając gałązkę akacyi, które odlamał od drzewka, rosnącego na łące.

„Nie; liście od akacyi należą do rodzaju zamykających się, za dotknięciem. Połóż palec w środku lodygi, to zobaczysz, czy się nie zwiną,“ rzekł Dan, przyglądając się kawalkowi miki.

Adaś zaraz zrobił próbę, i listki tak się zwinęły, że gałązka zdawała się ich mieć jeden rząd, nie dwa.

„Jak mnie to zaciekawia! Powiedz mi co jeszcze o innych liściach, na przykład o tych,“ rzekł Adaś, i podał nową gałązkę.

„Tymi żywią się jedwabniki, które żyją na liściach morwowych, póki nie zaczną same prząść. Zwiedzałem

raz fabrykę jedwabnych materyi, i były tam sale pełne pólek, pokrytych liśćmi i robaczkami, które zjadały je tak szybko, że aż słychać było szelest. Czasami nawet zdychają z przejedzenia: powiedz to Nadziannemu,“ rzekł Dan, śmiejąc się, i wziął do ręki kamyk obrośnięty mchem.

„Ja wiem to tylko o liściach morwowych, że czarodziejki używały ich zamiast kolder,“ rzekł Adaś, który się jeszcze nie pozbył zupełnie wiary w istnienie leśnych bogiń.

„Gdybym miał mikroskop, pokazałbym ci daleko piękniejsze przedmioty od czarodziejskich istot,“ powiedział Dan, zamyślając się nad tém, czy kiedy posiędzie ten upragniony skarb.

„Znałem jedną staruszkę, która zamiast czepka nocnego, używała liści morwowych od newralgii w twarzy; zszywała je, i nosiła bez ustanku.“

„Jakie to zabawne! Czy ona była twoją babką?“

„Nie; ja nie znałem babki — To była jakaś dziwna staruszka; mieszkała sama jedna w bardzo starej chatce, wraz z dziewiętnastu kotami. Ludzie ją nazywali czarownicą; ale to był fałsz, chociaż pozory miała straszne. Dla mnie okazywała się szczególnie dobrą, gdym w sąsiedztwie mieszkał. Nieraz pozwalała grzać się przy ogniu, wiedząc, jak się ze mną źle obchodzą w domu ubogich.“

„Czyś ty był w domu ubogich?“

„Jakiś czas tylko; ale dajmy pokój; nie miałem zamiaru wspominać o tém,“ rzekł Dan, powstrzymując się w niezwykłym przystępie otwartości.

„Opowiedz mi co o tych kotach,“ odezwał się Adaś, żeby przerwać tę rozmowę; zmierzał bowiem z przykrością, iż pytanie było drażliwe.

Mali mężczyźni.

„Chyba ci to powiem, że hodowała ich mnóstwo, i na noc pakowała wszystkie do beczki, z kądem nieraz wypuszczałam; rozbiegały się wówczas po całym domku, ona zaś zła, jak furja, goniła je, by zamknąć napowrót.“

„Czy dobra była dla nich?“ zapytał Adaś, śmiejąc się serdecznie.

„I jak jeszcze! Skoro się tylko znalazło w mieście chore lub opuszczone stworzenie, zaraz brała je do siebie; a jak ktoś potrzebował kota, to szedł do niej, wybierał najładniejszego, i płacił tylko 9 pensów*); ona zaś była uradowana, że biedactwo znalazło pomieszczenie.“

„Chciałbym zobaczyć tę panią.“

„Już nie żyje; wszyscy moi pomarli,“ krótko odparł Dan.

„Bardzo żałuję!“ rzekł Adaś, i przez chwilę milczał, zastanawiając się, w jaki sposób przedłużyć tę rozmowę. Czuł, że to rzecz drażliwa, badać o staruszkę, ale pragnął usłyszeć coś jeszcze o kotach, więc zapytał ostrożnie:

„Czy ona umiała wyleczyć chorego kota?“

„Czasami; gdy jeden na przykład złamał nóżkę, przywiązała ją do deseczki, i wyzdrowiał; ale niektóre zdychały i grzebała je; te zaś, co nie mogły wyzdrowieć, miała zwyczaj zabijać.“

„W jaki sposób?“ zapytał Adaś, z uśmiechu Dana miarkując, że owa jejmość używała szczególnych sztuk, i że do jej kotów muszą być przywiązane wesołe wspomnienia.

„Jedna dobra pani, lubiąca koty, przysyłała jej swoje, i nauczyła zabijać je eterem. Staruszka kładła

*) Pięć złotych.

w stary but, gąbkę zwilżoną w tym płynie i wpuszczała weń kota, lebką na dół. Usypiał natychmiast, odrzuty zapachem, i zanim się ocucił biedak, topiła go w gorącej wodzie.“

„Mam nadzieję, że wtenczas nie nie czuła. — Trzeba to opowiedzieć Stokrotec. — Tyś dużo ciekawych rzeczy już widział, nieprawda?“ rzekł Adaś, i zamyslił się o doświadczeniu tego chłopca, który kilkakrotnie uciekał w świat, i sam jeden radził sobie w wielkiem mieście.

„Czasami tego żałuję.“

„Czemu? Alboż to nie miło przypomnieć sobie przeszłość?“

„Nie.“

„Dziwna rzecz, jak ciebie nie nie zadawałnia,“ powiedział Adaś, i objąwszy rękoma kolana, z zadumą patrzył w niebo.

„Prawda, że mi jest djabie trudno dogodzić, — to jest — nie chciałem się tak wyrazić —,“ rzekł Dan, i przygryzł sobie usta, bo to niebaczne słówko wymknęło mu się mimowoli, a chciał być jeszcze ostrożniejszym z Adasiem, aniżeli z innymi kolegami.

„Niech ci się zdaje, że nie słyszał; zresztą, jestem pewien, że już się tak nigdy nie odezwiesz,“ powiedział Adaś.

„Jeżeli zdołam się powstrzymać. Jestto jeden z przykrych zabytków przeszłości. Staram się otrząsnąć z niego, ale daremnie,“ rzekł Dan z widocznym zniechęceniem.

„Owszem, daleko rzadziej teraz używasz brzydkich wyrazów, i ciocia Ludka bardzo rada z tego, bo cię trudno było odzwyczaić, jak mówi.“

„Doprawdy? cieszę się!“ zawołał Dan weseląc.

„Włóż ten nałóg do szuflady z grzechami, i zamknij go na klucz. Ja sobie zawsze tak radzę.“

„Co to znaczy?“ zapytał Dan, w którym Adaś budził taką ciekawość, jakby jaki nowy gatunek chraślącza.

„To jest zabawka, której się lubię oddawać pokryjomu. Jeżeli mię nie wyśmiejesz, to ci ją opiszę,“ powiedział Adaś, rad, że może dalej mówić w tym przedmiocie, zarówno ich obu zajmującym. „Oto wyobrażam sobie, że mój mózg jest okrągłym pokojem, a dusza skrzydlatą istotką, która w nim mieszka. Ściany są pełne pólek i szuflad, w których trzymam myśli, złość, dobroć i tym podobne rzeczy. Dobre skłonności chowam w widocznych miejscach, a złe zamykam szczelnie; ale się wydobywają, i tak są silne, że niemają się utrudzić, szamocąc się z niemi. Gdy jestem sam jeden, albo leżę w łóżku, w ten czas odbywają się te utarczki, i kieruję myślami według woli. Co niedzielę porządkuję mój pokój, rozmawiam z jego mieszkanką i uczę, jak ma postępować. Czasami bywa bardzo krnąbrną, nie chce słuchać, więc ją łaję i prowadzę do dziadunia, który zawsze przywodzi ją do porządku i rozbudza w niej skruchę. — Dziadunio lubi tę zabawkę, daje mi zalety do chowania w szufladkach, i wskazuje, jak zamykać złe skłonności. Czy chciałbyś spróbować tego sposobu? Bardzo jest pożyteczny,“ rzekł Adaś z takim przejęciem, z taką wiarą, że Dan zamiast roześmiać się z tego pomysłu, powiedział poważnym tonem:

„Niema dosyć mocnej klódki do zamknięcia moich złych skłonności, i mój pokój jest tak zaniedbany, że nie zdołałbym doprowadzić go do porządku.“

„Kiedy ładnie utrzymujesz szuflady w szafie, czemu nie czynisz tak samo i z tamtymi?“

„Nieprzyzwyczajonym do tego, — ale może mię nauczysz?“ rzekł Dan, widocznie gotów chwycić się nawet dzieciennego środka Adasia, byleby oczyścić duszę.

„Sam lubię to robić, ale nauczyć nie umiem; chyba bym powtarzał, co mi dziadunio mówi. Wprawdzie nie potrafię tak pięknie przemawiać, jak on, ale spróbuję.“

„Nie wspominaj o tém nikomu: tylko od czasu do czasu, przychodź tu na podobną rozmowę, a ja ci się znów odpłacę opowiadaniem o moich rzeczach, — dobrze?“ zapytał Dan, wyciągając wielką i twardą rękę, — Adaś podał mu swę małą i miękką rączkę, i układ został zawarty.

„Cicho!“ odezwał się Dan, wskazując na dom, gdy Adaś zabierał się do wykładu o najlepszym sposobie pokonywania złych skłonności. — Wychyliwszy głowy, spostrzegli, że pani Ludwika nadchodzi czytając, a Teodrek ciągnie za nią wózek.

„Czekajmy, aż przejdą, żeby nas nie zobaczyli,“ szepnął Adaś, i cicho siedzieli, gdy się ta para zbliżyła. Pani Bhaer zajęta książką, byłaby niezawodnie wpadła w strumyk, ale ją powstrzymał Teodrek, mówiąc:

„Mamo, chciałbym łowić lybti.“

Zamknawszy ciekawe dzieło, którego nie mogła doczytać od tygodnia, zaczęła się rozglądać za długą tyką, miała bowiem zwyczaj robić zabawki z łada czego; ale zanim ją ułamała, delikatna gałązka wierzby padła jej pod nogi, i podniosszy oczy, zobaczyła chłopców, śmiejących się w guiazdku.

„Teodolet tam pójdzie!“ zawołał chłopczyzna, wyciągając rączki i trzepocąc sukienką, jakby skrzydłkami.

„Muszę teraz pójść do Stokrotki, więc możesz tu usiąść na mojem miejscu,” rzekł Adaś, i pobiegł jej opowiedzieć zajmującą historję o dziewiętnastu kotach.

Teoderek przy pomocy matki dostał się do gniazda, a Dan robiąc dlań wędkę, odezwał się z wysoka:

„Teraz może pani swobodnie czytać, a ja będę czuwał nad malcem.”

„Minęła mi już ochota. — Coście tu robili z Adasiem?” zapytała pani Ludwika, miarkując po Danie, że mu coś dało do myślenia.

„Rozmawialiśmy; ja mu opowiadałem o roślinach i tym podobnych rzeczach, on znowu o pewnych ćwiczeniach swoich. — Masz wędkę, Teodorku, możesz łowić, bom osadził na nią robaczka.”

Chłopaczek wychylił się za drzewo, pilnie upatrując rybek, gdyż był pewny, że się zjawią. Dan trzymał go za sukienkę, żeby nie spadł na ziemię, a pani Bhaer stojąc w pobliżu, wszechła z nim rozmowę.

„Takam rada, żeś mówił z Adasiem; właśnie tego mu trzeba, i chciałabym, żebyś go uczył i brał z sobą na przechadzki, dla objaśniania o otaczających go przedmiotach.”

„Jabym to lubił, bo jest bardzo bystry, ale...”

„Ale co?”

„Zdaje mi się, że nie zaufałyby mi go pani.”

„Dla czego?”

„Adaś taki miły, dobry, — a jam takie ladaco, więc bałem się, czyby go pani nie wolała trzymać z dala odemnie.

„Ależ ty nie jesteś ladaco, i ufam ci, mój Danie; zupełnie ci ufam, bo się szczerze starasz poprawić, i z każdym tygodniem stajesz się lepszy.”

„Doprawdy?” wykrzyknął Dan, i wyraz zniechęcenia znikł z jego twarzy.

„Albo nie czujesz tego?”

„Tak mi się zdawało, alem nie był pewien.”

„Przyglądałam się dotąd w cichości, czy wyjdiesz zwycięsko z próby, chcąc cię wynagrodzić, w takim razie, sownie; ponieważ widzę teraz, żeś wart zaufania, będę ci powierzała nie tylko Adasia, ale i własnego syna, bo ich możesz lepiej uczyć niektórych rzeczy, niż my wszyscy.”

„Doprawdy?” wykrzyknął Dan ze zdumieniem.

„Adaś tak dużo obcował przedtem ze starszemi osobami, że przez to brak mu odwagi i reżkości. Ty mu się wydajesz najdzielniejszym i najzaradniejszym w świecie chłopcem; prócz tego obeznany będąc z przyrodą, możesz mu opowiadać ciekawe rzeczy o ptakach, pszczołach, roślinach, zwierzętach, jakich nie znajdzie w książkach z powiastkami; a twoje opowieści, jako prawdziwe, będą bardzo nauczające i pożyteczne. Rozumiesz teraz w jaki sposób możesz być mu pomocnym, i dla czego lubię, żeby z tobą przestawał?”

„Kiedy ja klęę czasami, i gotówem mimowoli powiedzieć co szkodliwego; oto i przed chwilą zawolałem tam do diabła!” rzekł Dan, który chcąc wiernie spełnić przyjęty obowiązek, uprzedzał ją o swych przywarach.

„Jestem przekonana, że będziesz unikał wszystkiego, coby go krzywdzić mogło; i sądzę, że w tym względzie on ci się znowu bardzo przyda przez swe poważne, niewinne usposobienie i dobre zasady, których ci właśnie brakuje. Nigdy nie jest za wczesnie, żeby je zaszczipać w dziecku, ani też za późno, żeby je uprawiać w człowieku dorosłym, a zaniedbanym. Jesteście jeszcze dziećmi i możecie siebie

wzajemnie nauczać. Adaś sam niewiedząc o tém, będzie rozbudzał w tobie poczucie moralności; ty wyrobisz w nim zdrowy rozsądek; a ja będę miała tę pociechę, żem wam obu dopomogła.“

Trudnoby opisać, jak się Dan ucieszył i wzruszył tą ufnością i pochwałą. Nikt mu dotąd nie wierzył, nikt nie dbał o to, żeby w nim wynajdywać i podniecać dobre skłonności; nikt nie podejrzewał, ile dobrego ukrywa się w piersi tego zaniedbanego chłopca, który chociaż się chylił szybko do upadku, umiał jednak czuć i cenić życzliwość i pomoc ludzką. Żaden zaszczyt w późniejszym wieku nie byłby dlań o połowę tak szacownym, jak prawo nauczania swych nie licznych enót i szczupłego zapasu umiejętności Adasia, którego tak szanował. Żaden w świecie hamulec nie zdołałby go tak powstrzymać od złego, jak ten niewinny towarzysz, poruczony jego opiece.

Pod tém wrażeniem odważył się powiedzieć pani Ludwice, jaki plan przed chwilą ułożyli, i ucieszyło ją to, że pierwszy krok został już postawiony, w tak naturalny sposób.

Widząc, że to wszystko tak dobrze oddziaływa na Dana, radowała się niezmiernie, bo wytrwała nad nim praca przynosiła już widoczne owoce. Zachodziła w nim coraz większa zmiana, czuł bowiem, że ma przyjaciół i miejsce na świecie, — że ma cel do życia i pracy. Mało wprawdzie mówił, ale się odwodził od dowody przywiązania wszystkiém, co miał najcenniejszego w duszy. — Tak więc Dan został ocalony.

Spokojną z nim rozmowę pani Bhaer, przerywał radosny okrzyk Teodorka, który ku ogólnemu zdumieniu złowił pstrąga, tam, gdzie ich nie było od dawnych lat. Tak był oczarowany niespodziewaną zdobyczą, że się koniecznie chciał popisać przed całym

domem, zanim ją Azya ugotuje na wieczerzę; poszli więc pod dach, zadowoleni ze spędzonej razem chwili.

Następnie Antoś odwiedził to drzewo; ale krótko zabawiał, chcąc tylko wypocząć, póki Dick i Dolo nie nachwytają dlań koników polnych i świerszczy; umyślił bowiem wpuścić Tomkowi kilka tych ruchliwych istot do łózka, żeby go napadły, gdy się położy, i zmusiły do gonitwy po całym pokoju. Polowanie skończyło się niezadługo; więc zapłaciwszy myśliwych garstką miętowych pastylek, poszedł Antoś usłać łóżko Tomkowi.

Przez godzinę stara wierzbą jęczała i szumiała samotnie, lub gwarzyła ze strumyką, przyglądając się wzrastającym ceniom, gdyż słońce już zachodziło. Pierwsze różowe barwy padły właśnie na jęz zgrabne gałęzie, kiedy pewien chłopiec przemknął się cichutko przez aleję i łąkę, a wypatrzywszy Karolka przy strumyku, przystąpił doń, mówiąc tajemniczo:

„Powiedz panu Bhaer, że chciałbym się tu z nim zobaczyć; ale uważaj, żeby tego nikt nie usłyszał.“

Karolek skinął głową i poszedł, ów chłopiec zaś wspinał się na drzewo, i siedział tam z niepokojem na twarzy, chociaż piękna okolica uczyniła na nim widoczne wrażenie. W pięć minut potem ukazał się pan Bhaer: stanąwszy na płocie, zajrzał do gniazda i rzekł łagodnie:

„Milo mi cię widzieć, Jakubku, ale dla czego nie przyszedłeś zobaczyć nas wszystkich?“

„Chciałem się z panem wpiérwéj rozmówić. Wuj kazał mi tu powrócić, więc rad nie rad przyszedłem, i mam nadzieję, że mi chłopcy nie będą bardzo dokuczać, chociażem niewart dobrego przyjęcia.“

Biédny Jakubek wprawdzie źle postąpił, ale było widać, że tego żałuje, wstydził się, i pragnie być jak najlepiej powitany, bo wuj porządnie go zbił i srogo

wylał za to, że poszedł za jego własnym przykładem. Prosił się chłopczyzna, by go już nie wyprawiał do tej szkoły, ale ponieważ była tania, wuj nawet słuchać o tem nie chciał, — wyruszył więc nieborak w drogę, i zakradł się cichaczem, żeby się przedewszystkiem oddać panu Bhaer w opiekę.

„I ja się tego spodziewam, ale nie mogę ręczyć za nich, chociaż będę czuwał, żeby się nie dopuszczali niesprawiedliwości. Sądzę jednak, że kiedy Alfred i Dan, choć niewinni, ucierpieli tak wiele, toś i ty powinien co przeboleć, nieprawda?“ rzekł surowo profesor, gdyż, mimo politowania, czuł, że mu się należy kara, za błąd tak trudny do wybaczenia.

„Zapewne; alem zwrócił pieniądze Tomkowi, i przyznałem się do winy, — czy tego nie dosyć?“ powiedział Jakubek dosyć szorstko; bo chłopiec, który popełnił tak niski czyn, nie ma odwagi znieść jego następstw.

„Nie, to nie dosyć; powinienes jeszcze przeprosić wszystkich jawnie i szczerze. Musisz być także przygotowanym na to, że przez pewien czas nie będą cię szanować, ani ci ufać; ale przetrzymasz to, a ja ci dopomogę. Złodziejstwo i kłamliwość są szkaradnymi grzechami, i mam nadzieję, że to będzie skuteczną nauką dla ciebie. Cieszę się, żeś tak zawstydzony: to dobry znak. Znoś ten krzyżek cierpliwie, i wszelkimi siłami staraj się zasłużyć na lepsze imię.“

„Urządę licytację i wszystko tanio posprzedaję,“ rzekł Jakubek, okazując skrucę w ten charakterystyczny sposób.

„Zdaje mi się, że byłoby lepiej rozdać te rzeczy, i rozpocząć potem na nowych podstawach.“

Jakkolwiek był trudny ten warunek, Jakubek nań przystał, miarkując już sam, że oszustwo nie popłaca;

prytém pragnął téż odzyskać przyjaźń kolegów. Całym sercem był przywiązany do swych skarbów, tak mu więc żal było rozstawać się z niektórymi, że publiczne przeproszenie zdawało się niczem w porównaniu.

Zastanowiwszy się jednak, przyznał sobie, że są rzeczy cenniejsze, niż nożyki, wędki, a nawet i pieniądze; postanowił przeto stać się uczciwym, chociażby go to wiele miało kosztować, i zdobyć szacunek towarzyszy, jakkolwiek on nie jest przedmiotem do handlu.

„Dobrze, uczynię to!“ rzekł nagle z miną, która się podobala panu Bhaer.

„Ja ci dopomogę; chodź i weź się od razu do dzieła.“

Wprowadził więc upadłego chłopca w swój mały światek, który z początku przyjął go zimno, lecz z wolna rozgrzewał się, poznawszy, że Jakubek skorzystał z tej nauczki, i szczerze pragnie wejść na nową drogę.

Rozdział szesnasty.

Poskramianie dzikiego rumaka.

„Co ten chłopiec robi?“ myślała pani Ludwika, przyglądając się raz Danowi, który biegł w kolo trawnika, jak gdyby dla wygrania jakiego zakładu. Był sam jeden, i zdawało się, że go ogarnęła dziwaczna chęć umęczenia się aż do gorączki, lub skręcenia karku; obleciawszy bowiem kilka razy do koła, próbował skakać przez wysoki płot, przewrócił kilka koziolków i nareszcie padł na murawę przed domem, widocznie pozbawiony wszelkich sił.

„Czy się wprawiasz w wyścigi, Danie?” zapytała pani Ludwika, siedząca przy oknie.

Spojrzał żywo i odparł z uśmiechem:

„Nie, ja tylko paruję.”

„Nie mógłbyś czasem wynaleść chłodniejszego sposobu?” rzekła, śmiejąc się także, i rzuciła mu duży liść palmowy.

„Nie mogę się wstrzymać, muszę biegać,” odpowiedział z tak dziwnym wyrazem w ruchliwych oczach, że zmieszana, zapytała żywo:

„Czy Plumfield robi się za ciasne dla ciebie?”

„Nie gniewałbym się, żeby choć trochę było obszerniejsze. Chociaż je lubię, jakiś djabeł wstępuje we mnie czasami, i wtedy muszę być w ruchu.”

Te słowa wymknęły mu się widać mimowoli, bo ich zaraz pożałował, bojąc się słusznej wymówki za niewdzięczność. Ale pani Ludwika zrozumiała to usposobienie, i chociaż sprawiło jej przykrość, nie mogła zań lajać. — Spojrzawszy z niepokojem na Dana, zauważyła, jaki już wysoki i silny, jak ma energiczną twarz, jak badawcze oczy i stanowcze usta. Pomna, że niegdyś używał nieograniczonej swobody, uznała w duchu, że nawet łagodne więzy mogą mu ciążyć niekiedy.

„Tak,” pomyślała, „mój dziki sokół potrzebuje obszerniejszej klatki; ale gdybym go puściła na wolność, bałabym się go utracić. Muszę więc znaleźć dosyć silną przynętę, żeby go ochroniła od niebezpieczeństwa.”

„Znam taki stan,” odezwała się głośno. „To nie djabeł, jak powiadasz, tylko bardzo naturalna w młodym wieku, żądza swobody. Mnie także niegdyś tak bywało, i nawet chciałam raz uciec w świat.”

„Czemu pani tego nie uczyniła?” zapytał, i żeby przedłużyć rozmowę, oparł się o jej niskie okno.

„Wiedziałam, że to byłby nierozsądny krok; a co większa, przywiązanie do matki zatrzymało mnie w domu.”

„Ja nie mam matki,” powiedział Dan.

„Myślałam, że ją masz teraz,” rzekła pani Ludwika, łagodnie odgarniając mu włosy ze spotniałego czoła.

„Pani jesteś nieskończenie dobrą dla mnie, i nigdy nie zdołam się odwdzińczyć: ale to nie jest to samo, prawda?” zapytał, spoglądając tak smutno i rzewnie, że ją wzruszył do głębi serca.

„Nie jest to samo, mój drogi, — i w żaden sposób nie może być tém samém. Rodzona matka byłaby dla ciebie olbrzymią pomocą; ale ponieważ nie żyje, pozwól, bym ja ci ją zastąpiła. Widać, że nie czynię dla ciebie wszystkiego, co należy, kiedy mnie chcesz opuszczać,” rzekła ze smutkiem.

„Już mnie odstąpiła ta pokusa, i nie oddałę się nigdzie, jeżeli to będzie tylko w mojej mocy; ale od czasu do czasu popycha mnie coś niejako do ucieczki. Chciałbym biedz bez kresu, zmiażdżyć jakiś przedmiot, lub rzucić się na kogoś. — Nie rozumiem siebie, ale taki jest mój stan, i nie zdołam się zeń otrząsnąć.”

Chociaż mówił to ze śmiechem, głębokiego musiał doznawać wrażenia, bo ściągnęły mu się czarne brwi, i z taką siłą uderzył pięścią w ramę od okna, że naparstek pani Ludwiki spadł na trawnik. Gdy go podawał, przytrzymała jego wielką, opaloną rękę, i rzekła tonem zdradzającym, ile ją kosztują te słowa:

„Wymykajże się, mój Danie, kiedy ci tak gwałtownie tego trzeba, lecz nie oddalaj się bardzo, i wracaj tu zawsze, bo mi tęskno bez ciebie.”

To niespodziane przyzwolenie zaskoczyło go jakoś, o połowę zmniejszając chętkę. Nie rozumiał swego usposobienia, lecz pani Ludwika pojmowała je dobrze, i wiedząc, jak natura człowieka jest złośliwą, liczyła na jej pomoc.

Instynktownie czuła ona, że im więcej ten chłopiec będzie poskramiany, tém bardziej zechce się wydierać w świat; a gdy mu się pozostawi swobodę, zadowolni go samo jej poczucie i to przekonanie, że obecność jego jest drogą ukochanym osobom. Była to mała próbka, która się widocznie powiodła, bo Dan zamyslił się chwilę, bezwiednie szarpiąc wachlarz, i rozważał tę rzecz w duchu. Jednakże to odezwanie się do jego serca i honoru musiało sprawić na nim wrażenie, gdyż rzekł po niejakiem wahaniu, z żalem wprawdzie, lecz stanowczo:

„Pozostanę tu jeszcze, a gdybym miał kiedy wyruszyć, w takim razie uprzedzę panią o tém. — Zgoda?”

„Zgoda! A teraz obmyślimy inny sposób parowania, żebyś nie potrzebował biegać po tym placu, jak wściekły pies, psuć mi wachlarzy, i bić się z chłopcami.”

Podezas gdy Dan starał się naprawić zrządzoną szkodę, pani Ludwika suszyła sobie głowę nad środkiem przytrzymania swego włóczęgi, póki nie polubi nauki.

„Cóżbyś na to powiedział, żebym cię zamianowała moim posłańcem?” zapytała nagle.

„Czy to znaczy, że jeździłbym do miasta załatwiać sprawunki?” zapytał Dan ciekawie.

„Tak; Franzowi się to sprzykrzyło, Silasa nie mogę teraz odrywać od zajęć, a pan Bhaer nie ma czasu. Koń nasz spokojny, ty dobrze powozisz, —

przytém doskonale znasz miasto, spróbuj więc, czy nie będzie lepiej wyjeżdżać dwa razy na tydzień, niż uciekać raz w miesiąc?”

Z pewnością sprawi mi to równą przyjemność; tylko chciałbym jeździć sam jeden, bo nie lubię mieć kogoś na karku,” rzekł Dan, i przejęty nowym planem, przybrał zaraz minę człowieka obarczonego interesami.

„Jeżeli pan Bhaer nie będzie miał nic przeciw temu, otrzymasz zupełną swobodę w tym względzie. Przypuszczam, że Emil zacznie sarkać, ale jemu nie można powierzyć konia tak śmiało, jak tobie. Ponieważ jutro właśnie przypada dzień targowy, muszę teraz przygotować spis potrzebnych rzeczy; a ty idź narządzić kabriolet, i powiedz Silasowi, żeby przysposobił jarzyny i owoce, dla mojej matki. Wstaniesz rano, i wrócisz na czas lekcyi, dobrze?”

„Ja zawsze wcześniej wstaję, więc mię to nie będzie kosztować,” rzekł Dan, poczem spiesźnie zrzucawszy z siebie kurtkę, podążył przywiązać nowy postronek do bicia, obmyć kabriolet, i z nowonabytą powagą wydać Silasowi zlecenia.

„Zanim to mu się uprzykrzy, postaram się mieć coś innego na pogotowiu, skoro napadnie go znowu to gorączkowa ruchliwość,” myślała pani Ludwika, i układając spis potrzebnych przedmiotów, dziękowała losom, że inni chłopcy nie są podobni do Dana.

Pannu Bhaer niezupełnie się podobał ten nowy plan, ale pozwolił go wypróbować. Co się zaś tyczy Dana, rozbudziło to w nim niejaki zadowolenie, i przytłumiło dzikie zamysły, płaczące mu się po głowie.

Nazajutrz wyruszył o świcie, i bohatercko opierał się pokusie wyścigania mleczarzy, udających się do miasta. Przybywszy tam, porobił roztropnie sprawunki

i wolnym krokiem wrócił w sam czas na lekeye, ku wielkiemu zdumieniu pana Bhaer, a niezmiernej radości pani Ludwiki. Komandor krzywił się na to nowe stanowisko Dana, ale go pocieszyła wyborna kłódka do szopy od morskich statków, i ta myśl, że marynarze są p. znaczeni do wyższych zaszczytów. Tak więc Dan bardzo chętnie pełnił te obowiązki przez kilka tygodni, i nie wspominał już o koczującym życiu; ale pewnego dnia, pan Bhaer zastał go, gdy grzmocił Jakubka, który przygnieciony jego kolanami, krzyczał wniebogłosy.

„Cóż to znaczy? Sądzilem, mój Danie, żeś już zaprzestał bójek,” rzekł, spiesząc z pomocą.

„My się tylko mocujemy,” odrzekł tenże, i z żalem wypuścił z rąk Jakubka.

„Dla tego biédaka to wygląda na porządne obicie, nieprawda?” odezwał się profesor, widząc, że się Jakubek z trudnością podnosi.

„Już mam tego dosyć, boś mnie porządnie wytuzował po głowie,” mruknął.

„Przyznaję, że choć z żartów rzuciłem cię o ziemię, jużem się potem nie mógł wstrzymać od walenia. Ale żałuję, że cię tak wymęczył,” powiedział Dan, widocznie zawstydzony.

„Nie mogłeś się oprzeć gwałtownej chęci rzucenia się na kogoś. Tobie tak potrzebna walka, jak Alfredowi muzyka,” rzekł pan Bhaer, któremu powtórzyła żona swę rozmowę z Danem.

„Schodź mi z drogi, jeżeli nie chcesz obrywać guzów, bo mi trudno zapanować nad sobą!” rzekł Dan z taką groźbą w czarnych oczach, że Jakubek cofnął się natychmiast.

„Kiedy koniecznie potrzebujesz się mocować, to ci dam silniejszy przedmiot od Jakubka,” powiedział

pan Bhaer i wskazał mu na podwórzu grube pnie, wykopane na wiosnę, które tam czekały porąbania. „Jak ci przyjdzie ochota pastwić się nad chłopcami, to przychodź tu pożytkować swę siłę; będę ci za to wdzięczny.”

„Dobrze,” odparł Dan, i pochwyciwszy za rękę leżącą siekierę, wytoczył pieniek; rąbał go tak żwawo, a wióry rozlatywały się tak daleko, że pan Bhaer musiał ucieczką ratować życie.

Z przyjemnością patrzył on, jak Dan zrzuciwszy z siebie kurtkę, z rozczerwienioną twarzą i srogim wzrokiem, wywierał wściekły gniew na przeciwnikach i kłął ich, póki nie zwalczył; a wówczas szedł z tryumfem do drwalni, z naręczem sękowatego dębu. Odparzały mu się ręce, bolały krzyże, ciężła siekiera: ale mu to służyło, i niktby się nie mógł domyśleć pociechy, ile czerpał w tych brzydkich pniakach, — za każdym uderzeniem siekierą, zaspakajał w sobie nadmiar sił, który mogłyby się objawiać w szkodliwszy sposób.

„Skoro się to skończy, nie będę już wiedziała, co dalej robić,” myślała pani Ludwika, gdyż jęj nie nowo nie przychodziło do głowy.

Alé Dan znalazł sobie rozrywkę, i bawił się potajemnie, zanim ją odkryto. Na łące za strumykiem pał się owego lata piękny żreback pana Laurence; chłopcy przepadali za tém roztropném zwierzęciem, i z rozkoszą przyglądali się, jak galopuje z rozwianym ogonem, podnosząc śliczny łeb w górę. Ale wkrótce im się to sprzykrzyło i zaniedbali „księcia”, jeden tylko Dan nigdy nie mógł się nim nacieszyć, i prawie codziennie zanosił mu kawałek cukru, jabłka, lub chleba. „Księżę” z wdzięcznością przyjmował dary, i nawzajem lubili się, czując niejako, że ich łączy

jakieś niewytłumaczone, ale silne węzły. W którejkolwiek stronie rozległej łąki znajdował się „książę“, zawsze przygalopował do płotu, gdy nań gwizdnął Dan. Ten znowu był uszczęśliwiony nad wyraz, skoro to piękne zwierzę oparło mu łeb na ramieniu, patrząc intelligentnóm i pięknóm okiem.

„Rozumiemy się z sobą bez czczej gadaniny, prawda?“ mówił Dan, dumny z zaufania konika, i tak zazdrosny o jego względy, że nikomu nie zwierzał się z téj przyjaźni, jednego tylko Teodorka biorąc czasem z sobą, na te odwiedziny.

Pan Laurence przyjeżdżał niekiedy zobaczyć „księcia“ i napomykał, że w jesieni sprawi mu już siodło.

„Nie będzie go trzeba zbyt wiele poskramiać, bo takie to potulne, łagodne zwierzę. Ja sam przyjadę, żeby go okulić“, rzekł pewnego razu.

„Wprawdzie pozwala się prowadzić na uzdeczce, ale wątpię, żeby się dał osiodłać nawet panu, odezwał się Dan, obecny, jak zwykle, tym oględzinom.

„Postaram się ująć go sobie pieścizną, i będę na to przygotowany, że mię nieraz zrzuci z siebie. Zawsze się z nim obchodzono łagodnie, więc sądzę, że go tylko zadziwi nowość, ale się nie zaleknie, a swawolnymi wybrykami nie zrobi mi krzywdy.“

„Ciekawym, co on téż zrobi?“ pomyślał chłopak, skoro pan Laurence odszedł z profesorem, a konik wrócił pod płot, z kąd go zaprowadzono do pana.

Gdy Dan siedział na najwyższym szczeblu płotu, mając blisko siebie lśniący grzbiet konika, opanowała go gwałtowna chęć wypróbowania swych sił. Niezastanawiając się nad niebezpieczeństwem, uległ pokusie, i skoro żreback pochylił się ufnie do podawanego mu jabłka, Dan szybko i cicho wsiał na niego. Niedługo jednakże utrzymał się, bo z zadziwienia zachnął

się żreback, wyprężył i rzucił go o ziemię. Ponieważ to się stało na miękkiej murawie, nie sobie Dan nie zrobił, i zerwawszy się prędko, rzekł z uśmiechem:

„Bądź co bądź, wsiałem! — Chodź tu, łotrze, niechno jeszcze raz spróbuje.“

Konik nie chciał się jednak zbliżyć, co bardzo dogadzało Danowi, lubiącemu wszelką walkę.

Następną razą wziął uzdę, i zarzuciwszy ją koniowi na kark, bawił się z nim chwilę, prowadząc w tę i w ową stronę, póki go nie zmęczył trochę. Wówczas usiadł na płocie i dawszy mu chleba, czekał tylko sposobności, mocno trzymając uzdeczkę. Żreback próbował dawnych wybryków, ale Dan trzymał go tego, nabywszy wprawy z Tobiaszkiem, który w napadzie uporu, chciał nieraz zrzucić z siebie jeźdźcę. Konik był zdumiony i oburzony; wierzgał i podskakiwał przez chwilę, lecz potem puścił się galopem, a Dan spadł na ziemię. Gdyby nie to, że należał do rzędu tych chłopców, którzy cało wychodzą z każdego niebezpieczeństwa, byłby skreślił kark; ale on tylko spadł ciężko, i leżał potem spokojnie, żeby odzyskać zimną krew. Tymczasem „książę“ obiegał łąkę, potrząsając łbem na znak zadowolenia, że pokonał jeźdźcę. Jednak po niejakić chwili zrozumiał widocznie, że się coś stało Danowi, i szlachetną będąc naturą, przybiegł mu się przyjrzyć. Dan pozwolił mu prychnąć i niepokoić się przez pewien czas; poczem spojrzał mu w oczy, i rzekł tak stanowczym tonem, jak gdyby go mógł zrozumieć:

„Zdaje ci się, żeś mię zwyciężył, ale się mylisz, przyjacielu; zobaczysz, że będę jeździł na tobie.“

Tego dnia już nie próbował, ale nieczadługo poczył w nowy sposób przyzwyczajając konika do ciężarów. Przywiązawszy mu derę do grzbietu, pozwalał prychnąć,

pląsać, rzęć, zżymać się, do woli. Po kilku dniach uporu, poddał się „książę” i dał wsiąść na siebie. Z początku przystawał często, rozglądając się do koła, jak gdyby mówił cierpliwie, ale z wyrzutem:

„Nie rozumiem tego, lecz się nie wzbraniam, bo mię pewno nie zechcesz skrzywdzić.”

Dan klepał go, zachęcał i ujeżdżał co dzień po trosze. Wprawdzie spadł nieraz, ale mimo tych przeszkód nie ustawał w próbach. Wielka brała go ochota na siodło i uzdę, ale nie śmiał wyjawić tego, co dotąd czynił. Spełniło się jednak życzenie jego, bo niewidzialny świadek tych wycieczek, wstawił się za nim.

„Czy pan wie, co ten chłopiec robi?” zapytał Silas profesora, gdy mu wydawał pewnego wieczora zlecenia na następny tydzień.

„Który?” odezwał się tenże, spodziewając się przykrego odkrycia.

„Dan: ujeżdża żrebca, — i trzeba przyznać, że się dobrze do tego bierze,” powiedział Silas ze śmiechem.

„Zkądże to wiesz?”

„Ja mam oko na chłopców, i wiem zawsze, co robią. Jak tylko Dan zaczął chodzić na łąkę i wracał do domu powalany i pełen sińców, wziął mię strach, czy w tém niema czegoś złego; zakradłem się więc do stajennój izdebki, by stamtąd przyglądać się jego harcom. Prawda, że nieraz spadł na ziemię, ale to zuch! Wszystko wytrzymał, — nawet z widoczną przyjemnością, — i tak mocno siedzi na koniu, jakby się z nim zrósł.”

„Nietrzeba było dopuszczać do tego, mój Silasie, bo się chłopiec mógł zabić!” zawołał pan Bhaer, zapytując siebie w duchu, na co się jego chłopaki nie odważą.”

„Możem źle zrobił, ale nie było niebezpieczeństwa, bo „książę” jest bardzo łagodny. Zresztą przyznaję, że lubił przyglądać się tym zręcznym figlom chłopca. Jestem pewien, że on chciałby mieć siodło, więc przyszedł zawiadomić pana o tém, co robi. — Pan Laurence nie rozgniewa się, a dla żrebca będzie to korzystne.”

„Zobaczmy,” rzekł pan Bhaer, i poszedł rozpytać się o bliższe szczegóły.

Dan przyznał się od razu, i z dumą dowiódł, że Silas słusznie chwalił jego władzę nad „księciem”, bo za pomocą marchwi, pieszczot i wytrwałości, jeździł na nim, posługując się tylko postronkiem i derą.

Panu Laurence bardzo się podobał Dan z odwagi i zręczności, więc pozwolił mu ujeżdżać nadal konika, i umyślił zająć się zaraz tresowaniem go, żeby się nie dać zawstydzić „dzieciakowi”, jak mówił. W skutek trudów Dana, „książę” przyjął siodło bez wielkiego oporu, i gdy pan Laurence poskromił go już nieco, wolno było Danowi jeździć na nim codziennie, ku zadośćcoi i podziwieniu innych chłopców.

„Czy on nie piękny i nie posłuszny, jak baranek?” rzekł Dan, zsiadłszy raz z „księcia”.

„Prawda; i czy nie jest zeń pożyteczniejsze stworzenie, aniżeli kiedy jako dziki żrebak, biegał cały dzień po łące, przeskakiwał płoty, i uciekał od czasu do czasu?” zapytała pani Bhaer, która wyszła na próg, skoro się zaczął popisywać.

„Ma się rozumieć; ale teraz, zapewniam panią, że już nie ucieknie, chociaż go nie będę trzymał, i jak tylko gwizdnę, natychmiast przyjdzie do mnie. Dobrzem go ujarzmił, nieprawda?” rzekł Dan z dumą i zadowoleniem. Słusznie mógł się chlubić, gdyż pomimo

to, że się szamotali z sobą, „książę“ bardziej był doń przywiązany, niż do prawdziwego pana swego.

„Ja także poskrwiam żreba, i mam nadzieję, że mi się równie dobrze powiedzie, jeżeli będę tak cierpliwa i wytrwała, jak ty,“ rzekła pani Ludwika, uśmiechając się tak znacząco, że Dan zrozumiał ją, i odpowiedział także ze śmiechem, ale i z powagą:

„Już nie będziemy przeskakować plotów, ani uciekać, i pozwolimy z siebie zrobić pożyteczne istoty; prawda, mój książę?“

Rozdział siedemnasty.

Wypracowania.

„Prędko, chłopcy! już trzecia: a wiecie, że wuj Fritz lubi ściśle trzymać się godziny,“ rzekł Franz w pewne wtorkowe południe, gdy na odgłos dzwonka, rój chłopców zaczął dążyć do muzeum z książkami i papierami, jakby grono uczonych.

Tomek siedział w klasie pochylony nad biurkiem, mocno zawałany atramentem i rozgrzany ogniem natechnienia; spieszący się, jak zwykle, bo nie lubiąc sobie zadawać trudu, nigdy nie był gotowym na czas. Gdy Franz przechodził koło drzwi, zaglądając, czy nie ma gdzie maroderów, Tomek właśnie zrobił ostatni kleks i zakręcił u podpisu, poczem wyszedł oknem, żeby wysuszyć papier. Następnie podążyła Andzia z bardzo poważną miną, trzymając wielki arkusz w ręce; potem Adaś i Stokrotka udali się tam razem, widocznie przejęci jakąś miłą tajemnicą.

Muzeum było uporządkowane, i promienie słońca igrające pośród chmielu, zaglądając przez wielkie

okno, sprawiały śliczne cienie na podłodze. Z jednej strony tegoż okna siedzieli państwo Bhaer, z drugiej był stolicek, na którym kładło się przeczytane wypracowanie, a dzieci umieszcili się półkolem na składanych stoleczkach, łatwych do zamknięcia, przez co nie było tam sztywno. Ponieważ zabrałoby to zbyt wiele czasu, gdyby wszyscy czytali za jedną razą, urządzono kolój, i owego wtorku młodsza dziatwa przyszła popisywać się, a starsi mieli wydawać sądy pobłażliwe, lecz swobodne.

„Damom należy się pierwszeństwo, niech więc Andzia zacznie,“ rzekł pan Bhaer, skoro przestano szeleścić papierami i ustawiać krzeselka.

Andzia usiadła przy stolicku i zachichotawszy na początek, przeczytała nader zajmujące wypracowanie, pod tytułem: Gąbka.

„Jestto, moi przyjaciele, bardzo pożyteczna i ciekawa roślina. Znajduje się na skałach pod wodą, i o ile mi się zdaje, należy do roślin morskich. Ludzie ją zrywają i czyszczą, bo w jej otworach żyją maleńkie rybki i owady. W nowej mojej gąbce znalazłam muszelki i piasek. Niektóre są bardzo delikatne i miękkie; myje się niemi niemowlęta. Gąbka służy do rozmaitych pożytków; opowiem wam niektóre mam nadzieję, że je zachowacie w pamięci. Jeden użytek jest mycie twarzy; sama tego nie lubię, ale się myje dla czystości. Pewne osoby nie robią tego, i są brudne.“ Tu, surowo spojrzawszy na Dicka i Dola, których to zmięszło tak dalece, że postanowili odtąd należycie się szorować. „Drugim pożytkiem jest budzenie ludzi, a zwłaszcza też chłopców.“ W tym miejscu nastąpiła znowu przerwa, i w całym pokoju panował tłumiony śmiech. „Niektórzy chłopcy nie wstają, gdy ich wołać, więc Marya-Anna wyciska im wodę

z mokrą gąbki na twarze i budzi ich w ten sposób. „Znowu zaczęto się śmiać, i Emil odezwał się, jak gdyby ta przymówka stosowała się do niego:

„Zdaje mi się, że odstępujesz od przedmiotu.“

„Weale nie; mamy traktować o roślinach lub o zwierzętach, a ja piszę o jednym i drugim, bo chłopcy są zwierzętami, — alboż tak nie jest?“ zawołała Andzia, i niezwalczona tém, że krzykliwie odpowiedziano: „Nie!“ spokojnie rzecz swą dalej prowadziła:

„Bardzo jest ciekawy pożytek z gąbki, skoro doktor umacza ją w eterze i przytknie do nosa osobie, której ma ząb wyrwać. Jak dorosnę, będę także to robić, i dawać chorym eter, żeby śpiące, nie czuli, gdy im obetnę nogi i ręce.“

„Ja wiem o jednej osobie, która koty zabijała w ten sposób!“ zawołał Adaś, lecz Dan chcąc mu przerwać mowę, odwrócił jego składany stołeczek, i wsunął mu kapelusz na twarz.

„Proszę mi nie przerywać!“ surowo odezwała się Andzia do niegrzecznych słuchaczy. — Natychmiast przywrócono porządek, czytała więc dalej:

„Z tego wypracowania można wyciągnąć trzy nauki moralne, przyjaciele moi.“ Tu chrząknął ktoś złośliwie, ale nie zwróciła uwagi na tę obelgę. „Pierwsza nauka, żebyście twarz utrzymywali w czystości; druga, żebyście wcześniej wstawali; trzecia, gdy wam gąbkę z eterem przyłożą do nosa, żebyście głęboko oddychali i nie kopali nogami, bo wówczas będzie łatwo wyrwać ząb.“ Temi słowy zakończyła swą rzecz miss Anna, poczem usiadła wśród grznotu oklasków.

„Znakomite wypracowanie; pełne nauczających uwag i humoru! Bardzo dobrze wywiązała się Andzia. Teraz twoja kolej Stokrotko,“ rzekł pan Bhaer dodając jej otuchy uśmiechem.

Stokrotka usiadła zarumieniona, i nieśmiałym głosem przemówiła:

„Moje wypracowanie pewno się nie podoba, gdyż nie takie ładne i śmieszne jak Andzi; ale nie umiałam napisać lepszego.“

„Nam się zawsze twoje podobają,“ powiedział wuj Fritz, a ogólny szmer potwierdził jego słowa.

Zachęcona w ten sposób, przeczytała Stokrotka kartkę, której wysłuchano z uwagą i poszanowaniem.

„Kot.“

Kot jest przyjemnym zwierzęciem, i bardzo je lubię. Jest czysty i ładny. Chwyta szczury i myszy. Pozwala pieścić się z sobą, i gdyśmy dlań dobrzy, to się przywiązuje. Bardzo jest mądry, i wszędzie umie trafić. Młode kotki nazywają się Kiciami, i są to miłuchne stworzonka. Ja mam ich dwa: jeden nazywa się Mizio, drugi Fizio, — a matka Topazya: bo ma żółte oczy. Wuj opowiedział mi śliczną historyjkę o jednym człowieku imieniem Mahomet; miał on ładnego kotka i gdy mu ten usnął w rękawie, nie chcąc go obudzić, gdy miał wstać, — obciął sobie rękaw. To musiał być bardzo dobry człowiek. Niektóre koty łowią ryby.

„Ja tatze!“ wykrzyknął Teodorek i podskoczył w górę, bo mu pilno było popisać się pstragiem.

„Cicho“ rzekła, sadzając go jak najprędzej, gdyż Stokrotka, przez zamilowanie porządku, nie lubiła by jej przerywano.

„Czytałam o jednym kotku robiącym to bardzo zrecznie, więcem się starała nauczyć i Topazję, ale mię podrapała, bo nie lubi wody. Przepadła za herbatą, i jak gotuję na kuchence, póty skrobie łapką w imbryczek, póki jej się nie dam trochę napić. To

jest ładna kotka; jada pudding z jabłek, i pija melas. Nie wszystkie kotki są takie.“

„To cudowne!“ zawołała Andzia, a Stokrotka cofnęła się na dawne miejsce, uradowana pochwałą przyjaciółki.

„Adaś ma tak zniecierpliwioną minę że musimy go wywołać, bo nie wytrzyma dłużej,“ powiedział wuj Fritz. Wykrzyknął więc chłopczyna z pośpiechem:

„Ja napisałem poemat!“ poczem przeczytał tę pierwszą próbę, donośnym i uroczystym głosem.

„Fruwa jak ptaszek motyl skrzydlaty
Fruwa jak ptaszek ale nie śpiewa
Całuje trawki całuje kwiaty,
Przelata z drzewa do drzewa.

Najpierw jak robak w liścin zielonym,
Kryje się motyl, następnie z wiosną
Staje się pięknym, żółtym kokonem,
Potem skrzydełka mu rosną.

Na kwiatkach do snu swą główkę tuli,
Karmi się miodem, kroplami rosy
Nie ma jak pszczoły obszernych uli
Nie kłuje jak baki i osy.

Cheiałbym jak motyl bujać od rana
Zachwycać przez swych skrzydeł kolory,
Alebym nie chciał dostać od Dana
Na biedną główkę — kamfory.“

Ten niezwykły objaw geniuszu, sprawił wstrząśnienie w całym gronie, i Adaś był zmuszony odczytać go raz jeszcze. Przyszło mu to z pewną trudnością, gdyż było mało znaków pisarskich, i czasem zabrakło mu tchu, zanim doszedł do końca długiego wiersza.

„Gotów wyjść na drugiego Shakspeare'a!“ zawołała ciocia Ludka, zanosząc się od śmiechu, bo ten klejnot poezji, przypomniawszy jej wiersz, który napisała w dziesiątym roku życia, a zaczynający się od tych ponurych słów:

„Cheiałbym mieć cichy grób na ustroni,
Gdzie szemrzą czyste wody strumienia,
Gdzie brzęczą pszczołki wśród kwiatów woni,
Gdzie leśnych ptasząt dochodzą pienia.“

„Teraz na ciebie kolój, Tomku. Jeżeli jest tyle atramentu w środku, co na wierzchu, to będzie długie wypracowanie,“ rzekł pan Bhaer, gdy się Adaś zdołał nareszcie oderwać od swego poematu.

„To nie wypracowanie, tylko list do Babuni, bom zupełnie zapomniał że dziś na mnie kolój przyszła. Ponieważ jednak jest w nim wzmianka o ptakach, sądzę, że się nada.“

Po tém objaśnieniu, zaczął Tomek czytać, zatrzymując się tylko niekiedy, aby zrozumieć swe bazgroty.

„Mam nadzieję, droga babuniu, że jesteś zdrowa. Wuj Jakubek przysłał mi kieszonkowy karabin. Jest to ładne narzędzie do zabijania: strzela z wielką siłą, dobrze celuje, i będę niezadługo zabijał wiewiórki. Już ubilem kilka pięknych ptaków do muzeum. Miały pstre piersi, i bardzo się podobały Danowi. Wypchał je ślicznie, a teraz siedzą na drzewie, zupełnie jak żywe; tylko jeden wygląda jakby trochę pijany.“

Mieliśmy tu niedawno robotnika Francuza, i Azya nazywa go tak zabawnie, że muszę to opisać. Nazwisko jego: Germain, wymawiała najwpierw Jerry; gdyśmy ją wysłuchali, zmieniła na Jeremia; widząc że i tém nie dogadza, zrobiła zeń Germany, potem Gerrymon, i tak już pozostało. Droga Babuniu, nie pisuję często, bom niezmiernie zajęty; ale nieraz myślę o tobie, i bardzo mię obchodzisz.

Mam nadzieję, że ci czas przyjemnie schodzi, o ile to może być, bezemnie. Przywiązany wnuk

„Tomasz.“

P. S. Jak Babunia będzie przechodzić koło sklepu z obrazkami, niechaj nie zapomni o mnie.

N. B. Proszę się pokłonić wszystkim, a w szczególności Cioci Alminie. Czy ona wyrabia jeszcze te wyborne ciasteczka ze śliwkami?”

P. S. Pani Bhaer zaśła swe uszanowanie.

P. S. Pan Bhaer uczyniłby to samo, gdyby wiedział, że piszę ten list.“

P. S. Ojciec mi daruje zegarek na imieniny; cieszę się z tego, bo teraz niewiedząc która godzina, spóźniam się do szkoły.“

P. S. Mam nadzieję, że cię niezadługo zobaczę, droga Babuniu. Czybys nie chciała przysłać po mnie?”

„T.“

Ponieważ chłopcy przyjmowali każdy przypisek wybuchem śmiechu, więc przybiwszy nareszcie do szóstego, Tomek był niezmiernie zmęczony, i z rozkoszą usiadł, obcierając spoconą twarz.

„Mam nadzieję, że ta sędziwa pani dożyje do końca listu,“ rzekł pan Bhaer, korzystając z ogólnej wrzawy.

„Dobrze zrobi, jeżeli pominie długą przymówkę w ostatnim przypisku, i nie przyśle po niego, bo jęć się dosyć da we znaki samym listem,“ odpowiedziała pani Ludwika, wiedząc że ta biędna staruszka kładzie się w łóżko, po każdych odwiedzinach hulaśliwego wnuka.

„Telaz ja!“ wykrzyknął Teoderek. — Matka wyczekała go wierszyków, więc tak mu było pilno popisać się, że w ciągu czytania skakał w górę, i nie można go już było dłużej powstrzymać.

„Gotów zapomnieć, jak mu każemy czekać jeszcze, — a niemało miałam trudu!“ rzekła pani Bhaer.

Teoderek stanął więc na trybunie, uklonił się nisko, poczem jednym tchem wypowiedział następujące wierszyki, swym dziecinnyim głosem:

„Male wody tłopelti
Piastru zialnecta male
Twozą ocean wieli,
Twozą tlaje wspaniale.

Male słowta zyciwe,
Wielką tożysć oddają,
Twozą szczęście plawdziwe,
Zycie w łaj zamieniają.“

w końcu zaczął klaskać w ręczeta, uklonił się powtórnie, i pobiegł ukryć główkę na kolanach matki, odurzony swém powodzeniem, bo oklaski były szalone.

Dick i Dolo nie pisali, tylko im zalecono przyglądać się zwyczajom zwierząt i owadów, i zdawać ustną sprawę ze spostrzeżeń. Dickowi przypadło to do smaku, i zbierał zwykle dużo wiadomości; wystąpił więc skoro go przywołano, i spojrzawszy na zgromadzenie swém jasnym, ufnym okiem, tak poważnie opowiadał, że się nikt nie uśmiechnął, nawet z jego ułomnego ciała, bo się przez nie piękna i prosta dusza przebijała.

„Jam się przyglądał ważkom, i czytałem o nich w książce Dana, a teraz spróbuję opowiedzieć com zapamiętał. — Mnóstwo ich lata w koło stawu; są błękitne, mają duże oczy, przejrzyste skrzydła, i bardzo ładnie wyglądają. Schwytałem jedną, żeby się przyjrzyć; nigdy w życiu nie widziałem tak pięknego owadu. Na pożywienie, łapią mniejsze od siebie istotki; a polując, wypuszczają z siebie jakiś osobliwy haczyk. Lubią promienie słońca, i wirują po całych dniach. — Cóż to ja więcej miałem powiedzieć? Aha! już wiem! Jajeczka składają w wodzie; idąc na same dno, wylęgają się w mule. Z nich, wykluwają się jakieś brzydkie istotki, których nazwy nie wiem. Są one brunatne, często się przeistaczają, i ciągle rosną.

Pomyślcie tylko, że trzeba dwóch lat, żeby się stać ważką!“

Teraz powiem najciekawszą rzecz, więc proszę słuchać uważnie, bo zapewne tego nie wiecie: Gdy się już ma wylądować ważka, ten brzydki owad widać widać o tym, bo się wydobywa z wody, osiada na trzcinie, rozdziela grzbiet. . . .“

„Dajże pokój, nie wierzę temu!“ przerwał Tomek, który sam nie będąc obdarzony spostrzegawczym umysłem, sądził że Dick „dodaje.“

„Prawda, że otwiera grzbiet?“ zapytał tenże pana Bhaer, który skinął potwierdzająco głową, ku wielkiej radości chłopczyny.

„Otóż stamtąd wychodzi ważka, siada na słońcu i zaczyna żyć, — rozumiecie? Nabiera siły, rozwija ładne skrzydła, i wlatuje w powietrze, a tamten owad już nie istnieje. — Więcej już nie wiem, ale się będę przyglądał i podpatrywał, bo to przeistaczanie się w piękną ważkę, musi być prześliczne, — nieprawda?“

Dick dobrze opowiadał, i opisując jak nowy owad wlatuje, poruszał rączkami, spoglądał w górę, jak gdyby go tam widział, i chciał gonić za nim. Twórca jego przybrała taki wyraz, iż starsi słuchacze pomyśleli, że gdy dorośnie, spełni się jego życzenie, i po długich latach niemocy i cierpienia, nastąpi błogi dzień, kiedy się wydobędzie na słońce, pozostawi za sobą ułomne ciałko, a znajdzie nową i piękną powłokę, w lepszym świecie. Pani Ludwika przyciągnęła go, i pocałowałszy w chudy policzek, rzekła:

„To ładna historyjka, mój drogi, — i doskonale ją zapamiętałeś. Opiszę to twojej Mamie.“ Dick usiadł u niej na kolanach, uśmiechnięty i zadowolony z pochwały, — i postanowił dobrze się przyglądać, żeby

schwytać chwilę, kiedy się ważka przeistoczy.“ — Dolo zebrał kilka spostrzeżeń o kaczce. Nauczysz się ich na pamięć, wypowiedział śpijącym tonem, jakby najtrudniejszą lekcję.

„Dzikie kaczki trudne są do zabicia. Człowiek się skrywa, gdy ma strzelać do nich, i bierze z sobą swoje, żeby gdakaniem przywabiały dzikie, do miejsc gdzie można do nich strzelać. Niektórzy wyrabiają drewniane kaczki; pływają one wkoło, a dzikie gromadzą się żeby je zobaczyć. Zdaje mi się, że muszą być bardzo głupie. Nasze kaczki są zupełnie oswojone. Ptaki te jedzą dużo, pływają po wodzie, i grzebią się w błocie. Nie pilnują swych jajek, pozwalają je niszczyć, i“

„Moje nie takie!“ zawołał Tomek:

„A inne, — na przykład Silasa, są takie. Kury muszą pielegnować kaczęta, tylko nie lubią żeby pływały po wodzie, więc im przeszkadzają; ale kaczuchny wcale na to nie zwracają uwagi. Najlepiej mi smakują z nadzieniem i z jabłkami.“

„Ja opowiem o sowach,“ rzekł Alfred, który z pomocą Dana, przygotował staranne wypracowanie.

„Sowy mają duże łby, okrągłe oczy, haczykowate dzioby, i mocne szpony. Niektóre są szare, inne zaś białe, czarne, lub żółtawe. Skrzydła ich są bardzo miękkie, i szeroko rozpostarte. Latają zupełnie cicho, i polują na nietoperze, myszy, drobne ptaszki, i tym podobne stworzenia. Budują gniazda w stodolach, w spruchniałych drzewach, i czasami zabierają gniazda innym ptakom. Duża, rogata sowa znosi dwa czerwono-brunatne jajka, większe od kurzych. Brunatna sowa znosi pięć jaj, białych i gładkich; i ten gatunek sów krzyczy po nocach. Inne znów mają głos płaczącego dziecka. Jedzą one myszy i nietoperze,

w całości, a z tych części których nie mogą strawić, robią galeczki i takowe wypływają.“

„To dopiero! To zabawne!“ zawołała Andzia.

„W dzień nie nie widzą, a wydobywszy się na światło, kręcą się jakby na w pół ślepe; inne ptaki gonią je i dziobią, jak gdyby dla zabawki. Rogate sowy są bardzo duże, prawie takie jak orły. Jedzą króliki, szczury, węże i ptaki. Przemieszkują w skalach i na zgłiszczach domów. Mają rozmaite sposoby krzyczenia: czasem wydają taki głos, jak osoba oburzona. W lesie, straszą ludzi po nocach. Biała sowa przebywa nad morzem i w zimnych miejscach; podobna jest trochę do sokoła. Pewien gatunek sów kopie nory, jak krety; nazywają się one sowami uszatekmi czyli puchaczami, i bardzo są małe. Grzebiąca sowa jest najpospolitszą; przyjrzałem się jednej, siedzącej w wydrążeniu drzewa: wyglądała jakby mały, szary kot; jedno oko miała zamknięte, a drugie otwarte. Wylatują one w świat o zmroku, i czyhają na nietoperzy. Schwytałem jedno, i oto jest.“

Mówiąc to, Alfred wydobył szybko z pod kurtki tłustego ptaka, który mrugał oczkami i trzepotał się, widocznie śpiący i zalekniony.

„Nie dotykajcie! Zaraz się pokaże w całej okazałości!“ rzekł Alfred, z chlubą popisując się nową zdobyczą. Najpierw włożył sowie kapelusz na łebek, z czego chłopcy uśmieśli się serdecznie, potem ją ubrał w papierowe okulary, dla nadania większej powagi, lecz skończyło się na tém, że rozgniewana, zaczęła szarpać mu chustkę, dziobać go, i piszczeć. Gdy ją uwolnił, siadła nad drzwiami, spoglądając na całe towarzystwo z zapałą i komiczną godnością.

„A ty, Jerzy, — masz co do powiedzenia?“ zapytał pan Bhaer, gdy znowu cisza nastąpiła.

„Czytałem dużo o kretach, i przyglądałem się im nieraz; alem wszystko zapomniał, prócz tego że przemieszkują w norach, które kopią sobie; że się je chwyta, nalewając tam wody; i że potrzebują często jeść.“ To powiedziawszy usiadł Nadziany, wyrzucając sobie, że przez lenistwo nie zapisywał swych cennych spostrzeżeń; bo się wszyscy uśmiechnęli na wzmiankę ostatniego z tych trzech faktów, jakie mu zostały w pamięci.

„A więc już koniec na dzisiaj,“ odezwał się pan Bhaer, ale Tomek zawołał żywo:

„Jeszcze nie! Alboż to pan nie wie? Musimy przecież oddać tę rzecz!“ i zaczął mrugać gwałtownie, robiąc sobie okulary z paley.

„Zupełnie zapomniałem! Teraz na ciebie kolej Tomku,“ odrzekł, i zajął napowrót swe miejsce; a wszyscy chłopcy prócz Dana, zaczęli się jakoś krzątać.

Alfred, Tomek i Adaś którzy wyszli z pokoju, wnieśli niezadługo pudełko z ponsowego safranu, na najładniejszej srebrnej tacy pani Ludwiki. Tomek trzymał ją w rękach i wraz z kolegami prosto zmierzył do Dana, który nic nie podejrzewając, sądził, że sobie jakieś żarty stroją. Tomek przygotował świetną mowę; ale ponieważ całkiem wyszła mu z pamięci, rzekł tylko z głębi zasnętego i gorącego serca:

„Słuchaj chłopcze, chcemy ci wynagrodzić czémś ładnem, to co zaszło, — i okazać jak cię kochamy, za twę pocziwość. Weźże to, i zabawiaj się.“

Dan był tak zadziwiony, że zarumieniał się jak owe pudełko, i bąknął tylko: „dziękuję wam, koledzy,“ ale gdy zobaczył co jest w środku, rozjaśniła mu się twarz, porwał mikroskop, i z takim zapalem prze-

mówił, że się wszyscy uradowali, chociaż słowa jego wcale nie były wytworne.

„To mi chwaty! Tak sobie dawno tego życzyłem! Podaj mi rękę, Tomku.“

Wszyscy ściskali się z nim po kolei, cieszyli się i zachwycali pięknym podarkiem. Wśród tego zamętu, rzucił Dan okiem na matkę Bhaer, która stojąc nieopodal, całém sercem cieszyła się tym miłym widokiem, i w odpowiedzi na jego wdzięczne spojrzenie rzekła:

„Ja w tém nie miałam udziału; chłopcy sami radzili sobie.“

Dan odezwał się na to z uśmiechem, i tonem dla niej jednej zrozumiałym:

„Jednakże to wasze dzieło,“ i torując sobie drogę między kolegami, wyciągnął rękę najpierw do niej, a potem do profesora, który z lubością przyglądał się swojej trzódce.

Podziękował im tylko niemém lecz serdeczném uściśnieniem tych zacnych rąk, które sprowadziły go na dobrą drogę, i zawiodły do bezpiecznego schronienia, jakim jest ognisko domowe. Chociaż nie powiedział ani słowa, pojmowali go zupełnie, a Teodrek wyraził ich zadowolenie: pochyliwszy się bowiem z objęć ojca, żeby uściskać Dana, rzekł swym dzieciennym językiem:

„Mój Dancio dobro, i telas wsysey do tochają.“

„Dajże mikroskop Danie, żebyśmy się czemu przypatrzyli,“ rzekł Jakubek, który przez cały czas tej sceny, byłby się chciał wymknąć z pokoju, ale go powstrzymywał Emil.

„Dobrze: ciekawym jak się wam to wyda, naprzykład,“ rzekł Dan, chętnie popisując się upragnioną zdobyczą.

Gdy położył chrabąszcza pod mikroskopem, Jakubek nachyliwszy się, zawołał ze zdumieniem:

„Jakież on ma ogromne kleszcze! Teraz rozumiem, dla czego mię tak boli, jak się dotknie!“

„Mruga na mnie!“ wykrzyknęła Andzia, która główkę wetknęła pod łokieć Jakubka, żeby się przypatrzeć zaraz po nim. Gdy się już wszyscy przypatrzyli, pokazał Dan skrzydła motyla, cztery rogi we włosie, żyłki na listku, prawie niewidzialne dla gołego oka, a przez to cudowne szkło, podobne do gęstej siatki; skórę na palcu, wyglądającą jakby dziwaczne pagórki i doliny; nie pajęczą, która się wydawała tak gruba, jak jedwab do szycia, i żądło pszczoły.

„To wygląda zupełnie jak czarodziejskie obrazki w mojej książce z powiastkami, tylko daleko ciekawsze,“ powiedział Adaś z zachwytem.

„Dan jest czarodziejem teraz, i może pokazywać różne cuda dziejące się koło nas, bo ma dwie rzeczy potrzebne ku temu: cierpliwość i zamilowanie przyrody. Żyjemy na pięknym i zdumiewającym świecie, Adasiu; im więcej będziesz go znał, tém będziesz mędrszy i lepszy. To szkiełko starczy ci za cały szereg nauczycieli, i gdy zechcesz, nauczysz się od nich bardzo pięknych rzeczy,“ rzekł pan Bhaer, uradowany że się tém chłopcy tak przejęli.

„A gdybym się pilnie wpatrzył, czy mógłbym zobaczyć czyjś duszę przez ten mikroskop?“ zapytał Adaś, na którym potęga tego kawałka szkła, wywarła wielkie wrażenie.

„Nie, mój drogi; téj władzy nie ma, i nigdy nie może jęj mieć. Twój wzrok nieprędko będzie tak jasny, żeby dotrzeć do najniewidzialniejszego z cudów Boskich. Ale przy pomocy pięknych rzeczy, które możesz widzieć,—łatwiej zrozumiesz jeszcze piękniejsze,

choć są niewidzialne," odparł wuj Fritz, opierając mu rękę na głowę.

"My sobie wyobrażamy ze Stokrotką, że aniołki muszą mieć takie skrzydła, jak to, co Dan pokazywał przez szkło; tylko zapewne są miększe i ze złota."

"Sądźcie o tém jak się wam podoba, i starajcie się, aby wasze skrzydła były równie błyszczące i piękne; tylko nie odlatujcie jeszcze długi czas."

"Ja nie odleczę," odrzekł Adaś, i dotrzymał słowa.

"Bądźcie zdrowi, chłopcy; muszę teraz odejść, ale was pozostawiam z nowym profesorem historii naturalnej," powiedziała pani Ludwika, bardzo zadowolona z ubiegłego dnia.

Rozdział osiemnasty.

Zbieranie plonów.

Gospodarka dobrze się powiodła dzieciom owego lata, i w sierpniu z wielką uciechą zebrały plony. Jakubek i Antoś uprawiali kartofle, jako korzystny towar; zebrawszy ich bowiem, wraz z drobnymi, trzy ćwierci, sprzedali po wysokiej cenie ojcu Bhaer, który zawsze potrzebował wielkiej ilości, na użytek domowy. Emil i Franz poświęcili się zbożu, i zwieźli spory zapas do stodoły; poczem zmielone na mąkę, z tryumfem przywieźli znów do domu, ciesząc się, że przez długi czas będą z niej ciasteczka i różne przysmaki. Pieniądzy przyjąć za nią nie chcieli, i Franz powiedział „Choćbyśmy sieli zboże do końca życia, nie wypłacimy się nigdy za wszystko, co wuj dla nas uczynił."

Alfred zebral takie mnóstwo grochu, że mu się zdawało, iż go nigdy nie nadaży łuskać; pani Ludwika doradziła zatem nowy i bardzo praktyczny sposób: wysuszone strąki rozrzucono po ziemi, Alfred grał na skrzypcach, a chłopcy tańczyli po nich i wymłócili wszystko, zaznawszy więc przyjemności niż trudu.

Fasola Tomka nie powiodła się, bo jęj wcale nie podlewał. Mając przekonanie że sama będzie o sobie pamiętać, pozwolił biédaczce póty mocować się z chwastem, póki z wysilenia, nie skończyła karyery powolną śmiercią. Musiał więc raz jeszcze skopać swój łąn i zasiać groch pospolity; ale już był późny: przytém ptaki zjadły go dużo, i krzaki płytko sadzone pokładały się, — i gdy nareszcie ukazał się biédak, nikt o to nie dbał, bo minęła jego pora. Chcąc się pocieszyć dobrym uczynkiem, przesadził Tomek wszystkie osty, jakie tylko znalazł, i pielegnował dla Tobijasza, który je ze smakiem pozjadał. Ten łąn z ostami bardzo pobudzał chłopców do śmiechu, ale Tomek przekonywał ich, że lepiej jest pamiętać o biédnym Tobijaszu, niżeli o sobie samym. Zapowiedział nawet że na przyszły rok poświęci cały swój grunt ostom, robakom i ślimakom, żeby żółwie Adasia, sowa Alfreda, a także i Tobijaszek, mieli swe ulubione pożywienie. Jakże to dobrze malowało roztrzępanego, lecz z poczciwem sercem, Tomka.

Adaś przez całe lato zaopatrywał babunię w sałatę; na jesieni zaś, posłał dziaduniowi koszyk rzepy tak wymytéj, że każda sztuka wyglądała jak duże, białe jajko. Babunia bardzo lubiła sałatę, a dziadunio miał zwyczaj często powtarzać następujący dwuwiersz:

„Lukullus, wstrzemięźliwość ceniąc niewątpliwie,
Wśród Sabinów pieczoną rzepą jadął chętnie."

A zatem jarzyny składane na ofiarę tym domowym bóstwom, były darem pożądanym, właściwym i klasycznym.

Stokrotka miała same kwiatki w ogródku; całe lato kwitł on i pachniał coraz inaczej. Bardzo była przywiązana do swych grządek, wolne chwile spędzała wśród nich, i tak wiernie i tkliwie pielegnowała róże, bratki i groszek cukrowy, jakby swe lalki, lub przyjaciółki. Przy każdej sposobności wysyłała do miasta bukiety, i w domu niektóre wazony były oddane jej szczególnej pieczy. Rozmaite miluczne bajeczki roila o swych kwiatach, ku ucieście młodszej dziatwy. Robiła śliczne laleczki z ponsowych i białych makówek, strojąc je w szarfy z trawek. Te osóbkki pływały poważnie po cichym stawie, w członkach ze strączków, o żaglach z listów różanych.

Andzia coraz gorliwiej hodowała lecznicze zioła i różne pożyteczne rośliny. W sierpniu, bez ustanku zrywała je, suszyła, układała, i zapisywała w książce, jaki z której pożytek. Robiła wiele różnych doświadczeń; wprawdzie z początku zdarzały się liczne pomyłki, ale się stała tém ostrożniejszą, żeby nie dać komu bylicy, zamiast przetacznika łąkowego.

Dick, Dolo i Robcio raz w raz skopywali swoje ogródki, i więcej tam było ruchu i krzątania, jak we wszystkich innych. Dwaj pierwsi uprawiali pasternak i marchew, z upragnieniem wyglądając chwili, kiedy te szacowne jarzyny dojrzeją. Dick pokryjomu obejrzawszy swę marchew, zasadził ją poraz drugi, i przyznał wówczas słuszność Silasowi, że jeszcze na nią za wcześnie.

Robcia planem były cztery małe dynie, i jedna bania tak olbrzymia, że dwie osóbkki mogły w niej usiąść wygodnie. Musiała pochłonać w siebie wszyst-

kie soki żywotne z ziemi, i promienie słońca świecącego w górze, bo leżała okrągła, zlocista, — zapowiadając na długi czas doskonale nadzienie do ciastek. Robcio z dumą pokazywał ją każdemu; a gdy przy-mrozki nastaly, co wieczór przykrywał starą kolderką, otulając jakby ukochane dziecko. Gdy została nakoniec zerwana, niedając jej dotknąć się nikomu, sam z wielkim trudem powiózł na taczkach do lamusa; a dla uświetnienia pochodu, Dick i Dolo szli przed nim, w pełnych zbrojach. Matka obiecała, że na święto Dziękczynień nadzieje nią ciasteczka, dając przytém niejasno do zrozumienia, iż ma jakiś plan w głowie, który okryje chwałą wspaniałą banie i jej właściciela.

Karolek zasiał ogórki, ale ciąglem obkopywaniem, obrócił je w niwecz. Przez dziesięć minut martwił się bardzo; poczem, puszcżając to w niepamięć, zasiał garść błyszczących guzików, zapewne w przekonaniu że to są pieniądze, których mu dużo wyrośnie, i będzie wówczas tak bogaty, jak Tomek. Ponieważ nikt mu nie wzbraniał, robić ze swym ogródkiem co mu się podoba, wkrótce tak wyglądał, jak żeby go trzęsienie ziemi nawiedziło kilkanaście razy. W dzień ogólnych zbiorów, byłby miał do pokazania same kamienie i chwasty, gdyby nie to, że poczeiwa Azya powiesiła kilka pomarańcz na jakimś uschlém drzewku. Niezmiernie był uradowany tym cudem, i przez litość, nikt go nie rozczarował.

Nadziany przechodził różne troski z powodu swych melonów; tak mu było pilno bowiem skosztować je, że wyprawił sobie ucztę zanim dojrzały, i wpadł w niebezpieczną chorobę. Wydobywszy się nareszcie z téj biedy, poczęstował kolegów pierwszym melonem, sam nie kosztując ani kawałka. Jego owoce były wyborne i prędko dojrzewały, bo miał dla nich sło-

neczne miejsce: ostatnie zwłaszcza, najpiękniejsze, kusząco zwieszały się wśród liści. Nadziany umyślił sprzedać je któremu z sąsiadów; więc chłopcy którzy się spodziewali że je sami zjedzą, zasmuceni tęp, w osobliwy a dobitny sposób objawili niezadowolenie. Pewnego dnia, gdy poszedł zajrzeć do trzech ślicznych melonów, które właśnie chciał zanieść na targ, zdziwiło go słowo, „świnia“, wyryte białymi literami na zielonej lupinie każdego owocu. Rozsrożony, pobiegł na skargę do pani Bhaer, która wysłuchawszy go ze współczuciem, rzekła:

„Jeżeli chcesz zażartować z nich, to ci podam środek; ale się musisz wyrzec tych melonów.“

„Dobrze; niemogąc zbić wszystkich tych łotrów, chciałbym choć w inny sposób dać im się we znaki“, mruknął gniewnie.

Pani Ludwika zmiarkowała, kto się dopuścił tego figla, gdyż poprzedniego wieczoru trzy główki podejrzanie skupiały się z sobą w kącie sof, szepecząc i chichocząc się z czegoś; jako doświadczona kobieta, wносиła więc, iż się obmyśla jakaś nowa psota. Noc księżycowa, szelest stariej wiśni przy oknie Emila, palec skaleczony u Tomka, wszystko to utwierdzało jej podejrzenia. Uspokoiwszy nieco Nadzianego, kazała mu przynieść uszkodzone melony, i nie wspominać nikomu o tęp co zaszło.

Trzej chłopcy byli zdumieni, że im tak gładko przeszedł złośliwy figiel; ale gdy znikły melony, ustał ich dobry humor, i jacyś byli nieswoi; zwłaszcza że Nadziany, pulchny i zadowolony jak zazwyczaj, spoglądał na nich z wyraźnym politowaniem.

Przy obiedzie rozumieli nareszcie całą rzecz, bo się pomścił i zakpił z nich. Gdy już zjedli pudding, i mieli się zabrać do owoców, Marya-Anna zanosząc

się od śmiechu, przyniosła dużego melona; potem Silas ukazał się z drugim; a nareszcie Dan, z trzecim. Postawiono je przed trzema winowajcami, i przeczytali na zielonej lupinie pod wyrazem „świnia“ ten dodatek: „przesyła ukłony.“ Gdy całe grono przeczytało napis, powstał ogólny szmer, bo szeptano sobie do ucha, że to jest w związku z popełnionym figlem. Emil, Antoś i Tomek nie wiedzieli gdzie podziąć oczy, i nie mogąc znaleźć ani jednego słówka na swoją obronę, zaczęli się śmiać wraz z całym towarzystwem, a potem częstowali wszystkich melonami, przyznając że Nadziany zręcznie im się odplacił dobrem za złe.

Dan nie miał gospodarki, bo go nie było w Plumfield przez większą część lata, a potem kulał na nogę. Za to w czém tylko mógł, pomagał Silasowi, rąbał drwa dla Azy, i pielęgnował trawnik przed domem, dla pani Ludwiki.

Gdy inni znosili swe plony, żal mu było że się prawie niczém popisać nie może; ale na jesieni obmyślił leśne zbiory, w czém go nikt nie ubiegał. Co sobotę, obładowany przychodził z lasów, pól i gór, — wiedząc na której łące ładne mietczyki rosną, w którym zarośnięciu sasafry są najwonnniejsze, do której leszczyny chodzą wiewiórki po orzechy, który dąb ma korę najpiękniejszą, i którymi ziółkami dozorczyńni leczą od wrzodów. Dla przystrajania gabinetu pani Ludwiki, przynosił rozmaite purpurowe i żółte liście, wdzięczne i wonne trawki, owoce powojnika, żółte jagody jakby woskowe, mchy o czerwonych brzeźkach, białe, lub szmaragdowe.

„Nie potrzebuję wdychać teraz do lasów, bo mi je Dan tutaj przynosi“, mówiła zwykle pani Bhaer, strojąc ściany w żółte gałęzie klonu, ponsowe wieńce z kapryfolium, lub układając w wazonach brunatną

paproć, szalęj i kwiaty późnej jesieni, bo Dana plony sprawiała jej wielką przyjemność.

Wielkie poddasze było zajęte dziecinnymi zbiorami, służąc przez jakiś czas za ciekawe widowisko dla całego domu. — Stokrotka ułożyła tam w szufladzie od stolika trójnożnego, nasiona kwiatów, w zgrabnych torebkach papierowych, z napisami. Andzia rozwiesiła na ścianie wiązki ziół, napieniające powietrze aromatyczną wonią. Tomek przechowywał koszyk ostu z delikatnym nasieniem, zamierzając zasadzić go w następnym roku, jeżeli się nie ulotni do tego czasu. Emil suszył pęki makówek. Adaś miał żołędzie i różnego rodzaju zboża dla swych ulubionych zwierząt. Dana zbiory najbardziej jednak pociągały zwrok. Zasiał bowiem połowę podłogi orzechami. Były tam rozmaite gatunki, gdyż plądrował lasy na kilka mil do koła, wspinał się na najwyższe drzewa i zagłębiał w największe gęstwiny, żeby wrócić z plonem. Orzechy laskowe, włoskie i kasztany, leżały w oddzielnych stosach, by nabierać barwy, słodyczy, suchości, i być gotowymi do użycia zimowych.

Rósł nieopodal domu jeden orzech amerykański, który Robcio i Teodorek, swoim nazywali. Pokrył się on obfitym owocem tego lata. Ciężkie łupiny zwiększały się wśród uschłych liści, gdzie wiewiórki skrzętniej znajdowały je, aniżeli te leniuchy. Ojciec im powiedział, ale chłopcom, nie wiewiórkom, — że dostaną owe orzechy na własność, jeżeli je zbiorą bez niczyjej pomocy. Była to łatwa robota, i z razu podobala się Teodorkowi; ale wkrótce stracił do niej ochotę, i napełniwszy koszyk do połowy, resztę odłożył do innego dnia. Lecz ten dzień jakoś nie nadchodził; a tymczasem wiewiórki żwawo wspinając się po wiązce, wynosiły tyle orzechów, że wreszcie na-

pełniły się jamy ich, i różne kryjówki między gałęzmi, skąd łatwo je było wybierać. Żwinne ich ruchy bawiły chłopców, aż do pewnego dnia, kiedy im Silas powiedział:

„Czyście odprzedali orzechy wiewiórkom?“

„Nie,“ odrzekł Robcio, zaciekawiony, co on przez to rozumie.

„W takim razie uwińcie się z nimi żywo, bo te skrzętne licha wszystkie wam zabiorą.“

„Poradzimy sobie. Takie jest mnóstwo orzechów, że i dla nas dużo zostanie.“

„Już ich niema wiele, bo ogolocili prawie całe drzewo. Zobaczcie sam.“

Robcio pobiegł i przestraszył się, widząc tylko szczątki. Zawołał więc Teodorka i dzielnie pracowali całe popołudnie, a wiewiórki tymczasem siedząc na płocie, pomrukiwały gniewnie.

„Teraz, Teodorku, musimy być pilni, i podnosić każdy orzeszek co spadnie, bo inaczej mało ich zbierzemy, i wszyscy nas wyśmieją.“

„Nie zostawimy nic tym staladnym wiewiórkom; będę je zbielał i zanosil pędto na poddasze,“ rzekł Teodorek, marszcząc się na zwierzątko, które właśnie czyściło sobie ogonek w pobliżu.

W nocy silny wiatr stracił setki orzechów z drzewa; pani Ludwika budząc rano synków, rzekła zatem wesoło:

„Spieszcie się, chłopcy; wiewiórki uwijają się żwawo, i musicie się dziś dobrze krzątać, żeby wam nie zabrały wszystkiego.“

„Nie zabiorą,“ odpowiedział Robcio; ubrał się z największym pośpiechem, i przelknąwszy śniadanie, pobiegł ocalić swą własność.

Teodorek towarzyszył mu także i pracował w pocie czoła: drepcząc raz po raz, to z pełnym koszyczkiem, to z wypróżnionym.

Druga półwiartka wkrótce została zaniesioną na poddasze; ale kiedy zaczęli znowu szukać orzechów pomiędzy liśćmi, dzwonek wezwał do nauki.

„Ojeze, pozwól mi tu zostać, bo jak odejdę, te szkaradne wiewiórki gotowe nam wszystko zabrać. Ja później odrobię lekcye!“ zawołał Robcio, wpadając do klasy z rozpaloną twarzą i roztarganą główką od ostrego wiatru i zapalczywej pracy.

„Gdybyś był wstawał wcześniej i codzień zbierał po trosze, nie potrzebowalbyś się tak spieszyć dzisiaj. Ostrzegałem cię, ale na próżno; a teraz nie mogę na to pozwolić, byś zaniedbywał lekcye. Tego roku wiewiórkom więcej się dostanie, niż im się należy, i słusznie, — bo gorliwie pracowały. Tyle ci tylko obiecuję, że będziesz wolny o godzinę wcześniej, niż zwykle.“ Rzekłszy to, pan Bhaer zaprowadził Robcia na zwykłe miejsce, a malec zatopił się w książkach, jak gdyby sobie tém chciał zaskarbić przyrzeczoną godzinę.

Ciągle jednak był roztargniony, bo wiatr zrzucił ostatnie orzechy, a żwawe złodziejki krzątały się, przerywając niekiedy pracę, by zjeść orzeszek w jego oczach, — izdawały się mówić złośliwie: „Patrz, opiekasz się Robciu, co my tu nazbieramy!“ To jedno dawało cierpliwości biednemu dziecku, że tymczasem Teodorek uwijał się sam jeden, ze zdumiewającą wytrwałością. Zbierał a zbierał, aż go plecy zabolaly; dreptał w tę i w ową stronę, aż do zmęczenia nówek: nieuważając na wicher, utrudzenie i niegodziwe „wiewiółki“. Nareszcie matka, porzuciwszy swę robotę, przyszła dźwigać za niego, przejęta uwielbieniem, że

ponosi takie trudy dla braciszka. Gdy Robcio został zwolniony, Teodorek wypoczywał w półwiartkowym koszu, gdyż pomimo wielkiego znużenia, nie chciał ustąpić z pola. Jedną brudną rączką odstraszał złodziejki, powiewając kapeluszem, a w drugiej trzymał orzechy wiążące jabłuszko.

Robcio wziął się żywo do roboty, i przed drugą godziną wszystkie orzechy zostały sprzątnięte i umieszczone w śpichrzu; ale wiewiórki nie dały się tak łatwo zwalczyć, i gdy chłopczyną w kilka dni potem zajrzał do swego zbioru, zdumiał się, widząc, jak wiele ubyło. Chłopcy nie mogli skraść, bo drzwi były na klucz zamknięte; gołębie ich nie zjadły, a szczurów tam nie było. — Powstał wielki lament młodych Bhaerątek, ale im Dick powiedział:

„Widziałem jedną wiewiórkę na dachu od śpichrza: może ona je ukradła?“

„Niezawodnie! Muszę mieć pułapkę i zabić ją!“ zawołał Robcio, oburzony taką chciwością.

„Jak będziesz czujnie podpatrywał, to może zobaczysz, gdzie je chowa, a ja ci je wydobędę,“ rzekł Dan, którego bardzo bawiła ta wojna chłopców z wiewiórkami.

Podglądając jakiś czas, dostrzegł Robcio nakoniec, że wiewiórki spuszczały się z gałęzi wiązu na dach od śpichrza, wpadają w okienko, wystraszając tém gołębie, i wychodzą z jednym orzechem w pyszczku. Tak obciążone, nie mogły wracać tą samą drogą, lecz zsuwając się po niskim dachu i po murze, wpadały w jakiś kąt, znikaly na chwilę, poczem wychodziły już bez ładunku. Robcio pobiegł do tego miejsca, i znalazł w dole pod liśćmi, stos ukradzionych orzechów, które miały być zaniesione przez wiewiórki, do ich nór.

„Ach, wy szkaradnice! dam ja wam teraz! Nie zostawię ani jednego orzeszka za karę!“ zawołał chłopczek. Uprzątnąwszy kącik w śpichrzu, przeniósł orzechy na poddasze, gdzie chciwym wiewiórkom nie podobna było dostać się przez szyby. Zdawało się, że i te złośliwe stworzenia czują, iż walka skończona, bo się skryły w jamie. Nie mogły jednak wytrzymać, żeby mu czasem nie rzucić na główkę lupiny od orzecha, lub żeby nie krzyzczeć przeraźliwie, jak się pokazał, jak gdyby dla pomsty, że wygrana po jego stronie.

Państwa Bhaer plony były innego rodzaju i nie tak łatwe do opisania, ale byli zadowoleni, że się im powiodły letnie mozoły; w późniejszym zaś czasie, nastąpiło żniwo, które ich bardzo uszczęśliwiło.

Rozdział dziewiętnasty.

Jan Brooke.

„Wstawaj prędko, drogi Adasiu!“

„Jako, tylko com się położył? Jeszcze nie może być rano!“ odrzekł, i obudzony z pierwszego snu, mrugał oczkami jakby sowa.

„Niema więcéj, jak dziesiąta, ale twój ojciec bardzo chory, i pojedziemy do niego. Ach mój Adasiu! mój biedny Adasiu!“ wołała ciocia Ludka, i oparła głowę na poduszcze ze łkaniem, które odeгнаło sen z powiek chłopczyka i przepełniło mu serduszko strachem. Rozpłakał się na tę myśl, że jakaś strata musiała go uczynić „biednym“, i przytulił się do pani

Bhaer, niemówiąc ani słowa; ona jednak oprzytomniała po chwili, i widząc jego zapłakaną twarzyczkę, rzekła z tklwym pocałunkiem:

„Pojedziemy go pożegnać, mój najdroższy! Niema czasu do stracenia, więc ubierz się prędko, i przyjdź do mego pokoju. Teraz muszę pójść do Stokrotki.“

„Dobrze,“ odparł Adaś, i gdy pani Ludwika odeszła, wstał po cichu, ubrał się na w pół nieprzytomny, i podczas gdy Tomek leżał pogrążony w głębokim śnie, zaczął krążyć po domu wśród głębokiej ciszy, przeczuwając, że wisi nad nim jakieś nowe a smutne zdarzenie.

Powóz przysłany przez młodego pana Laurence stał już przed bramą, Stokrotka była gotowa, wsiedli więc w mileczeniu, i braciszek z siostrą trzymali się całą drogę za rączki, jadąc szybko z wujostwem.

Prócz Franza i Emila, żaden z chłopców nie wiedział, co się stało, i nazajutrz rano zeszedłszy na dół, wielce się zasmucili, bo dom zdawał się nader pusty. Śniadanie przeszło posępnie bez wesołej gospodyni, a skoro nadszedł czas lekcji, przykro im znów było widzieć opróżnione miejsce profesora. Waleśali się rozpaczliwie z kąta w kąt, przez jaką godzinę, pocieszając się nadzieją, że nadejdzie lepsza wiadomość o zdrowiu chorego; ale wybiła dziesiąta, a nikt nie przybył ich uspokoić. Nie chciało im się bawić, czas okropnie im ciążył, siedzieli smutni i osowiali; wtém Franz podniósł się i rzekł:

„Słuchajcie, chłopcy: odbywajmy lekcye, jak gdyby wuj był między nami. Wiem, że go to ucieszy, a przytém i dzień przedéj zejdzie.“

„Ale kto nas przesłuchiwać będzie?“ zapytał Jakubek.

„Wprawdzie mało co więcej umiem od was, ale jeżeli nie macie nic przeciw temu, — jako najstarszy, postaram się zastępować wuja.“

Ton mowy Franza tak był skromny i poważny, że sprawił wielkie wrażenie na chłopcach: bo chociaż miał biédak czerwone oczy, od całonocnego płaczu, przeniknęła go jakaś męska, nowa siła, i widać było, że chce odważnie przyjąć tę pierwszą troskę.

„Ja się chętnie na to zgodzę,“ powiedział Emil, i zajął zaraz zwykle miejsce, pominąć na to, że posłuszeństwo względem zwierzchnika, jest głównym obowiązkiem marynarza.

Inni poszli za jego przykładem, a Franz zasiadł na krześle wuja, i przez całą godzinę panował zupełny porządek. Uczyli się i wydawali lekcye; Franz był cierpliwym i łagodnym nauczycielem, roztropnie unikał przedmiotów, którymby nie mógł podolać, i rządził raczej powagą, wypływającą ze smutku, niżeli słowami. Mniejsza dziatwa czytała, kiedy posłyszano kroki w sieni, i wszyscy zwrócili oczy na pana Bhaer, żeby odgadnąć, z jaką wieścią przybywa. Zaczyna jego twarz oznajmiała im zaraz, że Adaś już nie ma ojca, była bowiem znużona, blada i pełna rzewnego smutku.

Gdy Robcio zawołał z wyrzutem:

„Dla czego odjechałeś w nocy, i zostawiłeś mnie, papo?“

Przejęty myślą o innym ojcu, który téż nocy odszedł swe dzieci na zawsze, przycisnął Robcia do serca, i przez chwilę ukrywał twarz w jego kędzierzawych włoskach. Emil ze współczuciem i smutkiem oparł głowę na jego ramieniu, a inni siedzieli tak cicho, że słychać było opadanie liści z drzew.

Robcio nie rozumiał dobrze, co się stało, ale nie mogąc patrzeć na smutek ojca, podniósł jego schyloną głowę i rzekł swym pieszczotliwym głosem:

„Nie płacz, mój ojcie! Wszyscyśmy tacy grzeczni; odbywaliśmy lekcye bez ciebie, a Franz był nauczycielem.“

Pan Bhaer podniósł głowę, przymusił się do uśmiechu, i rzekł z wdzięcznością:

„Bardzo wam dziękuję; w piękny sposób przysłisze mi z pomocą. Bądźcie przekonani, że tego nie zapomnę.“

„To Franza myśl, i był doskonałym nauczycielem,“ rzekł Alfred, a ogólny szmer potwierdził to jego świadectwo.

Pan Bhaer postawił Robcia na podłodze, wyprostował się, i objął ręką smukłego młodziana, mówiąc z serdeczną radością:

„Doznałem przez was ulgi w tym ciężkim dniu, i odtąd jeszcze więcej będę wam ufał. — Muszę odjechać na kilka godzin, bom w mieście potrzebny; myślałem zatem dać wam wakacye, lub odesłać niektórych do domów; ale jeżeli chcecie zostać i tak się prowadzić dalej, będę z was zadowolony i dumny.“

„Zostaniemy! Wolimy zostać! Franz może opiekować się nami!“ wołali, ucieszeni tym dowodem zaufania.

„Czy mama nie przyjedzie?“ zapytał Robcio ze smutkiem, bo dla niego dom bez „mamy“ był tém samym, co świat bez słońca.

„Oboje wrócimy wieczorem: droga ciocia Malgosia jeszcze więcej potrzebuje teraz mamy, aniżeli ty, i wiem, że jej ustąpisz na krótki czas.“

„Dobrze, ustąpię; ale Teodorek płakał za mamą, uderzył w twarz dozorczyńnię, i okropnie był nie-

Mali mężczyźni.

grzeczny," odrzekł Robcio, jak gdyby te wiadomości musiały sprowadzić matkę.

"Gdzież jest ten malec?" zapytał pan Bhaer.

"Wyszedł do ogrodu, z Danem. Teraz jest już grzeczny," rzekł Franz, wskazując na okno, przez które widać było Dana, wożącego dziecko w bryczuszce, i psy figlujące obok niego.

"Wolę się z nim nie widzieć, bo się znów rozgrymasi; ale powiedzcie Danowi, że zostawiam Teodorka pod jego opieką. Co do starszych chłopców, to się mogą sami rządzić; Franz będzie wami kierował, i Silas także rozciągnie nadzór. A więc bądźcie zdrowi, zobaczymy się wieczorem."

"Chciałbym usłyszeć choć słówko o wuju Brooke," rzekł Emil, zatrzymując pana Bhaer, gdy spieszenie zabierał się do odwrotu.

Chorował tylko kilka godzin i umarł, jak żył: tak pogodnie, tak spokojnie, że się zdaje grzechem kłaść tę piękną śmierć gwałtownym żalem, lub samolubnym smutkiem. Zdażyliśmy na czas, żeby go pożegnać, i dzieci były w jego objęciach, gdy zasnął na piersi cioci Małgosi. Ale dosyć już tego, dłużej mówić nie mogę," rzekł pan Bhaer, i oddalił się strasznie zgnębiony, bo stracił w Janie Brooke przyjaciela i brata, i nie było nikogo, coby go zastąpił.

Cały ten dzień było bardzo cicho w domu: mali chłopcy bawili się spokojnie w dzieciennym pokoju; starsi zaś przechadzali się, siedzieli na wierzbie lub wśród ulubionych zwierzątek, i rozmawiali dużo o Janie Brooke. — Wieczorem państwo Bhaer przyjechali sami, bo Adaś i Stokrotka nie mogli opuścić matki, dla której byli największą pociechą.

Biędna pani Ludwika zdawała się całkiem pozabawiona sił, i widocznie potrzebowała takież samej

pociechy, bo wszedłszy na wschody, przedewszystkiém zapytała:

"Gdzie mój maleńki?"

"Tutaj!" odrzekł cienki głosik, a Dan podał jej Teodorka. Gdy tuliła chłopczykę do siebie, dodał:

"Mój Dancio pilnował mię cały dzień, a ja byłem dżecny."

Pani Bhaer zwróciła się do wiernego piastuna, żeby mu podziękować, ale on nie widział tego, bo dawał znaki chłopcom, szepcząc:

"Odejdźcie, dajcie jej teraz pokój!"

"Owszem, nie odchodźcie; chciałabym was wszystkich widzieć. Zbliźcie się tu, moi chłopcy; zaniedbałam was przez cały dzień," powiedziała pani Ludwika, i wyciągnęła do nich ręce.

Cała ta gromadka odprowadziła ją następnie do jej pokoju, okazując tkliwie, choć bez słów: smutek i współczucie.

"Takam zmęczona, że położę się i utulę tu do snu Teodorka, a wy mi przynieście herbaty," rzekła, usiłując być wesolą.

Pobiegli co tchu do jadalni, i cały stół byłby został оголоcony, gdyby nie to, że pan Bhaer ustanowił, żeby jedna gromadka podawała matce herbatę, a druga ją odniosła napowrót. Czterej najbliżsi i najdrożsi upomnieli się o pierwszy z tych zaszczytów; Franz poniósł zatem imbryk z herbatą, Emil chléb, Robcio śmietankę, a Teodorek cukierniczkę, która przybyła na miejsce lżejszą o kilka kawalców cukru.

Niejednej kobiecie wydawałoby się to męczącym w podobnej chwili, żeby się chmara chłopaków uwiłajała w koło niej, przewracając kubki, brząkając łyżeczkami, z gwałtownej chęci przysłużenia się. Ale pani Ludwice sprawiało to przyjemność, miała bowiem

serce bardzo roztkliwione, pomnąc na to, że niejedną z jej wychowanków nie ma ojca lub matki. — Strawa duchowa lepiej ją posiliła, niż grube kawałki chleba, jakie jej podawali, i więcej ją pocieszały szeptane słowa szorstkiego Komandora:

„Bądź mężną, ciociu; to ciężki cios, ale musisz mu stawić czoła,“ niżeli filiżanka, którą podał z herbatą tak gorzką, jak gdyby po drodze spadła w nią łza z jego oka.

Po wieczery, drugie grono odniosło cały przyrząd; a Dan rzekł, wyciągając ręce po śpiącego Teodorka:

„Pozwól, matko, żebym go położył, boś ty bardzo zmęczona.“

„Pójdiesz z nim, kochaneczku?“ zapytała pani Ludwika swego władcę i pana, który leżał u niej na rękach, obłożony poduszkami z sofy.

„Pójdę,“ odpowiedział malec, a wierny piastun z chlubą poniósł go do łóżeczka.

„Ach, czemuż ja się nie mogę czém przysłużyć!“ rzekł Alfred z westchnieniem, gdy Franz pochylony nad sofą, gładził rozpalone czoło cioci Ludki.

„Możesz i ty co uczynić. Przynieś skrzypce, i zagraj te miłe pieśni, które ci przysłał ostatnią razą wuj Teodorek. Nie mnie dziś nie może tak ukoić, jak muzyka.“

Alfred pobiegł po skrzypce i usiadłszy za drzwiami tak grał, jak jeszcze nigdy w życiu, — bo zdawało się, że sercem magnetyzuje palce. Inni chłopcy siedzieli cicho na wschodach, pilnując, aby nikt obcy nie wdarł się do domu. Franz pozostał na swoim miejscu, a biedna pani Ludwika ukojona, obsłużona, strzeżona przez swych wychowanków, — usnąwszy wreszcie, zapomniła na godzinę o strapieniu.

Dwa dni przeszły spokojnie, a trzeciego zaraz po lekcjach wszedł pan Bhaer z twarzą wzruszoną, trzymając karteczkę w ręce:

„Przeczytam wam coś, chłopcy,“ powiedział; oni zaś otoczywszy go, usłyszeli co następuje:

„Drogi bracie Fritzu! Słyszałam, że nie masz zamiaru przywieść dziś chłopców, z obawy, żeby mi tém nie sprawić przykrości. Sprowadź ich, proszę cię o to. Obecność przyjaciół będzie ulgą dla Adasia w tej ciężkiej chwili; przytém pragnę, aby usłyszeli, co ojciec powie o moim Janie. Wiem, że im to wyjdzie na dobre. Gdyby chcieli zaśpiewać jeden z tych pięknych, starych hymnów, których się nauczyli od ciebie, toby mi sprawiło większą przyjemność, niż inna muzyka, gdyż odpowiadałoby bardziej tej uroczystej chwili. Poprosz ich o to, i pozdrów odemnie.“

Malgorzata.“

„Czy pojedziecie?“ zapytał pan Bhaer, i spojrzal na chłopców, którzy byli bardzo wzruszeni serdecznymi słowy i życzeniem pani Brooke.

„Pojedziemy!“ odpowiedzieli jednym głosem, i w godzinę potem wybrali się z Franzem, aby wziąć udział w skromnym pogrzebie Jana Brooke.

Małeńki domek wydawał się tak cichy, słoneczny i ogrzany serdeczném ciepłem, jak kiedy przed dziesięciu laty Malgosia doń weszła w stroju panny młodej; tylko że wówczas był to początek lata i róże wszędzie kwitły, a teraz panowała już wczesna jesień, więc suche liście szeleściły na ziemi. „Panna młoda“ była teraz wdową; ale ta sama piękna pogoda jaśniała na jej twarzy: a słodkie poddanie się prawdziwie pobożnej duszy sprawiało, że jej obecność była pociechą dla tych, co przychodzili kość ją w żalu.

„Ach, Malgosiu, jak ty możesz to znosić w ten sposób!“ szepnęła Ludka, gdy ją też powitała w progu, tém tylko różniąc się od zwykłego zachowania, że jeszcze słodsza była.

„Droga Ludko, miłość, która mnie uszczęśliwiała przez dziesięć lat, podtrzymuje mię jeszcze. Ona nie mogła zamrzeć; — i obecnie Jan więcej jest moim, niż poprzednio,“ odrzekła Malgosia zcichą, — a tkliwą ufność w jęj oczach tak była piękną i promienną, że Ludka uwierzyła jęj, i podziękowała Bogu za nieśmiertelność takiej miłości.

Wszyscy się tam zebrali: rodzice, wuj Teoderek, ciocia Amelka, stary pan Laurence, siwy już i bezsilny, państwo Bhaer ze swą gromadką, i wielu przyjaciół. — Mógłby kto myśleć, że skromny Jan Brooke w swém pracowitém, cichém, ubogim życiu, mało miał czasu zjednywać sobie ludzi; tymczasem zjawili się zewsząd starzy i młodzi, bogaci i ubodzy, znani tości i prostaczkowie, — bo wpływ jego sięgnął daleko, cnoty wryły się w pamięć, i tajne jałmużny wyszły z ukrycia, żeby go błogosławić. Grono towarzyszące jego trumnie, było daleko wyższą pochwałą od tęg, jakaby pan March zdołał wygłosić: znajdowali się tam bogacze, którym służył wiernie przez długie lata; ubogie staruszki, które wspomagał mimo szczupłego mienia, przez pamięć na matkę; żona, któręj dał tyle szczęścia, że go nawet śmierć nie mogła zatruć w zupełności; bracia i siostry, których serca zdobył na zawsze; synek i córka, którzy już czuli utratę jego silnego ramienia i tkliwego głosu. — Działwa opłakiwała wesołego towarzysza zabaw, a starsi chłopcy z rzewnym smutkiem przyglądali się obrazowi, który im się utrwalił w pamięci. Był to bardzo krótki i prosty obrzęd: panu March zarówno bowiem drżał

głos, skoro chciał złożyć hołd zmarłemu, jak kiedy udzielał mu przed laty sakramentu małżeństwa.

Prócz kwilenia małego dziecięcia na górze, nie nie przerywało długiej ciszy po ostatniém amen, dopóki na znak dany przez pana Bhaer dobrze wyćwiczeni chłopcy nie zaśpiewali hymnu, tak pełnego wzniesłego spokoju, że wszyscy obecni przyłączyli się z wolna do nich, a zamacone dusze wleciały w górne krainy na skrzydłach słodkiej melodyi.

Malgosia doznawała nietylko tęg pociechy, że Janowi ostatnią pieśń zaśpiewały drogie mu młodociane głosy, ale widziała tęg z twarzy chłopców, że odczuwają wartość cnoty, i że na długo wrazi im się w pamięć obraz czeigodnego człowieka, który przed nimi leży nieżywy. Stokrotka oparła głowę na jęj kolanach, Adaś trzymał ją za rękę, często spoglądając oczami tak przypominającemi ojca, — i z ruchem, który się zdawał mówić: „Nie troszcz się, matko, bo ja tu jestem.“ Wszysey, co ją otaczali, byli to przyjaciele, na których się mogła oprzeć, których mogła kochać; tak więc cierpliwa, pobożna Malgosia zamykała w sobie ciężki smutek, czując, że największęg dozna ulgi, gdy będzie żyć dla innych, za przykładem swego Jana.

Owego wieczoru, gdy wychowawcy z Plumfield, jak zazwyczaj, siedzieli przed domem przy łagodném wrześniowém świetle księżyca, wszczęli naturalnie rozmowę o dniu ubiegłym.

Emil pierwszy odezwał się w swój porywczy sposób:

„Wuj Fritz jest najrozumniejszy, wuj Teoderek najmilszy, ale wuj Jan był najlepszy, i do nikogo na świecie nie chciałbym tak być podobnym, jak do niego.“

„Ja także. Słyszeliście, co dziś mówili ci panowie dziaduniowi?“ zapytał Jakubek, na którym ów dzień sprawił wielkie wrażenie. „Jeden ze współników pana Laurence, u którego wuj Jan pracował tak długo, powiedział, że on był prawie do zbytku sumienny, i pod każdym względem wyższy nad wszelkie zarzuty. Inny odezwał się, że niema tak wielkiej zapłaty, któraby zdołała wynagrodzić taką wierność i uczciwość w pracy. Wówczas dziadunio opowiedział im, że wuj Jan miał kiedyś posadę u oszusta, jak się pokazało; zwierzchnik ten zażądał raz udziału jego w brudnej sprawie, a doznawszy odmowy, rzekł gniewnie: „Tak surowe zasady przeszkodzą ci w każdym interesie,“ on zaś odparł: „Nie przystąpię do żadnego interesu bez surowych zasad,“ i porzucił zaraz tę posadę, a objął daleko uciążliwszą i mniej płatną.“

„Brawo!“ zawołali chłopcy z zapalem, bo tego dnia byli szczególnie zdolni ocenić podobny charakter.

„Wszak on nie był bogaty?“ zapytał Jakubek.

„Nie.“

„I nie odznaczył się niczem?“

„Nie.“

„Tylko był dobrym?“

„Tak,“ odrzekł Franz, i żałował, że wuj Brooke nie uczynił nic głośniego, widząc, że jakoś zawiódł Jakubka swą odpowiedzią.

„Tylko był dobry, w tém zawiera się wszystko,“ powiedział pan Bhaer, który dosłyszawszy ostatnie wyrazy, odgadł, co się odbywa w duszach jego chłopców. „Powie wam o nim niektóre rzeczy, żebyście zrozumieli, dla czego ludzie go poważali, i czemu wolał być dobrym, niż bogatym, lub sławnym. Po prostu pełnił każdy obowiązek tak gorliwie i wiernie, że to go czyniło mężnym, cierpliwym i szczęśliwym, —

pomimo ubóstwa, osamotnienia, i długich lat ciężkiej pracy. Był dobrym synem i wyrzekał się własnych widoków, żeby pozostawać przy matce i żyć dla niej, póki go potrzebowała. Był dobrym przyjacielem, więc nauczył Artura czegoś lepszego, niż łaciny i greczyzny; i może bezwiednie, — dawał przykład prawego człowieka. Był wiernym sługą, i tak się stawał cennym dla swych zwierzchników, że im go będzie trudno zastąpić. Był dobrym mężem i ojcem: tak tklwym, rozumnym i przezornym, że obaj z Arturem nauczyli się dużo od niego. Jak kochał swę rodzinę, dowiodło to, co uczynił dla niej, z własnego popędu, i bez żadnej pomocy.“

Pan Bhaer umilkł na chwilę, a chłopcy siedzieli, jak posagi, dopóki nie odezwał się znowu przytłumionym głosem: „Gdy już umierał, powiedziałem: Nie troszcz się o Małgosię i o dzieci, będę czuwał, żeby im na niczem nie zbywało. Uściskał mi rękę, i uśmiechając się spokojnie, rzekł: To zbyteczne, bo ja sam o nich pamiętałem. I rzeczywiście, przekonaliśmy się, zajrzawszy do papierów, że wszystko jest w porządku, że długów nie zostawił, a nawet tyle zaoszczędził, iż Małgosia będzie mogła żyć z dziećmi dostatnio i niezależnie. Dowiedzieliśmy się nareszcie, czemu żył tak skromnie, odmawiając sobie wszelkich przyjemności, prócz dawania jałmużny, — czemu pracował tak ciężko, że mu to może skróciło znaczne życie. Chociaż dla innych często żądał pomocy, dla siebie nigdy o nie nie prosił, lecz dźwigał swe ciężary, i pełnił obowiązki mężnie i spokojnie. Nikt się nie może nań uskarżać, taki był sprawiedliwy, szlachetny, zany; a teraz kiedy nas odszedł, wszyscy upatrują w nim tyle powodów do kochania, chwalenia i czczenia, że przyjaźń, jaką mnie obdarzał, przejmuję mię dumą.

Wolałbym zostawić dzieciom taką jak on spuściznę, niż największy w świecie majątek. Tak, prosta, szczerza dobroć jest najcenniejszym kapitałem: ona trwa, chociaż słowa i pieniądze odpadną, i jest jedynym skarbem jaki możemy zabrać z sobą, schodząc z tego świata. Pamiętajcie o tém chłopcy, i jeżeli chcecie zasłużyć u ludzi na zaufanie, szacunek i miłość, idźcie śladami Jana Brooke.“

Gdy Adaś wrócił z domu, po upływie kilku tygodni, zdawało się, że ze zwykłą u dzieci gietkością, przyszedł już do siebie; ale tak nie było, bo wrażenia jego były głębokie i padały na żyzny grunt. Wprawdzie bawił się, uczył, pracował i śpiewał, zupełnie jak przedtém, dla tego mało kto odgadywał zmianę, ale ciotka Ludwika ją dostrzegła, gdyż całem sercem śledziła chłopczyne, usiłując mu zastąpić Jana. Rzadko mówił o swój stracie, lecz pani Bhaer często słyszała w nocy przytłumione westchnienia, i gdy szła go pocieszać, wołał tylko. „Ach jak mi tęskno do ojca!“ Ale czas wpłynął dobroczynnie; zwolna przyszedł Adaś do tego poczucia, że ojciec nie jest dlań straconym, tylko niewidzialnym chwilowo, i że chociażby żył bardzo długo, odnajdzie go kiedyś zdrowym, silnym i kochającym. Szybko przywiązał się do tej wiary, i znalazł w niej ulgę i pociechę, gdyż prowadziła go drogą rzewnej tęsknoty od tego ojca, którego widywał niegdyś, do tego który jest niewidzialnym. Obaj byli w niebie, i modlił się do obu, starając się zasługiwać na ich miłość.

Oprócz wewnętrznej zmiany zaszła w nim i powierchowna, bo w ciągu tych kilku tygodni wyrósł bardzo, zaczął porzucać dziecinne zabawy, nie dla tego żeby się ich wstydził, ale że mu już było potrzeba bardziej męskich zajęć; wziął się do nienawi-

dzonej przedtém arytmetyki, i pracował nad nią tak usilnie, że wuj Fritz był uradowany, chociaż nie mógł zrozumieć tej fantazy, póki mu Adaś nie powiedział pewnego razu: Jak dorosnę, to będę buhalterem, jak ojciec, więc się muszę obeznać z rachunkami, żeby równie pięknie utrzymywać książki.

„Co mały chłopiec może robić, żeby zbierać pieniądze,“ zapytał raz ciotkę, z powagą.

„Dla czego pytasz o to, mój drogi?“

„Ojciec mi zalecił, żebym miał staranie o Mamie i siostrzyzkach, więc chciałbym spełnić jego wolę, a nie wiem jak się wziąć do tego.“

„On miał na myśli późniejszy czas, jak dorośniesz.“

„Jabym jednak chciał zacząć teraz, bo mi się zdaje, że powinien kupić różne rzeczy dla mojej rodziny. Mam dziesięć lat, a są chłopcy co już w tym wieku zarabiają.“

„Może chcesz zbierać uschłe liście i przykryć nimi grządkę z truskawkami? Dam ci za to dollara?“ powiedziała ciocia Ludka.

„Czy to nie za dużo? wszakże mógłbym tę robotę wykonać w jeden dzień. Bądź sprawiedliwą, ciociu, i nie płac za wiele, bo chciałbym prawdziwie zapracować te pieniądze.“

„Będę sprawiedliwą, mój drogi Adasiu, i nie zapłacę za dużo; tylko nie trudź się zbyt wiele. Gdy to zrobisz, znajdę jeszcze co innego,“ rzekła ciocia Ludka, bardzo wzruszona jego żądzą dopomagania, i poczuciem sprawiedliwości, — z których to zalet przypominał skrupulatnego ojca.

Gdy skończył robotę z liśmi, przywoził z lasu wióry taczkami, i dostał znowu dollara. Potém pomagał oprawiać szkolne książki, pracując wieczorami, pod kierunkiem Franza. Nad każdym tomem mozolił

się, bez niczyjej pomocy, i odbierał zapłatę z takim zadowoleniem, że te brudne nieraz pieniądze, otoczone były w jego oczach aureolą.

„Mam teraz po dolarze na osobę, i chciałbym je zawieść Mamie, na dowód żeś usłuchał ojca.“

Pojechał więc do matki, która przyjęła jego zarobek, jako skarb wielkiej wartości, i byłaby go zachowała nietkniętym, — ale ją Adaś uprosił, żeby kupiła jaką użyteczną rzecz dla siebie i dla dziewczynek, powierzonych jego pieczy.

Chociaż chwilami zapominał o swęj odpowiedzialności, chęć dopomagania zawsze w nim tkwiła, wzmagając się z latami. Podlegany celem swym i nadziejami, ten dziesięcioletni chłopczyk dzielnie wziął się do życia, i wszedł w posiadanie dziedzictwa, jakim były: pamięć rozumnego i czulego ojca, oraz uczciwe imię.

Rozdział dwudziesty.

Wkoło kominka.

Gdy nastał mroźny październik, a z nim i długie wieczory, wszyscy z przyjemnością gromadzili się wkoło kominka, aby się bawić w gry, czytać, lub układać plany na zimę. Ale ulubioną rozrywką było opowiadanie historii, i państwo Bhaer musieli mieć zawsze jaką zajmującą, na pogotowiu. Gdy się ich zapasy czasem wyczerpały, chłopcy usiłowali wystarczać sobie sami, ale im się nie zawsze wiodło. Przez niejaki czas ogarnął ich szal bawienia się w duchy: cała rzecz polegała na tém, żeby zgasić światło i ogień na kominie; poczem siedząc po ciemku, opowiadać jak

najstraszniejsze historie. Ponieważ to jednak odziaływało na nich tak szkodliwie, że Tomek chodził przez sen po dachu od lamusa, a młodsza dziatwa miała rozstrojone nerwy, zakazano im tego, i zwrócili się do bezpieczniejszej rozrywki.

Pewnego wieczoru, kiedy małych chłopców utulono już ciepło w łóžeczkach, a starsi w klasie otoczyli komin, rozmyślając co robić, — Adaś podał nowy sposób rozstrzygnięcia téj wątpliwości:

Schwyciwszy miotłkę z przed komina, chodził po pokoju, wołając: „rzędem, rzędem, rzędem!“ a gdy chłopcy śmiejąc się i popychając, stanęli w szeregu, rzekł: daję dwie minuty czasu do obmyślenia jakiej zabawy. Franz zajęty był pisanem, Emil czytał życiorys Nelsona, więc nie przyłączyli się do całej gromadki; ale reszta zamyśliła się głęboko, i gdy nastąpił oznaczony czas, każdy był gotów z odpowiedzią.

„Tomku, zaczynaj!“ powiedział Adaś, i ostrożnie dotknął mu głowy miotłką.

„Ślepa babka.“

„A ty Jakubku.“

„Komers o centy.“

„Wuj zakazuje grywać o pieniądze. — Cóż ty powiesz, Danie?“

„Wojna Greków z Rzymianami.“

„A ty, Nadziany?“

„Jabym chciał piec jabłka, lykać mak, i tłuc orzechy.“

„Dobrze! dobrze!“ odezwali się chłopcy, i gdy zaczęto zbierać głosy, wniosek Nadzianego został przyjęty.

Jedni zeszli do piwnicy po jabłka, drudzy pobiegli do lamusa po orzechy, a inni po makówki.

„Zaprosimy także dziewczątka, nieprawda?“ odezwał się Adaś, w nagłym przystępie gościnności.

„Stokrotka doskonale łuszcze kasztany,“ powiedział Alfred, pragnąc aby ta jego przyjacieleczka wzięła udział w zabawie.

„Andzia umieć gniesć makówki, więc musimy ją także zwabić,“ dodał Tomek.

„Mniejsza o to; niech przyjdą te wasze bogdanki,“ rzekł szyderczo Jakubek.

„Niewolno ci nazywać moją siostrę bogdanką, bo to niedorzeczne!“ zawołał Adaś.

„Kiedy ona jest bogdanką Alfreda; prawda Świergotku?“

„Nie zaprzeczę temu, jeżeli się Adaś nie rozgniewa. Jakże ję nie kochać, kiedy taka dobra dla mnie!“ odparł Alfred nieśmiało, ale z pewną powagą, bo rubaszne słowa Jakubka wprowadziły go w niejakie pomieszanie.

„Moją bogdanką jest Andzia, i ożenię się z nią za jaki rok, więc niech mi żaden z was nie wchodzi w drogę!“ powiedział Tomek gromkim głosem. Po dziecinnemu ułożyli sobie bowiem z Andzią taką przyszłość, że będą mieszkać na wierzbie, spuszczać z niej koszyk na pożywienie, i tym podobne niedorzeczności.

Chcąc uspokoić Adasia, wziął go Tomek pod rękę, i zaprowadził do domu. Andzia i Stokrotka, szły przy ciotci Ludce wyprawkę, dla dziecka jednej z sąsiadek.

„Czy pani będzie łaskawa ustąpić nam dziewczynkę na chwilę? Będziemy mieli o nich staranie,“ rzekł Tomek; przytém zgrzytnął zębami na znak że będą gryść orzechy, i plasnął palcami jak gdyby w nich trzaskaly makówki.

Dziewczątka zrozumiawszy od razu tę mimikę, za-

czyły zdejmować naparstki z paluszków, zanim pani Ludwika zdolała pojąć czy Tomek wpadł w konwulsję, czy obmyśla jaką nową psotę. Gdy jednak Adaś wytłomaczył jego znaki, chętnie dała przyzwolenie, i chłopcy odeszli ze swemi brankami.

„Nie mów do Jakubka,“ szepnął Tomek, idąc z Andzią przez sieni, po widelec do nakalania jabłek.

„Dla czego?“

„Wyśmiewa się ze mnie; więc wolałbym, żebyś się z nim nie zadawała.“

„A ja będę, jeżeli mi się spodoba!“ odrzekła Andzia, gdyż ją drażnił przedwczesnem nadawaniem sobie takiej powagi, jak gdyby ję władcą był i panem.

„Kiedy tak, to cię już nie chcę mieć za bogdankę!“

„Mniejsza o to.“

„Myślałem że mię kochasz, Andziu,“ odezwał się głosem pełnym wyrzutu.

„Ani trochę nie dbam o ciebie, jeżeli cię obchodzi naigrzanie się Jakubka.“

„Odbierze sobie pierścionelek: nie będę go już nosił,“ rzekł, zrywając z palca obrączkę z końskiego włosia, którą mu Andzia dała w zamian ze pierścionelek z wąsa od raka.

„Dam ją Antosiowi,“ odparła okrutna; chłopiec ten bowiem lubił panią Iskrę, i utoczył dla nię tyle szpilek do bielizny, tyle pudełek i lyżeczek, że by-laby mogła założyć sklep.

Chcąc sobie ulżyć, zawołał Tomek „Do pioruna!“ puścił rękę dziewczynki, i odszedł w największym gniewie. Musiała więc iść za nim sama jedna, z widelcem w ręczce; a za ten objaw lekceważenia, tak mu potém kłula serce zazdrością, jak gdyby to było jabłko do upieczenia.

Serce jego krwawiło się, różowe kalwinki szły do

pieca, kasztany głośno pękały na rozżarzonej lopatee, mak grzechotał w swém filigranowém więzieniu, Dan gryzł orzechy włoskie, wszyscy gwarzyli i śmieli się, a deszcz bił o szyby, i wicher jęczał wkoło domu.

„Z czego Dick jest podobnym do orzecha?“ zapytał Emil, który lubił czasem drwić złośliwie.

„Z tego że jest zmiążdżony,“ odparł Antoś.

„To brzydko żartować sobie z tego biednego kaleki, to bardzo nieszlachetnie!“ zawołał Dan, wywierając swój gniew na orzechu.

„Dla czego Stokrotka jest podobną do pszczoły?“ zawołał Alfred, pogrążony w zadumie od niejakić chwili.

„Bo jest królową roju,“ odparł Dan.

„Nie dla tego.“

„Bo słodka.“

„Pszczoły nie są słodkie.“

„Powiedzże sam.“

„Dla tego że wyrabia słodczyce, zawsze jest czynna i lubi kwiaty,“ rzekł Alfred; a Stokrotka cały ten czas rumiana była jak makówka.

„Z czego Andzia jest podobną do osy?“ zapytał Tomek przejmując ją płomiennym wzrokiem, i niedawny czasu by kto opowiedział, rzekł:

„Z tego że nie jest słodka, że ciągle brzęczy, kłuje żądlem, i zła jak furja.“

„Tomek oszalał, i mocno mię to cieszy!“ zawołał Antoś; Andzia zaś odsunęła się żywo:

„Jakie naczynie przypomina Tomka?“

„Pieprzniczka,“ odparł Antoś, podając Andzi orzech obrany, z tak dokuczliwym uśmiechem, że Tomek byłby chciał wyskoczyć ze skóry jak kasztan, i rzucić się na kogo.

Widząc że złośliwość bierze górę nad słabym do-wcipem, wystąpił Franz znowu z pomocą.

„Ustanówmy takie prawo,“ rzekł, „pierwsza osoba która wejdzie do tego pokoju, musi nam opowiedzieć historię. — Ciekawym kto się zjawi na pierwszy ogień?“

Wszyscy zgodzili się na to, i ciekawość ich nie była wystawioną na długą próbę, gdyż po chwili ciężkie kroki dały się słyszeć w sieni, i Silas wszedł z naręczem drzewa. Przywitany powszechnym okrzykiem, rozglądał się dokoła z uśmiechem pełnym zdumienia, póki mu Franz nie wytłumaczył tego wybuchu wesołości.

„Nie umiem opowiadać historii,“ rzekł, i zrzuciwszy z siebie ciężar, zabięrał się do odejścia; ale go chłopcy obstąpili, kazali usiąść, i póty go trzymali, ze śmiechem i wrzawą dopominając się historii, że wreszcie pocziwy olbrzym dał się pokonać.

„Jedną tylko mógłbym opowiedzieć, i to o koniu,“ rzekł nakoniec, gdyż mu pochlebilo doznane przyjęcie.

„Opowiedz ją, opowiedz!“ wołali chłopcy, cofnął więc krzesło swoje pod ścianę, założył wielkie palce w otwory od kamizelki, i rzekł: „Służyłem ja kiedyś w kawaleryi, i widziałem niejedną bitwę. Koń mój nazywał się major; takem go kochał jakby człowieka. Nie był on piękny, ale tak miły, dobry i zmysłny, jakiegom w życiu nie widział. Gdyśmy poszli pierwszy raz na pole bitwy, dał mi naukę, której nie zapominałem, mimo otaczającego mię zgiełku, — i zaraz ją paniczom opowiem. Nie będę próbował opisać wrzawy, zamieszania i wszelkich okropności bitwy, bo na to słowa nie starczą; ale muszę przyznać, że z początku byłem tak oduszony, że nie wiedział, co się ze mną dzieje. Kazano strzelać, posuwać się naprzód,

Mali mężczyźni.

i niepodnosić rannych. Dostawszy strzał w ramię, spadłem z siodła, i sam niewiedząc jak i kiedy, zostałem w tyle, wśród rannych i poległych; reszta zaś, jak powiadam, poszła dalej. Gdy się podniosłem, zacząłem szukać Majora, chcąc już opuścić pole bitwy; nie spostrzegłem go jednak, i już zamierzałem wrócić do obozu, kiedy mnie doszło znane mi rzenie. Obejrzawszy się, zobaczyłem Majora który czekał na mnie z daleka, widocznie z dziwiony, czemu się ociągam tak długo. Gwizdnąłem więc, i przybiegł truchtem, jakim go sam wyuczył; a ja, wsiadłszy nań, jak się dało, z pokrwawionem lewem ramieniem, wybierałem się do obozu. Przyznaję że byłem tak osłabiony i zaległy jak kobieta, co w pierwszej bitwie często się zdarza; ale Major odważniejszy odemnie, nie chciał zrobić ani kroku; podskakiwał wesoło, tańczył, rżał, i zdawało się że zapach prochu i zgiełk wojenny przyprawiły go o szal. Czyniłem com mogłem, ale nadaremnie, — więc trzeba było uleść, i zgadnijcie co zrobiło to odważne zwierzę? Oto zawróciwszy się, pognęło jak wicher, tam gdzie wrzała najsrozsza bitwa.

„Brawo!“ zawołał Dan z zapalem; a reszta chłopców zapomniła nawet o jabłkach, maku i orzechach.

„Tom się dopiero zawstydzil!“ mówił dalej Silas. „Zapomniałem całkiem o ranie, i jak wściekły rzuciłem się między walczących. Wtém, padł wśród nas granat, i wielu poniosło śmierć. Przez chwilę nie wiedziałem, co się ze mną dzieje; a gdy przyszedł do siebie, już bitwa była skończona, i spostrzegłem, że leżę pod jakimś murem, Major zaś obok mnie. Miałem nogę strzaskaną, i w ramieniu utkwiała kula, a biednemu towarzyszowi memu, kawalek owego zabójczego granatu przedziurawił bok.“

„Cóżes nim zrobił, Silasie?“ zawołała Andzia,

przysuwając się, a twarzyczka jej wyrażała współczucie i zaciekawienie.

„Przywlokłem się bliżej, żeby mu zatamować krew szmatami jakie zdołałem zedrzeć z siebie, jedną tylko ręką; ale się to na nic nie zdało, jęczał strasznie, i patrzył tak kochająco, że mi się wydało, iż tego nie przetrzymam. Dawszy mu tę słabą pomoc, usiłowałem zacząłgać się do strumyka dosyć oddalonego, bo gdy słońce zaczęło coraz bardziej dolegać, biedny koń wywieszał spieczony język; alem był tak zeszywniały i osłabiony, że się musiał tego wyrzec, i tylko chłodziłem go kapeluszem. Jak wam kto powie, że dużo cierpiał na wojnie, przypomnijcie sobie moje opowiadanie, i uwierzcie tamtemu. Niedaleko, leżał jakiś stary żołnierz z nieprzyjacielskiego obozu, postrzelony w piersi i konający. Zasłoniłem mu więc twarz chustką, bo ludzie w takim razie, zamiast pamiętać do jakiego należą stronnictwa, wzajemnie sobie dopomagają. Gdy zmiarkował że mię trapi Major, i że pragnę mu ulżyć, podniósł oczy, siny i blady z bólu, i rzekł: „Mam wodę w puzderku, weź ją, bo mnie na nic się już nie zda.“

„Nie byłbym jej przyjął, gdyby nie to że miał we flaszcze trochę wódki, której dałem mu się napić. Jemu to ulżyło, a i mnie było tak, jak gdybym się sam pokrzął. Dziwna rzecz, jak takie drobne rzeczy czasem wiele znaczą!“ Tu, Silas umilkł, widocznie zostając pod wpływem tego wrażenia kiedy zapomniawszy o waśniach, dopomagali sobie jak bracia.

„Opowiadaj o Majorze!“ zawołali chłopcy, zdjęci ciekawością.

„Nalałem mu wody na spieczony język, i spojrzał na mnie konik z taką wdzięcznością, do jakiej jest zdolne tylko nieme zwierzę. Ale to się na mało

przydało, bo tak mu dolegała straszna rana, że już nie mógł dłużej patrzeć. Dużo mu kosztowało com zrobił, ale tak nakazywała litość, i wiem że mi wybaczył.

„Cóżś zrobił?“ zapytał Emil, gdy Silas umilkł nagle, i głośno chrząknął tylko, z takim wyrazem na gminnej twarzy, że Stokrotka przysunawszy się, oparła rączkę na jego kolanie.

„Zastrzeliłem go.“

Mrowie przeszło słuchaczy, gdy wypowiedział te słowa, bo Major wydawał im się bohaterem, a ten tragiczny koniec obudził w nich żywe współczucie.

„Tak, zastrzeliłem, żeby zakończyć męki; ale przedtem, poklepaawszy go, rzekłem: bądź zdrow.“ Następnie położyłem mu wygodnie leż na trawie, spojrzałem ostatni raz w kochające oczy, i wpakowałem mu kulę. Takem trafnie wycelował, że prawie nie drgnął. Widząc że cicho leży i nie jęczy już z bólu, byłem rad; jednakże, — no, nie mam się czego wstydić, objąłem mu kark rękami i rozbeczałem się, jak dzieciak. Sam nie wiedziałem, że taki ze mnie głupiec!“ Poczciwy Lilas obtarł oczy rękawem, zarówno wzruszony łkaniem Stokrotki, jak wspomnieniem wiernego Majora.

Przez chwilę panowała ogólna cisza, bo na chłopcach ta historia sprawiła niemniej wrażenia jak na tkliviej Stokrotce, chociaż nie objawili go płaczem.

„Chciałbym mieć takiego konia,“ rzekł Dan półgłosem.

„Czy ten nieprzyjaciel umarł?“ zapytała Andzia z niepokojem.

Dopiero później. Leżeliśmy tam cały dzień, a w wieczór kilku towarzyszy broni przyszło szukać rakujących, i ma się rozumieć że mnie chcieli za-

brać przed nim, ale powiedział że mogę poczekać, i że się tamtemu może nigdy już nie zdarzy sposobność ratunku, więc żeby go zaraz zabrano. Miał jeszcze dosyć siły by wyciągnąć rękę, i powiedział: „dziękuję ci, towarzyszu.“ To były jego ostatnie słowa, bo umarł w godzinę po przybyciu do namiotu służącego za szpital.

„Jak ci musiało być błogo, żeś mu wyświadczył tę przysługę!“ rzekł Adaś, przejęty silnym wrażeniem.

„Pocieszałem się tą myślą, leżąc długie godziny sam jeden, z głową opartą o kark Majora, i ze wzrokiem wlepionym we wschodzący księżyc. Byłbym chciał przywoicie pogrzebać to biedne zwierzę, ale to było niepodobieństwem; więc uciąłem tylko kawałek grzywy, i dotąd ją przechowuję. Może panienska zechce zobaczyć?“

„O proszę pokazać!“ zawołała Stokrotka obciérając lezki, żeby mózdz patrzeć.

Silas wydobyl stary pugilares, i wyjął zeń kawałek szarej bibuły w którą był zawinięty promień białego włosia. Dzieci przypatrywały się w milczeniu pamiętce leżącej na szerokiej dłoni Silasa, i wcale im się nie wydała śmieszną ta miłość dla pocziwego Majora.

„To ładna historia i podobala mi się, chociaż płakałam; bardzo za nią dziękuję, Silasie,“ rzekła Stokrotka pomagając mu zawinąć tę drobną pamiętkę. Andzia wspaniała mu przez ten czas garstkę maku do kieszeni, a chłopcy głośno wychwalali jego historię, upatrując w niej dwóch bohaterów, nie jednego.

Silas odrzekł odurzony zaszczytami, a mali spis-kowcy roztrząsając tę historię, wyczekiwali drugiej ofiary. Była to pani Ludwika, która chciała przy-

mierzyć Andzi nowy fartuszek. — Dawszy wejść spokojnie, rzucili się potem ku niej, żądając historyi, na mocy swego prawa. Ta zasadzka bardzo zabawiła panią Bhaer, i przystała od razu na spełnienie prośb, gdyż dźwięk ich wesółch głosów tak mile dochodził przez sieni, że pragnęła zapomnieć wśród nich, smutnych myśli o Małgosi.

„Czy jestem pierwszą myszką jaką schwytałiscie, chytne kotki?“ zapytała, gdy grono rozpromienionych słuchaczy posadziwszy ją na fotelu, częstowało przysmakami.

Podezas kiedy ję opowiadali historję Silasa, tarła sobie rozpaczliwie czoło, niemając nic na pogotowiu.

„O czémże mam opowiadać?“ spytała. „O chłopcach,“ była ogólna odpowiedź.

„O chłopcach którzy sobie urządzają zabawę jaką,“ dodała Stokrotka.

„I którzy mają coś dobrego do jedzenia,“ nadmienił Nadziany.

„Przypomnieliście mi historję napisaną przed laty przez jedną zasną staruszkę. Bardzo ją lubiłam, i mam nadzieję że się wam także spodoba, bo jest w niej mowa o chłopcach, i o czémś dobrem do jedzenia.“

„Jaki ma tytuł?“ zapytał Adaś?“

„Podejrzewany chłopiec.“

Alfred oderwał oczy od kasztanów które nakalał, a pani Ludwika uśmiechnęła się, odgadując jego myśli.

„W jednem zacisznem miasteczku, miss Katarzyna utrzymywała szkołę dla chłopców, prowadząc ją na poczeiwy, staroświecki sposób. Sześciu uczni było stałych, a czterech czy pięciu przychodnich. Z pomiędzy pierwszych, jeden nazywał się Ludwik. Nie był to zły chłopiec, tylko trochę nieśmiały i czasami kłam-

liwy. Pewnego dnia, jedna z sąsiadek przysłała koszyczek agrestu; ponieważ nie uraczyliby się nim wszyscy do syta, miss Katarzyna lubiąc sprawić chłopcom przyjemność, upiekła dwanaście wybornych pasztecików, które nadziała tym owocem.“

„Chciałabym jeść kiedy takie ciasteczka, bom ciękawa czy podobne do moich, z malinami,“ rzekła Stokrotka w której pociąg do kuchni ożywił się znowu podówczas.

„Cicho!“ powiedział Alfred zatykając ję buzię pekatą makówką, bo go zaciekawiała ta historia, i podobał mu się ję początek.

„Skoro się ciastka upiekły, miss Katarzyna zaniósła je do szafy stojącej w najparadniejszym pokoju, i nie wspominała o nich, chcąc zrobić chłopcom niespodziankę przy herbacie. Gdy nadeszła ta chwila, i wszyscy zasiedli do stołu, udała się po nie, lecz wróciła bardzo pomieszana, bo — zgadnijcie co się przydarzyło?“

„Ktoś je porwał!“ zawołał Antoś.

„Nie, ciastka zostały: ale wykradł ktoś wszystek owoc, w ten sposób, że zdejmował wierzeh, — a wyjadłszy nadzienie, kładł go napowrót.“

„Co za bezwstydný figiel!“ zawołała Andzia spoglądając na Tomka, aby mu dać niejako do zrozumienia, że byłby zdolny zrobić to samo.

Gdy miss Katarzyna opowiedziała chłopcom o swych dobrych chęciach, i pokazała okradzione ciasteczka, bardzo ich to zasmuciło, i jednym głosem zapewnili, że nie wiedzą o niczém.

„Może-to szczury wzięły?“ odezwał się najgłośnieji Ludwik.

„Gdyby one się zakradły, schrupałyby całe ciastka, niewybiórąjąc agrestu: tego się dopuścili ręce,“

rzekła miss Katarzyna, której nietylko szło o zmarnowane ciastka, jak o to, że jeden z jej wychowanków musiał skłamać.

Skoro po wieczerzy położyli się spać, usłyszała ona po niejakić chwili jęki; poszła więc czémprędzej zobaczyć co się dzieje, i okazało się, że Ludwik jest bardzo cierpiący. Miss Katarzyna, widząc że mu zaszkodziło jakieś jedzenie, z przestachu miała już posłać po doktora, kiedy chory wyjąkał. „To od agrestu, bom ja go zjadł, i przed śmiercią muszę się przyznać pani do tego.“

„Jeżeli ci jest to tylko, dam ci emetyku, i nie-zadługo będziesz zdrow“, rzekła. — Dostał zatem porządną naukę, ale gdy się do rana zupełnie wyleczył, zaczął błagać żeby nie mówiła nic chłopcom, bo się śmiać będą. Miss Katarzyna obiecała milczeć przez dobroć, ale służąca Salusia opowiedziała im całą historję, i przez długi czas biedny Ludwik nie miał spokoju, gdyż koledzy nazywali go „agrestem“ i raz w raz pytali o cenę torcików.“

„Dobrze mu tak“, odezwał się Emil.

„Zło zawsze wychodzi na jaw“, dodał z powagą Adaś.

„Nie zawsze“, mruknął Jakubek, który bardzo pilnie czuwał nad jabłkami, żeby odwróciwszy się od całego grona, ukryć zarumienioną twarz.

„Czy to już koniec?“ zapytał Dan.

„Nie; pierwsza część dopiero, ale druga jest bardziej zajmująca. — Wkrótce wstąpił tam wędrujący kupiec, żeby pokazać chłopcom swoje towary: kilku pokupowało grzebyki, piszczałki i różne tym podobne frazski. Miał on téż scyzoryk w białej oprawie, na który Ludwik ostrzył sobie zęby, ale już był wydał wszystkie pieniądze, a nie miał u kogo pożyczyć. Nie-mogąc się napatrzeć tego scyzoryka, trzymał go

w ręce, lecz nareszcie musiał go położyć, skoro kupiec upakował towary, by ruszyć w dalszą drogę. Nazajutrz wrócił on znowu, oznajmiając że mu brak scyzoryka, który musiał pozostać u miss Katarzyny, i że nie myśli go stracić, gdyż był bardzo ładny. Wszyscy spojrzeli z zadziwieniem, upewniając że o niczem nie wiedzą. „Ten młody panicz wziął go na ostatku, i widoczną miał nań ochotę. Czyś go z pewnością oddał, kawalerze?“ zapytał kupiec Ludwika, który był mocno zmieszany, i przysięgał że nie nie winien téj zgubie. Na nie się to jednak nie zdało, bo mu nikt nie wierzył. Po burzliwej scenie, miss Katarzyna musiała wynagrodzić straty kupcowi, i dopiero wówczas odszedł, pomrukując gniewnie.

„Czy Ludwik wziął ten scyzoryk?“ zapytał Alfred z wielką ciekawością.

„Zobaczysz; musiał znowu przejść biedak przez ciężką próbę, gdyż koledzy nieustannie mówili, „Pożycz mi scyzoryka, agreście“, co było tak dręczącym, że poprosił o odesłanie go do domu. Miss Katarzyna starała się poskramiać chłopców, ale to było ciężkie zadanie, bo chcieli mu dokuczać, ona zaś nie mogła być z nimi bez ustanku. Jedną z najmoźniejszych rzeczy, jest opieka nad chłopcami, — w podobnym razie, — nie chcą bowiem podnieść kolegi skoro upadnie, lecz powoli męczą go do takiego stopnia, że jużby wolał stracić życie od razu.“

„Znam to“, rzekł Dan.

„I ja także“, dodał Alfred z łagodnym żalem.

Jakubek milczał, ale i on byłby to chciał powiedzieć, bo nim także pogardzali starsi chłopcy i stro-nili odeń, z téjże samój przyczyny.

„Mów ciociu dalej o biednym Ludwiku! mnie się zdaje, że on nie wziął tego scyzoryka; alebym wolała

mieć pewność," powiedziała Stokrotka z żywym przejęciem.

Mijał tydzień za tygodniem, a rzecz się nie wyjaśniała. Chłopcy unikali Ludwika który rozchorował się prawie ze zmartwienia. Uczyniwszy postanowienie że już nigdy nie skłamię, tak się strzegł pilnie, że miss Katarzyna przez litość ułatwiała mu to, i nawet uwierzyła w końcu, że się nie dopuścił kradzieży. We dwa miesiące kupiec znowu przyszedł, zaraz na wstępie mówiąc do przelożonej „Znalazłem nareszcie scyzoryk, bo wypadł parę dni temu z za podszewki od kuferka, gdym układał nowe towary. Ponieważ pani już zań zapłaciła, zdawało mi się, że go trzeba odnieść."

Chłopcy bardzo zawstydzeni, tak serdecznie przepraszały Ludwika, że im nie mógł odmówić przebaczenia; a miss Katarzyna darowała mu ten scyzoryk, i zachował go przez długie lata na pamiątkę błędu, który go tak wiele cierpień kosztował.

Ciekawym dla czego rzeczy zjedzone pokryjomu szkoda, a po tych co się jawnie je przy stole, nie nam nie jest," rzekł Nadziany po chwilowém zamysleniu się.

"Może sumienie oddziaływa na żołądek?" odpowiedziała pani Ludwika z uśmiechem.

"Przypomniały mu się ogórki," rzekł Antos, i wszyscy parsknęli, bo ostatni wypadek Nadzianego bardzo był zabawny.

Gdy zjadł raz potajemnie dwa duże ogórki i bardzo mu się niedobrze zrobiło, zwierzył się z tą biędą Antosowi, prosząc o poradę. Koleżka w dobrą wierze zalecił plaster z gorczycy na żołądek, i gorącą duszę od żelaza, na nogi; ale on, przez omyłkę, postąpił odwrot-

nie, i znaleziono biédaka na poddaszu z poranionemi podeszwami i wypaloną kurtką.

"Prosimy o drugą jeszcze historję," odezwał się Alfred, gdy ustal śmiech.

Zanim pani Ludwika zdążyła zadowolnić nienasyconego chłopca, wszedł Robcio do pokoju ciągnąc za sobą kołderkę, i biegnąc prosto do matki, jako do bezpiecznego schronienia, rzekł ze słodką twarzą:

"Usłyszałem wielką wrzawę, więcem myślał, że się co stało, i przyszedłem zobaczyć."

"Jako, szkaradny chłopcze, — przypuszczałeś, żeś zapomniała o tobie?" zapytała matka, udając surową minę.

"Nie; ale mi się zdawało, że Mamie będzie miło zobaczyć mnie tutaj," odrzekł niespodziany gość.

"Milejby mi było widzieć cię w łóeczku, więc ruszaj z powrotem, mój Robciu."

"Každy co tu wchodzi, musi opowiedzieć historyjkę; więc ponieważ tego nie potrafisz, umykaj lepij."

"I owszem, potrafię! Często opowiadam Teodorkowi o niedźwiedziach, o księżycach i o małych muszkach, które brzęcząc mówią różne rzeczy," odparł malec, chcąc bądź co bądź, pozostać.

"Opowiedz-że co, a potem dalej, w drogę! rzekł Dan, gotując się by go wynieść na barkach.

"Dobrze, ale pomyślę troszeczkę," powiedział Robcio, i przytulił się do kolan matki, która pieszcząc go, odezwała się:

"To wyskakiwanie z łóeczka o niewłaściwej porze, jest familijną wadą. Adaś często robił to samo; a co do mnie, koczowałam po całych nocach. Malgosi nieraz się zdawało że się dom pali, i wysyłała mnie na dół dla przekonania się, a jam zostawała tam

i bawila się wybornie. I ty masz na to chętkę, niegodziwy synu.“

„Jużem wymyślił,“ odezwał się Robcio, całkiem teraz swobodny, i rad że zdobędzie entré do tego rozkosznego zgromadzenia.

Wszyscy wpatrzyli się i wsłuchali, powstrzymując uśmiech, gdy Robcio siedzący na kolanach u matki, i obwinęty w jaskrawą kolderkę, opowiedział tę krótką, ale tragiczną historję:

„Była pewna pani, która miała milion dzieci i jednego chłopczyka. Poszła raz na górę i powiedziała: „Nie chodź na podwórze!“ ale on poszedł i wpadł w studnię, i utopił się na śmierć.“

„Czy to już koniec?“ zapytał go Franz, gdy się zatrzymał, by odetchnąć po tym przerażającym początku.

„Jeszcze nie; będę opowiadał dalej,“ odrzekł Robcio i ściągnął brwi, mozolnie szukając natchnienia.

„Co ta pani zrobiła, jak chłopaczek wpadł w studnię?“ zapytała matka, żeby mu dopomódz.

„Wypompowała go, obwinęła w gazetę i położyła na półce, żeby wyschł.“

Ogólnym wybuchem śmiechu przyjęto tak niespodziane zakończenie, a pani Ludwika głaszcząc mu główkę, rzekła uroczyście:

„Synu mój, odziedziczyłeś po matce dar opowiadania. Idź, gdzie sława cię wzywa.“

„Czy teraz mogę tu zostać? Wszak to była dobra historyjka?“ zawołał Robcio, pyszniąc się świetnym powodzeniem.

„Możesz zostać, póki nie zjesz tych dwunastu ziarenek maku,“ rzekła matka, sądząc, że je wyspie od razu do buzi; ale Robcio, chytry chłopak, zjadał je po jednym, w pełni używając każdej chwili.

„Czy ciocia nam nie powie przez ten czas drugiej historyi?“ zapytał Adaś.

„Umiem już tylko jedną krótką powiastkę o skrzyni do drzewa,“ powiedziała pani Ludwika, widząc, że Robcio ma jeszcze siedm ziarenek do zjedzenia.

„Będzie w niej mowa o chłopcu?“

„Cała jest o chłopcu.“

„A czy prawdziwa?“ zapytał Adaś.

„Co do słowa.“

„Ach, to dobrze! Proszę opowiadać.“

„Jaś mieszkał z matką w maleńkiej chatce. Ponieważ byli biedni, musiał ję dopomagać w pracy; ale o ile lubił książki, o tyle nienawidził ręcznych robót, i byłby się chciał uczyć całymi dniami.“

„Jakie to dziwne! Ja znowu książek nie cierpię, a ręczne zajęcia lubię,“ rzekł Dan, z góry potępiając za to Jasia.

„Różni ludzie są na świecie: jedni pracują głową, inni rękami, a wszyscy są pożyteczni, i dla wszystkich znajduje się odpowiednie miejsce. Sądzę jednak, że kto się oddaje naukom, powinien też umieć pracować rękami, w razie potrzeby, i odwrotnie — pracujący ręcznie, powinien zajmować się niekiedy książką,“ powiedziała pani Ludwika, znacząco spoglądając na Dana i Adasia.

„Ja z pewnością pracuję!“ zawołał Adaś, pokazując z chlubą trzy nagniotki na maleńkiej ręczce.

„A ja się uczę!“ dodał Dan, i z westchnieniem wskazał na tablicę pełną zgrabnych cyfr.

„Zobaczmy, co Jaś robił. Nie chciał on być samolubnym, ale kochająca matka pozwalała zajmować się tém, co mu sprawiało przyjemność, sama ciężko pracując, żeby mógł mieć książki i wolny czas do czytania. Pewnej jesieni, Jaś zapragnął pójść do

szkoły, i udał się do proboszcza z prośbą o książki i przyzwoite ubranie. Zaczynał ten pleban słysząc o próżniactwie chłopca, nie miał chęci przyjść mu z wielką pomocą: sądził przytém, że kiedy zaniedbuje matkę, i pozwala, by mu służyła jak niewolnica, nie zachowa się téż dobrze w szkole. Przez dobroć serca, i ze względu na szczere chęci Jasia, zajął się nim jednak i dla wypróbowania go powiedział:

„Dam ci, mój Jasiu, ubranie i książki; ale pod jednym warunkiem.“

„Pod jakim?“ zapytał Jaś, rozjaśniając twarzyczkę.

„Własnymi rękami będziesz matce zaopatrywał skrzynię w drzewo; a skoro tylko zaprzestaniesz, wydalę cię ze szkoły.“

Jaś roześmiał się z tak osobliwego, i o ile mu się zdawało, łatwego warunku, — i chętnie nań przystał.

Zaczął więc chodzić do szkoły, i przez jakiś czas doskonale sobie radził z drzewem; była to bowiem jesień, więc pełno znajdował wiórów i suchych gałęzi. Rano i wieczorem przynosił ich duży koszyk, albo drew urąbał do kuchenki. Przy oszczędności matki, niezbyt wielki był to trud; ale w listopadzie nastaly mrozy, dni były chmurne i zimne, drzewo prędko się wypalało. Matka kupiła go furkę za własne pieniądze, lecz znikło, zanim Jaś przypomniał sobie, że powinien na potem zaopatrzyć chatkę.

Józefowa będąc już wątłą i zreumatyzmowaną, nie mogła tyle pracować co wpiérwój, i biédny chłopczyzna przewidywał, że wkrótce przyjdzie mu porzucić książki, a szukać ręcznej roboty. Przykro mu było, bo się uczył dobrze i tak chętnie, iż tylko sen lub jadło odrywały go od lekcji. Wiedząc jednak że proboszcz dotrzyma słowa, rad nie rad starał się za-

rabiać pieniądze w wolnych chwilach, żeby się skrzynia nie opróżniała. Rozmaite robił rzeczy: to załatwiał komu sprawunki, to popiłnował krowy sąsiada, to pomógł zakrystyanowi uprzątnąć kościół na niedzielę, i w ten sposób mógł po trosze kupować drwa. Ale ciężko mu to przychodziło: dni były krótkie, zima bardzo ostra, szacowny czas prędko ulatał, a ukochane książki tak wabiły, że smutno było opuszczać je dla nudnych obowiązków.

Proboszcz przyglądał mu się w cichości, i widząc szczere chęci, dopomagał potajemnie. Spotykał go często, gdy drzewo wiózł sankami, i ponieważ woli szły zwolna, czytał lub uczył się, żeby niemarnować czasu.

„Widzę, że ten chłopiec wart jest pomocy; taki sposób zdobywania nauki wyjdzie mu wprawdzie na dobre, ale niebawem dam mu łatwiejszy,“ pomyślał proboszcz w wigilię Bożego narodzenia i kazał złożyć po cichu przed chatką wielki stos drzewa, wraz z nową piłą, i z karteczką na której były te słowa:

„Bóg dopomaga tym, co się starają radzić sobie.“

Biédny Jaś nie spodziewał się żadnych podarków; tymczasem obudziwszy się w pierwsze święto, znalazł ciepłe rękawiczki, które matka zrobiła na drutach, mimo palcy zesztyniałych od reumatyzmu. Wielką mu tém sprawiła przyjemność, ale większej jeszcze doznał, gdy całując go z tkliwem spojrzeniem, nazwała go dobrym synem.

Ujrawszy przed drzwiami wielki stos drzewa i karteczkę, zaraz odgadł dobroczyńcę i zrozumiał jego myśl. Złożył mu więc serdeczne dzięki, i z całych sił wziął się do pracy. Inni chłopcy baraszkowali owego dnia; lecz Jaś rąbał drzewo, i pewno w całym miasteczku najszcześliwszym był ten młody chłopaczek,

który w ciepłych rękawiczkach, napełniał matce skrzynię, gwiżdżąc jak kos.“

„Jakie to śliczne!“ zawołał Dan; wołał bowiem zyczajną, z potocznego życia wziętą powiastkę, niż najpiękniejszą bajkę czarodziejską. „Bądź co bądź, mnie się podoba ten chłopiec.“

„Ciociu, czybym nie mógł rąbać dla ciebie drzewa?“ zapytał Adaś, któremu to opowiadanie nasunęło myśl nowego zarobku dla matki.

„Proszę opowiadać o złym chłopcu, bo ja wolę tego słuchać!“ odezwała się Andzia.

„Albo o niedobrej dziewczynie,“ rzekł Tomek, któremu jęj nieprzyjaźń zatrula cały wieczór: jabłko wydawało mu się gorzkie, mak mdły, orzechy twarde, a widok Antosia i Andzi siedzących obok siebie na sofie, obrzydzał mu życie.

Ale pani Ludwika już przestała opowiadać, — spostrzegła bowiem, że Robcio usnął, ściskając kilka ziarenek maku w tłustej rączce. Owinęła go więc kołderką, wyniosła i położyła, — niebojąc się, aby wyskoczył powtórnie z łóżeczka.

„Zobaczmy, kto też wejdzie teraz,“ rzekł Emil, siadając przy drzwiach otwartych na rozcież, dla przynęty.

Najpierw przeszła Marya - Anna; zawołano ją, ale ostrzeżona przez Silasa, roześmiała się tylko i pospieszyła dalej. Po chwili, otworzyły się główne drzwi i dał się słyszeć silny głos nucący w sieni:

Ich weiss nicht, was soll es bedeuten,
Dass ich so traurig bin! *)

„Wuj Fritz! Roześmiejcie się głośno, to z pewnością przyjdzie,“ rzekł Emil.

*) Nie wiem, co znaczyć ma,
Że smutek w sercu trwa.

Gdy wszyscy wybuchnęli wesołym śmiechem, pan Bhaer wszedł istotnie, pytając:

„W co się bawicie, chłopcy?“

„Złapany! złapany! Nie możesz pan stąd wyjść, póki nie usłyszymy historii!“ krzyknęli chłopcy, zamykając za nim drzwi.

„Więc to był wybieg? Ależ ja wcale nie mam ochoty odejść, bo tu bardzo miło, — i zaraz wywiążę się z długu.“

Rzekłszy to, usiadł i zaczął opowiadać:

„Dawno już temu, twój dziadek, Adasiu, wybrał się z kazaniem do pewnego miasta, żeby zebrać trochę pieniędzy na dom przytulku, dla sierot chowających się u kilku zacnych, lecz ubogich osób. Kazanie powiodło się i uciulał dosyć znaczną sumę. Jadąc stamtąd w inne miejsce, znalazł się wśród pustyni, późnym już wieczorem, i właśnie myślał, jaka tam wygodna okolica dla złodziei, kiedy spostrzegł człowieka z podejrzaną miną, który wyszedłszy z lasu, powoli zmierzzał ku niemu, jak gdyby go oczekiwał. Dziadunio zaniepokoił się trochę o pieniądze, i w pierwszej chwili chciał powrócić, skąd przybył; ale koń był zmęczony, i przykro mu było podejrzewać tego człowieka, więc się powstrzymał. Przybliżywszy się doń, zobaczył, że jest tak nędzny, schorzały i obdarty, że poczul wyrzuty sumienia: zatrzymał zatem karyolkę, i rzekł przyjaźnie:

„Zdajesz się znużony, mój przyjacielu, więc siadź tu przy mnie.“

Podróżny widocznie się zdziwił i zawahał, lecz wsiadł po chwili. Nie zdawał się skłonny do gawędy, ale za to dziadunio mówił rozumnie i ze zwykłymżywieniem, — o tém, jaki ten rok był ciężki, jak ubodzy niecierpieli, i jak trudno było radzić sobie

niekiedy. Człowiek ten miękł powoli, i ujęty przyjazną gawędą, opowiedział, że przebywszy ciężką chorobę, nie mógł pracować, co go doprowadziło do rozpacz, miał bowiem kilkoro dzieci. Dziadunio zdjęty litością, zapomniał o swój obawie. Zapytawszy nieznajomego o nazwisko, obiecał wystarać mu się o zajęcie w pobliskim miasteczku, mając tam liczne stosunki, i wydobył z kieszeni pugilares z pieniędzmi, żeby zapisać jego adres. Gdy szukał ołówka i papieru, nieznajomy wlepił weń taki wzrok, że dziadunio ze strachem przypomniał sobie, co ma w pugilarzesie, lecz powiedział:

„Mam tu wprawdzie pewną sumkę, ale jest własnością biędnych sierót; gdyby nie to, podzieliłbym się z tobą. Ja sam nie jestem bogaty; dam ci jednak chętnie tę sztukę pięciodollarową dla dzieci, bo wiem, co to jest być w potrzebie.“

Gdy nieznajomy otrzymał tę sumkę dobrowolnie ofiarowaną, utracił chciwy i twardy wyraz twarzy, spojrział z żywą wdzięcznością, i nietknawszy pieniędzy sierót, jechał w uniesieniu aż do samego miasta. Skoro chciał tam wysiąść, dziadunio uściśnął się z nim za rękę, i zamierzał zaraz ruszyć w drogę; ale podróżny, jakby wiedziony jakąś wyższą siłą, odezwał się:

„Gdyśmy się spotkali, byłem tak zrozpaczony, że chciałem okraść pana, ale mnie powstrzymała twa dobroć; niech cię Bóg błogosławi za to, żeś mię zbawił od złego!“

„Czy go dziadunio jeszcze widział kiedy?“ zapytała ciekawie Stokrotka.

„Nie; ale mam nadzieję, że ten biédak znalazł zajęcie i nie potrzebował już kraść.“

„To była wysoka delikatność; co do mnie, byłbym go zbił,“ odezwał się Dan.

„Zawsze jest lepiej rządzić się dobrocią, niż siłą; spróbuj tylko, to się przekonasz,“ odparł pan Bhaer, zabiierając się do wyjścia.

„Prosimy o drugą powiastkę!“ zawołała Stokrotka.

„Musi nam jeszcze wuj co opowiedzieć, bo ciocia Ludka opowiadała dwa razy,“ dodał Adaś.

„A ja zachowam drugą powiastkę na inny dzień, bo niedobrze jest przesycić się tém, zarówno jak cukierkami. — Odcchodzę teraz, kiedym się już związał z zadaniem,“ rzekł pan Bhaer i uciekał co tchu, a całe grono gonilo za nim; jednakże udało mu się umknąć do swój pracowni, chłopcy zaś z wrzawą powrócili do siebie.

Ta gonitwa tak ich rozruszała, że niemogąc już spokojnie usiedzieć, rozpoczęli grę w ślepą babkę, a Tomek, dla okazania, że wziął do serca moralną naukę z ostatniej powiastki, schwytałszy Andzię, szepnął jój do uszka:

„Żaluję, że cię nazwałem furją.“

Andzia nie chciała dać mu się wyprzedzić w grzeszności, więc gdy się bawili w guzik, i przyszła na nią kolej, wołać: guziczku, guziczku! powiedz mi, gdzie jesteś,“ rzekła do Tomka: „Trzymaj mocno, to ci dam,“ nie zadrwił się wcale, spostrzegłszy w swój rękę pierścionek włosiany, zamiast guzika. W owej chwili odplacił się jój tylko uśmiechem, lecz później, przy rozejściu się, dał jój najlepszy kasek ostatniego jabłka, — ona zaś ujrawszy pierścionek na jego grubym palcu, przyjęła dar. Zgoda została więc przywróconą; oboje żalowali chwilowego nieporozumienia, i żadne nie wstydzilo się powiedzieć: „Wybacz mi!“ a zatem ta dziecięca przyjaźń trwała nieprzerwanie, i mieszkanko na wierzbie było jeszcze długi czas ich ulubionym zamkiem na lodzie.

Rozdział dwudziesty pierwszy.

Dziękczynienie.

W Plumfield obchodzono zawsze tę roczną uroczystość po staroświecku, niewprowadzając żadnych zmian. Na kilka dni przedtem dziewczynki pomocne były pani Bhaer i Azji w kuchni, jako też i w spiżarni. Robiły paszteciki i puddingi, gatunkowały owoce, okurzały talérze, — strojąc minki zafrasowane i poważne. Chłopcy zaczajeni w koło wzbronionych im miejsc, łykali rozkoszne zapachy, podglądali tajemnicze zajęcia, a czasem dostał im się jaki przysmak do skosztowania.

W obecnym roku zdawał się panować jeszcze większy ruch; dziewczęta krzątały się w pokojach górnych i dolnych, chłopcy w klasie i stodole, i cały dom był w jakimś zamieszaniu. Cheiwie polowano na stare wstążki i wszelkie ozdoby; krajano i lepiono wciąż papier złocony, — a pani Ludwika z Franzem spotrzebowali zadziwiającą ilość słomy, szarego perkalu, flaneli i dużych czarnych pereł. Antos kuł dziwaczne maszyny w warsztacie; Adaś i Tomek mruczeli ciągle coś pod nosem, jak gdyby uczyć się czegoś; u Emila dawał się niekiedy słyszeć głośny wystrzał; a z dzieciennego pokoju dochodziły wybuchy śmiechu, gdy malec wyprawiono z domu, na daleką przechadzkę. Pan Bhaer był jednak tém najbardziej zaniepokojony, co się stało z olbrzymią banią Robcia. Zawieziono ją z tryumfem do kuchni, skąd wprowadzić ukazało się wkrótce dwanaście przyrumienionych pasztecików, ale na to może wyszła czwarta część, a gdzież reszta? Znikła, — Robcio jednak zdawał się obojętnym: chichotał się tylko, gdy wzmiankowano

o tém, i zalecał ojcu cierpliwe czekanie; głównie szło bowiem o to, by sprawić w końcu niespodziankę panu Bhaer, i nie dać mu odgadnąć, co się dzieć będzie.

Potulnie zamykał on oczy, uszy i usta; starał się niewidzieć, co mu pod wzrok podpada; niesłyszec, co się zdradziecko rozlega w powietrzu; nie rozumieć przejrzystych tajemnic, odbywających się dokoła. Jako Niemiec, lubił te proste domowe uroczystości i zachęcał do nich całym sercem, bo tak uprzyjemniały dom, że dzieciom nigdy nie przychodziło na myśl, gdzieindziej szukać rozrywki.

Gdy nareszcie nastąpił ów upragniony dzień, chłopcy wybrali się na daleką przechadzkę, żeby mieć dobry apetyt, — jak gdyby im na tém kiedy zbywało! Dziewczątka zaś pozostały w domu, chcąc pomagać przy nakrywaniu stołu i wykończyć różne drobiazgi, przejmujące ich duszyczki niepokojem.

Klasa została zamkniętą poprzedniego jeszcze wieczoru, i zakazano tam wchodzić panu Bhaer pod karą, że go wybije Teodorek. Jakby mały smok strzegł on drzwi, chociaż umierał z ochoty powiedzenia wszystkiego i tylko z téj przyczyny nie zdradził wielkiej tajemnicy, że ojciec z bohaterką siłą zatykał sobie uszy.

„Wszystko już gotowe i prześlicznie wygląda!“ zawołała nareszcie Andzia, wychodząc stamtąd z tryumfalną minką.

„Doskonale udało się to, co wiesz; Silas zręczny do wszystkiego,“ dodała Stokrotka, skacząc z radości, że się jej powiedła jakaś tajemnicza rzecz.

„Niech mię diabli porwą, jeżeli widział co ładniejszego w życiu!“ rzekł Silas i roześmiał się, jakby stary dzieciak.

„Już idą, słyszę głos Emila! Musimy się ubrać jak najprędzej!” zawołała Andzia, i obie pobiegły co tchu na górę.

Chłopcy dążyli do domu z takim apetytem, że byłby zadrżał olbrzymi indyk, gdyby nie to, że dla niego skończyły się już wszelkie obawy. Oni poszli także się ogarnąć, i przez półgodziny tak się myli, czesali i stroili, że serce każdej schludnej kobiety radowałoby się tym widokiem. Na odgłos dzwonka gromada rumianych chłopaków o błyszczących włosach, w czystych kołnierzykach i niedzielnych kurtkach, zapelniała jadalny pokój.

Pani Ludwika w swój jedyną jedwabną czarną suknię, z bukieciem ulubionego złoconiu przy statuku, siedząc na głównym miejscu przy stole, „wspaniale wyglądała”, jak mówili chłopcy, ile razy jej się zdarzyło ubrać się wykwinąć. Stokrotka i Andzia podobne były do kwiateczków, w nowych zimowych sukienkach i w jasnych przepaskach, z włosami przewiązanymi jasną wstążeczką. Teoderek ślicznie wyglądał w karmazynowej bluzce z merynosu, i nowych bucikach z guzikami, które pochłaniały całą jego uwagę.

Gdy państwo Bhaer spojrzeli na siebie przez długi stół, pośród dwóch szeregów uszczęśliwionych twarzyczek, — złożyli dzięki w duchu, i jedno serce szepnęło drugiemu:

„Dzielo nasze powiodło się: bądźmy za to wdzięczni i prowadźmy je dalej.”

Przez kilka minut panowało milczenie, i tylko Marya-Anna z jaskrawą kokardą we włosach, uwijała się żwawo, podając półmiski, nalewając sosy. Ponieważ prawie każdy z biesiadników przyczynił się do oświecenia uczty, przez cały jej czas toczyła się rozmowa o krążących potrawach.

„Chyba się nie znam na kartoflach, jeżeli te są niesmaczne,” zauważył Jakubek, biorąc już czwarty: duży i mączysty.

„Niektóre ziola moje są w nadzieniu od indyka, i dla tego jest takie dobre,” powiedziała Andzia z żywym zadowoleniem, biorąc kawałek do ust.

„Moje kaczki są przewyborne; Azya mówi, że jej się jeszcze nie zdarzyło piec tak tłustych,” dodał Tomek.

„A nasza marchewka, czy nie ładna? Pasternak będzie równie dobry, jak go obkopiemy,” powiedział Dick; a Dolo mruknął coś, patakując mu z poza kości pracowicie ogryzaną.

„Ja pomagałem robić paszteciki, bo są z mojej bani!” zawołał Robcio ze śmiechem, który stłumił, chowając buzię w kubku.

„A ja zrywałem jabłka na ten cydr!” odezwał się Adaś.

„Ja zbierałem pieczarki na sos!” wykrzyknął Alfred.

„A ja przyniosłem te orzechy,” dorzucił Dan. I tak szło ciągle w około stołu.

„Kto wymyślił dziękczynienie?” zapytał Robcio, bo odkąd go ubierano w kurtkę i majteczki, jako obywatel swego kraju, zajmował się jego ustawami.

„Ciekawym, który z was odpowie na to?” rzekł pan Bhaer, i skinął głową na kilku chłopców, najlepiej obeznanych z historią.

„Ja wiem,” zawołał Adaś, „pielgrzymi!”

„Za co?” spytał znów Robcio, nieczekając, by dopowiedział, kto oni byli.

„Zapomniałem!” rzekł Adaś i ustąpił z pola.

„Zdaje mi się, że gdy nie pomarli kiedyś z głodu, zebrawszy potem obfite plony, rzekli: „Podziękujmy

Bogu," i wyznaczyli na to dzień, który nazwali dziekczynieniem," powiedział Dan, rozmilowany w historych tych zacnych ludzi, którzy tak wiele i tak szlachetnie cierpieli za wiarę.

"Brawo! Myślałem, że tylko historia naturalna może ci utkwąć w pamięci," rzekł pan Bhaer, i z lekka uderzył w stół, przyklaskując w ten sposób.

Dan przyjął pochwałę z uradowaną twarzą, a pani Ludwika zapytała synka:

"Rozumiesz teraz, Robciu?"

"Nie rozumiem," odparł szczerze.

"Adasiu, spróbuj mu to opowiedzieć jaśniej," odezwiała się pani Ludwika.

"Dobrze," odparł tenże i umilkł na chwilę, żeby zebrać myśli, poczem dał następny szkieł, który mógłby rozśmieszyć nawet tych poważnych i surowych mężów, gdyby go słyszeli.

"Widzisz, Robciu, niektórzy ludzie, co w Anglii nie lubili króla, ani też nie podobnego, wsiedli na okręta i odpłynęli do naszego kraju. Pełno tu było Indian, niedźwiedzi i dzikich zwierząt; mieszkali w fortcach i przechodzili różne przykrości."

"Czy niedźwiedzie?" zapytał Robcio z zajęciem.

"Nie, pielgrzymi, których Indianie napadali. Nie mieli dosyć jeść, do kościoła musieli chodzić z pistoletami, dużo ich wymarło i popłynęli okrętami aż do skały, którą nazwali Plymouth; ciocia Ludka ją widziała i dotykała się jej. Ci pielgrzymi pozabijali wszystkich Indian, wzbogacili się i powiesili wszystkie czarownice. Bardzo byli dobrzy, i z pomiędzy nich jacyś moi prapraprapradziadowie przybyli na tych okrętach, i ustanowili dziekczynienie, a my je co rok obchodzimy i bardzo lubimy ten dzień. — Proszę mi dać więcej indyka."

"Adas pewno będzie historykiem, kiedy opowiada z takim ładem i z taką jasnością," rzekł wuj Fritz, i gdy podawał potomkowi pielgrzymów trzeci kawał indyka, oczymu się śmiały, zarówno jak i ciocia Ludce.

"Myślałem, że w dniu dziekczynienia trzeba jeść, ile się zmieści; a tymczasem Franz powiada, że to nigdy nie uchodzi," rzekł Nadziany z taką miną, jak gdyby go doszła jakaś smutna wiadomość.

"Franz ma słuszość. Bądź umiarkowany, bo inaczej nie mógłbyś dopomagać w niespodziance," powiedziała pani Ludwika.

"Dobrze, będę ostrożny; ale wszyscy dużo jedzą, i ja także wolałbym jeść do syta, niż być umiarkowanym," rzekł Nadziany, który dzielił to powszechne prawie przekonanie, że dziekczynienie trzeba obchodzić stanem bliskim apopleksyi, lub co najmniej niestrawnością i bólem głowy.

"Teraz, moi pielgrzymi, bawcie się spokojnie, bo w wieczór będziecie mieli dosyć ruchu," rzekła pani Ludwika, gdy po wypiciu cydrem ogólnego zdrowia, wstała od stołu po długim obiedzie.

"Przejadę się teraz z całą moją gromadką, korzystając z przyjemnej pory, — a ty będziesz mogła wypocząć, moja droga, żebyś nie była nadto strudzona wieczorem," dodał pan Bhaer. Zajechał więc po chwili ogromny omnibus, chłopcy ubrali się w płaszcze i kapelusze, i puścili się na daleką i wesołą przejażdżkę, aby pani Ludwika mogła wypocząć i swobodnie załatwić niektóre jeszcze drobiazgi.

Po wczesnej herbacie z lekką przekąską, znowu czesali się i myli ręce, poczem zaczęli niecierpliwie wyglądać gości. Tylko rodzina była spodziewana, bo zazwyczaj odbywały się tam uroczystości w ścisłe

familijném kółku, — i dla tego strapienie bynajmniej nie stanęło w owym roku na przeszkodzie.

Wszyscy przybyli: państwo March z ciocią Małgosią, tak słodką i ładną, pomimo czarnej sukni i wdowiego czepeczka, okalającego jęj spokojną twarz! Wuj Teoderek z żoną i z prześliczną księżniczką, która mając przy błękitnej sukience wielki bukiet z ciepłarnianych kwiatków, włożyła chłopcom po jednym w dziurkę od guzika, co im nadawało pozór eleganci i świąteczny. Wuj Teoderek przedstawił także domowym nowego gościa, mówiąc:

„To jest pan Hyde; zapytywał mię o Dana, więc ośmieliłem się przywieść go tu dziś, żeby się przekonał o jego postępach.“

Państwo Bhaer przyjęli go serdecznie przez wzgląd na Dana, radzi, że o nim ktoś pamięta; ale po chwili rozmowy, cieszyło ich to zapoznanie się dla niego samego, taki był naturalny, prosty a zajmujący. Miło im było widzieć, jak się Danowi twarz rozjaśniła, gdy spostrzegł przyjaciela; jak się pan Hyde uradował zmianą zaszłą w obojętności i powierzchowności chłopca; i jak zapomniawszy o różnicy wieku, ukształcenia i stanowiska, rozmawiali w kącie o przedmiocie zajmującym ich obu, porównywali notatki i zdawali sobie sprawę, z prac ubiegłego lata.

„Musimy wcześniej zacząć widowisko, bo aktorowie gotowi usnąć,“ rzekła pani Ludwika, skoro się skończyły powitania.

Wszyscy zasiedli więc w klasie, przed zasłoną z dwóch dużych kolder. Dzieci znikły poza nią, zdradzając jednak swę obecność tłumionym śmiechem i wesołymi okrzyki. — Przedstawienie zaczęło się od ożywionych ćwiczeń gimnastycznych, pod kierunkiem Franza. Sześciu starszych chłopców w niebieskich

spodniach i czerwonych koszulach, popisywało się pięknem wyrobieniem muszkułów, przy mocy wag i różnych ciężarów, — idąc za dźwiękami fortepianu, na którym pani Ludwika grała za sceną. Dan objawił tyle energii, że sąsiedzi obawiali się ciągle, czy im się co niedostanie; obecność pana Hyde i gorąca chęć przysporzenia chwały swym opiekunom, tak go bowiem zgorączkowała, że o mało nie rzucił na publiczność szeleszczącego worka z grochem.

„Dzielny z niego chłopak! Jak się wybiorę za rok lub dwa do południowej Ameryki, to poproszę, żebyś mi go pan pozwolił wziąć z sobą,“ rzekł pan Hyde, bo słysząc tak pochlebne sądy, jeszcze bardziej zajął się Danem.

„I owszem, weź go pan. Wprawdzie zatęsknimy do naszego młodego Herkulesa, ale dla niego będzie to ogromną korzyścią i pewien jestem, że potrafi służyć wiernie swemu przyjacielowi.“

Dan usłyszał ich rozmowę, i serce mu uderzyło z radości na myśl o podróży po nieznanach krajach, pod opieką pana Hyde; a przychylnie świadectwo profesora, wynagrodziło go sówicie za pracę nad sobą.

Po ćwiczeniach gimnastycznych, Adaś z Tomkiem wypowiedzieli stary dyalog szkolny, w którym Tomek pobudzał całe towarzystwo do konwulsyjnej wesołości, tak naśladując Silasa, iż ten zaniósł się od śmiechu, i Azya musiała go uderzyć w kark, — oboje stali bowiem w sieni, i bawili się niesłuchanie widowiskiem.

Potem Emil wypocząwszy już, odśpiewał w odpowiednim stroju pieśń marynarza, a chłopcy odpowiadali mu chórem. Następnie Antos wykonał komiczny taniec chiński, i w kapeluszu podobnym do pagody, skakał, jakby ogromna zaba.

Ponieważ tego rodzaju występ pierwszy raz odbywał się w Plumfield, były też popisy z arytmetyki, sylabizowania i czytania. Jakubek zadziwił publiczność szybkim rachowaniem na tablicy, Tomek odznaczył się pisownią, Adaś tak poprawnie przeczytał bajeczkę, że wuj Teoderek był oczarowany.

„Gdzież reszta dzieci?“ zapytywano, gdy zasłona spadła, a młodsze grono nie ukazało się.

„To ma być niespodzianka; aż mi cię żal, mamu, że nie wiesz, jakie to będzie ładne,“ rzekł Adaś, który poszedł pocałować matkę i objaśniać ją, jak mu już wolno będzie wyjawić tajemnicę.

Ciocia Ludka wyniosła z pokoju złotowłosą, ku wielkiemu zdziwieniu jej papy, który zamęczał pana Bhaer, zapytując raz po raz:

„Co też to będzie?“

Nareszcie po długim szeleszczeniu, sztukanii i bardzo głośnych rozkazach reżysera, podniosła się zasłona przy dźwięku cichej muzyki, i ujrano Becię siedzącą na niskim stołeczku, przy kominku z szarą bibułą. Trudno było znaleźć ładniejszą istotkę, jak ta Cinderella w strasznie obdartą ciemną sukienkę, i w dziurawych trzewiczkach. Twarzątką jej okolona jasnym włosem tak była zachwycająca, tak urocza, że wywołała nie tylko uśmiech, ale i łzy widzów, czule kochających tę młodą artystkę. Siedziała ona w milczeniu, póki nie szepnął jakiś głos: „Zaczynaj.“ Wówczas westchnąwszy zabawnie, rzekła tak jakoś milucho: „Jatzebym chciała pójść także na bal,“ że ojciec zaczął bić szalone oklaski, a matka zawołała: „Kochaneczka moja!“ Te niewłaściwe objawy uczuć sprawiły, że Cinderella zapomniawszy się, potrząsnęła główką i rzekła z niezadowoleniem: „Niemożna do mnie mówić!“

Cisza natychmiast została więc przywróconą i po-słyszano trzykrotne pukanie w ścianę. Cinderella spojrzała z przestachem, lecz zanim jej przyszło na myśl, że się powinna zapytać: „Kto tam?“ kominiek z szarej bibuły otworzył się, jakby drzwiami, i z niejaką trudnością przemknęła się przezeń, w śpiczastym kapeluszu, chrzysta matka-czarodziejka. Była to Andzia, w ponsowej szacie i z laseczką, którą wy-wijała, mówiąc z naciskiem:

„Musisz być na balu, moja droga!“

„Teraz ściądnij to ze mnie i potaż piętną sutentę,“ odparła Cinderella, szarpiąc na sobie odzież z bibuły.

„Nie, nie! Powiedz wpierw: Jakże mogę pójść w tych łachmanach?“ rzekła chrzysta matka swym naturalnym głosem.

„Ach pławda!“ zawołała księżniczka i powiedziała powyższe słowa, bynajmniej niezmięszana pomyłką.

„Przemienie te strzępy na wspaniałą szatę za to, żeś dobra,“ odezwiała się chrzysta matka teatralnym tonem, i energicznie odpiąwszy ciemny fartuszek, przedstawiła oczom wspaniały widok.

Księżniczka była rzeczywiście tak ładną, że mogła zawracać głowy książkom, bo ją mama ubrała, jakby damę dworską: w różową jedwabną suknię z ogonem, na atlasowym białym spodzie, zdobną w świeże bukieciiki. Chrzysta matka włożyła jej koronę z różowych i białych piór i podała pantofelki ze srebrnego papieru. Księżniczka ubrawszy je, ułożyła suknię w piękne fałdy, i rzekła z dumą do publiczności: „Złobione są ze stła, — czy nie ładne?“

Tak była zachwycona swymi pantofelkami, że trudno ją było przywołać do roli, i nakłonić, żeby powiedziała:

„Tiedy nie mam talety, chzysta matto.“

„Patrz!“ zawołała Andzia, i z taką siłą machnęła ręką, że o mało księżniczce nie spadła z główki korona.

W tej chwili ukazała się rzecz, stanowiąca największy tryumf tej sztuki: oto cztery duże brunatne szczury, u których łebki były wcale ładne, a czarne perełki błyszczwały w nich, jakby żywe, ciągnęły — a raczej tak się miało zdawać — duży kosz, zrobiony z połowy owiej bani, osadzonej na żółtych kółkach od wózka Teodorka. Na koźle siedział ładniutki i rzeźwy woźnica, w peruce z waty, w stosowanym kapeluszu, czerwonych spodenkach i galonowanym fraku. Tak energicznie trząsał z długiego bicia, i tak mocno szarpał ponsowe lejce, że się rumaki żwawo poruszały. Był to Teodorek, który swą uroczą osobą zajął uwagę całej publiczności. Artur odezwał się nawet, że gdyby znalazł równie okazałego woźnicę, zaraz wziąłby go do służby. Skoro stanął kocz, matka chrzestna posadziła w nim księżniczkę, która na odjeźdnym przesyłała publiczności całusy, pokazując szklanne pantofelki. Różowy ogon od sukni włożył się po ziemi, bo choć ten ekwipaż był wykwintny, trzeba przyznać, że ciasno w nim było Jój Wysokości.

Potem nastąpił bal. Panienci ukazały się wystrojone i jaskrawe, jak pawie. Andzia wybornie przedstawiała dumną siostrę, zamiatając posadzkę długim ogonem, i upokarzała damy, istniejące jedynie w jój wyobraźni. Książę, umieszczony na jakimś chwiejącym się tronie, przybrany we wspaniałą koronę, rozglądał się do koła, bawił się mieczem i podziwiał kokardki u swych trzewiczków. Gdy Cinderella weszła, poskoczył ku niżej, pytając kto ona, poczem wziął ją do tańca; siostry jój zaś szemrząc, chowały się po kątach.

Poważny taniec „jig“, wykonany przez tę małą parę, bardzo się podobał, bo dziecinne twarzyczki były tak uroczyste, kostiumy tak jaskrawe, a figury tańca tak dziwaczne, że wszystko razem wyglądało na malowidło à la Watteau.

Księżniczce bardzo zawadzał ogon od sukni; książę o mało się nie przewrócił przez swój miecz; — ale zrećcznie usuwając zawady, tańczyli do końca, z wdziękiem i ożywieniem.

„Zrzuc pantofelek“, szepnęła pani Ludwika, gdy już dama miała zasiąść.

„Ach zapomniałam!“ zawołała, i zdjawszy szklany trzewiczek, rzuciła go Cinderella na środek sceny, mówiąc do Robcia:

„Telaz spłobuj mię złapać!“ i zaczęła biędz, a książę podniósł trzewiczek i posłusznie podążył za nią.

W trzeciej części, jak każdemu wiadomo, herold przychodzi mierzyć pantofelek; Teodorek, ciągle jeszcze w stroju woźnicy, wszedł zatem trąbiąc przerażliwie, a dumne siostry po kolei wystawiały nóżki. Andzia tak doskonale udawała, że próbuje uciąć sobie kawałek nogi, że herold aż się przestraszył. Wezwano wówczas Cinderellę, która weszła w fartuszek, i wsunęła nóżkę w trzewiczek, z radością oznajmiając:

„Ja jestem księżniczką!“

Stokrotka przeprosiła ją ze łzami; ale Andzia, lubiąca tragedye, zrobiła ten przydatek, że padła zemdlona, i leżała do końca przedstawienia. Nie trwało to jednak długo, bo książę wbiegł, ukląkł, i z wielkim zapalem całował rączkę Złotowłosej, — a tymczasem herold trąbką zagłuszał całe towarzystwo. Zasłony nie spuszczone, gdyż księżniczka wybiegła ze sceny, pytając ojca:

„Cym dobrze grała?“ a książę z heroldem wszczęli bitwę blaszaną trąbką i drewnianym mieczem.

„Jak wam pięknie poszło!“ mówili wszyscy; a gdy zachwyt nieco ustał, Alfred wystąpił ze skrzypcami.

„Cicho! cicho!“ wołały dzieci, i nastała cisza, bo coś takiego było w lekliwej postaci i w rzewnych oczach chłopca, że całe grono chętnie usłuchało przestrogi.

Państwo Bhaer myśleli, że zagra jedną ze swych ulubionych pieśni; ale ze zdziwieniem usłyszeli nową melodyę, którą tak miękko wykonywał, że trudno im było uwierzyć, iż Alfreda mają przed sobą. Była to jedna z tych pieśni bez słów, co wzrusza serce, rozwesela i koi słuchaczy, opiewając nadzieje i uciechy ogniska domowego. Ciocia Małgosia wsparła głowę na ramieniu Adasia, Babunia obcierała sobie oczy, a pani Ludwika szepnęła do Artura:

„To musi być twój utwór.“

„Chciałem, żeby ci Alfred przyniósł zaszczyt i podziękował właściwym sobie językiem,“ rzekł Artur, pochyliwszy się ku niemu.

Gdy się już młody artysta uklonił i chciał odejść, powstrzymały go huczne oklaski; grał więc dalej z uradowaną twarzą tak dzielnie, że nogi same tańczyły, i trudno było spokojnie usiedzieć.

„Uprzątnijmy pokój!“ zawołał Emil, i w jednej chwili pousuwano krzesła: starsi zajęli bezpieczne kąciaki, a dzieci zgromadzili się na scenie.

Więksi chłopcy poskoczyli z grzecznym zaproszeniem do dam starszych i młodszych, a mały bili się prawie o księżniczkę; ale ona, jako zacna kobiątka, wybrała Dicka, który z dumą odprowadził ją potem na miejsce. Pani Ludwika nie mogła się także wy mówić, a ciocia Amelka sprawiła Danowi niewysło-

wioną radość, gdy odrzuciwszy Emila, jemu podała rękę. Ma się rozumieć, że Andzia z Tomkiem, Stokrotka z Alfredem, stanęli parami, a wuj Teoderek zaprosił Azyę, którą widocznie brała wielką chęć do tańca, — i bardzo jej ten zaszczyt pochwlebił. Silas z Maryą-Anną urządzili sobie piasy w przedsiönku, i przez półgodziny całe Plumfield oddawało się wesolości.

Następnie młodzież wybrała się na przechadzkę; na czele jechał kocz z bani, a szczury dzielnie w nim ciągnęły księżniczkę i woźnicę.

Podezas gdy się dzieci bawiły, starsi rozmawiając w bawialnym pokoju, przyglądali się im przyjaznym okiem krewnych i przyjaciół.

„O czém myślisz, siostró Ludko, z tak uradowaną twarzą?“ zapytał Artur, siadając obok niej, na sofie.

„O moich letnich pracach i o przyszłości tych chłopców,“ odrzekła z uśmiechem, robiąc mu przy sobie miejsce.

„Pewno wyobrażasz sobie, że każdy z nich będzie słynnym malarzem, wielkim mężem stanu, znakomitym wojakiem, lub przynajmniej milionowym kupcem.“

„Mylisz się: już nie jestem tak ambitną jak niegdyś, i poprzestanę dla nich na uczciwem imieniu; ale muszę przyznać, że dla niektórych, spodziewam się niemaléj chwały i karyery. Adaś jest niezwykajnym dzieckiem, i zdaje mi się, że się wyrobi na coś dobrego lub pięknego, w najlepszym znaczeniu tego słowa. Mam nadzieję, że inni także pokierują się dobrze, a zwłaszcza moi ostatni wychowañcy, bo dzisiejsza gra Alfreda każe się spodziewać po nim geniuszu.“

Mali mężczyźni.

„Za wczesnie wyrokujesz; ale z pewnością ma talent, i nie można wątpić, że niezadługo będzie mógł zarabiać na chleb. Opiekujcie się nim jeszcze rok lub dwa, a potem odbiorę go, i pchnę w świat.“

„Jakież to piękne widoki dla biédnego Alfreda, który do mnie przyszedł sześć miesięcy temu, pozbawiony przyjaciół i opieki. — Dana przyszłość, łatwo mi wyobrazić sobie. Wkrótce zażąda go pan Hyde, a wówczas dam mu zanego i wiernego sługę: należy on do rzędu tych, co umieją dobrze służyć, jeżeli zapłatą jest przywiązanie i ufność, i ma dosyć energii, by sobie wyrzeźbić losy według woli. Tak, bardzom uszczęśliwiona, że się nam powiodło z tymi dwoma chłopcami; jeden z nich tak był słaby, a drugi tak dziki, tymczasem dziś obaj są ogromnie zmienieni, i tak wiele obiecują.“

„Jakichże czarów użyłaś, Ludko?“

„Kochałam ich tylko, a Fritz dokonał reszty.“

„Poczeiwa z ciebie dusza! Znać, że owo „kochałam ich tylko“, niemało cię kosztowało trudu,“ rzekł Artur, patrząc na jej wychudłą twarz z większym uwielbieniem, niż kiedy była młodą panienką.

„Prawda zem zwiędła i postarzała się, alebardzo szczęśliwa; nie lituj się więc, Teodorku,“ rzekła, rozglądając się w około z zadowoleniem.

„Tak, z każdym rokiem twoje dzieło lepiej się powodzi,“ powiedział, wskazując znacząco na wesoły obraz, jaki mieli przed sobą.

„Jakżeby mi się mogło niepowodzić, kiedy mam tyle pomocy od was wszystkich,“ odparła pani Ludwika, z wdzięcznością spoglądając na hojnego opiekuna swego zakładu.

„Ta szkoła rozwesela całą rodzinę naszą. — Jakże odmienną przyszłość układaliśmy dla ciebie, a jednak przyznaję, żeś sobie obrała całkiem odpowiednie zajęcie, i poszłaś za dobrém natchnieniem“ odezwał się żywo Artur, żeby uniknąć podziękowań.

„A śmiałaś się w początkach, i dotąd obracasz w żart i mnie, i to moje natchnienie. Albożes także nie straszyl, że się nie powiedzie wspólne wychowanie dziewcząt z chłopcami? Tymczasem patrz, jakie stąd dobre owoce,“ rzekła, wskazując na rozwesołą gromadkę chłopców i dziewcząt, którzy tańczyli, śpiewali i gwarzyli, w dobrém koleżeństwie.

„Przyznaję ci słusność, i w swoim czasie oddam ci moję Złotowłosą. — Czy mógłbym więcej powiedzieć?“

„Jakże dumną będę z posiadania waszego skarbu! Ale doprawdy, Teodorku, że wpływ tych dziewczątek okazuje się doskonałym. Wiem, że mię wysmiesz, lecz mniejsza o to: przyzwyczaiłam się już do twych kpín — więc ci powiem, że mi to sprawia szczególną przyjemność, gdy patrzę na swę gromadkę, jakby na mały świątek, — śledzę postępy tych małych mężczyzn, i dobry na nich wpływ moich małych kobietek. Stokrotka przedstawia żywioł domowego ogniska i wszyscy ulegają urokowi jej cichego, niewieściego usposobienia. Andzia jest ruchliwa, energiczna, przedsiębiorcza, więc podziwiają jej odwagę i ulegają jej woli, widząc, że prócz siły, ma także serce i dar świadczenia przysług. Wasza Becia pełna naturalnego wdzięku, uroku i powabu, poleruje ich bezwiednie, zajmując stanowisko wielkiej damy i pięknej kobiety, która korzysta ze swego wpływu, aby ich podnosić ponad grube i szorstkie rzeczy tego świata.“

„Niezawsze wielkiej damy najlepiej się wywiązują z tego, moja Ludko; czasami silna, zacna kobieta podżega chłopca do dobrego, i wyrabia go na człowieka,” rzekł Artur oddając jej pokłon ze znaczącym uśmiechem.

„Sądzę że uroczą kobietą z którą się ożenił ów chłopiec, więcej dlań zrobiła niż towarzyszka dziecięcych lat, druga „niesforna Andzia”. Najwięcej jednak wpłynęła nań podobno owa rozumna, matczyńska kobieta która tak czuwała nad nim, jak Stokrotka dziś czuwa nad Adasiem.” Mówiąc to, pani Ludwika zwróciła się ku matce siedzącej na uboczu z Małgosią. Cechowały ją tak słodka godność i piękno podeszłego wieku, że Artur spojrzawszy z synowskim poszanowaniem i z miłością, rzekł poważnie:

„Wszystkie trzy wiele dlań uczynili, i dla tego łatwo mi pojąć, jaką pomocą te dziewczynki będą dla twych chłopców.”

„Niemniejszą pomoc dadzą oni ze swęj strony: wierzaj mi, że to jest zobopólne. Alfred oddaje Stokrotce wielkie przysługi, muzykę; Dan lepiej powoduje Andzię, niż ktokolwiek z nas; Adaś ze szczególną łatwością uczy waszą Złotowłosą. Ach! gdyby mężczyźni i kobiety chcieli tylko ufać i dopomagać sobie wzajemnie, na wzór moich dzieci, — jakimże cudownym miejscem byłby świat!”

Mówiąc to pani Ludwika miała zadumane oczy, jak gdyby jej się przedstawiał obraz jakiegoś nowego i uroczego społeczeństwa, w którymby ludzie żyli tak szczęśliwie i niewinnie, jak jej gromadka.

„Robisz wszystko co jest w twęj mocy, żeby przyspieszyć te błogie czasy, moja droga. Nie przestawaj w nie wierzyć, — pracuj i dowódź własnym przy-

kładem że są możliwe,” rzekł pan March zatrzymawszy się w przechadzee, aby jej powiedzieć słowo zachęty, — bo ten zacny człowiek nie tracił wiary w ludzkosć i ufał, iż ujrzy panowanie spokoju, dobrej woli i szczęścia.

„Nie jestem tak ambitną, ojcze; chcę tylko garnąć do siebie dzieci i przysposabiać je do życia, żeby nie potrzebowały staczać z niem ciężkich walk, gdy się rozproszą po świecie.

„Chcę w nie wpoić uczciwość, odwagę, pracowitość, wiarę w Boga, w bliźnich i w siebie samych.”

„W tém się wszystko mieści. Dajcie im tę pomoc, a potem niech walczą z życiem; czy im się powiedzie, czy nie, — pewien jestem, że będą wspominać i błogosławić wasze usiłowania, — mój dobry synu i ty, córko droga.”

Profesor od niejakięj chwili przyłączył się do tego grona, pan March mówiąc zatem powyższe słowa, podał obojgu ręce, pobłogosławił ich wzrokiem, i odszedł dalej. Podczas gdy państwo Bhaer stali, spokojnie rozmawiając pod wpływem tego uczucia, że się musieli dobrze wywiązać z letnich prac, kiedy ich ojciec pochwalił, — Artur wymknął się do sieni, powiedział słówko dzieciom, i nagle cała gromadka wpadła do pokoju, wzięła się za ręce, i śpiewając wkoło ojca i matki Bhaer, zaśpiewała wesoło:

„Minał czas letnięj pory,
Jesień zbliża się już,
Schowane skrzętnie zbiory,
Zwiezione resztki zbóż.

Sprzątnięta już biesiada,
Wypite wino z czar,
Dzisiaj się dzieki składa,
Za hojny niebios dar.

Najlepsze to są żniwa
Kiedy przed Boży tron,
Śle rodzina szczęśliwa
Serdecznych modlitw plon.

Dawcom życia na ziemi
Splacamy święty dług,
Mówiąc usta wdzięcznemi
Niech wam nagrodzi Bóg!“

Wymawiając te ostatnie słowa, koło ścieśniało się coraz bardziej, aż nareszcie zacy profesor i żona jego zostali zamknięci w więzieniu przez kilkanaście par rąk, i nawpół ukryci za bukietem śmiejących się, młodocianych twarzyczek, które ich otaczały służąc za dowód, że jeden krzew zapuścił korzeń i pięknie zakwitł we wszystkich duszyczkach. Miłość jest bowiem kwiatem który rośnie na każdym gruncie, wszędzie dokonywa cudów, niedając się ustraszyć jesiennym chłodom, ani zimowym śniegom, — kwitnie i wonieje cały rok, i jest błogosławieństwem zarówno dla darzących nim, jak dla obdarzonych.

KONIEC.

120000, -
~~200~~

420823/83

123

41619 MKD

